

JOSEPH FINDER

ZNIKNIĘCIE

Inszy od Ludana i Forsyth
PUBLISHERS WEEKLY



JOSEPH FINDER ZNIKNIĘCIE

Z angielskiego przełożył
ZBIGNIEW A. KRÓLICKI



Tytuł oryginału: VANISHED

Copyright © Joseph Finder 2009

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Zbigniew A. Królicki 2011

Redakcja: Magdalena Koziej

Ilustracje na okładce:

Larry Lilac/Alamy/BE & W (*postać*)

Denis Babenko/Shutterstock (*metro*)

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-394-4

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t/f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2012. Wydanie I

Druk: Opolgraf S.A., Opole

*Dla Molly Friedrich,
agentki, doradczyni, przyjaciółki*

CZEŚĆ PIERWSZA

Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia.
HONORÉ DE BALZAC

PROLOG

Waszyngton, DC

Mąż Lauren Heller zniknął w deszczowy wieczór, kilka minut po dziesiątej trzydzieści.

Szli do swojego samochodu po kolacji w jego ulubionej japońskiej restauracji przy Trzydziestej Trzeciej Ulicy w Georgetown. Roger, koneser sushi, uważał Oji-San za najlepsze, najbardziej autentyczne miejsce w całym okręgu. Lauren nie ekscytowała się tym. Uważała, że surowa ryba jest surową rybą: piękną, ale niejadalną. Jednak Roger – Mussolini maki, Stalin sashimi – zawsze chciał tylko tego, co najlepsze. „Hej, przecież poślubiłem ciebie, prawda?” – przypomniał jej po drodze, więc jak mogła się spierać?

Była po prostu wdzięczna, że w końcu gdzieś wyszli razem. Nie robili tego od prawie trzech miesięcy.

Właściwie nie był to udany wieczór. Roger sprawiał wrażenie bardzo zaabsorbowanego. Czymś się martwił. Chociaż czasem bywał taki kilka dni z rzędu. W ten sposób radził sobie ze stresami w pracy. Zawsze uważała, że to typowo męskie. Mężczyźni mają zwyczaj zamykać się w sobie. Kobiety zwykle wyrzucają wszystko z siebie, krzycząc, płacząc lub wściekając się, i w rezultacie wychodzą na tym lepiej. Jeśli to nie jest inteligencja emocjonalna, to co nią jest?

Jednak Roger, którego kochała i podziwiała, i który prawdopodobnie był najbystrzejszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała, radził sobie ze stresem jak typowy mężczyzna. Ponadto nie lubił rozmawiać o swoich sprawach. Taki po prostu był. W ten sposób został wychowany. Pamiętała, jak raz powiedziała do niego: „Musimy

porozmawiać”, a on na to odparł: „To dwa najstraszniejsze słowa w słowniku”.

Poza tym mieli żelazną zasadę – nie rozmawiać o pracy. Ponieważ obydwójce byli zatrudnieni w Gifford Industries – on jako starszy księgowy, a ona jako sekretarka dyrektora naczelnego – uznali, że to jedyny sposób, aby trzymać pracę z dala od domowego zacisza.

Tak więc podczas kolacji Roger niewiele mówił, co kilka minut zerkając na wyświetlacz swojego palmofonu BlackBerry i zając się nigiri. Zamówiła coś, co polecił jej kelner. Nazywało się ładnie, ale okazało się warstwami nototeni nasączonej miso. Specjalność lokalu. Obrzydlistwo. Zostawiła to nietknięte, rozgrzebała swoją sałatkę z wodorostów, wypiła za dużo sake i lekko się wstawiła.

Prześli Cady's Alley, wąskie wybrukowane przejście między starymi magazynami z czerwonej cegły przekształconymi w salon supernowoczesnych kuchni niemieckich a sklepikami z włoskim sprzętem oświetleniowym. Ich kroki odbijały się głuchym echem.

Zatrzymała się na szczycie betonowych stopni schodzących do Water Street.

– Masz ochotę na lody? – zapytała Rogera. – Może Thomas Sweet?

Rozproszone światło ulicznej latarni ukazało jego białe zęby, mocny nos i worki, które ostatnio pojawiły się pod jego oczyma.

- Myślałem, że jesteś na diecie South Beach.
- Mają tam kilka niezłych zestawów bezcukrowych.
- To aż po drodze do P, prawda?
- Jest Ben & Jerry przy M.
- Nie powinniśmy kusić losu z Gabe'em.
- Nic mu nie będzie.

Ich syn miał czternaście lat: dostatecznie dużo, aby mógł być sam w domu. Tak naprawdę trochę bał się zostawać sam, jednak nigdy by się do tego nie przyznał. Ten dzieciak był tak samo uparty jak jego rodzice.

Water Street była ciemna, opuszczona i nocą wyglądała dość niesamowicie. Wzdłuż ogrodzenia z siatki stał rząd zaparkowanych samochodów, a dalej znajdował się porośnięty krzakami brzeg Potomacu. Należący do Rogera czarny mercedes klasy S był wciśnięty między biały samochód dostawczy a sfatygowaną toyotę.

Roger stał przez moment, grzebiąc w kieszeniach, po czym nagle się odwrócił.

– Niech to szlag. Zostawiłem kluczyki w restauracji.

Prychnęła zirytowana, ale nie chciała robić z tego afery.

– Nie wzięłaś swoich, prawda?

Lauren pokręciła głową. Rzadko jeździła jego mercedesem. Roger za bardzo troszczył się o swój samochód.

– Sprawdziłeś kieszenie?

Poklepał się po kieszeniach płaszcza, spodni i marynarki, jakby chciał to udowodnić.

– Tak. Musiałem je zostawić na stoliku w restauracji, kiedy wyjmowałem telefon. Przepraszam. Chodź.

– Nie musimy wracać tam oboje. Poczekam tu.

Gdzieś w dole z rykiem przemknął motocykl. W tle słychać było szum ciężarówek przejeżdżających po Whitehurst Freeway.

– Nie chcę, żebyś stała tu sama.

– Nic mi nie będzie. Tylko się pośpiesz, dobrze?

Zawahał się, zrobił krok w jej stronę, potem nagle pocałował ją w usta.

– Kocham cię – powiedział.

Gapiała się na jego plecy, gdy przechodził przez ulicę. Przyjemnie było usłyszeć, że ją kocha, zwłaszcza że nie mówił jej tego zbyt często. Roger Heller był dobrym mężem i ojcem, ale niezbyt wylewnym mężczyzną.

W oddali usłyszała krzyk, a potem głośny śmiech; studenciaki, zapewne z Georgetown lub GW.

Jakiś szmer na chodniku za jej plecami.

Zaczęła się odwracać, aby spojrzeć, lecz poczuła na twarzy podmuch i czyjaś ręka zacisnęła się na jej ustach.

Chciała krzyknąć, ale szeroka dłoń stłumiła krzyk. Próbowwała się wyrwać. Roger był tak blisko. Może zaledwie kilkadziesiąt kroków od niej. Dostatecznie blisko, by zauważyć, co się dzieje, gdyby tylko się obrócił.

Silne ręce chwyciły ją od tyłu.

Musiała zwrócić uwagę Rogera, lecz on oczywiście niczego nie mógł słyszeć z tej odległości, gdyż szum ulicy zagłuszał odgłosy szamotaniny.

Odwróć się, do licha! – pomyślała. Proszę, odwróć się!

– Roger! – wrzasnęła, lecz jej krzyk zmienił się w żalosne kwilenie. Poczula zapach taniej wody kolońskiej, zmieszany z odorem dymu z papierosów.

Próbowwała się obrócić i wyrwać, ale ręce miała unieruchomione, przyciśnięte do ciała. Poczula na skroni dotyk czegoś zimnego i twardego, usłyszała szcęk, a potem coś uderzyło ją w głowę i przeszył ją oślepiający ból.

Stopa. Nadepnij na jego stopę – podpowiedziało jakieś wyblakłe wspomnienie z zajęć z samoobrony.

Nadepnij mu na śródstopie.

Uniosła i z całej siły opuściła swoją lewą nogę, trafiając w pustkę, po czym kopnęła w tył, z głuchym metalicznym łoskotem uderzając mercedesa. Spróbowowała się obrócić na pięcie i...

Roger nagle się odwrócił, zaalarmowany hałasem.

– Lauren! – zawołał. Popędził z powrotem przez ulicę.

– Co jej robisz, do diabła?! – krzyknął. – Dlaczego jej?!

Coś uderzyło ją w potylicę. Poczula w ustach smak krwi. Próbowała zrozumieć, co się dzieje, ale już osuwała się na ziemię, zapadając w pustkę, i to była ostatnia rzecz, jaką zapamiętała.

1.

Los Angeles

Noc była ciemna i burzowa.

Właściwie nawet nie burzowa. Jednak było ciemno, deszczowo i ponuro oraz – jak na LA – cholernie zimno. Stałem w mżawce o jedenastej w nocy, w mdłym żółtym świetle lamp sodowych, ubrany w przemoczone dzinsy i polar, w porządnych skórzanych butach, które powoli rozmiękały.

Te buty zostały zrobione na zamówienie w Londynie i kosztowały kupę forsy, więc zanotowałem sobie w pamięci, aby obciążyć rachunkiem za ich utratę mojego pracodawcę, Stoddard Associates, tak dla zasady.

Nie spodziewałem się deszczu. Aczkolwiek jako detektyw o międzynarodowej renomie, mający reputację umiającego przewidywać rozwój wydarzeń, zapewne powinienem był sprawdzić prognozę pogody na Weather.com.

– To ten – mruknął stojący obok mnie mężczyzna, wskazując odrzutowiec zaparkowany kilkadziesiąt metrów dalej. Facet miał na sobie długi żółty płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, nie zaproponował mi takiego wcześniej w biurze, a jego twarz była ukryta w cieniu. Widziałem tylko jego szczeciniaste białe wąsy.

Elwood Sawyer był dyrektorem korporacyjnym do spraw bezpieczeństwa w Argon Express Cargo, konkurenta DHL i FedEx, chociaż dużo mniejszego. Nie był uszczęśliwiony spotkaniem ze mną, ale nie mogłem mieć mu tego za złe. Ja też nie chciałem tu być. Mój szef, Jay Stoddard, wysłał mnie tu w pośpiechu, abym zajął się nagłym kryzysem u nowego klienta, o którym nigdy nie słyszałem.

Cały ładunek pewnego samolotu zniknął gdzieś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Ktoś opróżnił jeden z samolotów firmy na tym małym regionalnym lotnisku na południu LA. Ponad dziewięć tysięcy kilogramów pudeł, kopert i paczek, które przyleciały poprzedniego dnia z Brukseli. Przepadły.

Trudno nawet wyobrazić sobie ogrom straty. Tysiące zaginionych paczek to tysiące rozwścieczonych klientów i niekończące się procesy sądowe. Część tego transportu należała do jednego klienta, Traverse Development Group, który zatrudnił moją firmę, aby odnalazła ich ładunek. Bardzo im się spieszyło i nie zamierzali liczyć na to, że znajdzie im go jakaś drugorzędna firma transportowa.

Jednak ostatnią rzeczą, jakiej życzył sobie Elwood Sawyer, był wysoko opłacany korporacyjny detektyw z Waszyngtonu, stojący tam w modnych butach i mówiący mu, jak spieprzył sprawę.

Odrzutowiec transportowy, który wskazał mi Elwood, stał samotny i pośepny, mokry od deszczu i lśniący w światłach lotniska. Był szklisto biały, jak wszystkie odrzutowce transportowe Argonu, z nazwą firmy wymalowaną w poprzek kadłuba grubą pomarańczową helvetica. Boeing 727, ogromny i wspaniały.

Oglądany z bliska samolot jest piękny. Budzi dużo większy respekt niż widziany od środka, gdy jesteś uwięziony przez fotel faceta siedzącego przed tobą, maksymalnie odchylony do tyłu i miażdżący ci kolana. Ten odrzutowiec był jednym z około dwudziestu samolotów zaparkowanych w rzędzie na pobliskiej płycie lotniska. Domyśliłem się, że niektóre z nich zostają tutaj na weekend, a inne na noc, ponieważ wieża kontrolna jest zamykana o dziesiątej. Samoloty miały kliny pod kołami i wokół każdego ustawiono pachołki, wytyczające strefę bezpieczeństwa.

– Zajrzyjmy do środka, Elwood – powiedziałem.

Sawyer odwrócił się i spojrzał na mnie. Miał przekrwione oczy basseta, a pod nimi obwisłe worki.

- Woody – rzekł. Poprawił mnie, nie starał się zaprzyjaźnić.
- Dobrze. Woody.
- Nie ma czego oglądać. Wyczyścili go.

W prawej ręce kurczowo ścisnął jeden z tych kołonotatników w aluminiowych okładkach, takich, jakie mają kierowcy ciężarówek i policjanci.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym jednak rzucił okiem? Nigdy nie widziałem wnętrza samolotu transportowego.

- Panie Keller...
- Heller.

– Panie Keller, nie my pana zatrudniliśmy i nie mam czasu, aby bawić się w przewodnika, więc może wróci pan do przesłuchiwania załogi naziemnej, podczas gdy ja spróbuję ustalić, jak komuś udało się niepostrzeżenie wywieźć z tego lotniska trzy pełne ciężarówki ładunku?

Odwrócił się, zamierzając wrócić do terminalu.

– Woody, posłuchaj – powiedziałem. – Nie przyleciałem tu po to, żeby stawiać cię w złym świetle. Obaj chcemy tego samego: znaleźć brakujący ładunek. Może będę w stanie pomóc. Co dwie głowy, to nie jedna... i tak dalej.

Nie zatrzymał się.

– Aha. Cóż, to naprawdę miło, ale jestem teraz dość zajęty.

– W porządku. Zatem... nie masz nic przeciwko temu, że podam twoje nazwisko? – zapytałem.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił.

– Komu?

– Mój klient poprosi mnie o podanie jakiegoś nazwiska. Ten facet z Traverse Development potrafi być mściwym sukinsynem.

Tak naprawdę to nawet nie wiedziałem, kto z Traverse zatrudnił moją firmę.

Woody się nie poruszył.

– Wiesz, jak ci goście pracują – ciągnąłem. – Kiedy powiem

mojemu klientowi, że Argon Express nie było zainteresowane żadną pomocą z zewnątrz, zapyta mnie o nazwisko. Może będzie podziwiał twoją samodzielną duszę, to nastawienie „zrobię to sam”. A może wkurzy się tak, że po prostu przestaną robić z wami interesy. Dla nich to nic wielkiego. Wtedy wieść się rozniesie. Na przykład, że może coś ukrywacie, prawda? Jest również kwestia ewentualnego pozwu o ogromne odszkodowanie. Wtedy Argon Express szybko upadnie. I to wszystko przez ciebie.

Woody nadal się nie poruszył, ale widziałem, jak opadły mu ramiona. Jego żółty płaszcz przeciwdeszczowy był z tyłu ubrudzony i poplamiony olejem.

– Jednak tak między nami, Woody, podziwiam cię za odwagę, jaką okazałeś, mówiąc Traverse Development, gdzie mogą sobie pójść. Niewielu ludzi miałoby jaja, żeby to zrobić.

Woody się odwrócił. Nie sądzę, abym wcześniej widział kogoś, kto mrugałby tak powoli i z tak oczywistą wrogością. Ruszył w kierunku samolotu, a ja poszedłem za nim.



Rozległ się hydrauliczny szum i duże drzwi ładowni otworzyły się jak przesuwne drzwi w podmiejskim minivanie. Woody stał w środku. Przywołał mnie znużonym machnięciem ręki.

Widocznie włączył zasilanie awaryjne, ponieważ wewnątrz samolotu paliły się światła – szereg gołych żarówek w koszykach zamocowanych na suficie. Wnętrze wydawało się przepastne. Widać było szyny, do których kiedyś przytwierdzano rzędy siedzeń. Pozostała jedynie czarna podłoga oznaczona czerwonymi liniami, tam gdzie powinny znajdować się duże kontenery, tylko że tych tu nie było. Białe ściany bez okien pokryto jakimś białym jak papier materiałem.

Gwizdnąłem. Totalnie pusto.

- Samolot był pełny, kiedy przyleciał?
- Taak. Dwanaście igloo.
- „Igloo” to kontener, zgadza się?

Podszedł do otwartych drzwi ładowni. Deszcz bębnił po aluminiowej skórze samolotu.

– Sam zobacz.

Tuż obok ekipa załadowywała inny odrzutowiec transportowy Argonu. Pracowali w tym niespiesznym, efektywnym tempie zespołu robiącego to już tysięczny raz. Paru facetów spychało ogromny, dwu- lub trzymetrowy kontener w kształcie domu z dziecięcych rysunków z paki ciężarówki na stalową platformę podnośnika. Naliczyłem siedmiu robotników. Dwóch wypychało igloo z ciężarówki, dwóch innych przetaczało kontener do samolotu, jeden obsługiwał podnośnik. Było jeszcze dwóch, których głównym zadaniem wydawało się trzymanie notatników i wykrzykiwanie poleceń. Opodał tankowano następnego odrzutowiec, biały jak te dwa, ale nienależący do Argonu.

– Wyładowanie z tego samolotu dwunastu kontenerów wymagało co najmniej pięcioosobowej ekipy – zauważyłem. – Powiedz mi coś. Ten samolot przyleciał wczoraj, prawda? Dlaczego tak długo zwlekaliście z jego rozładowaniem?

Westchnął z rozgoryczeniem.

– Międzynarodowy ładunek musi zostać skontrolowany przez Urząd Celny, zanim cokolwiek zrobimy. Tak nakazuje prawo.

– To chyba nie trwa więcej niż godzinę lub dwie?

– Tak, normalnie. W weekendy jest niewielu celników. Dlatego sprawdzili tylko załogę, żeby mogła wysiąść i pojechać do domów. Zaplombowali samolot. I zostawili go, żeby czekał, aż będą mieli czas przeprowadzić inspekcję.

– Zatem kiedy samolot tu stał, każdy mógł dostać się do środka. Wygląda na to, że wszystkie te samoloty stoją tu niestrzeżone całą noc. Każdy może wspiąć się do jednego z nich.

– Tak jest na lotniskach na całym świecie, kolego. Jeśli zdołałeś dostać się na lotnisko, zakładają, że możesz tu być. To system bezpieczeństwa oparty na ludzkiej uczciwości.

Zachichotałem.

– A to dobre. Muszę kiedyś to zacytować.

Woody przeszył mnie wzrokiem.

Przeszedłem się po wnętrzu samolotu. W miejscach niepokrytych warstwą izolacji i białej farby znajdowała się zaskakująca ilość rdzy.

– Ile lat ma ten samolot?! – zawołałem.

Mój głos odbił się echem. Wydawało się, że w środku jest jeszcze zimniej niż na zewnątrz. Deszcz hipnotycznie stuknął w kadłub samolotu.

– Co najmniej trzydzieści. Boeingi siedem-dwa przestano produkować w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, ale większość z nich powstała w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. To woły robocze. Jeśli się o nie dba, są wieczne.

– Kupujecie je używane czy nowe?

– Używane. Każdy tak robi. FedEx, DHL, UPS, wszyscy kupujemy używane maszyny. Dużo taniej jest kupić stary samolot pasażerski i przekształcić go w transportowy.

– Ile kosztuje taki jeden?

– Dlaczego pan pyta? Zamierza pan wejść w ten biznes?

– Każdy ma jakieś marzenie.

Popatrzył na mnie. Dopiero po kilku sekundach pojął, że to była sarkastyczna uwaga.

– Może pan kupić jedno z tych maleństw za trzysta tysięcy docłów. Całe setki takich maszyn stoją na cmentarzyskach samolotów na pustyni. Tak jak używane samochody.

Poszedłem na dziób samolotu. Do ramy drzwi była przymocowana tabliczka znamionowa, mały kwadrat z nierdzewnej stali wielkości pudełka papierosów. Każdy samolot ma taką płytę. Jest mocowana przez producentów, jako coś w rodzaju świadectwa urodzenia. Ta płyta informowała: BOEING COMPANY – WYDZIAŁ PRODUKCYJNY RENTON, WASZYNGTON. Poniżej podano rok produkcji (1974) oraz szereg numerów: oznakowanie modelu, numer seryjny i tak dalej.

Wyciągnąłem małą latarkę Maglite, przyjrzałem się dokładniej i zobaczyłem to, co spodziewałem się znaleźć.

Wyszedłem na schodki. Zimny deszcz opryskiwał mi twarz, gdy wyciągnąłem rękę i pomacałem gładko pomalowany kadłub. Przesunąłem dłonią po logo Argon Express i coś wyczułem. Krawędź. Farba wydawała się niezwykle gruba.

Woody obserwował mnie, stojąc w pobliżu. Moje palce odnalazły dolny lewy róg półmetrowej litery A.

- Nie malujecie swojego znaku firmowego? – zapytałem.
- Oczywiście, że malujemy. Co, do diabła...?

Bez trudu oddzieliłem literę od metalu. Pociągnąłem trochę mocniej i całe logo – wydrukowane na winylowej nalepce – zaczęło odchodzić.

- Sprawdź tabliczkę znamionową – rzekłem. – Numer seryjny nie pasuje do oznakowania na ogonie.
- To... to niemożliwe!
- Oni nie ukradli samego ładunku, Woody. Ukradli cały samolot.

2.

Waszyngton

– Chyba widziałam, jak jej powieki się poruszają.

Kobiecy głos, daleki i odbijający się echem, który wpasowywał się w rozgorączkowany zamęt snu.

Wszystko intensywnie pomarańczowe, w kolorze zachodu słońca. Ciche głosy; miarowe wysokie piski.

Jej powieki nie chciały się otworzyć. Miała wrażenie, że ma sklejonę rzęsy.

Z krwawo pomarańczowego nieba pomknęły ku niej gwiazdy. Spadała na łeb na szyję, z nieboskłonu pełnego gwiazd. Oślepiały i zbijały się w białe chmury o dziwnych kształtach, a potem światło stało się ostre i zdecydowanie zbyt jasne, aż poczuła igły bólu przesywające gałki oczne.

Jej rzęsy rozkleiły się i zatrzepotały jak ptasie skrzydła.

Znów to elektroniczne popiskiwanie. Teraz już nieregularne, bezładne, kakofonia dźwięków.

– Sprawdźmy jony wapnia – powiedział męski głos. Pobrząkiwanie czegoś – jakby naczyn? Oddalające się kroki. Znowu ten męski głos.

– Siostró, czy oddech wrócił? Chrapliwy głos innej kobiety.

– Janet, wezwij, proszę, Yurovsky'ego.

– Nie musicie krzyczeć – powiedziała Lauren.

– Wydała jakiś dźwięk. Janet, czy możesz wywołać Yurovsky'ego, ale już?

Lauren ponownie spróbowała coś powiedzieć, ale potem poddała się i pozwoliła, by jej powieki zamknęły się, a rzęsy znów się skleiły. Przeszywający ból zaczął ustępować. Uświadomiła sobie, że czuje inny jego rodzaj, tępy i pulsujący ból potylicy. Pulsował w rytmie uderzeń jej serca, wysyłając fale bólu do niewielkiego miejsca tuż pod jej czołem i nad oczami.

– Pani Heller – rzekł mężczyzna – jeśli mnie pani słyszy, proszę coś powiedzieć, dobrze?

– Czego ty chcesz, przecież krzyczę! – zawołała Lauren.

– Teraz też to zauważyłam – wtrącił jeden z kobiecych głosów. – Jakby próbowała mówić. Nie wiem, co powiedziała.

– Chyba powiedziała „Och”.

– Doktor jest teraz na obchodzie ~ odezwała się jedna z kobiet.

– Mam gdzieś, co on robi – odparła ta mająca chrapliwy głos. – Może pieprzy jakąś pielęgniarkę w magazynie z lekami. Jeśli natchmiast nie wezwiesz go przez pager, ja to zrobię.

Lauren się uśmiechnęła, a przynajmniej tak jej się wydawało.



Poczuła mocne uszczypnięcie w szyję.

– Hej! – zaprotestowała.

Gwałtownie otworzyła powieki. Światło było nieznośnie jasne i rażące, ale wszystko zdawało się zamglone i niewyraźne, jakby zasłonięte białą gazą. Zastanawiała się, czy znowu zasnęła na kilka godzin.

W polu jej widzenia majaczyła jakaś ogromna sylwetka, która podeszła bliżej, a potem się cofnęła.

– Cóż, reaguje na bodźce bólowe – powiedział męski głos.

Taak, ja ci pokażę bodźce bólowe, pomyślała Lauren, ale nie zdołała tego powiedzieć.

Uświadomiła sobie, że w rzeczywistości są to dwie sylwetki. Jednak nie mogła skupić na nich wzroku. Wszystko było dziwnie zamglone, jak za każdym razem, kiedy Lucille Ball pojawiała się na ekranie w tej okropnej filmowej adaptacji *Ciotki Marne*. Lauren grała przemądrzałą Glorię Upson w tym spektaklu wystawianym w liceum w Charlottesville i mnóstwo razy oglądała film z Rosalind Russell, ale nie znosiła tego z Lucy.

– Pani Heller, jestem doktor Yurovsky. Słyszysz mnie pani?

Lauren zastanawiała się, czy odpowiedzieć, ale postanowiła nie zadawać sobie trudu. Zbyt duży wysiłek. Słowa nie wychodziły z jej ust tak, jak by chciała.

– Pani Heller, jeśli mnie pani słyszysz, chciałbym, aby poruszyła pani prawym kciukiem.

Tego zdecydowanie nie miała ochoty robić. Zamrugowała kilkakrotnie i trochę rozjaśniło się jej w oczach.

W końcu zdołała dostrzec mężczyznę o wysokim czole i wydatnym podbródku, wydłużonym jak u Marsjanina. Albo konia. Ten widok powoli wyostrzał się, jakby ktoś przekręcał gałkę. Haczykowaty nos, rzadziejące włosy. Ta twarz pochylała się nad nią. Miała zdecydowanie zatroskaną minę.

Lauren poruszyła prawym kciukiem.

– Pani Heller, czy pani wie, gdzie teraz jest?

Spróbowała przełknąć, ale jej język był jak duża wełniana skarpetka. Zero śliny. Na pewno mam cuchnący oddech, pomyślała.

– Domyślam się, że to szpital.

Jej głos był ochryply.

Spojrzała w górę. Biały podwieszany sufit z plamą rdzy na jednym z paneli, co nie wzbudzało zaufania. Niebieskie zasłony zwisały z szyny w kształcie litery U. Nie leżała w izolatce. Znajdowała się w większej, kilkuosobowej sali – być może na OIOM-ie. Woreczek z jakimś przezroczystym płynem zwiisał z metalowego stojaka, podłączony rurką do jej ręki.

Na wąskim stoliku obok jej łóżka stał ogromny bukiet białych kwiatów w szklanym wazonie z kwiaciarni. Wyciągnęła szyję na tyle, by dostrzec, że to kalie, jej ulubione. Znowu poczuła przeszywający ból. Jęknęła, uśmiechając się.

– Od Rogera?

Długa cisza. Jakieś szepty.

– Od pani szefa.

Leland, pomyślała, uśmiechając się w duchu. To cały on. Zastanawiała się, kto zamówił za niego kwiaty. I skąd wiedział, co się jej przytrafiło. Poprawiła cienki koc.

– Boli mnie głowa – powiedziała.

Wyczuła jakąś nierówność pod kocem, na swoim brzuchu. Wyciągnęła to coś. Dziecięca Beanie Baby: żółta żyrafa w pomarańczowe cętki, o nogach w paskudnym odcieniu kopiącej po oczach zieleni. Zabawka była wystrzępiona i brudna. Łzy stanęły w oczach Lauren.

– Pani syn zostawił ją dziś rano – powiedziała kobieta łagodnym, miłym głosem.

Lauren się obróciła. Pielęgniarka. Dziś rano? – pomyślała. To oznaczało, że już nie jest rano. Była zmieszana; straciła poczucie czasu.

Ukochana Żafa Gabe'a – jako szkrab nie nazywał jej „Żyrafą”, czyli imieniem wydrukowanym na metce. Prawdę mówiąc, Lauren także. Zbyt skomplikowane.

– Gdzie on jest?

– Pani syn ma się dobrze, pani Heller.

– Gdzie on jest?

– Z pewnością w domu, w łóżku. Jest późno.

– Która godzina?

– Druga w nocy.

Próbowała spojrzeć na pielęgniarkę, ale obrót głowy zwiększył ból do niemal nieznośnego poziomu. Jak długo była nieprzytomna? Pamiętała, że kiedy zerknęła na zegarek, zanim wrócili do samochodu,

była dwudziesta druga dwadzieścia osiem. Prawie dziesiąta trzydzieści w nocy w piątek. Zaatakowano ją zaraz potem. Próbowała policzyć. Cztery godziny? Mniej: trzy i pół?

Lauren nabrała tchu.

– Chwileczkę... kiedy był tu Gabe? Powiedziała pani... powiedziała pani, że „dziś rano”... ale która jest godzina...?

– Tak jak mówiłam, jest tuż po drugiej w nocy.

– Sobota?

– Niedziela. A właściwie niedzielny ranek. Albo sobotnia noc, zależnie jak na to patrzeć.

Myśli Lauren jakby grzęzły w mule, ale wiedziała, że pielęgniarka musi się mylić.

– Ma pani na myśli w sobotni ranek.

Pielęgniarka pokręciła głową, po czym spojrzała na lekarza z końską twarzą, który powiedział:

– Była pani nieprzytomna przez ponad dwadzieścia cztery godziny. Może dłużej. Pomogłoby nam, gdybyśmy wiedzieli choć w przybliżeniu, o której godzinie nastąpił atak.

– Dwadzieścia cztery... godziny? Gdzie... gdzie jest Roger?

– Wygląda na to, że otrzymała pani paskudny cios w tył głowy – ciągnął doktor. – Z naszych obserwacji wynika, że nie doznała pani żadnych obrażeń poza małym spiralnym złamaniem podstawy czaszki. Tomografia komputerowa nie wykazuje żadnych krwiaków ani zakrzepów krwi. Miała pani nadzwyczajne szczęście.

To chyba zależy od tego, co kto uważa za szczęście, pomyślała. Przypomniała sobie przerażoną twarz Rogera. Ręce chwytające ją od tyłu. Jego krzyk: „Dlaczego jej?!”.

– Czy z Rogerem wszystko w porządku?

Cisza.

– Gdzie jest Roger?

Brak odpowiedzi.

– Gdzie on jest? Czy z Rogerem wszystko dobrze, czy nie?

– Dwóch policjantów przyszło, aby z panią porozmawiać – powiedział lekarz. – Jednak nie musi pani z nikim rozmawiać, dopóki nie będzie się pani czuła na siłach.

– Policja? – Łzy stanęły jej w oczach. – Och, dobry Boże, co mu się stało?

Długa cisza.

– O Boże, nie – rzekła Lauren. – Proszę mi powiedzieć, że wszystko z nim dobrze.

– Przykro mi, pani Heller – odezwał się lekarz.

– Co takiego? Proszę, Boże, niech mi pan powie, że on żyje!

– Chciałbym, pani Heller. Jednak nie wiemy, gdzie jest pani mąż.

3.

Los Angeles

Woody Sawyer pobiegł za mną, stukając butami o stalowe schody.

– Co pan mówi?! – wrzasnął, przekrzykując hałas podnośnika i ryk silnika startującego w pobliżu odrzutowca. – To nie jest nasz samolot?

Nie odpowiedziałem mu. Byłem zbyt zajęty rozglądaniem się. Mniej więcej minutę później znalazłem to, czego szukałem.

To był ten samolot, który tankowano wcześniej. Biały boeing 727 zaparkowany po drugiej stronie odrzutowca Argonu, który właśnie załadowywano. Wyglądał identycznie jak dwa odrzutowce Argonu – mogłyby być trojczkami – tyle że na kadłubie miał napis VALU CHARTERS.

– Zjrzyjmy do środka – powiedziałem.

– To nie nasz samolot!

– Czy możesz kazać paru swoim ludziom, żeby przytoczyli tutaj schody?

– Oszalał pan? To nie nasz samolot!

– Czy widziałeś tu wcześniej jakiś odrzutowiec Valu Charters?

– A skąd mam wiedzieć, do cholery? Te małe firmy pojawiają się i znikają, dzierżawią miejsca od innych przedsiębiorstw...

– Nie widziałem żadnego Valu Charters wymienionego w rejestrze lotniskowym, a ty?

Woody wzruszył ramionami.

– Przyjrzyjmy się temu – rzekłem.

– Proszę posłuchać, mogę mieć poważne kłopoty, jeśli wtargnę na pokład cudzego samolotu. To nielegalne, człowieku.

– Nie przejmuj się tym – powiedziałem. – Wezmę winę na siebie.

Wahał się przez długą chwilę, znów wzruszył ramionami i podszedł do ekipy ładunkowej. Wrócił po paru minutach, przytaczając schody do samolotu Valu Charters. Z wyraźną niechęcią wspiał się do drzwi kabiny pilota.

Tak jak podejrzewałem, pod emblematem Valu Charters – który również z łatwością dał się odkleić – znajdowało się pomarańczowe logo Argon Express Cargo. Namalowane. Resztki jednorazowej taśmy klejącej przywarły niczym stare konfetti do framugi luku bagażowego.

Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyłem, że ładownia jest zapełniona długimi rzędami kontenerów. Każdy z nich miał naklejone na bokach inne oznakowanie z samoprzylepnych liter i losowo wybranych numerów, przypominających powycinane z gazety fragmenty w liście z żądaniem okupu.

– Czy te numery pasują do tych z wykazu? – zapytałem.

Wiedziałem, że pasują.

Zapadła długa cisza.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu Woody. – Jak oni podmienili samoloty?

– To było łatwe – odparłem. – O wiele łatwiejsze od wyładowywania ładunku i wywożenia go z lotniska, a ponadto wystarczyło do tego tylko dwóch facetów: pilot i drugi pilot.

– Nie nadażam.

– Czy nie powiedziałaś przed chwilą, że takiego starego grata można tanio kupić? Wystarczyło pomalować go na biało i przylecieć tu w środku nocy, zaraz po zamknięciu wieży kontrolnej. Zaparkowali go w pobliżu i przykleili kilka winylowych kalkomanii. Prawdopodobnie we dwóch zrobili to w dziesięć minut i nikt ich nie widział, ponieważ wszyscy poszli do domów. A nawet gdyby ktoś ich zauważył, to przecież byli na lotnisku, więc mogli tutaj być. Prawdopodobnie nikt nie zwróciłby na nich uwagi. System bezpieczeństwa

oparty na ludzkiej uczciwości, prawda?

– Mój Boże. Jezu. To jest... genialne.

– Cóż, prawie. Założę się, że zanim przylecieli tu poprzedniej nocy, faceci tankujący samoloty też poszli do domu.

– I co z tego?

– To, że właśnie dlatego ten samolot nadal tu jest. Nie mogli nim odlecieć, nie napełniając zbiornika. Niedawno skończyli to robić. Domyślam się, że czekają z odlotem, aż wszyscy pójdą do domów.

– Tylko... kto to mógł zrobić?

– Naprawdę nie obchodzi mnie kto. Nie zatrudniono mnie po to, żebym to ustalił.

– Jednak... ktokolwiek to zrobił... musi być gdzieś w pobliżu.

– Niewątpliwie.

– Proszę zrozumieć, panie... czy mogę mówić ci Nick?

– Pewnie.

– Nick, obaj chcemy tego samego. Zgadzą się co do tego.

– W porządku.

– W zasadzie gramy w tej samej drużynie.

– Racja.

– Widzisz, naprawdę nie uważam, że Traverse Development musi się dowiedzieć o tych drobnych szczegółach, rozumiesz mnie? Po prostu im powiedz, że znaleźliśmy zaginiony ładunek. Albo że ty go znalazłeś, mnie to nic nie obchodzi. Nie ma szkody, nie ma zamieszania. Jakaś pomyłka na lotnisku. Zdarza się od czasu do czasu. Poczują ogromną ulgę i nie będą zadawali wielu pytań.

– Mnie to pasuje.

– Wspaniale. Dzięki.

– Jednak czy mógłbyś najpierw otworzyć ten pojemnik?

Podszedłem do jednego z dużych kontenerów. Większość tych igloo była wypełniona setkami paczek dla wielu różnych klientów, ale list przewozowy na tym kontenerze wskazywał, że nadano go w Bahrajnie. Cała jego zawartość była zaadresowana do oddziału

Traverse Development w Darlington, w Wirginii. Przez pleksiglasowe okienko zobaczyłem ciasno poupychane rzędy kartonowych pudeł, wszystkie o takich samych rozmiarach i kształcie, z wydrukowanym na nich emblematem Traverse Development.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić – rzekł Woody.
- Masz klucze, Woody.
- Urząd Celny jeszcze tego nie sprawdził. Mogę wpaść w głębokie bagno.
- Możesz wpaść w jeszcze głębsze, jeśli tego nie zrobisz.
- Czy to ma być groźba?
- Zasadniczo tak – powiedziałem. – Widzisz, wciąż wracam myślami do kwestii miejsca parkingowego.
- Miejsca parkingowego? Co z nim?
- No cóż, ilekroć jeden z waszych samolotów ląduje i parkuje przez noc lub dłużej, jego załoga musi zanotować numer miejsca, na którym został zaparkowany. To standardowa procedura, prawda?

Wzruszył ramionami.

- O co ci chodzi?
- Wasz odrzutowiec Argonu przyleciał z Brukseli wczoraj i zaparkował na miejscu trzydziestym szóstym, prawda? Taka informacja znajduje się w waszych komputerach. Potem nasi źli faceci zrobili tę fajną podmiankę z kalkomaniami, tak by wyglądało na to, że wasz samolot trafił na niewłaściwe miejsce. Numer trzydzieści cztery, prawda? Jedyne problem w tym, że ktoś już wprowadził numer trzydzieści sześć do komputera, kilka minut po tym, jak samolot wylądował. A to nie tak łatwo zmienić. I może być problemem, kiedy gość z Urzędu Celnego przyjdzie na kontrolę i zapyta: „Ha, jak to możliwe, że ten samolot w jakiś magiczny sposób przemieścił się w nocy?”. Tak więc ktoś wpisał nowe miejsce, numer trzydzieści cztery, na tablicy w waszym biurze. To byłeś... ty, Woody.

Woody zaczął prychać z oburzenia.

- Nie masz pojęcia o tym, jak tutaj pracujemy.
- Postukałem w pleksiglasowe okienko kontenera.

– Może więc to otworzysz, a potem porozmawiamy. Naprawdę jestem ciekawy, co takiego zawiera ten kontener, że ty i twoi dwaj pracownicy zaryzykowaliście długi pobyt w więzieniu. To musi być coś, co rzeczywiście jest tego warte.

Gapił się na mnie przez kilka sekund, a potem stęknął:

– Daj spokój, człowieku. Jeśli to otworzę, mogę mieć kłopoty.

– Trochę za późno na skruchę – zauważyłem.

– Nie mogę tego otworzyć – jęknął, niemal błagalnie. – Naprawdę nie mogę.

– Dobrze – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Może więc masz książkę telefoniczną, którą mógłbym najpierw pożyczyć? Widzisz, chcę zadzwonić do kilku z tych cmentarzy samolotów. Nie ma ich wiele, wszystkiego sześć lub siedem w Kalifornii, Arizonie i Nevadzie? Przeczytam im seryjne numery tego starego grata i dowiem się, kto go sprzedał. Oraz komu. Och, tak, zapewne to jakaś fikcyjna firma, ale łatwo będzie ją wytropić.

– Myślałem, że nie obchodzi cię, kto to zrobił – rzekł Woody.

Jego ziemista twarz mocno poczerwieniała.

– Widzisz, to jest mój problem. Taka wada charakteru. Jak już się czegoś uczepię, nie popuszczę. Fiksacja obsesyjno-kompulsywna.

Odchrząknął.

– Daj spokój, człowieku.

Postukałem w okno z pleksiglasu.

– Otwórzmy pokrywę, żebyśmy mógł rzucić okiem, a potem będziesz mógł wrócić do rozwiązywania sudoku.

Próbowałem zajrzeć przez okno, ale pleksiglas był porysowany i zmętniały, tak że zdołałem zobaczyć tylko pudła. Odwróciłem się, posłałem Woody'emu uśmiech i zdałem sobie sprawę, że patrzę w lufę SIG-Sauera P229, dziewięciomilimetrowego pistoletu półautomatycznego.

– Woody – powiedziałem z rozczarowaniem. – Myślałem, że gramy w tej samej drużynie.

4.

– Ręce do góry, Heller – powiedział Woody. – I odwróć się.

Nie podniosłem rąk. Ani się nie odwróciłem. Czekałem.

– Dalej – rzekł. – Rusz się.

Nerwowo mrugał prawym okiem.

– Woody, tylko pogarszasz sprawę.

– Przebywasz na prywatnym terenie i grzecznie cię prosiłem, żebyś wyszedł, no nie? Zatem rusz się. Ręce do góry.

Zacząłem powoli podnosić ręce, a potem błyskawicznie wyciągnąłem lewą rękę, złapałem lufę SIG-a i skierowałem ją w dół, jednocześnie uderzając Woody'ego prawą pięścią w usta. Zaskowyczał. Jak większość facetów wymachujących bronią, nie potrafił bronić się bez niej. Próbował wyrwać mi pistolet z dłoni i robiąc to, odwrócił głowę, tym samym pokazując mi swoje ucho. Moja prawa pięść natychmiast w nie trafiła i znów zaskomlał. Wtedy przekręciłem lufę pistoletu w górę, aż uwięziony w osłonie spustu palec wskazujący Woody'ego trzasnął jak sucha gałązka.

Woody wrzasnął i osunął się na kolana. Wycelowałem w niego SIG-Sauera.

– Czy teraz mógłbyś otworzyć kontener, proszę? – spytałem.

Podniósł się z trudem, a ja nie pomagałem mu wstać.

– Jest na nim plomba – rzekł. – Dowiedzą się, że go otworzyłem.

– Zajmę się Urzędem Celnym.

– Nie mówię o Urzędzie Celnym.

– A kogo się obawiasz?

Pokręcił głową, a potem potrząsnął prawą ręką i jęknął.

– Złamałeś mi palec.

– Strasznie przepraszam – powiedziałem niezbyt przepraszającym tonem.

Jęcząc przez cały czas, przeszedł za igloo i włożył jeden ze swoich kluczy do kłódki, a potem podniósł żaluzjowe drzwi.

– Masz scyzoryk? – zapytałem.

Wyciągnął go z kabury przy pasku i podał mi. Wsunąłem jego broń za pasek swoich spodni, przeciąłem taśmę klejącą na jednym z kartonowych pudeł i otworzyłem je.

Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co jest w środku, uśmiechnąłem się.

– Nic dziwnego, że mój klient trochę się denerwował.

– Dobry Boże Wszechmogący – rzekł Woody.

Pudło było wypchane owiniętymi w termokurczliwą folię paczkami nowiutkich banknotów Stanów Zjednoczonych.

Banknoty studolarowe: oczywiście te nowe, z ekscentrycznie umieszczoną podobizną Bena Franklina, wyglądającego, jakby miał zatwardzenie. Każda prostokątna paczka – oficjalnie nazywana „ceglą” – nosiła czarny nadruk ZGŁOŚ WSZELKIE ROZBIEŻNOŚCI W LOKALNYM FEDERALNYM BIURZE REZERW, a na jednym boku kod kreskowy.

Były to nowe, nieotwierane paczki z pieniędzmi z mennicy państwowej Stanów Zjednoczonych, które w jakiś sposób trafiły do Bahrajnu, a następnie wpadły w ręce pewnej znajdującej się w Arlington w Wirginii firmy, o której nigdy nie słyszałem aż do dzisiejszego ranka.

– Nic o tym nie wiedziałem – rzekł Woody. – Przysięgam.

– Jaka jest objętość tego? – Walnąłem w bok pudła.

– Nie wiem, jakieś sto pięćdziesiąt metrów sześciennych? Coś koło tego.

Zastanawiałem się przez chwilę. Jestem bardzo dobry z matmy. To jedna z niewielu cech, jakie odziedziczyłem po ojcu, który był nie

tylko genialnym matematykiem, ale również niezmiernie bogatym człowiekiem – zanim trafił do więzienia.

Rozpakowałem jedną cegłę i naliczyłem czterdzieści paczek banknotów. Każda paczka zawierała sto banknotów, zawsze tak było. Co oznaczało, że każda cegła miała wartość czterystu tysięcy dolarów. Obliczyłem, że jeden metr sześcienny zawiera prawie dziewięć milionów dolarów.

Zakładając, że każde pudło było wypchane cegłami ze studolarowymi banknotami, kontener zawierał około miliarda dolarów. Może więcej.

Miliard dolarów.

Nigdy nie widziałem z tak bliska ani osobiście miliarda dolarów. Byłem pod wrażeniem ilości miejsca, jakie zajmowała ta suma, nawet w studolarowych banknotach.

– Pieniążki na drobne wydatki, Woody?

Przestał masować swój złamany palec. Wytrzeszczał oczy.

– O... Boże... mój Boże... nie miałem pojęcia.

– Myślałeś, że co jest w środku?

– Nie... nie miałem pojęcia. Naprawdę, nie miałem! Mówię ci, nie miałem pojęcia... oni nie...

– O czym nie miałeś pojęcia, Woody?

Nie podnosił oczu.

– Oni nie podawali mi żadnych szczegółów.

– Ktoś jednak wiedział. To wymagało wiele czasu, pieniędzy i planowania. Oraz ryzyka, jakim było zatrudnienie ciebie i dwóch innych gości z twojej firmy.

– Ja tylko wykonałem swoją część roboty.

– Miałeś dopilnować, żeby zamiana przebiegła bez problemów.

Skinął głową.

– Założę się, że dali ci jakiś awaryjny numer telefonu. W razie gdyby coś się popieprzyło.

Przytaknął.

– Chcę poznać ten numer, Woody.

Zerknął na mnie, a potem spuścił oczy.

– Widzisz, Woody – rzekłem. – Znalazłeś się na rozdrożu.

Możesz albo współpracować i poprawić sytuację, albo nie zrobić tego i pogorszyć sprawę. Mocno pogorszyć.

Nic nie powiedział.

Mój telefon komórkowy zaczął dzwonić. Nie było nikogo, z kim musiałbym porozmawiać. Pozwoliłem, by włączyła się poczta głosowa.

– Woody, jestem pewny jak diabli, że nie zrobiłeś tego sam. Bez obrazy. Może więc dasz mi ten numer telefonu?

– Sądziłem, że nie obchodzi cię, kto to zrobił – powtórzył Woody.

– Teraz już mnie obchodzi – powiedziałem.



Każdy, kto służył w Iraku podczas wojny w Zatoce, znał historie o zaginionych amerykańskich pieniądzach. Niedługo po tym, jak Stany Zjednoczone zaatakowały Irak, rząd amerykański potajemnie przysłał do Bagdadu dwanaście miliardów dolarów. Wiem, że trudno w to uwierzyć i że brzmi to jak brednia żywcem wzięta z blogu jakiegoś stukniętego lewaka z obsesją na punkcie teorii spiskowych. Jednak to udokumentowany fakt. Dwanaście miliardów dolarów w amerykańskich banknotach zostało przysłanych z Federalnego Banku Rezerw we wschodnim Rutherford w New Jersey do bazy sił powietrznych Andrews pod Waszyngtonem, gdzie zostały zapakowane na palety, załadowane do wojskowych samolotów transportowych C-130 i poleciały do Bagdadu.

Domyślam się, że był to jedyny sposób, aby zapłacić naszym kontrahentom pracującym w Iraku i stworzyć rząd marionetkowy: za pomocą stosów Benjaminów. Bagdad był zasypany nowiutkimi amerykańskimi banknotami. Konopne worki pełne forsy leżały niepilnowane w biurach irackich ministerstw. Biurokraci i żołnierze grali w piłkę nożną ceglami studolarowych banknotów.

A teraz najlepsza część: w jakiś sposób dziewięć miliardów dolarów po prostu zaginęło. Zniknęło. Bez śladu.

Domyślałem się, dokąd mogła powędrować część z nich.

Mój telefon komórkowy znów zaczął dzwonić. Zirytowany wyłowilem go z kieszeni i spojrzałem na wyświetlacz. Dzwoniła Lauren

Heller – żona mojego brata. W Waszyngtonie była teraz mniej więcej pierwsza w nocy. Raczej więc nie dzwoniła, żeby sobie pogawędzić. Odebrałem.

– Lauren, co się dzieje?

– To ja.

Nie Lauren. Głos nastoletniego chłopca. Czternastoletniego syna Lauren, Gabe'a.

Nie kontaktowałem się z moim nieznośnym bratem od kilku miesięcy, ale bardzo lubiłem jego żonę, a jej syn – pasierb Rogera – był wspaniałym dzieciakiem. Gabe i ja rozmawialiśmy przez telefon przynajmniej raz w tygodniu i spędzałem z nim każdą wolną chwilę. Był dla mnie jak syn, którego nie miałem i może nigdy nie będę miał, a ja zapewne byłem dla niego jak ojciec, którego mu brakowało. Zamiast niego miał za ojczyzna Rogera.

– Hej, kolego, przepraszam. Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem z klientem. – Zerknąłem na Woody'ego, wyciągnąłem zza paska SIG-Sauera i skinąłem pistoletem na gościa. – Zaraz się panem zajmę – powiedziałem przeproszająco, jak jakiś zaharowany pracownik działu obsługi klienta.

– Wujku Nicku – rzekł Gabe. – Musisz tu przyjechać.

– Nie jestem w Waszyngtonie, Gabe. Co się stało?

– Chodzi o mamę. Jest w szpitalu.

– Co się stało? Czy wszystko z nią w porządku?

– Myślę, że jest w śpiączce.

– W śpiączce? Jak...?

– Nikt mi nic nie mówi. Została napadnięta czy coś takiego, ale...

– Gdzie jest twój tata? Wyjechał w interesach?

– Nie wiem, gdzie jest. Nikt nie wie. Proszę, wujku Nicku. Czy możesz tu zaraz przyjechać?

– Gabe – powiedziałem. – Pracuję nad czymś, ale jak tylko będę mógł...

– Wujku Nicku – przerwał mi. – Potrzebuję cię.

5.

Waszyngton

Widocznie znowu zasnęła – niespokojnym, męczącym snem, zakłóconym koszmarami, które były zbyt rzeczywiste. Gabe odwiedzający ją w szpitalu, z kręconymi włosami w nieładzie, płaczący, kiedy ją zobaczył. Lekarz o końskiej twarzy i wysokim czole, który zaglądał jej w oczy, świecąc w nie oftalmoskopem. Obudziła się, tym razem powoli, nie wiedząc, czy cokolwiek z tego zdarzyło się naprawdę.

Gdy ponownie otworzyła oczy, natychmiast stwierdziła, że ją przeniesiono. Nie było już tej gorączkowej kakofonii oddziału intensywnej opieki, niewyraźnych głosów, szybkich kroków czy nieskładnej symfonii elektronicznych pisków. Jedna maszyna cicho popiskiwała, ale to wszystko. Ciche szepty.

Światło też było jakieś inne. Może dzienne. Zapewne gdzieś w pobliżu znajdowało się okno. Przespała całą noc. Kolejną noc, jak się nad tym zastanowić.

Dwóch mężczyzn w marynarkach i krawatach stało w nogach jej łóżka. Jeden znacznie starszy od drugiego. Gliniarze, pomyślała.

Przez moment sądziła, że może nadal śni. Zamknęła oczy i odpłynęła na chwilę, ale kiedy znów je otworzyła, oni wciąż tam byli, cicho rozmawiając. Jeden z nich zerknął na nią i podszedł.

Miał około sześćdziesiątki, rzadziejące białe włosy i zmierzwioną białą brodę, którą prawdopodobnie zapuścił, żeby ukryć słaby podbródek.

– Pani Heller, jestem detektyw Garvin z waszyngtońskiego wydziału policji. – W rękę trzymał duży pojemnik Dunkin' Donuts. – A to jest detektyw Scarpino.

Facet stojący za nim – urodziwy, ciemnowłosy, o twarzy niewinnego chłopca i budowie zawodnika rugby – wyglądał na trzydziestolatka.

– Jak leci? – zapytał, uśmiechając się, a ona mimo woli odpowiedziała uśmiechem.

Obaj wyjęli skórzane etui i otworzyli je. Zobaczyła tylko błyski złotej i srebrnej odznaki.

Starszy z nich usiadł powoli i ostrożnie na jedynym krześle, jakby miał chore plecy.

– Jak się pani czuje, pani Heller?

Jego partner poszedł poszukać innego krzesła gdzieś za niebieską zasłoną, granicą świata Lauren.

– Gdzie jest mój mąż? – zapytała.

– Jedna z pielęgniarek zawiadomiła nas, że można z panią rozmawiać, ale jeśli nie czuje się pani na siłach, możemy wrócić później – ciągnął Garvin, jakby nie usłyszał jej pytania.

– Która jest godzina?

– Dochodzi dziewiąta. Rano.

– Przyszliście tu z powodu mojego męża?

Garvin nosił lotnicze okulary w stalowych oprawkach z grubymi szklami, które groteskowo powiększały jego zamglone wodniste oczy. Szare? Niebieskie? Trudno powiedzieć.

– Pani Heller, chcemy zadać pani kilka pytań o to, co się stało.

Pulsujący ból pod czaszką gwałtownie powrócił.

– Czy jesteście... detektywami z wydziału zabójstw? – zapytała zdławionym głosem.

Pokręcił głową, obdarzył Lauren skąpym uśmiechem.

– Jesteśmy z wydziału do spraw brutalnych przestępstw.

Te słowa spowodowały, że zrobiło jej się niedobrze.

– Detektywie, gdzie jest mój mąż? – zapytała z mocno bijącym sercem. – Znaleźliście go czy nie?

– Nie, proszę pani. Ani śladu.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „ani śladu”?

– Dzwoniliśmy do każdego szpitala w mieście i okolicach. Do biur koronerów, a nawet do więzienia.

– Więzienia?

– Nie chcemy niczego pominąć. Informacja została puszczona do WALES, waszyngtońskiej sieci organów ścigania.

– I?

– Nic, proszę pani. Przykro mi. W tym momencie traktujemy tę sprawę jako zaginięcie.

– Skąd wiecie, że on nie jest ranny? Albo gorzej?

– Nasza ekipa śledcza na miejscu przestępstwa nie znalazła żadnych łusek, plam krwi ani niczego, co wskazywałoby na uszkodzenie ciała.

– Zaginięcie...?

Zawahał się.

– Właściwie podejrzone zaginięcie.

Scarpino wrócił z plastikowym krzesłem i postawił je za swoim partnerem.

– Czemu „podejrzone”?

– Ze względu na podejrzenie przestępstwa.

– Przecież właśnie pan powiedział, że niczego nie znaleźliście.

– Chodzi o to, co się stało z panią.

– Skąd wiecie, że to nie był zwykły napad albo coś takiego?

– Ponieważ została pani zidentyfikowana dzięki zawartości swojej torebki. Ktoś zobaczył panią leżącą na ulicy i zadzwonił pod dziewięćset jedenaście, a ponieważ nadal miała pani portfel, wiedzieliśmy, kim pani jest i do kogo zadzwonić.

Jego spojrzenie było przenikliwe, okropnie irytujące.

– A więc?

– To dowodzi, że prawdopodobnie nie napadnięto pani w celach rabunkowych, prawda? Może więc opowie nam pani o tym zdarzeniu wszystko, co pani pamięta.

Powiedziała im wszystko, co mogła. Garvin zadawał pytania. Scarpino, najwyraźniej jeden z tych małomównych typów, nie odzywał się, tylko robił notatki.

- Napastnik... był tylko jeden? – zapytał Garvin.
 - O ile mi wiadomo. Chcę powiedzieć, że jakiś facet chwycił mnie od tyłu i zapewne uderzył mnie czymś w głowę, chociaż tego już nie pamiętam. I... tak, sądzę że przystawił mi broń do głowy.
 - Gdzie?
 - Dokładnie tutaj. – Wskazała swoją skroń.
 - Przed czy po tym, jak została pani uderzona w głowę?
 - Przed.
 - Skąd ma pani pewność, że to była broń?
 - Ja... nie wiem, to było twarde i okrągłe i przypominało metal... Chcę powiedzieć, że to mogło być cokolwiek, ale...
 - Jednak nie widziała pani tego przedmiotu.
 - Nie, ale... właściwie myśląc o tym teraz, pamiętam, że słyszałam szcęk. Jakby odbezpieczanego rewolweru.
 - Zna pani ten dźwięk?
 - Mój tata trzymał rewolwer w domu. Nie sądzę, aby kiedykolwiek z niego wystrzelił, ale pokazał mnie i mojej siostrze, jak go używać.
 - Czy napastnik próbował panią rozebrać?
 - Nie. Jednak może przstraszyło go przybycie Rogera.
 - Cofnijmy się trochę w czasie. Pani i pani mąż poszliście na kolację tylko we dwoje, zgadza się?
 - Tak.
 - Z jakiejś specjalnej okazji?
- To był nasz randkowy wieczór, chciała powiedzieć, ale zamiast tego odparła:
- Po prostu na kolację.
 - Czyj to był pomysł?
 - A co to za różnica?
 - Próbujemy tylko stworzyć ogólny obraz sytuacji.
 - Rogera.
 - Często wychodziliście na kolacje tylko we dwoje?
 - Nie dość często. Kiedyś wychodziliśmy co tydzień, ale ostatnio tak jakoś... Cóż, chyba nie robiliśmy tego od kilku miesięcy.

- Czy pani mąż miał jakichś wrogów, o których pani wie?
- Wrogów? On jest biznesmenem.
- Pani Heller, czy pani i pani mąż jesteście bogaci?

Lauren się zawahała. Co za pytanie. Nie wiedziała, jak na nie odpowiedzieć. Bogaci w porównaniu z kim? Z detektywem policyjnym? Ona zarabiała całkiem nieźle, ale nadal była to tylko pensja sekretarki. Roger zarabiał dużo więcej niż ona, jako starszy wiceprezes, lecz jego dochody zamykały się w sześciocyfrowej kwocie. Nie ponadmilionowej, jaką otrzymywali przedstawiciele kierownictwa korporacji. Mieszkali w ładnym domu w Chevy Chase. W porównaniu z tym malutkim dwupoziomowym domkiem, w którym ona i Maura dorastały w Charlottesville, to był pałac.

Z drugiej strony, porównując to do pieniędzy, jakie kiedyś posiadała rodzina Rogera, byli biedakami.

– Jesteśmy dobrze sytuowani – powiedziała w końcu. Zawahała się. – Rodzina mojego męża była kiedyś bardzo bogata, ale już nie jest.

- Och? – Garvin zamrugał.
- Może pan słyszał o ojcu Rogera, Victorze Hellerze.

Cisza.

– Jasne. – Skrył się za maską obojętności. Często spotykała się z taką reakcją. Victor Heller był znany, ale nie była to dobra sława. – Myśli pani, że ktoś mógł przypuszczać, iż rodzina nadal ma pieniądze?

– Skąd mam wiedzieć? Poza tym jeśli ktoś myślał, że Roger jest bogaty, to czy nie zażądano by za niego okupu? Czy nie porwaliby mnie zamiast niego? Albo mojego syna?

– Badamy tylko każdą możliwość, to wszystko. Czy zauważyła pani jakąś zmianę w zachowaniu męża w ostatnim czasie? Czy zaczął inaczej się do pani odnosić?

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, do czego pan zmierza.
- Pani pozwoli, że o coś zapytam, i proszę mnie źle nie zrozumieć: pani i pani mąż... jak się między wami układało?
- Co ma znaczyć to pytanie?

- Czy były jakieś rozmowy o rozwodzie? Czy myśli pani, że on może mieć romans?
- Pan naprawdę chwyta się brzytwy, detektywie.
- Wcale nie. To standardowe postępowanie, chcemy poruszyć niebo i ziemię.
- Nasz związek był... dobry.
- Nie wspaniały? Tylko dobry?
- Mieliśmy swoje wzloty i upadki, jak każda para małżeńska. Jednak nie, nie zdradzał mnie. I nigdy nie rozmawialiśmy o rozwodzie.
- Czy kiedykolwiek pani groził, pani Heller?
- Och, to śmieszne.
- Proszę zrozumieć, pani Heller, wszyscy chcemy dowiedzieć się, co się z nim stało, ale nie możemy tego zrobić bez pani pomocy. Naprawdę nie możemy. Wiem, że to dla pani strasznie stresujące i bardzo bolesne, ale czas naprawdę odgrywa tu decydującą rolę. Im szybciej zaczniemy, tym większe prawdopodobieństwo, że rozwiążemy tę sprawę.
- Czy jest też możliwe, że mój mąż został zaatakowany i błąka się po okolicy, mając amnezję albo coś takiego? A może ciężko ranny. Albo... albo gorzej. Podczas gdy wy dwaj siedzicie tutaj, wymyślając najróżniejsze zwariowane scenariusze. Snujecie domysły, to wszystko. Zgadujecie.
- Tak, cóż, nasza praca to w znacznym stopniu snucie domysłów. Jestem w tym naprawdę dobry. I owszem, może chwyta się brzytwy. Jednak to wszystko, co mamy w tym momencie, pani Heller. Wiemy tylko, że jest pani ofiarą pozornie przypadkowego napadu w tej części miasta, gdzie nie zdarza się to często. Nie została pani obrabowana i najwyraźniej nie próbowano pani zgwałcić. Nie mamy powodu sądzić, że pani mąż został zabity. Zniknął i nie wiemy nic więcej. Bez dowodów, bez motywu do niczego nie dojdziemy, rozumie pani?
- Nie brzmi to zbyt optymistycznie.

– Nie chcę dawać pani złudnej nadziei, to wszystko.

Ktoś odchrząknął i wszyscy się odwrócili.

W progu stał Gabe. Jego ciemne kędziory były rozczochrane i popielane. Spoglądał na Lauren z głęboką troską w błyszczących brązowych oczach. Czarne dżinsy i czarna bluza z kapturem z dziwną komiksową postacią z przodu: Invader Zim, przypomniała sobie. Syn wyglądał na jeszcze chudszy niż zwykle.

– Gabe! – zawołała.

– Przepraszam, panowie oficerowie – rzekł stanowczo. – Moja matka musi odpocząć. Muszą panowie teraz wyjść.

Młodszy gliniarz uśmiechał się szeroko, dopóki nie zauważył nieustępliwego spojrzenia patrzącego wilkiem Gabe'a, a wtedy obaj detektywi zaczęli się zbierać do wyjścia.

6.

- Hej – powiedziała ochryple, kiedy gliniarze wyszli.
- Hej.

Zobaczyła łzy w jego oczach. Przez ostatni rok jej słodki chłopiec stał się nieprzystępnym i często opryskliwym nastolatkiem. Jednak czasem na moment pojawiał się uwielbiający ją syn, którym kiedyś był i – na co miała nadzieję – znów będzie. Miłość do niego rosła w jej piersi, niemal namacalna, rozpychająca żebra i obojczyki.

- Dzięki.
- Mówiłem poważnie. Nie powinno ich tu być.

Zauważyła ciemne kręgi pod jego oczami. Pojawiały się, kiedy był chory, przemęczony albo po prostu zaniepokojony. Co zdarzało się często. Na jego policzkach było więcej niż kilka pryszczki, których nie miał przed dwoma miesiącami.

W prawej ręce ścisnął kurczowo sfatygowany szkolny zeszyt, kolonotatnik z emblematem St Gregory's na okładce. Zeszyt nie miał jednak nic wspólnego ze szkołą. Nie wolno jej było do niego zaglądać, przez co jeszcze bardziej ją to kusilo, ale nigdy tego nie zrobiła. Wiedziała tylko, że zawiera jakiś tasiemcowy komiks, nad którym Gabe pracował od roku lub dłużej. Raz rzuciła nań okiem, zanim wyrwał jej notatnik, i była zdumiona jakością rysunków.

- Dzięki za pożyczenie mi Żafy – powiedziała.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Odwzajemnił jej uścisk. To był teraz największy przejaw uczuć, jaki jej okazywał. Nienawidził być całowany lub przytulany, miał zwyczaj wzbraniać się przed jej

pieszczotami, jakby miała jakąś zakaźną chorobę.

- Masz mocno podwyższone ciśnienie – rzekł.
- Dlaczego tak twierdzisz?
- Ta maszyna wciąż piszczy.
- Tak ma być. Nie przejmuj się tym. Czuję się dobrze.
- Nie wyglądasz dobrze.
- Wyglądam gorzej, niż się czuję.
- Mnóstwo kwiatów – zauważył Gabe.
- Od Lee.

Miała na myśli Lelanda Gifforda, dyrektora naczelnego i syna twórcy Gifford Industries. Oczywiście znalazł kogoś, kto ją zastąpi, zapewne Noreen, która pracowała w tym samym kierowniczym biurze co Lauren, ale na stanowisku niższym niż posiadane umiejętności. Była sekretarką dyrektora do spraw finansów i pragnęła zająć miejsce Lauren, jednak kompletnie się do tego nie nadawała: niezbyt błyskotliwa, gubiąca się w szczegółach, nawet w połowie nie tak kompetentna, za jaką się uważała. Teraz Lauren miała inne zmartwienie. Leland kierował korporacją wartą miliardy dolarów, ale nie miał pojęcia, jak wysłać e-mail.

– Ktoś musiał mu powiedzieć, co się stało – dodała, na pół do siebie.

Gabe wzruszył ramionami.

- Wysłałem mu e-mail z twojego domowego komputera.
- Wysłałeś mu e-mail?
- Co, nie mogę wysłać listu do twojego szefa?
- Nie, to... jestem pod wrażeniem, to wszystko. Dziękuję ci. –

Pogmerała przy przyciskach regulacji łóżka i podniosła wezglowie tak, że wreszcie przyjęła pozycję siedzącą. – Muszę się stąd wypisać. Muszę tam wrócić – mamrotała, głównie do siebie.

– Mamo, masz poważny wstrząs mózgu i dopiero odzyskałaś przytomność, którą straciłaś na dwadzieścia cztery godziny. Leland Gifford poradzi sobie przez jakiś czas bez ciebie. – I nagle dorzucił: – W porządku, mamo. Gdzie on jest?

– Kto?

– Wiesz, kogo mam na myśli. Gdzie jest tata?

Wahała się kilka sekund, usiłując zebrać myśli. Jej mózg nie działał na pełnych obrotach. Zamrugła, bo to milczenie trwało trochę za długo. Co oni mu powiedzieli? Starła się nigdy go nie okłamywać. Nawet gdyby chciała, był na to zbyt inteligentny.

Ten dzieciak czasem ją przerażał, taki był sprytny. Zastanawiała się, po kim to odziedziczył. Nie z jej puli genowej, to pewne. Richard, jej pierwszy mąż i ojciec Gabe'a, był dość bystrym człowiekiem, ale nie geniuszem. Od czasu do czasu martwiła się, czy jako nad wiek rozwinięty, Gabe nie jest wyrzutkiem w tej prywatnej szkole dla chłopców. Na pewno nie było mu łatwo.

– Wyjechał w podróż służbową – powiedziała w końcu. – Jakiś nagły wypadek. Wezwano go w ostatniej chwili.

Gabe spochmurniał.

– Nie rób tego, mamó. Gliniarze przyszli wczoraj do domu, szukając go.

– Ty... byłeś sam, Gabe?

– Oczywiście, że byłem sam. Nic mi się nie stanie. Mam czternaście lat.

– O Boże, Gabe.

– Spoko, mamó, dobrze? Wszystko w porządku.

– Spoko?

– Po prostu ścirowałem z powodu taty, to wszystko. Nic mi nie chcieli powiedzieć, ale...

– Przypadkiem usłyszałaś, co do mnie mówili.

Przytaknęła.

Przygryzła dolną wargę, potrząsnęła głową i po kilku sekundach powiedziała:

– Posłuchaj, oni nie wiedzą, gdzie on jest.

– Czy on... czy on gdzieś wyjechał?

W końcu odwzajemniła mu się spojrzeniem, w którym strach mieszał się z przygnębieniem i współczuciem.

- Mógł zostać ranny podczas ataku...
- I może leży gdzieś, wykrwawiając się na śmierć?

Pokręciła głową.

- Policja zapewniła mnie, że nie ma go w żadnym szpitalu ani...
- Kostnicy – powiedział.

– I to jest dobra wiadomość, Gabe. To oznacza, że on... on ma się zapewne dobrze, tylko...

– On nie żyje. Wiesz, że tak jest. – Przełknął ślinę i zamrugał gwałtownie, łzy napłynęły mu do oczu.

– Nie, Gabe. Nie, tak nie jest. Nie myśl w ten sposób.

– Skąd wiesz, że tak nie jest?

– Gabe, ponieważ byłyby... byłyby tam... – Nie mogła dokończyć.

– Uważasz, że ci faceci, którzy zranili cię, mogli zabrać tatę?

Porwali go?

– Nie wiem, co myśleć – odpowiedziała w końcu, pokonana.

– Może wujek Nick zdoła go znaleźć.

– Wiem, że kochasz wujka Nicka. Ja również. Po prostu nie sądzę, że może odkryć coś, co przeoczyła policja. On pracuje głównie dla korporacji.

– Cóż, zobaczymy – rzekł Gabe. – Zadzwoń do niego zeszłej nocy i powiedział mi, że już jest w drodze do domu. Obiecał, że odnajdzie tatę.

7.

Nie jestem żonaty, mimo że kilka razy byłem tego niebezpiecznie bliski, i nie mam własnej rodziny. Moje „więzy rodzinne”, jak mawiają psychiatrzy, zostały niemal zupełnie zniszczone przez publiczne aresztowanie mojego ojca i okropne wydarzenia, które nastąpiły potem. Dlatego mój bratanek, Gabe, wiele dla mnie znaczy. Jestem względem niego niezmiernie opiekuńczy.

Krótko mówiąc, i tak już zakończyłem robotę w LA. Zrobiłem to, po co mnie tam wysłano: zlokalizowałem zaginioną przesyłkę. Kiedy czekałem na lotnisku LAX na następny samolot do Waszyngtonu, w którym byłoby wolne miejsce, wyjąłem palmofoon BlackBerry i wysłałem do Jaya Stoddarda e-mail ze szczegółowym raportem. Chociaż bardzo chciałem zostać w Los Angeles, żeby zaspokoić ciekawość i zgłębić wszystko, co naprawdę się tam zdarzyło, był to luksus, na który nie mogłem już sobie pozwolić. Oczywiście nie miałem zamiaru porzucać tej sprawy. Nigdy nie zostawiam niedokończonych spraw. Jednak teraz musiałem wrócić do Waszyngtonu i upewnić się, że Gabe i jego matka czują się dobrze.

Ponieważ cokolwiek stało się z ojczymem Gabe'a – moim bratem – wcale nie brzmiało dobrze. Zaginął dwa dni temu.

Prawda była taka, że Roger i ja nie rozmawialiśmy z sobą od procesu taty. Może to eufemistyczny opis sytuacji. Nie lubiłem tego faceta, a on nie lubił mnie. Ledwie się tolerowaliśmy. Jednak, do licha, był moim bratem. I co może ważniejsze, ojczymem Gabe'a.

Nie mogłem opanować irytacji i rosnącego niepokoju.

Najwcześniejsze loty były wyprzedane, więc dotarłem do Waszyngtonu dopiero późno po południu. Z taksówki zadzwoniłem na telefon komórkowy Lauren, spodziewając się usłyszeć Gabe'a, i zdziwiłem się, kiedy odebrała Lauren. Lekarze pozwolili jej wrócić do domu. Powiedziała mi pokrótce, co się stało. Mówiła tak, jakby była lekko odurzona, ale poza tym cała i zdrowa.

Co było dużą ulgą. Napięcie, które odczuwałem od kilku godzin jak lekki, lecz dokuczliwy ból głowy, odrobinę osłabło.

Wpadłem do swojego mieszkania na poddaszu zaadaptowanego magazynu w okolicy waszyngtońskiej Adams Morgan. Kupiłem je, ponieważ w budynku znajdował się parking, a mieszkanie było umeblowane. Agent mówił o „ultranowoczesnym wielkomiejskim życiu” oraz jego „przemysłowej estetyce”. Napis umieszczony nad frontowym wejściem głosił wzniosie: „Ty. Jesteś. Tutaj”. Jak dla mnie budynek wyglądał na to, czym był: stary magazyn z betonowymi stropami i płataniną pomalowanych rur. Miał urok hangaru dla samolotów. Oczywiście Gabe uważał, że mieszkanie jest fajne. Nazywał je moją Twierdzą Samotności.

Kilka godzin później zjechałem na podjazd domu mojego brata przy Virgilia Road w Chevy Chase, wielkiego starego budynku w stylu neogeorgiańskim, stojącego między innymi dużymi starymi domami. Zbudowany z czerwonej cegły, miał czarne okiennice i białe wykończenia. Był imponujący z zewnątrz, a jeszcze bardziej w środku: sześć sypialni oraz siedem i pół łazienek, pięć kominków i nigdy nieużywany duży basen na podwórzu za domem.

Pewnego razu Roger zażartował, że całe moje mieszkanie prawdopodobnie zmieściłoby się w jego salonie. Odparłem, że jego cały dom zmieściłby się w pokoju muzycznym naszego rodzinnego domu w Bedford. To go uciszyło. Obaj wiedzieliśmy, jak to jest mieć dużo pieniędzy. Nigdy o tym nie myśleliśmy. Jednak po tym, jak je straciliśmy, właściwie poczułem ulgę, jakbym ściągnął za ciasne buty.

Natomiast Roger wpadł w obsesję, niczym Ahab z tym jego przeklętym białym wielorybem, na punkcie tego, co straciliśmy.

Znalazłem Gabe'a siedzącego na schodach przed frontowym wejściem. Miał na sobie czarną bluzę z kapturem oraz postrzępione czarne tenisówki, a w uszach słuchawki iPoda. Rysował coś w swoim tajemniczym notatniku, do którego nigdy nie pozwalał nikomu zajrzeć. Szybko zamknął go, gdy podchodziłem.

– Hej – powiedział, wyłączając muzykę na iPodzie i wyciągając słuchawki z uszu. – Dzięki, że przyjechałeś.

– Hej. – Pochyliłem się, aby uściskać dzieciaka. Podniósł się tylko trochę i objęliśmy się niezgrabnie. Gabe był mały jak na swój wiek. Poczulem jego chude ramiona i żebra. – Jak mama?

– Nie wiem, dlaczego tak szybko pozwolili jej wyjść ze szpitala. Była w śpiączce przez dwadzieścia cztery godziny.

Wzruszyłem ramionami i rozłożyłem ręce.

– Czy doznała poważnych obrażeń?

– Wystarczających, aby mieć wstrząs mózgu.

– Sądzisz, że nie powinna być w domu?

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce, nieświadomie mnie naśladować.

– Nie jestem lekarzem.

– Aha. Jakieś wieści od twojego taty?

– Policja wypytywała mamę, czy mieli jakieś małżeńskie problemy. Myślą, że tata mógł uciec.

– To niepodobne do twojego taty.

Uważnie wpatrywał się w moją twarz.

– A może został porwany. Czy to możliwe?

– Porwany? Wątpię. Słuchaj, rozpracujemy to. Nie chcę, abyś się martwił, Gabe.

– Taak – powiedział z powątpiewaniem. – Pewnie. Wujku Nicku, nauczysz mnie strzelać? – zapytał mnie, kiedy ruszyłem do drzwi.

– Jest późno. Wkurzymy sąsiadów.

- Mam na myśli na strzelnicę, w klubie lub gdziekolwiek.
- Nie należę do klubu strzeleckiego i nie korzystam ze strzelnicy.

Tak naprawdę rzadko posługuję się bronią. Zawsze wolę używać rąk.

Zrobił wielkie oczy.

- Aby zabijać ludzi?
- Głównie do przeszukiwania baz danych – rzekłem.
- Mówię poważnie, wujku Nicku. Chcę nauczyć się posługiwać

bronią.

– Nie sądzę, by nastolatki w czerni powinny używać broni – powiedziałem. – Zwykle dzieją się wtedy różne złe rzeczy. Nie oglądasz wiadomości?

- Mówię o ochronie mamy. O samoobronie i tym podobnych.
- Przykro mi, ale nie – odparłem.
- Wujku Nicku? – zagadnął, gdy otworzyłem frontowe drzwi.

Odwróciłem się.

- Dzięki, człowieku – rzekł. – No wiesz, za to, że tu jesteś.

8.

Zawsze uważałem, że jedyną mądrą decyzją, jaką Roger podjął w swoim życiu, było poślubienie Lauren. Była uderzająco atrakcyjna – lśniąco czarne włosy, mlecznobiała skóra, karmelowo brązowe oczy i usta, które lekko wyginały się w dół, kiedy się uśmiechała. Lauren była piękną i elegancką kobietą.

Przede wszystkim jednak była bardzo dobrym człowiekiem. Całkowicie pozbawiona egoizmu. Poświęcała swoje życie trzem trudnym mężczyznom: mężowi, synowi i szefowi, Lelandowi Giffordowi. To nie mogło być łatwe. Już sama praca asystentki do spraw administracyjnych dyrektora naczelnego dużej firmy była czymś więcej niż robotą na cały etat: bardziej przypominała małżeństwo. Niewątpliwie Roger był zazdrosny o jej oddanie szefowi. A jej szef być może był zazdrosny o jej oddanie mężowi.

Uściskała mnie mocno, kiedy wszedłem, a ja przez kilka sekund gapilem się na nią, zaskoczony. Chociaż wiedziałem, że została ranna, widok śladów tego ataku wytrącił mnie z równowagi. Miała bandaż na głowie, podrapaną lewą stronę twarzy i żółtawe sińce pod oczami.

Podziękowała mi za przybycie, a ja zapytałem, jak się czuje, i powiedziałem, że dobrze wygląda.

– Właśnie straciłam do ciebie szacunek – rzekła, kręcąc z rozczarowaniem głową. – Zawsze uważałam, że jesteś prawdomówny.

– Masz rację. Skłamałem. Wyglądasz okropnie. Martwię się o ciebie.

Roześmiała się.

– Dzięki za szczerość. Jednak czuję się lepiej, niż wyglądam.

Poprowadziła mnie przez wyłożone marmurowymi płytkami foyer do swojej ogromnej kuchni, w której pachniało piernikiem, a może ciastem z dyni. Podała mi kubek kawy: czarnej, takiej jaką lubię. Kubek był ozdobiony tarczą z napisem ST GREGORY'S. Prywatna szkoła Gabe'a. Lauren usiadła na taborecie w rogu dużej kuchennej wyspy z czarnego granitu, a ja naprzeciw niej.

– Tak szybko wypuścili cię ze szpitala?

– Lekarz myśli, że nic mi nie będzie, jeśli nie będę się przemęczała. Poza tym nie mogłam zostawić Gabe'a samego w domu.

– Nie ma żadnych wieści od Rogera?

Pokręciła powoli głową.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Po pierwsze, nie chcę, żebyś zakładała najgorsze.

Potrzebowała mnie spokojnego i beztroskiego, więc odwalilem kawał dobrej roboty, udając takiego. Łzy stanęły jej w oczach.

– Nawet nie wiem, co jest w tym najgorsze.

– Opowiedz mi, co się stało – poprosiłem.

9.

Słuchałem, zadawałem dużo pytań i przede wszystkim starałem się nie podsycać jej najgorszych obaw. Jednak im dłużej słuchałem, tym wydawało mi się to dziwniejsze.

Nagły, niespodziewany atak, kiedy szli do swojego samochodu. Brak krwi na ziemi oraz śladów walki: niczego, co by wskazywało, że mój brat został zabity lub ranny. Szukano jego ciała w szpitalach i kostnicach, ale nigdzie nie było zwłok pasujących do jego opisu.

Przez te dwa dni, które minęły od napadu, nie było od niego żadnych wieści.

To nie wyglądało dobrze. Ścisnęło mnie w dołku. Wiedziałem, że raczej nie odnajdzie się żywy. Nie chciałem jej o tym mówić. Jednak nie chciałem także wprowadzać jej w błąd.

– Ilu ich było? – zapytałem.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Prawdopodobnie tylko jeden. Jednak miał broń.

– Skąd wiesz?

– Poczułam.

– Jak?

– Przyłożył mi do skroni coś, co wydało mi się lufą. I słyszałam taki szcęk, jaki wydaje rewolwer, kiedy odciągasz kurek.

– Sądziś więc, że to był rewolwer, a nie pistolet.

– W pistolecie nie odciąga się kurka, Nick.

Tylko się uśmiechnąłem. Nie chciałem zanudzać jej wykładem o broni palnej. W rzeczywistości w pistolecie też odciąga się „kurek” –

pociągając do tyłu cały mechanizm zamka. Jednak w gruncie rzeczy miała rację: dźwięku odciąganego kurka rewolweru nie można pomylić z żadnym innym.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Na pewno mężczyzna.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ja... no cóż, chyba siła...

– Nie brak bardzo silnych kobiet.

– Może jego ręce były owłosione...

– Zatem miał odsłonięte ręce.

– Nie... ja... zapach faceta, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wody kolońskiej. Taniej wody kolońskiej, zmieszany z dymem papierosowym.

– Czy odniosłaś wrażenie, że Roger zna napastnika?

Jej oczy błędziły po pokoju.

– Nie, nie sądzę...

– Gabe powiedział, że gliniarze zastanawiali się, czy macie z Rogerem problemy małżeńskie.

Skrzywiła się.

– Tak powiedział?

Przytaknęłam.

– W zasadzie tak.

– Co to ma znaczyć? Niby że próbował mnie załatwić?

– Tak sądzę.

– To idiotyzm. Gdyby Roger chciał mnie zostawić, po prostu by odszedł.

– Czy kiedykolwiek o tym mówił?

– I ty też zaczynasz?

– Nie. Według mnie Roger nie jest z tych, którzy się rozwodzą. Raczej by cię wykończył.

Jej twarz pociemniała, ale oczy nie.

– Wiem, że wy dwaj się nie zgadzacie. Zdaję sobie sprawę, że on potrafi być czasem irytujący, ale...

– Irytujący? Biali kolesie, którzy mówią do siebie „bracie”, są irytujący. Suszarki do rąk w publicznych toaletach są irytujące. Nie nazwałbym Rogera irytującym.

To palant, cisnęło mi się na usta. Dupek. W innych okolicznościach może powiedziałbym to na głos. Jednak nie tego dnia. No i ona kochała tego gościa, tak samo jak Gabe, więc kim byłem, żeby narzucać im swoje zdanie? Ono było nieistotne.

Lauren nagle podniosła głowę i pociągnęła nosem.

– O Boże, bataty. – Podbiegła do piekarnika stojącego na blacie w pobliżu lodówki (w przybliżeniu wielkości hummera), po czym wróciła z zawiniętym w folię batatem i widelcem.

– Chcesz trochę?

– Nie, dziękuję.

– Jadłeś kolację?

– Znasz mnie. Jem, kiedy jestem głodny.

W ich domu kuchnia zwykle była domeną Rogera. Mam ogromny szacunek do kolegów, którzy potrafią gotować. Jednak nie do kuchennych faszystów takich jak mój brat. On zawsze musiał mieć urządzenia najwyższej klasy, drogą patelnię, najlepszy olej z oliwek z pierwszego tłoczenia, najlepszy trzydziestoletni ocet. Kiedy jedzenie staje się tak ważne, masz problem, którego nie rozwiąże olej z białych umbryjskich trufli.

– W szpitalu odżywiali mnie galaretką oraz piwem imbirowym, a ja nie wiadomo czemu myślałam tylko o pieczonych batatach.

– Czy twój szef przeżyje bez ciebie?

Uśmiechnęła się czule.

– Jest wspaniały. Powiedział mi, żebym wzięła tyle wolnego, ile mi trzeba. Jednak chcę szybko wrócić do pracy.

– Czujesz się wystarczająco dobrze?

– Jak już mówiłam, ja tylko wyglądam jak wrak. Czuję się dobrze. Gabe musi chodzić do szkoły, a ja oszalałabym, siedząc w domu.

– Domyślam się, że Leland Gifford wie, iż Roger... zniknął.

– Oczywiście.

– Rozmawiałaś z nim o tym?
– Krótko. Zadzwoiłam do niego dzisiaj po południu.
– I?
– Zaoferował, że zrobi wszystko, co będzie mógł. Policja wypytywała go o Rogera.

- Czy ma jakieś teorie na temat tego, co mogło się zdarzyć?
- Lee jest tak samo zaskoczony jak wszyscy.

Skinąłem głową.

– Czy masz pojęcie, nad czym ostatnio pracował Roger? Przestała przeżuwać duży kęs batata i spojrzała na mnie zwięzonymi oczyma.

– Rzadko rozmawialiśmy o pracy. To taka nasza niepisana zasada.
– A zatem nie wspominał o czymś, co by go szczególnie niepokoiło?

Pokręciła głową.

- Nie przypominam sobie niczego interesującego.

Oczywiście to dość dokładnie opisywało całą pracę Rogera w Gifford Industries. Tworzył umowy, zarządzał finansami. Musiałbym wypić kilka dzbanków czarnej kawy, aby przebrnąć przez jeden jego poranek, nie zapadając w śpiączkę spowodowaną znudzeniem. Jednak zawsze miałem wrażenie, że zdaniem Rogera nie wykorzystuje się jego wysokich kwalifikacji i że nigdy nie awansowano go na stanowisko godne jego talentów. Nie żeby takie stanowisko kiedykolwiek istniało w amerykańskiej korporacji.

- Hmm – powiedziałem.
- Myślisz, że to ma coś wspólnego z jego pracą?
- Niekoniecznie. Po prostu rozważam wszystkie możliwości.

To może być cokolwiek. Jednak wątpię, aby był to przypadkowy napad. Gdyby Roger został zaatakowany – celowo unikałem słowa „zabity” – prawdopodobnie byłby na to jakiś dowód. Coś by się do tej pory pojawiło.

Na przykład ciało.

- W takim razie co sugerujesz?

– Nie możemy wykluczyć jakiegoś rodzaju uprowadzenia czy porwania.

– Porwania? Nie mówisz poważnie – powiedziała podniesionym głosem, jakby chciała ukryć swój strach. – Gliniarze mówili to samo. Tylko kto porywałby Rogera? Nie jesteśmy bogaci. To szaleństwo.

Przeniosłem wzrok na monstrualnie wielką, profesjonalną, ośmiopalnikową kuchenkę typu Vulcan z nierdzewnej stali, o mocy cieplnej wystarczającej dla sporej restauracji. Wiedziałem, że wyrzucili przynajmniej ćwierć miliona dolców na przystosowanie tej kuchni do maniakalnych wymagań Rogera.

– Bez wątpienia – rzekłem.

– Chcę powiedzieć, że oczywiście jesteśmy zamożni, ale obydwój z Rogerem pracujemy, aby zarobić na życie.

– Wiem.

Kiedy znaczne aktywa Victora Hellera skonfiskowano, Roger, moja matka i ja zostaliśmy bez pieniędzy. Jednak Roger odziedziczył po tacie przynajmniej wielki talent do zbijania i inwestowania pieniędzy. To tylko jedna z wielu różnic między nami.

Gdy Lauren poznała Rogera, była sekretarką Gifforda i rozwódką z małym dzieckiem. Od początku jasno mówiła, że kocha swoją pracę u Lelanda Gifforda i nigdy z niej nie zrezygnuje. Pracowała nadal, ponieważ chciała, a nie dlatego, że musiała. Roger zarabiał wystarczająco, aby ich utrzymać, i dobrze inwestował pieniądze.

– Tak czy inaczej, gdyby został porwany, to do tej pory chyba otrzymałabym jakieś żądania okupu?

– Niekoniecznie. Czasem czekają po to tylko, aby zwiększyć presję. Jednak zgadzam się, że to mało prawdopodobne.

– Zatem co jest prawdopodobne?

– To tylko teoria, ale może wetknął nos w coś, w co nie powinien. Naraził się niewłaściwym ludziom.

– Na przykład komu?

– Wasza firma realizuje na całym świecie gigantyczne projekty budowlane warte miliardy dolarów. Może Roger naraził się jakiemuś przestępczemu syndykatoowi, który myślał, że ma zlecenie w garści, ale stracił je na rzecz Gifford Industries. Może Roger pomógł wykołegować ich z przetargu. Coś w tym stylu.

– Mówisz tak, jakby Gifford Industries było jakąś podrzędną mafijną firemką wywożącą śmieci z New Jersey.

Przyszło mi na myśl kilka celnych ripost – taki już jestem – ale utrzymałem język za zębami.

– Zapomnij o mafii – rzekłem. – W przestępczym podziemiu zapanował internacjonalizm. Rosjanie, mieszkańcy Europy Wschodniej, Azjaci, wszyscy się unowocześnili. Teraz inwestują. Wykorzystują legalne interesy do prania swoich pieniędzy. Zajmują się handlem. Wchodzą w ropę, metale szlachetne, firmy ubezpieczeniowe i banki. Na całym świecie. Może negocjując kolejną umowę, Roger natknął się na jakieś informacje o jednej z takich organizacji, na coś, o czym nie powinien wiedzieć...

Patrzyła na mnie przez kilka sekund, a potem przesunęła oczyma z boku na bok, jakby czytała coś z telepromptera. Odniosłem wrażenie, że rozważając taką możliwość, doszła do jedyne go logicznego wniosku, który nie był przyjemny.

– Chyba nie wierzysz, że takie rzeczy się zdarzają, prawda? – powiedziała niemal pogardliwie.

– Niespecjalnie – przyznałem. – Rzadko. Ale świat to paskudne miejsce. Kto wie.

– W takim razie co? Myślisz, że co się zdarzyło?

– Chciałbym móc ci coś powiedzieć. – Zastanawiałem się przez chwilę. – Posłuchaj, Lauren. Kiedy zapytałem cię, czy Roger znał faceta lub ludzi, którzy się na ciebie rzucili, zawahałaś się.

– Naprawdę?

Zauważyłem, że przez moment znów miała niepewną minę; może nie zdawała sobie sprawy z tego, że coś wie.

– Czy twarz Rogera, jej wyraz albo coś innego mogło wskazywać na to, że nie był kompletnie zaskoczony tym, co się działo?
Milczała przez kilka sekund, zastanawiając się.

– W szpitalu coś sobie przypomniałam.

– Tak?

– Coś, co powiedział, kiedy zostaliśmy zaatakowani. Ostatnie słowa, które usłyszałam z jego ust. Powiedział: „Dlaczego jej?”.

– „Dlaczego jej?” – powtórzyłem. – To sugeruje: „Dlaczego nie mnie?”.

– Jakby ich znał. Jakby wiedział, kim oni są.
Rozmyślałem przez chwilę.

– Sądzę, że to nam mówi coś ważniejszego.
Uniosła brwi.

– Być może spodziewał się tego. Pytanie tylko dlaczego.

– Spodziewał się? – spytała cichym i drżącym głosem. – Spodziewał się czego?

– Może go ostrzegano. Może próbowano go zastraszyć.

– Po co? To... to zbyt dziwaczne, Nick.

– Nie uwierzyłabyś w pewne historie, które są jak najbardziej rzeczywiste.

– Sprawdź mnie.

– Kiedyś opowiem ci, dlaczego naprawdę wyrzucono mnie z Pentagonu. Sprawy nie zawsze wyglądają tak, jak się zdaje. Zwykle każda historia ma drugie dno.

Potrząsnęła głową, jakby odganiała szalone domysły. Potem zamilkła na dziesięć lub piętnaście sekund.

– Ty uważasz, że on nie żyje, prawda?

– Jestem pewny, że ma się dobrze.

– Nie wierzę ci.

Sam też w to nie wierzyłem.

– Nie martw się – powiedziałem.

– Znowu tracę do ciebie szacunek.

– Cokolwiek się z nim stało, jestem pewny, że ma się dobrze. Nie trać wiary. Jestem tu dla was, wiesz o tym.

– Wiem. To wiele dla mnie znaczy. Jednak nie chciałam cię w to wplątywać, Nick. To był pomysł Gabe'a, nie mój.

– Wplątywać mnie?

– Wiesz, o co mi chodzi. Zawodowo lub inaczej. Powiedziałam Gabe'owi, że wątpię, czy jesteś w stanie odkryć coś, czego nie mogą znaleźć gliniarze.

– No cóż – rzekłem – prawdę mówiąc, moja firma ma możliwości, jakich nie ma policja.

– Chyba nie proponujesz, żebym zatrudniła Stoddard Associates, prawda?

– Jay Stoddard nie wzięłby tej sprawy. Musiałbym zrobić to sam. Prywatnie.

– Czy to by było... nie wiem, skomplikowane?

Zawahałem się, ale tylko na moment.

– Nie – powiedziałem. – Nie sądzę, żeby to było skomplikowane.

– To znaczy, zważywszy, że ty i Roger...

– On jest moim bratem. I twoim mężem. I tatą Gabe'a. To nie jest skomplikowane.

– Więc może byłoby... no wiesz, przejrzyściej... gdybym po prostu cię zatrudniła i zapłaciła ci. To znaczy, jeśli chcesz pomóc.

– Nie wezmę od ciebie pieniędzy.

Zawahała się. Widziałem, jak z sobą walczy.

– Roger naprawdę dobrze zarabia – zapewniła z nerwowym uśmiechem. – Ty byłeś w wojsku, a potem pracowałeś dla rządu...

Tak, tak, pomyślałem. Służyłem mojemu krajowi, podczas gdy mój brat służył sam sobie. To właśnie miała na myśli, ale nigdy nie powiedziała by tego na głos. W rzeczywistości zrobiłem, co zrobiłem, i wybrałem, co wybrałem, żeby uciec. Innymi słowy, z absolutnie egoistycznych powodów.

Jednak ja też nigdy nie powiedziałbym tego głośno.

– Podaj mi nazwiska tych gliniarzy, którzy cię przesłuchiwali – rzekłem. – Pogadam z nimi. Dlaczego nie zacząć od tego?

- Jesteś pewien?
- To żaden problem, Lauren. I może podaj mi nazwiska bliskich przyjaciół Rogera. Wiesz, kogokolwiek, komu mógł się zwierzać.
- Cóż... – zawahała się. – Znasz Rogera znacznie dłużej niż ja.
- On naprawdę nie ma żadnych przyjaciół, zgadza się?
- Tak.

Nie dziwiło mnie to. Zawsze był typem samotnika. W czasach naszego dzieciństwa przestawał z moimi przyjaciółmi. Choć uważał nas za cieniasów, ponieważ byliśmy kilka lat młodszy. I chociaż nie był towarzyski.

- Nick, czy jesteś pewny, że to w porządku?
- Bardziej niż w porządku – powiedziałem.

Zerwała się na równe nogi, zarzuciła mi ręce na szyję i po kilku sekundach zaczęła szlochać.

10.

Biura Stoddard Associates wyglądały jak większość eleganckich, supernowoczesnych biur firm prawniczych, jakie kiedykolwiek widzieliście: wszędzie mahoniowe ciemne boazerie, stare perskie dywany, polerowany stół konferencyjny z orzecha. Dyskretna elegancja. Stare pieniądze. Nawet sztywna angielska recepcjonistka w średnim wieku.

Założyciel i prezes firmy, Abner J. Stoddard IV – Jay, jak wszyscy go nazywali – czasem żartował, że wystrój wnętrza, jaki wybrał, do ostatniego szczegółu, był niczym więcej, jak tym, co on i jego kumple z CIA nazywali „przykrywką”. „Każda działalność wymaga budzącej zaufanie oprawy”, mawiał.

I tylko częściowo żartował. W końcu Stoddard Associates było prężną prywatną firmą wywiadowczą. Korporacyjną organizacją szpiegowską, chociaż Jay Stoddard nigdy nie użyłby tych słów. Dostojne i wpływowe, aczkolwiek szemrane przedsiębiorstwo. Nie jakaś tandetna agencja detektywistyczna z matowymi szybami w oknach, przesiąknięta odorem papierosowego dymu. Zajmowaliśmy cztery tysiące metrów kwadratowych ósmego piętra w eleganckim wieżowcu przy 1900 K Street w Waszyngtonie, o obłej fasadzie ze szkła, nierdzewnej stali, z pasami międzyokiennymi obłożonymi granitem. K Street, jak wszyscy wiedzą, to Champs Elysées waszyngtońskich lobbystów.

A Jay nie był tylko jakimś eksszpiegiem, prowadzącym śledztwa na zlecenie dużych przedsiębiorstw, rządu i bardzo bogatych ludzi.

Był doskonale poinformowanym człowiekiem, który wiedział, gdzie zakopano wszystkie szkielety, i chętnie ekshumował je za odpowiednią cenę. Umiał rozwiązywać problemy. Znał każdego, kto się liczył. Rozumiał, jak naprawdę funkcjonuje Waszyngton – inaczej, niż tego uczą na lekcjach wychowania obywatelskiego albo opisują w gazetach. I miał dostatecznie zdrowy żołądek, by stykać się z najróżniejszym robactwem, od jakiego roi się w tym mieście.

Ilekcję napotykał jakiegoś polityka, który miał skrupuły, zlecając mu rozpracowanie opozycji, czyli wygrzebanie jakichś grzeszków rywala, Stoddard lubił cytować Williego Starka z filmu *Wszyscy ludzie króla*: „Człowiek jest poczęty w grzechu i zrodzony do nieprawości, przechodzi od smrodu pieluch do odoru całunu. Na każdego coś znajdziesz”.

Jay Stoddard wiedział, że każdy ma jakieś grzeszki.

Był wysokim, tyczkowatym sześćdziesięcioletnim facetem, z dumną grzywą siwych włosów, które były nieco za długie. Nosił ręcznie szyte angielskie garnitury i koszule Brooks Brothers z postrzępionymi kołnierzykami, w ten sposób pokazując, że ma gust oraz pieniądze i docenia uroki życia, ale tak naprawdę nie przywiązuje do nich wagi. Zapewne było to częścią przykrywki.

Kończyliśmy nasze poranne poniedziałkowe spotkanie komisji oceny ryzyka, które polegało głównie na tym, że dwunastu najbardziej doświadczonych pracowników firmy siedziało wokół dużego stołu konferencyjnego i głosowało, które sprawy wziąć, a które odrzucić. Typowe poranne poniedziałkowe zebranie z niedoborem kofeiny: tłumione ziewnięcia i apatia, kaszlnięcia i bazgranie esów-floresów oraz ukradkowe spojrzenia na palmofony. Wyjątkiem był Jay, który chodził po pokoju, ponieważ nie mógł usiedzieć w miejscu dłużej niż pięć minut.

Większość spraw, nad którymi głosowaliśmy, dotyczyła nudnych, standardowych usług. Duża firma przechowująca dane chciała, abyśmy sprawdzili, czy ich indonezyjski menadżer defrauduje pieniądze. Dyrektor naczelny wielkiego banku inwestycyjnego

chciał, abyśmy się dowiedzieli, czy dwie osoby z jego zarządu, mężczyzna i kobieta, mają romans. (Zastanawiałem się, dlaczego ten dyrektor nie chciał wykorzystać własnego specjalisty od ochrony. Zastanawiałem się również, dlaczego tak bardzo mu na tym zależy; niewątpliwie szukał pretekstu, aby zwolnić tych dwoje, mając po temu jakiś inny powód. Moim zdaniem to była śmierzcząca sprawa. Oczywiście zagłosowaliśmy na tak).

Wszyscy się ożywiłiśmy, kiedy Stoddard wspomniał o zamówieniu, jakie otrzymał z Metropolitan Museum of Art. Jedną z ich kustoszek czekał w Ankarze proces za nielegalny handel antykami – starożytnymi złotymi monetami, które według tureckich władz zostały skradzione z państwowego muzeum. Wyobrażałem sobie damę ze śmietanki towarzyskiej Manhattanu, w szalu Burberry i z torebką od Louisa Vuittona, skuloną w wilgotnym, nędznym tureckim więzieniu z *Midnight Express*. Zagłosowaliśmy, żeby to zbadać.

Jednak sprawą, która zajęła nam większość tego poranka, była prośba jednej z największych na świecie spółek handlujących ropą naftową. Próbowali wykupić niewielką, ale wysoce dochodową firmę obsługującą pola naftowe – typowe wrogie przejęcie. Chcieli, abyśmy dokładnie sprawdzili dyrektora naczelnego firmy, która była ich celem.

Jak zwykle, głosem rozsądku była nasza ekspertka od analizy danych, śliczna Afroamerykanka ze skórą koloru mokki, bardzo krótkimi włosami i wielkimi oczami, która nazywała się Dorothy Duval. Dorothy miała lekko ochrypły głos i bezceremonialny, bezpośredni sposób bycia. Jestem pewny, że nienawidzili jej w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie pracowała przez dziewięć lat, zanim zatrudnił ją Stoddard. Jay był wystarczająco sprytny, aby zauważyć, jaka jest bystra. A może po prostu uważał ją za zabawną.

– Słuchajcie, możemy porozmawiać poważnie? – spytała Dorothy. – Chcą od nas pełnej analizy danych. Podśluch telefonów komórkowych, elektroniczny monitoring, wszystko. Chcą, żebyśmy nagrywali rozmowy telefoniczne tego gościa.

– Zmyślasz – powiedział starszy detektyw Marty Masur. – Nigdy niczego takiego nie mówili.

Masur był niski i łysy, arogancki i irytujący. Był śledczym w Senacie, dopóki nie wkurzył zbyt wielu senatorów. Teraz wkurzał wszystkich w Stoddard Associates.

– Ponieważ są zbyt sprytni, aby powiedzieć to bez ogródek – zauważyła Dorothy. – Nikt nie składa takiego zamówienia na piśmie. Nie musi.

– A więc po prostu kategorycznie im odmówisz? – odparł Masur. – Chcesz mieć czyste ręce, no nie?

– Czy to nie ty byłeś tym gościem, który chciał wziąć tę „łatwą robótkę” dla Hewletta-Packarda? – zapytała, wydymając usta. – Założenie podsłuchów w telefonach członków zarządu? Zastanawiam się, co stało się z firmą, którą zatrudnili.

– Byli amatorami – rzekł Masur. – Zostali złapani.

– Był też pewien drobny szczegół, a mianowicie, że złamali prawo. Tak samo byłoby z tym zleceniem. Nie zrobię tego.

Masur prychnął i potrząsnął głową. Poczzerwieniał i wyglądał, jakby miał powiedzieć coś naprawdę złośliwego, ale wtedy wtrącił się Stoddard.

– Nick, co o tym myślisz? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Dorothy ma rację. To ryzykowna sprawa. Możemy zapłacić duże odszkodowanie, którego nie pokryje rachunek.

Masur wymamrotał coś, więc odwróciłem się do niego.

– Słucham?

Pokręcił głową.

– Nie, chcę to usłyszeć, Marty – powiedziałem.

Posłał mi czujne spojrzenie. Zawsze podejrzewałem, że się mnie boi. Mam ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, służyłem w siłach specjalnych w Iraku i nadal jestem w niezłej formie. Poza tym krążyły ponure plotki o moich morderczych umiejętnościach, o moich czynach w Iraku i Bośni. Żadne z nich nie były prawdziwe, ale nigdy nie próbowałem tego wyjaśniać. Nie miałem nic przeciwko temu, że

mam taką reputacji. Myślę, iż Masur bał się, że jeśli nadejście mi na odcisk, to pewnej nocy dopadnę go w ciemnej uliczce i obetnę mu ucho albo coś innego. Chętnie pozwalałem mu tak myśleć.

– „Ostrożność to największe ryzyko” – rzekł w końcu. – Tak powiedział Nehru.

Pokiwałem głową.

– „Kto nie wygrywa, ryzykuje klęskę”.

Masur popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Tak powiedział Dan Quayle – dodałem.

Czy tak rzekł, czy nie, podobał mi się ten cytat.

Dorothy posłała mi jeden ze swoich olśniewających uśmiechów.

– W porządku, panie i panowie – powiedział Stoddard i odchrząknął. – Nigdy nie pozwolę, aby ta firma została wystawiona na niebezpieczeństwo – rzekł. – Jakkolwiek kuszące mogą być te pieniądze, nie ma wątpliwości, jak powinniśmy postąpić. Opuuszczamy.

Kiedy spotkanie się skończyło, Stoddard chwycił mnie za łokieć.

– Możesz wpaść na chwilę do mojego gabinetu?

– Jasne.

Przeszliśmy przez hol, obok oprawionych w czarne ramki zdjęć Stoddarda z politykami, światowymi przywódcami oraz celebrytami. Moim ulubionym zdjęciem było to z Richardem Nixonem. Nixon miał na sobie jasnoniebieski garnitur i niezgrabnie ścisnął dłoń Stoddarda. Stoddard był wtedy jeszcze bardziej tyczkowaty, ciemnowłosy i przystojny jak gwiazdor filmowy. Pracował w Zarządzie Operacyjnym CIA do czasu, gdy sztab wyborczy Nixona podczas drugiej kampanii zatrudnił go do prześwietlenia opozycji. Potrzebowali kogoś, kto dyskretnie wykopie brudy. Słyszałem, że Nixon zatrudnił Stoddarda, żeby znalazł papiery na kilku kluczowych senatorów demokratów, którzy domagali się jego rezygnacji. Jednak Stoddard był zbyt dyskretny, aby o tym dyskutować. Praca Stoddarda przeszła do legendy, a zarobione pieniądze wykorzystał zaraz po wyborach, zakładając własny interes.

Nixon podpisał zdjęcie swoim wyrazistym pismem: „Z podziękowaniami za Twój wkład w uczciwy przebieg wyborów”.

Uwielbiałem tę dedykację.

– Wspaniała robota w sprawie Traverse Development – powiedział Stoddard.

Kiwnąłem głową.

– Jesteś dobry. Czasem zapominam, jak dobry.

– To było łatwe.

– Tylko dla ciebie, Nick. Masz *sprezzatura*. Wiesz, co to znaczy?

– Biorę zitromax – zapewniłem. – Podobno powinien pomóc.

Spojrzał na mnie i zachichotał.

– *Sprezzatura* to włoskie słowo. Oznacza umiejętność sprawiania, że coś trudnego wydaje się łatwe.

– Nie wiem, czy to dobrze – zauważyłem.

Kiedy weszliśmy do jego biura, wspomniałem o tej dużej spółce naftowej, o której przed chwilą rozmawialiśmy.

– Odrzuciłeś bardzo duży kontrakt, Jay. Jestem pod wrażeniem.

Popatrzył na mnie.

– Daj spokój, stary, myślisz, że wypuszczę go z ręki? W tym kryzysie? Dom w Nantucket wymaga nowego dachu. – Mrugnął. – Zawsze chroń swój tyłek, Nicky. Usiądź. Musimy pogadać.

11.

Odwiedzający gabinet Jaya Stoddarda zawsze byli zaskoczeni. Oczekiwali standardowej, podbudowującej ego ściany z jego oprawionymi w ramki zdjęciami z bogatymi, znanymi i wpływowymi osobami. Te jednak zostały wygnane do holu. Co mogło być przejawem skromności lub sprytu – a może w ten sposób wycisnął swoje piętno na wszystkich pomieszczeniach biura.

Zamiast fotografii ściany jego gabinetu były zastawione od podłogi po sufit książkami. Były tam pierwsze wydania – Victora Hugo oraz Trollope'a – ale przede wszystkim okazałe kolorowe albumy architektury. Na szklanym blacie stolika do kawy w artystycznym nieładzie leżały takie periodyki jak „Architectural Record” i „Metropolis” oraz duża pomarańczowa książka zatytułowana *Richard Meier Architect*.

Miał świra na punkcie architektury. Kiedyś, przy czwartej szklance whisky w hotelu Alvear Palace w Buenos Aires, wyznał mi, że za młodu rozpaczliwie chciał pójść na architekturę w Yale. Jednak jego ojciec, który podczas drugiej wojny światowej był w OSS, zmusił go do wstąpienia do CIA. Ale tym się Jay nie przejmował.

– Tata miał absolutną rację – powiedział. – Umarłbym z głodu. Sądziłem, że wszyscy architekci są bogaci!

Strzepnął marynarkę i powiesił ją na mahoniowym wieszaku na ubrania w kącie. Jako anglofil do niebieskiej, zapinanej na guziki koszuli nosił jasnoczerwone szelki z namalowanymi rysunkami golfiarzy.

– Przyda ci się filiżanka kawy – oznajmił, wduszając przycisk interkomu stojącego na biurku. – Najlepiej dożylnie. Kac, Nick?

– Nic mi nie jest – odparłem. – Nigdy nie piję podczas lotu samolotem. – Mówiłem prawdę. To część wiedzy tajemnej o podróżach służbowych, jaką zgromadziłem. Nie pić i zawsze latać pierwszą klasą. – Dziękuję za kawę.

– Tak? – usłyszeliśmy głos asystentki Stoddarda.

– Przepraszam, Heather, odwołuję to – powiedział do słuchawki, kiedy usiadł za biurkiem.

Sam nigdy nie pił kawy. Mówił, że jej nie potrzebuje, w co trudno było uwierzyć. Ja nie potrzebuję dużo snu, ale ten facet był niemal androidem. Miał niewiarygodne zasoby energii. Mówiono mi, że grał w squasha jak rzymski gladiator na speedzie.

Jay usiadł, nachylił się i oparł łokcie o blat biurka, podpierając brodę i patrząc na coś za moimi plecami. To powodowało, że wydawał się znudzony i roztargniony.

Często sprawiał wrażenie abnegata, bałaganiarza i roztrzepanego, ale jego biurko mówiło wszystko, co powinieneś wiedzieć: zawsze panował na nim idealny porządek. Nic nie szpeciło rozległej przestrzeni polituowanego mahoni. Miał osobowość typu A, obsesyjno-kompulsywną, i był maniakiem czystości. Potrafił się wspaniale przekomarzać, zdawało się, że nigdy niczego nie bierze na poważnie, a czasem odnosiło się wrażenie, że jest wręcz nierozgarnięty. Jednak nic nie uchodziło jego uwagi. Jego umysł był jak stalowy potrzask: kiedy wpadniesz w takie zębiska, musisz odgryźć sobie kończynę, aby uciec.

– Zatem przyjechałeś dziś wcześniej do biura?

Wzruszyłem ramionami.

– Sprawdzales Traverse Development, prawda? – zapytał. Jego niebieskie oczy nagle wydawały się szare.

– Lubię wiedzieć jak najwięcej o swoich klientach – powiedziałem.

Przepuściłem Traverse Development przez nasze standardowe

bazy danych i niczego nie znalazłem. Sprawdziłem również numer telefonu komórkowego, który Woody podał mi w LA, ten awaryjny numer kontaktowy do tego kogoś, kto go zatrudnił. Bez powodzenia. Wyszukiwanie zwróciło wynik „prywatne”.

Czy ktoś powiedział Stoddardowi, że tego szukałem? Czy może moje poszukiwania uruchomiły jakiegoś typu alarm?

- Chyba mógłbyś lepiej wykorzystać ten czas.
- Nie martw się. Zrobiłem to poza godzinami pracy.

Milczał chwilę.

– I?

– Nie istnieje – rzekłem.

– Dziwne – powiedział Stoddard. Bawił się ze mną. – Czek miał pokrycie.

– Nie ma takiej firmy w Arlington. Ani w Arlington County. Nie znalazłem żadnych danych w SearchSystems. Adres na przesyłce okazał się lipny, wynajęta skrytka pocztowa. W miejscu nazywającym się EasyOffice, które jest jednym z tych, gdzie możesz wynająć skrytkę na godzinę lub tydzień. Opłata została uiszczona w gotówce. Tak więc to firma widmo.

– Och, proszę. Nie bądź taki podejrzliwy. Firmy wynajmują skrytki z rozmaitych, najzupełniej niewinnych powodów. Na przykład, aby uniknąć płacenia podatków.

– Wiesz, co było w tym kontenerze, prawda? – zapytałem. – Co zostało wywiezione z Bahrajnu?

– Nie pytałem.

Jay był zbyt zręcznym łgarzem, by zrobić niewinną minę.

– Ale i tak wiesz – rzekłem.

Roześmiał się. Czasami rozmowa z nim była jak szermierka.

– Nie pytaj i nie mów.

– Sądzę, że cholernie dobrze wiesz, co było w tych pudłach – powiedziałem dobrodusznie, nie chcąc go naciskać. Naciski rzadko na niego działają.

Przygryzł policzek, co zawsze zdradzało, że zastanawia się, czy skłamać. Zdradził się, jak mówią pokerzyści. Stoddard był wprawnym

łgarzem, ale ja doskonale umiem czytać z ludzkich twarzy. Całą zasługę przypisuję ojcu, który kłamał nałogowo tak, jak niektórzy piją alkohol. Żył i oddychał nieuczciwie. Dla dzieciaka była to przydatna szkoła.

– Jeśli otworzyłeś zapieczętowaną przesyłkę, Nick, nie powinieś się tym chwalić. Możesz wpędzić całą firmę w kłopoty. Jeżeli łamiesz prawo, robisz to dla klienta. Nie po to, by działać przeciw niemu.

– Przesyłka była niechlujnie zapakowana, Jay. Kilka pudeł się otworzyło.

– Dlaczego w to wątpię? Sęk w tym, że cokolwiek znalazłeś, nasze zlecenie tego nie obejmuje. Wynajęto nas, abyśmy wykonali konkretną robotę. Nic więcej. Poza tym, jak dobrze wiesz, jeśli w trakcie śledztwa natrafimy na coś, co może zaszkodzić naszemu klientowi, zawsze dochowujemy tajemnicy. Inaczej wylecielibyśmy z interesu w ciągu tygodnia. Nie muszę ci tego mówić.

To był jeden z tych aspektów mojej pracy, których nie lubiłem. Często klient zatrudnia nas, abyśmy przeprowadzili śledztwo w sprawie jakiegoś nadużycia wewnątrz firmy, a później, kiedy je znajdujemy – malwersacje, oszustwo, przekupstwo bądź cokolwiek innego – odkrywamy, że w rzeczywistości chciał wiedzieć, czy to przestępstwo może zostać wykryte. Swoista gra. Polowanie na padlinożercę. Jeśli my nie wykryjemy nadużycia, nie zrobi tego również Departament Sprawiedliwości. I zawsze nalegają, żebyśmy utajniali nasze odkrycia. Sprzątali za nich bałagan i trzymali gęby zamknięte na kłódkę. Jeśli się na to nie zgodzicie, mogą nie zapłacić. I puścić w świat wiadomość, że jesteście, no cóż, może trochę zbyt drobiazgowi. Dokuczliwi jak wrzód na tyłku. Nie jesteście firmą, której można spokojnie zaufać.

Takie rzeczy zdarzały się częściej, niż my lub ktokolwiek chciałby przyznać. Dlatego musisz uważać, dla kogo pracujesz. Nie chcesz zostać zamieszany w ukrywanie cudzego przestępstwa.

– Ta sprawa może wybuchnąć nam w twarz – powiedziałem.

Ściszyłem głos. – Tam było prawie miliard dolarów w gotówce.

Banknoty studolarowe zapakowane w „cegły” przez Departament Skarbu.

– I co z tego?

– To, że jest pewien irytujący przepis. Z dwa tysiące pierwszego roku, o przemyście dużych kwot pieniędzy. Jeśli przewozisz więcej niż dziesięć tysięcy dolców w gotówce, musisz wypełnić odpowiednie papiery.

– Och, proszę. Ten przepis nie obowiązuje rządu.

– To nie był lot rządowy. To była prywatna przesyłka.

– Obecnie rząd korzysta z usług prywatnych firm przewozowych.

Dobrze o tym wiesz.

– Do przewozu miliarda dolarów w gotówce? Wątpię.

– Podsumowując, to nie twój problem, Nick. Dorośnij. Nie bądź naiwny.

Teraz wytoczył ciężką artylerię. Według Stoddarda nie było niczego gorszego od naiwności w ocenie rzeczywistych mechanizmów działania tego świata. Tego po prostu nie cierpiał.

– Nie zamierzam moralizować, Jay. Po prostu mówię, że to jedna z tych spraw, które pojawiają się na pierwszej stronie „Washington Post”, a my nagle zostajemy w nią wciągnięci. Najpierw będzie krótka wzmianka. Potem poświęcą nam osobny artykuł na pierwszej stronie.

– Tylko jeśli naprawdę złamano prawo, czego nie wiemy, i tylko jeśli ktoś zacznie gadać. Jeżeli nie, to nic nam nie grozi.

– Ty naprawdę wierzysz w dobroć ludzkiej natury, prawda?

Przekonałem się, że jedyny skuteczny sposób na wygranie sporu z Jayem to okazać się większym cynikiem niż on.

Śmiał się głośno i długo. Jay ładnie się śmiał, ale w zębach trzonowych miał sporo złotych wypełnień, które błysnęły w świetle.

– Posłuchaj, Nick. Świat to paskudne miejsce. Jestem pewny, że twój ojciec może ci o tym opowiedzieć więcej niż ja. Zadzwoń do niego. Zapytaj go.

Uniósł jedną brew, co zawsze sam chciałem umieć robić. Nie sądzę, że Stoddard próbował być złośliwy. Zapewne w zamierzeniu miał to być *coup de grâce*, nokautujący cios.

– Nie sądzę, by w jego więzieniu pozwalano odbierać telefony – powiedziałem. – Chociaż przyznaję, że nigdy nie sprawdzałem.



Jeśli przyjrzyście się naprawdę dokładnie największym, najgłośniejszym skandalom z ostatnich trzydziestu paru lat, znajdziecie czającego się gdzieś w cieniu Jaya Stoddarda. W roli detektywa, adwokata lub doradcy. Czy w informacjach o aferze Iran-Contras w czasach Reagana, czy w procesie o oszustwo kanadyjskiego magnata mediów. Albo w jednym z tuzinów seksskandali w Kongresie. I wielu innych sytuacjach, które mogłyby wywołać okropne reperkusje, gdyby nie pracował nad nimi Stoddard.

Jednak musielibyście wiedzieć, gdzie szukać, ponieważ Jay nie lubił zostawiać za sobą śladów. I zawsze wołał być po zwycięskiej stronie.

Jeden z nielicznych przypadków, gdy wybrał niewłaściwą stronę, zdarzył się, kiedy zgodził się pracować dla mojego ojca. Victor Heller został aresztowany i oskarżony o oszustwa księgowo, malwersacje i kradzież dużych sum pieniędzy, ale jako człowiek sprytny i bardzo ustosunkowany, zatrudnił najlepszą na świecie firmę detektywistyczną, aby pomogła broniącym go adwokatom. Na nieszczęście dla obu, Jaya i taty, fakty wyszły na jaw. Tata poszedł do więzienia na dwadzieścia osiem lat.

Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że to z poczucia winy Jay Stoddard zatrudnił mnie, czarną owcę w rodzinie, która porzuciła college, aby wstąpić do sił specjalnych. Owcę, która dołączyła do armii zamiast do Goldman Sachs. Później jednak Jay zaczął się chwalić, że byłem jego najlepszym nabytkiem. „Ci Hellerowie mają coś w genach”, mówił.

– Złodziejstwo – lubilem odpowiadać.

Kręcił głową ze smutkiem w oczach.

– Twój ojciec był błyskotliwym mężczyzną. To cholerna szkoda, że...

– Tak czy inaczej, prawdopodobnie cała ta sprawa jest zupełnie niewinna – oświadczył teraz. – Po prostu to zostawmy, dobrze?

– Ciekawe, czy gdybym sprawdził kilka numerów seryjnych tych banknotów, to okazałyby się one częścią tej gotówki, która zaginęła w Bagdadzie kilka lat temu?

– Być może. Jednak po co miałbyś to robić?

– Z ciekawości.

Zaczynałem go wkurzać. W jego głosie słychać było coraz większe zniecierpliwienie.

– Nick, mamy tu mnóstwo roboty. Po prostu ruszajmy dalej, dobrze?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem ochoty rozpoczynać wojny z Jayem. A z pewnością nie takiej, której nie mogłem wygrać. Ponadto mógł mieć rację.

– Zapomnij o tym, Jake – rzekłem. – To Chinatown.

Przypomnienie jednego z najlepszych tekstów z ulubionego filmu Jaya najwyraźniej go udobruchało. Zaśmiał się serdecznie.

– No dobrze – powiedział – jeśli o mnie chodzi, to się nigdy nie wydarzyło.

Wybaczył mi. Jakbym niechcący obraził jego żonę. Bardzo niewielu ludzi potrafi zachowywać się tak przyjaźnie jak Jay, kiedy chce.

– Nie przejmuj się tym – powiedziałem.

Szkoda, że na tym nie poprzestałem.

12.

Kiedy znalazłem się w swoim gabinecie, zauważyłem mrugające światełko poczty głosowej. Wszystkie rozmowy przechodziły przez naszą główną centralę telefoniczną i były odbierane przez Elizabeth, naszą angielską recepcjonistkę. Większość dzwoniących zostawiała jedynie nazwisko lub numer, a ona zawiadamiała mnie o tym e-mailem. Czasem brakowało mi tych starych różowych karteczek z wiadomościami, których stosik zwykle zbierał się podczas mojej nieobecności, gdy pracowałem w McKinsey & Company. Jednak czasem, szczególnie jeśli sprawa była poufna albo dzwoniący nie chciał podać swojego nazwiska, Elizabeth zostawiała informacje na mojej poczcie głosowej.

Usiadłem na fotelu przy biurku i obróciłem go na tyle, aby patrzeć przez okno na K Street, po czym odsłuchałem wiadomości przez głośnik telefonu. Ładna młoda dziewczyna w pomarańczowej bluzce wyszła z restauracji po drugiej stronie ulicy i klękła przed stojącą na chodniku sztalugą z menu. Raz po raz odrzucała do tyłu swoje długie brązowe włosy, wypisując na tablicy specjalności dnia.

Jedna z wiadomości była od starego kolegi z wojska i dotyczyła cotygodniowego meczu koszykówki. Inna od kobiety, z którą spotykałem się zupełnie niezobowiązująco.

Jednak nie było żadnych wieści od porucznika Garvina z waszyngtońskiej policji, chociaż zostawiłem mu już dwie wiadomości. Tak więc spróbowałem ponownie, połączyłem się z pocztą głosową i zostawiłem trzecią wiadomość.

Tymczasem musiałem zadzwonić do paru osób.

Jay Stoddard wyraźnie powiedział mi, żebym przestał zadawać pytania dotyczące Traverse Development, ale to było jak machanie czerwoną flagą przed bykiem. Nigdy nie lubiłem słuchać rozkazów, co było jednym z powodów tego, że bez żalu odszedłem z wojska, a potem z agencji rządowej. Jednak przyznaję, że ta cecha nie czyniła mnie idealnym pracownikiem.

W każdym razie nie wypytywałem o Traverse Development, cokolwiek kryło się pod tą nazwą. Pytałem o prawie miliard dolarów w gotówce przewożony przez Traverse, a to, teoretycznie, była zupełnie inna sprawa. Może dzieliłem włos na czworo, nieważne – byle zadziało.

Plastikowe opakowanie na ceglach z pieniędzmi wskazywało, że pochodziły z nowojorskiego Federalnego Banku Rezerw w East Rutherford, New Jersey. Tam znajdował się największy skarbiec w kraju. Mieli tam ludzi, którzy zajmowali się wyłącznie analizą obiegu pieniędzy na świecie – co prawdopodobnie jest jednym z tych zajęć, które wydają się ciekawsze, niż są w rzeczywistości. Zadzwoniłem do działu międzynarodowych operacji gotówkowych w centrum operacyjnym East Rutherford, przedstawiłem się, podając prawdziwe nazwisko oraz firmę, i powiedziałem im, że w trakcie pewnego śledztwa znalazłem małą paczkę z gotówką w walizeczce należącej do podejrzanego o handel narkotykami. Podałem kobiecie jeden z numerów seryjnych.

Wróciła do telefonu dopiero po ponad pięciu minutach. Zarzuciła mnie pytaniami. Gdzie dokładnie działał ten handlarz narkotyków? Ile było gotówki? Z jakiej serii były te banknoty i czy miały kolejne numery?

Powiedziałem jej, że numery seryjne wszystkich studolarówek zaczynały się od DB – przynajmniej te, na które spojrzałem.

– Cóż, proszę pana, pierwsza litera, D, oznacza, że jest to seria z dwa tysiące trzeciego roku. Druga litera, B, oznacza, że zostały wydrukowane przez federalną mennicę w Nowym Jorku.

– No cóż, to już coś – powiedziałem. – Chciałbym jednak wiedzieć, czy była to część jakiegoś większego transportu pieniędzy?

– Tego nie mogę panu powiedzieć, proszę pana. – Ton głosu kobiety zmienił się ze „znudzonego, ale przyjacielskiego” na „oficjalny i surowy”.

– Wielka szkoda – odparłem. – Ponieważ jeśli federalni nie pomagają policji odzyskać gotówki ukradzonej z jednej z ich przesyłek, to naprawdę poważna sprawa. Jedna z tych, w które mój kolega, przewodniczący Komisji do spraw Nadzoru i Reform Rządowych z przyjemnością wbije pazury. Wie pani, jak oni kochają takie skandale. Może mi pani jeszcze raz przeliterować swoje nazwisko?

Jeżeli jest coś, czego biurokrata boi się bardziej niż tego, że będzie musiał pracować dłużej niż do piątej, to zeznawania przed Kongresem.

Kiedy odkładałem słuchawkę, miałem już potwierdzenie swoich podejrzeń. Oczywiście, te pieniądze w samolocie były częścią sławnych dziewięciu miliardów dolarów, które przed kilkoma laty zniknęły w Bagdadzie.

Jednak nadal nie wyjaśniłem, co się kryło pod nazwą Traverse Development, a niełatwo będzie to rozpracować z tego biura. Nie z Jayem Stoddardem zaglądającym mi przez ramię. I nie bez zadawania pytań o Traverse, tak jak mu obiecałem.

Miałem starego przyjaciela, Waltera McGeorge'a, który był ekspertem w TSCM, co stanowiło skrót od Technical Surveillance Countermeasures. Krótko mówiąc, Walter wykrywał podsłuchy i był od tego najlepszym specem, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Walter był kiedyś łącznościowcem mojego zespołu w siłach specjalnych. Jego przeszkolenie obejmowało wszystkie rodzaje łączności – od przewodowej przez radiową po satelitarną i tym podobne. Wszystko – od kodowanych transmisji satelitarnych po staromodny alfabet Morse'a. Gdzieś po drodze „Walter” został „Ryjem” z powodu swojego niewielkiego podobieństwa do Prosiaka Porky'ego, a

zyskawszy podziw kolegów z zespołu, stał się „Merlinem”. Został zwerbowany do tej samej sekcji wywiadowczej Pentagonu co ja, jednak wytrzymał tam dłużej. Kiedy w końcu zdecydował, że chce odejść, załatwiłem mu pracę polegającą na wykrywaniu podsłuchów dla firmy TSCM w Marylandzie. Wykonał dla mnie szereg zleceń, ponieważ Stoddard Associates nie miało w swoim składzie specjalistów od wykrywania podsłuchów: w dzisiejszych czasach to zajęcie wymaga bardzo wysokich kwalifikacji. Wszystkie duże firmy detektywistyczne wynajmują do tej roboty ekspertów z zewnątrz.

Dodzwoniłem się na jego komórkę. W słuchawce słyszałem trzaski, więc zapytałem go, czy nie przeszkadzam mu w pracy.

– Tak – odpowiedział jak nawiedzony. – W pracy nad tasergalem.

Merlin był zapalonym wędkarzem i trzymał niedużą łódź w Harbour Cove Marina w zatoce Chesapeake.

– Muszę wysłać komuś przesyłkę – rzekłem. Zanim zdążył zażartować, że nie jest moją sekretarką, dorzuciłem: – Mam adres skrytki pocztowej i chcę, aby znalazło się tam urządzenie GPS. Myślisz, że mógłbyś wysłać FedEksem paczkę z Letter Loggerem?

– Piszesz powieść historyczną?

– Powieść historyczną?

– Jeśli mówisz o Letter Loggerze, który ma pół centymetra grubości i mieści się w kopercie biznesowej numer dziesięć, no cóż, ten rejestrator tylko zapisuje, gdzie był, a ty odczytujesz zapis później. Nie działa w czasie rzeczywistym. Musisz zdobyć go z powrotem, aby ściągnąć dane. A mam przeczucie, że już go nie odzyskasz.

– Potrzebny mi działający w czasie rzeczywistym. Podejrzewam, że paczka FedEksu zostanie dostarczona do skrzynki i zapewne zainiesiona do siedziby firmy, gdzie zostanie otwarta.

– Może tak. A może nie.

– Może nie – przyznałem. – Mimo to warto spróbować. Kiedy ją otworzą i zobaczą w środku nadajnik, zniszczą go. Jednak przynajmniej w ten sposób zdobędę prawdziwą lokalizację.

– Tak myślisz, co?
– Taką mam nadzieję. Dlatego do ciebie dzwonię.
– No cóż, sprawa wygląda następująco. Jeśli chcesz użyć nadajnika GPS, który potrafi przesyłać w czasie rzeczywistym informacje o swojej lokalizacji, musi to być coś większego od Letter Loggera. Urządzenie pracujące w czasie rzeczywistym i przekazujące dane w formie wiadomości SMS. Na baterię litowo-jonowa. Powinna wystarczyć na dziesięć dni.

- Sądzisz, że możesz wysłać mi to urządzenie jeszcze dzisiaj?
- Jak tylko wrócę do biura.

Ktoś próbował się ze mną połączyć. Rozpoznałem numer. Powiedziałem Merlinowi, na jaki adres ma wysłać paczkę.

- Dzięki, człowieku. Udanych łowów – rzekłem.

Potem przełączyłem się na drugą linię.

– Porucznik Garvin – powiedziałem. – Dziękuję, że pan odzwania.

– Dobrze, że pan zadzwonił, panie Heller – rzekł gliniarz. – To naprawdę zabawny zbieg okoliczności. Chciałem porozmawiać z panem o pańskim bracie.

13.

Główna siedziba wydziału do spraw brutalnych przestępstw waszyngtońskiej policji była schowana za pewnym okropnym centrum handlowym na południowym wschodzie Waszyngtonu, za Pennsylvania Avenue. Pojechałem tam zaraz po pracy. Drzwi otworzyły się z brzękiem elektronicznego zamka i wszedłem do słabo oświetlonego korytarza, który śmierdział wymiocinami – odór słabo maskowany dezodorantem o niemal równie paskudnym zapachu. Minąłem otwarty pokój konferencyjny, w którego drzwiach rozciągnięto żółtą taśmę do ogrodzania miejsc zbrodni, zapewne po to, aby ludzie nie wdepnęli w kałużę na podłodze.

Detektyw porucznik Arthur Garvin spotkał się ze mną w połowie drogi do holu. Nie wyglądał tak, jak się spodziewałem. Miał prawie profesjonalny wygląd: grube okulary w stalowych oprawkach, postrzępioną kosią bródkę, zaczerwienione nozdrza. Jadąc tutaj, zadzwoniłem do Dorothy i poprosiłem, aby go szybko sprawdziła. Miał sześćdziesiąt cztery lata, trzydzieści dwa lata służby i odmówił przejścia na emeryturę. W policji i straży pożarnej obowiązkowy wiek przejścia na emeryturę to sześćdziesiąt lat, ale w specjalnych przypadkach robiono wyjątki. Wiedziałem, że większość gliniarzy chce jak najszybciej przejść na emeryturę. Ci, którzy pracują dłużej, kochają to, co robią.

Miał na sobie jasnoniebieską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, z równymi załamaniami. Nie należał do facetów lubiących poliestry.

Był schludny i uporządkowany, chociaż duża ciemna plama tłuszczu na środku kieszeni na piersi trochę psuła efekt.

Potrząsnął moją dłoń. Jego była wilgotna.

– Chodźmy do mojego gabinetu. Zazwyczaj rozmawiamy w pokoju konferencyjnym, ale właśnie jest sprzątany.

– Śmierdzi, jakby komuś zaszkodził Jack Daniels – powiedziałem.

Skrzywił się.

– Nie, coś tu chodzi po ludziach. Jakby wirus grypy żołądkowej.

Mówił, jakby miał zajęte gardło, i pociągał nosem.

Miał własny gabinet, chociaż ciasny i bez okna, z brzydkim dywanikiem, drewnianymi panelami oraz mnóstwem oprawionych w ramki dyplomów i nagród. Przypominało mi to domowe biuro urządzone w piwnicy.

Garvin usiadł za biurkiem i pociągnął duży łyk kawy z gigantycznego kubka.

– Kawy?

– Nie, dzięki.

– A zatem zjadacz węży, tak?

Wzruszyłem ramionami. On też mnie sprawdził.

– Czy nie tak nazywają was, Zielone Berety?

Nie znałem w siłach specjalnych nikogo, kto by używał określenia „zjadacze węży”. Wszyscy przeszliśmy przez dość paskudny program szkoleniowy zwany Q Course, ale w rzeczywistości nie trzeba było gotować ani jeść węża. Może kiedyś tak było. Nikt nas również już nie nazywał „Zielonymi Beretami”. Nie od czasów Johna Wayne'a.

– Pewnie tak – odrzekłem.

– Pracuje pan w Stoddard Associates od około trzech lat.

– Tylko tyle? Wydaje mi się, że dużo dłużej.

– Podejrzewam, że jest pan tu z powodów osobistych, a nie zawodowych.

– Zgadza się.

Kichnął, wyciągnął zgniecioną chusteczkę i głośno wydymuchał

nos. Rzucił ukradkowe spojrzenie na zawartość chusteczki, zanim ją ponownie zgniótł i wepchnął do kieszeni spodni.

– Przepraszam. Nie powinienem był dzisiaj przychodzić do pracy, a teraz złapie pan ode mnie to cholerstwo.

– Ja nie choruję – rzekłem.

– Takie mówienie przynosi pecha. Teraz naprawdę pan się pochoruje.

– Nie jestem również przesądny – powiedziałem. – Gdzie pański partner? Scorpino? Scardino?

– Scarpino. Tony zajmuje się inną sprawą. Dostał inny przydział.

Wiedziałem, co to oznacza. Sprawa została uznana za nisko priorytetową. Teraz pracował nad nią tylko jeden gliniarz.

– Dziękuję, że znalazł pan czas na spotkanie ze mną – rzekłem. Gliniarze są przepracowani i kiepsko opłacani, przemęczeni i niedoceniani, a ja zawsze staram się dać im znać, że ich doceniam. Ponadto zazwyczaj czują urazę do ludzi, którzy wykonują mniej więcej taką samą pracę jak oni, ale zarabiają znacznie więcej. Nie mogłem ich za to winić.

Kichnął ponownie.

– O Jezu – jęknął. Wyciągnął chusteczkę i powtórzył cały rytuał, włącznie z ukradkową inspekcją.

– Jestem wdzięczny za wszystko, co pan robi, aby odnaleźć mojego brata. Chciałbym pomóc, gdybym tylko mógł.

– Pan i pański brat jesteście z sobą dość blisko, co?

Przyglądał mi się przez kilka sekund znad brzegu swego kubka z kawą. Grube szkła jego okularów powiększały mu oczy, przez co wyglądały dziwnie, jak ślepiea jakiegoś kosmity. Gdybym coś przeszkrobał, z pewnością byłbym przestraszony. Prawdopodobnie facet był dosyć skuteczny podczas przesłuchań.

Pokręciłem głową.

– Od lat nie.

– To musi być trudne, mieszkać w tym samym mieście i w ogóle.

– Obracamy się w różnych kręgach.

– Yhm. – Odstawił kubek i odwrócił fotel w stronę monitora komputera. – A co z panią Heller? Z nią też nie jest pan w dobrych stosunkach?

– Wspaniale się między nami układa. Lubię jej dzieciaka.

– Jej dzieciaka? Ma pan na myśli: ich dzieciaka?

– Cóż, pasierba Rogera. Jednak Roger jest jego ojcem, odkąd Gabe ukończył dwa lub trzy lata.

– A więc jest pan z nią w kontakcie?

– Od czasu do czasu. Gabe i ja rozmawiamy mniej więcej raz w tygodniu.

Przeszła mi przez głowę myśl, że być może uważa mnie za podejrzanego. Były żołnierz sił specjalnych, co oznaczało, że jestem zdolny do strasznych rzeczy. Nieżonaty i obecnie z nikim niezwiązany. Tak więc naturalnie musiałem spiskować z żoną brata, aby zabić jej męża i żyć z nią długo i szczęśliwie.

On jednak nie miał ochoty podążać tą ścieżką.

– Czy kiedykolwiek mówiła o swoim małżeństwie?

– Nie. Nie łączą nas tego rodzaju relacje.

– Przypuszczam, że pana brat również nie rozmawiał z panem o takich sprawach.

– Zgadza się.

– Zatem pomiędzy nimi mogły istnieć poważne problemy, o których może pan nie wiedzieć.

– Teoretycznie tak. Prawdopodobnie jednak coś bym zauważył.

– Narkotyki?

– O ile wiem, nie.

Postukał w klawiaturę.

– Czy pan wie, czy pana brat obstawiał u bukmacherów?

– U bukmacherów? Roger? Nie sądzę, aby kiedykolwiek widział wyścigi konne. Poruczniku, myślę, że ta droga prowadzi donikąd.

– A więc jaką drogą powinienem iść, panie Heller?

– Mój brat prowadził różne skomplikowane negocjacje finansowe dla Gifford Industries. Stawki są dość duże, partnerzy w interesach,

konkurencja i tym podobne. Nie zdziwiłbym się, gdyby narobił sobie jakichś wrogów. Złych gości.

- Czy ma jakichś wrogów, o których pan wie?
- Nie chcę przyprawić pana o zespół cieśni nadgarstka.
- Aż tylu, tak?
- Roger ma irytujący sposób bycia. Jestem pewny, że nieustannie

wkurzał ludzi.

- Może niewłaściwych ludzi.
- Może.
- Takich, przed którymi chciał uciec.
- Możliwe. – Patrzyłem, jak przez kilka sekund stuknął w klawiaturę, a potem dodałem: – Zakładam, że śledzicie jego karty kredytowe.

Pisał jeszcze chwilę, później pociągnął nosem i odwrócił się do mnie.

- Ha. Nie pomyślałem o tym.

Jego sarkazm był suchy jak wiór. Podobał mi się. Zostawiłem to w spokoju.

– Rozumiem, nic się nie pojawiło. Przepuścił pan jego nazwisko przez standardowe bazy danych, NCIC i tak dalej?

– Kolejna wspaniała sugestia – powiedział. – Jak dobrze, że pan przyszedł. Na to też bym nie wpadł. – Kichnął i wydmuchał nos, jednak tym razem nie kłopotał się sprawdzaniem chusteczki. – Ma pan dla mnie jeszcze jakieś rady?

– Co ze sprawdzeniem tych kamer, których macie mnóstwo w całym mieście?

– Tak naprawdę, panie Heller, nie mamy w Georgetown ani jednej kamery.

To była dla mnie nowość.

- Nie ma przestępczości w Georgetown, co?
- Nie ma pieniędzy – powiedział Garvin. – Chyba niektórzy nazywają to mędrkowaniem.

Zignorowałem tę uwagę.

– A co z kamerami ulicznymi? Widziałem ich mnóstwo w Georgetown.

– One niczego nie nagrywają. Monitorują, ale tylko wypadki związane z ruchem ulicznym.

– Na przykład przejazd na czerwonym świetle.

– Na przykład.

– Jednak w tej części Georgetown powinny być tuziny, może nawet setki prywatnych kamer. W biurach, ambasadach, czy niektórych kamienicach. Ktoś to sprawdzał?

Obrzucił mnie tym kostycznym spojrzeniem kosmity.

– Może uda nam się ściągnąć Gwardię Narodową do pomocy. Nie sądzę, abyśmy włożyli tyle wysiłku w poszukiwanie Osamy bin Ladena. Dlaczego pan sądzi, że mamy tylu ludzi do jednej sprawy zaginięcia?

– Oczywiście, że nie macie – odparłem rzeczowo. – Jednak bądźmy szczerzy, poruczniku. To prawdopodobnie zabójstwo.

– Tak pan myśli?

– W tym momencie szanse, że mój brat żyje, są bardzo małe. Wie pan o tym tak samo dobrze jak ja.

– Ta. Interesujące. Cóż, pan jest ekspertem. – Dwa razy kichnął i przeprowadził całą operację z chusteczką. – Jako wysoko opłacany detektyw w Stoddard i tak dalej.

– Poruczniku Garvin – rzekłem – to jest pana sprawa, nie moja. Rozumiem to. Chcę po prostu pomóc.

– Tak? Zatem może mi pan coś wyjaśni.

– Dobrze.

– Skoro jest pan taki pewny, że pański brat został porwany przez nienazwanych „wrogów” i prawdopodobnie zabity. Jak pan wyjaśni fakt, że jakieś pół godziny po tym, jak on i jego żona zostali napadnięci, pojechał do bankomatu Wachovia Bank i pobrał pieniądze?

Wytrzeszczyłem oczy.

– To jakby zwiększa szanse na to, że pański brat żyje, prawda? – zapytał i ponownie kichnął.

14.

– Nie wygląda pan na zaskoczonego.
– Ponieważ to nie on – powiedziałem. W rzeczywistości, w pierwszej chwili zbiło mnie to z tropu, ale zachowałem pokerową twarz. Zatem Garvin śledził konta bankowe Rogera. – Może pan poprosić o kasetę wideo z bankomatu – zaproponowałem tylko po to, żeby zobaczyć jego reakcję.

Garvin zaczął prychać z oburzeniem, ale zaraz się uśmiechnął.

– Ma mnie pan – mruknął. – Wachovia prześle nam ją, jak tylko ją wyciągną.

– Ktokolwiek porwał mojego brata, zabrał mu jego kartę i zmusił do wyjawienia PIN-u. Roger nie wybrałby pieniędzy dobrowolnie.

– Tak, pewnie.

– Nie ma innego sensownego wyjaśnienia. Jestem pewny, że mój brat ma kilka kont bankowych. Które to było?

– Jego osobisty rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy. Konto, którego najczęściej używa do pobierania gotówki.

– O której to było godzinie?

– O dwudziestej trzeciej dziewięć. Szesnaście minut po tym, jak ktoś zadzwonił pod dziewięćset jedenaście, że widział jego żonę leżącą na ziemi.

– A zatem to musiał być napad – powiedziałem. – Gdyby ktoś porwał go z jakiegoś powodu, nigdy nie narażałby się dla... ilu, tysiąca

dolców? To maksymalna kwota, jaką Roger mógł jednorazowo wybrać.

– Prawdopodobnie.

– A więc napad, który źle się skończył.

– Jeśli przez „źle się skończył” ma pan na myśli, że go zabili, to gdzie jest ciało?

– Niech pan mi to powie.

– Racja – rzekł Garvin z tłumioną niechęcią.

– Jest również możliwe, że nadal go przetrzymują.

– To pana wielka teoria o porwaniu, tak?

– Proszę posłuchać, poruczniku, macie za mało ludzi. Brak wam połowy tych możliwości, jakie ma moja firma. To nie w porządku, ale tak jest. – Zignorowałem jego zimne spojrzenie. – Mamy dostęp do pewnych bardzo potężnych i bardzo drogich baz danych. Co pan na to, żebym wykorzystał nasze moce przerobowe? Domyślam się, że w takiej sprawie jak ta przyda się każda pomoc, jaką pan może otrzymać.

Garvin zdjął okulary i położył je na stercie starannie poukładanych teczek. Zamknął oczy i pomasaował powieki czubkami palców, mocno naciskając.

– Może pan wierzyć lub nie, panie Heller, ale to nie jest moje pierwsze rodeo.

To nigdy nie jest pierwsze rodeo dla nikogo, prawda?

– Mówię jedynie o narzędziach śledczych, które mamy do dyspozycji.

– Dziękuję, ale nie skorzystam.

– Mamy możliwość lokalizowania aktywów i korzystania z baz danych korporacji oraz organów ścigania, jaką zapewne według pana ma tylko Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Mamy dostęp do międzynarodowych danych, jaki chciałoby mieć CIA i NSA. Proszę mi nie mówić, że odrzuci pan trop, jeśli panu jakiś podrzucę.

– Prawdę mówiąc, tak. Odrzucę go. Nie mogę wykorzystać niczego, co pan znajdzie, panie Heller. Nie zostałyby to dopuszczone w sądzie. Nie mogę ryzykować odrzucenia dowodów.

– Niech pan zapomni o procesie. Jeśli dojdę do tego, co się stało z Rogerem, nie zignoruje pan tego, co znajdę.

– Wiem, że chce pan odnaleźć brata – powiedział Garvin. – Rozumiem to. Jeśli jednak zacznie pan mieszać się w moje śledztwo, spieprzy je pan. Jeśli zacznie pan rozmawiać z potencjalnym celem, zanim weźmiemy go na muszkę, wytrąci pan nam z ręki wszystkie atuty. Cel zacznie niszczyć dowody i tworzyć sobie alibi. Nie mogę na to pozwolić.

– To także nie jest moje pierwsze rodeo.

– Tak, pewnie.

– To pan jest tu zawodowcem, nie ja – rzekłem. – Nie przyszedłem tu po to, żeby robić panu koło tyłka, a już na pewno nie szukam uznania. Jeśli przypadkiem znajdzie pan w swojej skrzynce pocztowej kopertę z jakimiś interesującymi informacjami, proszę jej nie wyrzucać. Tylko to mówię.

– O nic pana nie prosiłem – oświadczył Garvin.

– Absolutnie nie.

– A już na pewno o nic nielegalnego.

– Nigdy – odrzekłem.

Garvin patrzył na mnie przez sekundę lub dwie, potem skinął głową.

– Dobrze. Tylko żebyśmy się zrozumieli. Nie chcę, żeby pan cokolwiek robił.

– Do diabła, nie – przyznałem i uśmiechnąłem się. Wręczyłem mu wizytówkę. – To numer mojego telefonu komórkowego. Proszę dać mi znać, gdyby odkrył pan coś ciekawego, dobrze?



Mój samochód – a może powinienem powiedzieć furgonetka – to stary, przerobiony land rover defender 90. Toporny, funkcjonalny, niezniszczalny i całkowicie niezawodny. Nie jest to żadna tam luksusowa bryka ani salon na kółkach, tak jak range rover. Wysokie stalowe pudło z ręcznie otwieranymi szybami i spartańskim wnętrzem,

które może holować samochody i pokonywać rzeki. Prawdziwy terenowy wóz, chociaż odkąd zacząłem pracować w Stoddard, moje jazdy w terenie ograniczały się do zwirowych dróg dojazdowych w Nantucket.

Defender był prezentem od wdzięcznego jordańskiego handlarza bronią. Doradzając mu, jak poprawić bezpieczeństwo jego rezydencji w Belgravii, popełniłem błąd, podziwiając ten wóz. Wyremontował samochód, odmalował w oryginalnym kolorze lśniącej morskiej zieleni i przysłał mi. Samochód był wyprodukowany w 1997 roku, ale wyglądał jak nowy.

Właśnie do niego wsiadłem, gdy zadzwonił telefon.

- Tak? – rzuciłem w słuchawkę.
- Nick – odezwała się Lauren. – Czy możesz tu przyjechać?
- Co się stało?
- Właśnie dostałam e-mail – powiedziała. – Od Rogera.

15.

Lauren siedziała przed ekranem komputera w małym kącie salonu, który służył jej za domowe biuro. Miała na sobie podkoszulek oraz spodnie dresowe i była bosa. Popatrzyła na mnie, kiedy wszedłem. Domyśliłem się, że płakała. Miała zaczerwienione oczy.

Odchyliła monitor tak, żebym widział ekran. Przeczytałem kilka linijek i przerwałem.

Nadawcą e-maila był Roger.Heller@NaWypadekSmierci.net.

– Na wypadek śmierci? – zapytałem. – Co to, do diabła, jest?

Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę.

– Właśnie sprawdziłam. To usługa pocztowa, która polega na wysłaniu e-maili do twoich bliskich – wyjaśniła. – Po twojej śmierci.

Oboje milczeliśmy przez kilka sekund.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – rzekłem.

– To rzeczywiście trochę makabryczne – przyznała niechętnie Lauren. – Chyba jednak jest to przydatna usługa. Wiesz, jeśli są sprawy, o których chcesz powiedzieć swojej rodzinie po śmierci... – Przygryzła wargę.

– W porządku – mruknąłem.

Położyłem dłoń na jej ramieniu.

Przełknęła ślinę i wytarła łzy grzbietami dłoni.

– Zapisujesz się na automatyczne zawiadomienia e-mailowe. Do nie więcej niż pięciu osób. E-maile są wysyłane po twojej śmierci.

– A skąd oni wiedzą, że nie żyjesz? – zapytałem delikatnie.

– Nie jestem pewna, Nick... Wygląda na to, że przesyłają ci e-maile generowane z zadaną częstotliwością, co tydzień, miesiąc, rok, i masz siedem dni, żeby odpowiedzieć, a jeśli tego nie zrobisz...

Jednak ja już jej nie słuchałem. Przynuram się bliżej ekranu i zacząłem czytać list od Rogera.

*Moja słodka Lauren,
to musi być najdziwniejszy list, jaki kiedykolwiek napisałem.
Ponieważ jeśli go otrzymasz, będzie to oznaczało, że nie żyję.*

Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że Lauren wstaje.

– Muszę sprawdzić, czy Gabe odrabia lekcje – oznajmiła.
Skinąłem głową i wróciłem do czytania.

*Nie mam pojęcia, jak to się stanie.
Jednak po kolei. Chcę, żebyś wiedziała, jak mocno Cię Kocham. Jako mąż nie jestem łatwym mężczyzną w pożyciu, więc może nie zawsze zdawałaś sobie z tego sprawę – i za to wszystko mogę Cię tylko prosić o wybaczenie. Nigdy nie umiałem wyrazić swoich uczuć, ale mam nadzieję, że przynajmniej wiesz, iż starałem się, jak umiałem najlepiej.*

Kto wie, co oni zrobią. Czy postarają się, żeby wyglądało to na samobójstwo? Znasz mnie od dziewięciu lat – wiesz, że za bardzo cieszyłem się życiem, że bym został samobójcą. A może postarają się, żeby wyglądało to na wypadek po pijanemu – chociaż wiesz, że rzadko piję i nigdy nie prowadzę po alkoholu.

A może nie zostawią ciała – żadnego dowodu. Nie mam pojęcia, co będą próbowali zrobić. Jednak jeśli otrzymasz ten list, będzie to oznaczało, że w końcu im się udało.

Mogę jedynie mieć nadzieję, że dostaniesz ten list. Nie jestem tego pewny. Ludzie, którzy próbują mnie powstrzymać, mają możliwość przechwytywania e-maili. Z tego, co o nich wiem, wynika, że są zdolni do o wiele gorszych rzeczy. Zatem jedna kopia pójdzie na Twój służbowy adres e-mailowy, a druga na

prywatny. Mam nadzieję, że otrzymasz przynajmniej jedną z nich. Jestem pewny, że oni potrafią przeczytać ten list – i że to zrobią.

Czy zdołam się uratować, czy nie, poczyniłem odpowiednie kroki, aby ochronić Ciebie i Gabe'a – aby dać Ci możliwość powstrzymania ich. Będziesz wiedziała, co mam na myśli.

Jednak cokolwiek zrobisz, nie możesz nikomu ufać.

Długo zastanawiałem się nad napisaniem osobnego e-maila do Gabe'a, ale ostatecznie postanowiłem zostawić to Tobie. Będziesz wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Powiedz mu, co uważasz za najlepsze. Tylko pamiętaj, żeby mu powiedzieć, jak bardzo go kocham. I że jeśli jest jakieś życie po śmierci, będę go dopingował, i wiem, że wyrośnie na wspaniałego mężczyznę.

I proszę, wybacz mi wszystko to, co namieszałem w Twoim życiu – ten bałagan, jaki za sobą zostawiam.

Tak bardzo Cię kocham.

Roger

PS Proszę, pożegnaj bibliotekarkę.

Kiedy skończyłem czytać, siedziałem przez minutę i gapiłem się na ekran w stanie lekkiej katatonii.

Nagle usłyszałem głos Lauren i odwróciłem się.

– Chce ciebie – powiedziała.

Zajęło mi kilka sekund, żeby zrozumieć, że miała na myśli Gabe'a.

16.

Pokój Gabe'a śmierdział potem i brudną bielizną. Bywałem w pawilonach małp w zoo, w których pachniało ładniej. Sterty brudnych ubrań piętrzyły się wszędzie: na podłodze, na biurku Gabe'a, na odtwarzaczu CD z wielkimi głośnikami. Lauren dawno temu przestała sprzątać po synu, a ich gospodyni, która przychodziła trzy razy w tygodniu, odmówiła wchodzenia do jego pokoju. Ledwo udało mi się dotrzeć do jego łóżka. Jedynym wolnym miejscem wydawało się to na biurku, przed komputerem.

Ściany były pomalowane na jasnopomarańczowo, tak jak chciał Gabe, i obwieszane dziwnym zestawem plakatów. Ten z filmu *Mroczny rycerz* z Heathem Ledgerem wypacykowanym kredką do oczu i szminką, na którym jedynym słowem było „Ha”, ociekające krwią. Plakat z filmu *Strażnicy*: gość wyrzucony z wielkiego budynku, lecące w ślad za nim odłamki szkła, unoszący się w powietrzu żółty guzik emotikonowo uśmiechniętej twarzy opryskanej krwią. I słowa: **SPRAWIEDLIWOŚĆ DOPADNIE NAS WSZYSTKICH. OBOJĘTNIE CO ZROBIMY.** Na jego biurku zalegały stopy komiksów oraz duży album w miękkich okładkach z pracami rysownika Willa Eisnera.

Gabe leżał na łóżku, czytając broszurowe wydanie książki *Joker*, napisanej przez Briana Azzarello. Na okładce znajdowało się groteskowe zbliżenie złowrogiego uśmiechu Jokera, z wyszczerbionymi żółtymi zębami i rozmazaną szminką. Gabe miał na uszach słuchawki

podłączone do iPod'a. Muzyka była nastawiona tak głośno, że mogłem ją usłyszeć, metaliczna, zniekształcona i naprawdę okropna.

Wciąż nie mogłem zebrać myśli, usiłując zrozumieć sens dziwnego i zagadkowego e-maila od Rogera. *Jednak jeśli otrzymasz ten list, będzie to oznaczało, że w końcu im się udało*, napisał. Zatem spodziewał się, że zostanie zabity. *Poczyniłem odpowiednie kroki, aby ochronić Ciebie i Gabe'a* – napisał. *Dać Ci możliwość powstrzymania ich*. Co to mogło być? Może Lauren będzie wiedziała? I co miało oznaczać to dziwaczne postscriptum – *Proszę, pożegnaj bibliotekarkę!* Jakiś szyfr, na pewno, ale jaki?

Usiadłem na skraju łóżka Gabe'a, a on ściągnął słuchawki i wcisnął klawisz pauzy na swoim iPodzie.

- Czego słuchasz? – zapytałem.
- Slipknot.
- No tak, oczywiście. Jakiego kawałka?
- *Wait and Bleed* – odpowiedział. – Przecież wiesz.

Nie uśmiechnął się, ale miał błysk w oku. Lubił tę grę. Wiedział, że nie rozumiem i nigdy nie zechcę zrozumieć tych okropnych wrzasków, których ostatnio zaczął słuchać.

– Ty to nazywasz muzyką? – zapytałem. Dokładnie tak jak stare pierdziele od pokoleń mówią nastoletnim dzieciakom. Pewnie ojciec Mozarta też mu to mówił.

– A czego ty słuchasz? – zapytał Gabe. – Nie, poczekaj, daj mi zgadnąć. Coldplay, prawda?

Trafiony, zatopiony. Jednak przeszyłem go stalowym spojrzeniem.

- I czego jeszcze? Styx? ABBA?
- No dobra, wygrałeś – rzekłem. – Jak ci idzie z komiksem?
- To powieść graficzna – zjeżył się.
- To chyba to samo, prawda?
- Wcale nie.
- Kiedy będę mógł ją zobaczyć?

Zarumienił się i wzruszył ramionami.

- Nie do publicznej konsumpcji, tak?
- Ponownie wzruszył ramionami.
- Bardzo chciałbym ją kiedyś przeczytać.
- W porządku. Może. Zobaczę.
- No dobrze. Chciałeś ze mną pogadać?

Wiercił się na łóżku, aż udało mu się usiąść. Zauważyłem, że ma na sobie czarny podkoszulek z Homerem Simpsonem patrzącym na lufę pistoletu do wstrzeliwania gwoździ. Napis głosił UWAGA! TU SIĘ PRACUJE. Na łóżku obok niego leżał pluszak, sfatygowana żyrafa Banie Baby, którą nazwał Żafa.

Gabe niewątpliwie był dziwnym dzieckiem. Miał czternaście lat, prawie piętnaście, i właśnie wszedł w okres dojrzewania. Był utalentowanym artystą, samoukiem, i większość swojego czasu – kiedy nie czytał książek z komiksami – spędzał na szkicowaniu supercienkim czarnym długopisem. Był przeraźliwie bystry, doskonały z matematyki oraz innych przedmiotów ścisłych i pozował na zmęczonego życiem cynika. Jednak od czasu do czasu w tej kruchej skorupie pojawiała się pęknięcie, przez które można było dostrzec małego chłopca. Chyba nie miał żadnych przyjaciół. Kiedyś powiedział mi, że w szkole nazywają go palantem i oferumą. Było mu przykro z powodu tego, przez co musiał przechodzić. Okres dojrzewania jest wystarczająco trudny dla zwykłego dzieciaka.

Nie był łatwy w pożyciu, dlatego starałem się spędzać z nim jak najwięcej czasu. Zabierałem go do Muzeum Lotnictwa i Kosmosu, do Muzeum Historii Naturalnej oraz do zoo lub też po prostu na spacer. Kiedy był młodszy, nauczyłem go, jak rzucać piłkę w baseballu, i przez jeden nieudany sezon trenowałem jego drużynę Małej Ligi (w końcu doszedł do wniosku, że nie jest stworzony do bycia sportowcem). Raz próbowaliśmy wędkowania, ale obu nas to nudziło. Ostatnio często zabierałem go do sklepów z komiksami, a raz, mniej więcej przed rokiem, namówił mnie, żebym go zawiózł na konwent miłośników komiksów w Quality Inn gdzieś w Wirginii, za co naprawdę należał mi się medal Purple Heart.

- Ten e-mail dotyczył taty, prawda?

Spoglądałem na niego przez kilka sekund, zastanawiając się, co mu powiedzieć.

- Nie musisz mi mówić – rzekł. – Domyśliłem się.
- Szpiegowałeś mamę?
- Oczywiście, że nie. Nie muszę.
- Nie czytasz jej e-maili, prawda?
- W żadnym razie.
- W porządku. To dobrze.
- Wujku Nicku. Zostawił nas, prawda? Uciekł z kimś.
- Czemu tak mówisz, do licha?
- Nie jestem dzieckiem. Wiem to i owo. Co napisał w tym liście?
- O tym musisz porozmawiać z mamą. Jednak nie, on nie uciekł.

Nic w tym stylu.

- Nie okłamuj mnie, wujku Nicku.
- Nie zamierzam. I nie robię tego.
- Czy ty też znikniesz?
- Co masz na myśli?
- Tak jak tata.

Powiedział to nieprzyjaznym tonem, ale tylko maskował w ten sposób swój strach i wrażliwość.

– Chciałbyś – odparłem. – Przykro mi. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Uśmiechnął się mimo woli.

- Nick?! – usłyszałem wołanie Lauren z dołu.
- W porządku – rzekłem, wstając. – Dobranoc. Nie martw się.

Rozpracujemy tę sprawę. Znajdziemy twojego tatę.

– Nick? – ponownie powiedziała Lauren, jej głos był odległy i stłumiony.

Gabe wduślił przycisk pauzy na swoim iPodzie i znów założył słuchawki.

Zamknąłem za sobą drzwi jego sypialni.

– Nick? – Głos Lauren odbił się echem na klatce schodowej. Brzmienie tego głosu kazało mi przyspieszyć kroku. – Czy możesz tu przyjść?

17.

Lauren stała przed swoim komputerem, zgarbiona.

– Popatrz – powiedziała, obracając monitor w moją stronę.

Popatrzyłem i nie zobaczyłem nic niezwykłego.

– Tak?

– Spójrz jeszcze raz.

– Nic tu nie widzę.

– Racja. – Zaczęła przewijać na ekranie zawartość swojej skrzynki pocztowej. – Nie ma go.

Pochyliłem się, patrząc, jak przesuwa kursor w górę i w dół po wykazie wiadomości, które otrzymała tego dnia. Wyglądało na to, że e-mail od Rogera rzeczywiście zniknął.

– Sądysz, że mogłaś go usunąć przez pomyłkę?

– Nie. Jestem pewna. Jego e-mail zniknął. Nie rozumiem tego. – Podniosła głos, bliska hysterii. – Przecież był tutaj.

– Wysłał kopię na twój adres służbowy – przypomniałem. – Możesz stąd sprawdzić swoją biurową pocztę?

– Właśnie to robię.

Jej palce szybko poruszały się po klawiaturze.

– O Jezu – szepnęła po chwili.

– Tam też go nie ma – powiedziałem.

Pokręciła głową.

– Wydrukowałaś ten list?

– Oczywiście, że nie.
– A może zapisałaś na swoim komputerze?
– Po co miałabym to robić? Nick... – Odwróciła się – Nie wymyślałam sobie tego, prawda? Widziałeś ten e-mail.
– Może jest sposób, aby go odzyskać. Mamy w Stoddard Associates kogoś, kto jest magikiem w odzyskiwaniu danych.
– To tak jakby ktoś wszedł na moją skrzynkę i po prostu go wykasował. – Otworzyła przeglądarkę na swoim komputerze i weszła na stronę NaWypadekSmierci.net.

Był to cybernetyczny odpowiednik domu pogrzebowego – kwieciste bukiety po bokach. Zdjęcia ponurych ludzi pojawiały się, a potem blakły w krótkiej animacji – starsi ludzie, młodzi rodzice i dzieci – a przez ekran przewijały się cytaty o śmierci i żałobie. „Nigdy nie pozostawiaj niczego niedopowiedzianego!” – krzyczał banner. „Tego, co chciałeś powiedzieć, tego, czego nie powiedziałeś”.

Było tam pole logowania, a pod nim napis: „Zapomniałeś hasła?”. Zobaczyliśmy to w tym samym momencie.

– Musiał mieć konto – powiedziałem.

Zanim skończyłem mówić, Lauren już wpisywała służbowy adres e-mailowy Rogera, a potem kliknęła WYŚLIJ HASŁO.

Pojawiła się linia w kolorze czerwonym:

ZOSTAŁ WPROWADZONY NIEPOPRAWNY ADRES E-MAIL.

– Spróbuj jego adres domowy – poradziłem.

Wpisała go.

ZOSTAŁ WPROWADZONY NIEPOPRAWNY ADRES E-MAIL.

– Musiał użyć jakiegoś konta pocztowego, o którym nie wiem – powiedziała Lauren. – Cholera. Chociaż czego właściwie moglibyśmy się z tego dowiedzieć?

– Kto wie – odrzekłem. – Tego, kiedy utworzył konto. Jakiego adresu używał. A może niczego. Może po prostu chwytam się brzytwy.

Przeszła do salonu i usiadła na jednej z tych wielkich wygodnych sof z czarnej skóry. Poszedłem za jej przykładem i usiadłem na innej sofie naprzeciwko niej. Na ich ogromnym płaskoekranowym Sony leciały jakieś wiadomości ze świata rozrywki. Głos był wyłączony. Paris Hilton lub któraś z zastępujących ją chwilowo hollywoodzkich celebrytek, unikająca paparazzich.

– Więc Roger miał rację – rzekłem. – Twierdził, że „oni” mogą przechwycić e-mail. Kimkolwiek „oni” są. Nazwał ich „ludźmi, którzy próbują go powstrzymać”.

– Tylko kogo miał na myśli?

– Miałem nadzieję, że ty będziesz miała jakiś pomysł.

Pokręciła głową.

– Nigdy nic nie mówił o...

– O ludziach, którzy grozili, że go zabiją?

– To brzmi paranoicznie. Jak jakieś szaleństwo. Jednak jego e-mail wydaje się najzupełniej racjonalny, nie uważasz?

– Sądzisz, że to on go napisał?

Popatrzyła na mnie, zmarszczyła brwi i posłała mi sceptyczny uśmiech.

– O tym nie pomyślałam. Jednak wydaje się, że on. Powiedziałabym, że na pewno napisał to Roger.

– Zgadza się. Chociaż brzmi bardziej... emocjonalnie, niżbym się spodziewał.

– Nick, nie masz pojęcia... – Wyglądała na zirytowaną. – Nie sądzę, abyś kiedykolwiek poznał go od tej strony. Jego czulej strony.

– Dobrze ją ukrywał.

– Może po prostu przy mnie był inny.

– Bez wątplenia. Milczała przez chwilę.

– Wiesz, to było ostatnie, co do mnie powiedział.

– Co takiego?

– „Kocham cię”.

– Interesujące.

– Czemu interesujące?

Pokręciłem głową i nic nie mówiliśmy przez chwilę.

– Tylko dlaczego nie przyszedł do mnie i nie powiedział, co odkrył i kogo się boi? – zapytała potem.

– Sądzę, że chciał cię chronić. Może uznał, że będziesz bezpieczniejsza, jeśli nie będziesz o niczym wiedziała. Ponieważ przypuszczał, że jego e-mail zostanie przeczytany.

– W takim razie po co w ogóle go wysyłał? – zapytała. – To znaczy, po co fatygował się zapisywaniem na tej makabrycznej stronie „na wypadek śmierci”, a potem wysłał mi e-mail, który właściwie nic mi nie mówi?

– Ja uważam, że powiedział ci dużo. W sposób, jakiego inni nie zdołają zrozumieć. Na przykład to dodane zdanie o bibliotekarce. Jak sądzisz, o kogo mu chodziło?

– Nie mam pojęcia. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz był w bibliotece.

– Nie pisał o „bibliotece”, ale o „bibliotekarce” – przypomniałem.

– Racja – rzekła. – Bibliotekarka.

– Czy „bibliotekarka” to jakiś kod?

– Nic o tym nie wiem.

– A słowo „biblioteka”?

– Naprawdę nie mam pojęcia.

– No cóż, to coś oznacza – rzekłem.

– Co z policją? Rozmawiałaś z nimi?

Przytaknąłem.

– Czy mają jakieś tropy?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Jak do tej pory jeden – odparłem i opowiedziałem jej o podjęciu pieniędzy z konta Rogera po ataku.

– Nie rozumiem tego – powiedziała. – Jeśli oni ukradli kartę do bankomatu, to czy nie potrzebowaliby jego kodu PIN, aby wyciągnąć pieniądze?

Ponownie przytaknąłem.

– Zatem jest możliwe, że wyciągnęli go z Rogera siłą? Trzymali

go na muszce albo coś w tym rodzaju? Co oznacza, że być może on nadal żyje?

W jej oczach było tyle nadziei, że poczułem się paskudnie.

– Tak, to możliwe – odpowiedziałem. Inna oczywista możliwość, której nie chciałem sugerować Lauren, była taka, że kiedy wyciągnęli z niego pieniądze, nie potrzebowali go już żywego. Lauren była zbyt delikatna. Być może straciła męża, ojczyzna swojego dziecka. Nie chciałem pogarszać sytuacji. – Gdzie Roger trzyma swojego laptopa?

– W swoim gabinecie. – Spojrzała na zegarek. – Jest późno. Muszę jutro wstać wcześniej do pracy.

– Jesteś pewna, że będziesz w stanie pracować?

– Tak, tak myślę. Leland mnie potrzebuje. Niezależnie od tego, co mówi.

– Wiesz – powiedziałem – może mogłabyś mi pomóc.

– Jak?

– Dowiedz się, co Roger robił przedtem, zanim to się stało. Nad czym pracował.

– Chodzi ci o to, żebyś popytała dokoła.

– Bądź dyskretna. To może pomóc w wyjaśnieniu spraw.

– Albo i nie.

– Zgadza się. Jednak w tym momencie musimy wszystko sprawdzić. Potem zobaczymy, co mamy. Dobrze?

– Muszę być ostrożna. Jako sekretarka dyrektora naczelnego i w ogóle.

– Oczywiście.

– Zrobię, co będę mogła, Nick.

– Dobrze. Nie masz nic przeciwko, że pogrzebię trochę w gabinecie Rogera, prawda?

– Oczywiście, że nie. Właściwie... może zechcesz spędzić tę noc w pokoju gościnnym?

– Nie ma takiej potrzeby. Mimo to dziękuję.

– Nie, mam na myśli... czy nie masz nic przeciwko temu, aby spędzić tu noc? Jestem naprawdę przestraszona. Najpierw ten

wstrząsający e-mail od Rogera i sposób, w jaki zniknął... To piekielnie mnie przerażyło, Nick. Boję się myśleć, co dzieje się z Rogerem, boję się o Gabe'a i... Jezu, Nick. Jestem zbyt przerażona, aby trzeźwo myśleć o czymkolwiek. Zostaniesz, proszę?

– Oczywiście. Jednak będę musiał wyjść wcześniej, żeby wpaść do mojego mieszkania i się przebrać.

– Zanim wyjdiesz, mnie już pewnie nie będzie. Wcześniej chodzę do pracy.

– A co z Gabe'em?

– Przyjeżdża po niego samochód któregoś z rodziców, na zmianę podwożących uczniów do szkoły. Nie martw się o Gabe'a, wszystko będzie dobrze. Jest przyzwyczajony do tego, że rano zostaje sam.

– Roger też zawsze wychodził wcześniej?

Przytaknęła.

– Czasem jeździmy razem, chyba że chce być w pracy przede mną.

Zauważyłem, że mówię o Rogerze w czasie przeszłym – jakby nie żył – a ona nie zwróciła na to uwagi.

– Biedny Gabe – rzekłem. – Dziecko z kluczem na szyi.

– Tak, racja – powiedziała, wstając i dając mi szybkiego całusa w policzek. Podniosła dwa piloty i wyłączyła telewizor oraz tuner kabłówki.

Wychodząc z salonu, zatrzymała się na chwilę.

– Przepraszam – rzekła. – Myślę, że znasz mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie jestem strachliwa. Wiesz, że nie panikuję. Jednak po kilku ostatnich dniach, kiedy myślę o Gabie i sądzę, że...

– Nie musisz mi tłumaczyć.

– Jestem tylko przestraszona. Rozumiesz? Jestem po prostu przerażona.

Odwróciła się szybko, jakby zakłopotana tym wyznaniem, i poszła w stronę drzwi.

– Lauren! – zawołałem.

Zatrzymała się i odwróciła głowę.

– Nie pozwolę, aby coś wam się stało – zapewniłem.

Lauren odwróciła się, połowę drogi do mnie przeszła, a resztę przebiegła, po czym zarzuciła mi ręce na szyję.

– Dziękuję ci – wyszeptała.

Później równie szybko mnie puściła.

– Pójdę przygotować twój pokój.

18.

Nigdy nie sądziłem, że zobaczę domowy gabinet bardziej pretensjonalny niż ten mojego ojca. Dopóki nie ujrzałem gabinetu swego brata.

Biblioteka taty miała pewien pompatyczny sens, ponieważ mieściła się w trzydziestopokojowej rezydencji zbudowanej w 1919 roku na trzydziestosześćohektarowej posiadłości w Bedford w stanie Nowy Jork. To oczywiście wiejska okolica, gdzie kobiety robią zakupy w bryczesach lub dżinsach z dziurami na kolanach, a mężczyźni chodzą w sandałach i każdy zapada na boreliozę.

Jednak Roger stworzył swoją bibliotekę w znacznie skromniejszym, podmiejskim domu. Połączył kilka pokoi na parterze i zlikwidował sufit, aby utworzyć dwukondygnacyjne studio z galerijką, zastawione oprawionymi w skórę książkami, których nigdy nie czytał, zapewne zakupionymi na metry. Tutaj mój brat czuł się tak ważnym i wielkim panem, jakim z pewnością nie był w pracy, gdzie niewątpliwie tylko wkurzał ludzi.

Znalazłem jego laptopa tam, gdzie powinien być, na ozdobnie rzeźbionym mahoniowym biurku. Leżał tuż obok otwartej książki pod tytułem *Field Guide to Birds of Eastern and Central North America*. Roger był ornitologiem amatorem: obserwatorem ptaków.

Było to hobby, którego nie rozumiałem, jak większości aspektów życia mojego starszego brata. Ja nie miałem żadnego hobby, ale w

zasadzie potrafiłem pojąć, dlaczego facet może chcieć restaurować klasyczne silne samochody, warzyć piwo czy kolekcjonować sportowe pamiątki. Znam księgowych, którzy w pracy nie dzierżyli w dłoni nic bardziej niebezpiecznego od zaostrego ołówka numer 2, ale w piwnicach mieli warsztaty, a w nich piły stolikowe, które potrafiły odciąć kciuk w pół sekundy. Znam łagodnych pediatrów pulmonologów, którzy wieczorami po pracy ścigają się zdalnie sterowanymi wielkimi ciężarówkami lub tną rocka na swych wspaniałych gitarach Fender Stratocaster.

Jednak wstawać o trzeciej rano, aby zobaczyć siwuszkę czarno-bistą? Nie byłem pewien, czy rozumiem ten dreszcz emocji.

Włączyłem laptopa i czekając, przespacerowałem się po gabinecie Rogera. Miał kilka oprawionych w ramki zdjęć mamy i taty razem, jedno w domu i jedno na bankiecie w nocnym klubie. Zdjęcie taty w jego gabinecie na najwyższym piętrze Graystone Building w Nowym Jorku. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur, a za jego plecami rysowały się kontury wieżowców Manhattanu.

Wbudowana szafka na akta z drzewa wiśni była starannie opisana – rachunki, podatki, inwestycje i tak dalej. Otworzyłem kilka szuflad i zobaczyłem, że Roger trzymał kopie swoich rachunków telefonicznych, co ułatwiało mi sprawę.

Sprawdziłem przeszklone drzwi, prowadzące na podwórko, spróbowałem je otworzyć i ucieszyłem się, że są bezpiecznie zamknięte. Uklęknąłem i zauważyłem podstawowy system bezpieczeństwa – magnetyczne kontakty podłączone do obwodu, tak że gdyby ktoś próbował wyłamać drzwi, włączyłby się alarm.

Chociaż coś z nim wydawało się nie w porządku.

Jednak zanim mogłem dokładniej mu się przyjrzeć, usłyszałem wysoki dźwięk dochodzący z komputera Rogera.

Nie wyglądało to dobrze. Ekran był ciemnoniebieski i pokryty niezrozumiałym tekstem – białymi literami i cyframi, bzdurami niemającymi sensu, poza jedną linią, którą zrozumiałem doskonale:

Wykryto problem i Windows został zamknięty,
aby zapobiec wszelkim zniszczeniom na twoim komputerze.

To było to, co maniacy komputerowi nazywają „niebieskim ekranem śmierci”.

Komputer Rogera był martwy. Albo padł, albo – co bardziej prawdopodobne – ktoś go uszkodził.

Miałem pewną teorię, jak mogło do tego dojść – jak ktoś mógł wejść do gabinetu Rogera, żeby to zrobić. Wróciłem do przeszklonych drzwi i uklęknąłem.

Oczywiście. Jeden z magnetycznych kontaktów na ramie drzwi wyglądał na pospiesznie przykręcony. Tak jakby ktoś wykręcił włącznik kontaktu, wyciągnął przewód, a potem zbocznikował włącznik, zanim przykręcił go z powrotem – niedbale. Innymi słowy, ktoś odłączył magnetyczny kontakt, tak aby alarm nie włączył się, kiedy przeszklone drzwi były otwarte.

Co oznaczało, że ktoś już zapewne się tu zakradł.

Ktoś wślizgnął się do domu Rogera i Lauren. Prawdopodobnie, aby go przeszukać. Lub z jakiegoś innego powodu.

I może zamierzał zrobić to jeszcze raz.

19.

Kolejnych czterdzieści pięć minut spędziłem, krążąc wokół domu i szukając innych śladów wtargnięcia, z małą latarką znaną w kuchni, z rodzaju takich, jakie rozdają na wystawach handlowych. Szukałem typowych rzeczy: zagłębień w ziemi, połamanych krzaków, wyważonych zamków, wiórów i tym podobnych. Jednak nie znalazłem niczego. Co nie było żadną niespodzianką: ktokolwiek wdarł się do domu przez gabinet Rogera, nie potrzebował innej drogi. Zaskoczyło mnie, że mieli tak prymitywny system bezpieczeństwa. To będzie musiało się zmienić.

Nie widziałem powodu, aby mówić Lauren o włamaniu. Przynajmniej na razie. Nie było potrzeby, aby jeszcze bardziej ją straszyć.

Poszedłem na górę trochę się przespać.

Pokój gościnny znajdował się w połowie drogi między główną sypialnią a pokojem Gabe'a. Urządzony był w klasycznym, staromodnym stylu – owalny pleciony dywanik, stoliczki nocne z małymi lampkami do czytania. Staroświecka biała narzuta wykonana z tej kosmatej, supełkowatej tkaniny zwanej kordonkiem. Chyba.

Na toaletce w łazience dla gości znajdował się wiklinowy koszyk, który mieścił małą podróżną tubkę z pastą do zębów Colgate, niewielką zafoliowaną szczoteczkę do zębów, buteleczki szamponu i odżywki do włosów, mydełka do rąk z Crabtree & Evelyn. Umyłem zęby, rozebrałem się i powiesiłem swoje rzeczy na mahoniowym wieszaku.

Wszedłem do łóżka nagi. Zapatrzyłem się na jakieś dziwacznie wyglądające ptaki na ścianie – dropia arabskiego, ibisa czczonego, żurawia koroniastego. Zacząłem się zastanawiać, czy są to wymarłe gatunki, a może występujące tylko na Madagaskarze lub gdzieś w amazońskiej dżungli.

Nie mogłem zasnąć. Może przez niezwykle dla mnie dźwięki obcego domu. Może przez tę pościel z egipskiej bawełny o tysiącpięćsetnitkowym splocie, do jakiej nie byłem przyzwyczajony. Zbyt śliska.

Jednak bardziej prawdopodobne było to, że czuwałem, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów świadczących o tym, że ktoś próbuje się włamać do domu.

Zacząłem rozmyślać o swoim bracie. O naszych sypialniach, które w dzieciństwie zawsze sąsiadowały z sobą, ponieważ się tego domagaliśmy. Ze względu na wielkość naszego domu równie dobrze mogły się znajdować o kilometr od siebie.

Przez większość dzieciństwa byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Dzieliliśmy prawie wszystko. Zbliżyliśmy się do siebie w wyniku dziwnej izolacji narzuconej nam przez majątek mojego ojca. A ściśle mówiąc, przez styl życia, jaki wybrał mój ojciec, bo przecież znałem bogatych ludzi, którzy starali się zapewnić swoim dzieciom normalne życie. Posyłali je do publicznych szkół, ukrywali swoje bogactwo najlepiej, jak mogli, jeździli zwykłymi samochodami i mieszkali w zwyczajnych domach.

Jednak nie Victor Heller. On był zręcznym kombinatorem, który wyrósł z klasy robotniczej, aby trząść Wall Street, i chciał, aby wszyscy o tym wiedzieli. Stąd posiadłość w Bedford z końmi i stajniami, a także ziemne korty do tenisa i kolekcja zabytkowych kabrioletów. Przez lata latał do pracy i wracał z niej swoim własnym helikopterem Sikorsky, który lądował na lądowisku na naszym podwórku, dopóki władze miasta nie podały go do sądu, aby położyć temu kres.

Mama była najładniejszą dziewczyną w jego małomiasteczkowym liceum, dorównującą urodą Grace Kelly. Victor Heller zdobył ją

brutalną siłą swojej charyzmy, nieposkromioną wolą i wybujałą ambicją.

Dla świata wydawała się doskonałą żoną z towarzystwa, chociaż wcale nią nie była. Była zbyt mądra, aby odgrywać rolę, jaką tata jej przypisał – słodkiego dodatku u ramienia i ochoczej działaczki organizacji charytatywnych, które wspierał. Jej główną radość życia stanowiło bycie matką, jednak Victor postarał się, żeby nie mogła się tym za często cieszyć. Nalegał, by uczestniczyła we wszystkich wieczornych przyjęciach, balach i weekendach w Verbier, na Majorce czy nad jeziorem Como, chociaż jej najwyraźniej nigdy nie sprawiało to przyjemności.

W rezultacie Roger i ja spędzaliśmy więcej czasu z naszymi nianiami, ogrodnikiem, dozorcą i służbą niż z własnymi rodzicami. Nie czyniło to naszego dzieciństwa wspaniałym, ale przynajmniej nas do siebie zbliżyło. Roger i ja urodziliśmy się w odstępie niecałych dwóch lat – osiemnastu miesięcy, co było niewielką różnicą wieku, mogącą spowodować zawziętą rywalizację. Zamiast tego byliśmy bardziej jak bracia bliźniacy. Wszystko robiliśmy razem.

Jednak mieliśmy odmienne charaktery. Ja byłem buntownikiem, rozrabiaką i sportowcem. Roger zaś intelektualistą, mołem książkowym i z natury samotnikiem. Jednak na swój własny cichy sposób też sprawiał kłopoty. Jedna z naszych gospodyń nazywała go Eddie Haskell. Nie oglądaliśmy tego starego telewizyjnego serialu *Leave It to Beaver*, lecz gdy po wielu latach obejrzałem kilka powtórkowych odcinków w nocnej telewizji, zdałem sobie sprawę, że nasza gosposia nie lubiła Rogera. Eddie Haskell był obłudnym, podstępным lizusem. Dwulicową postacią, która uprzejmie komplementuje śliczną suknię pani Cleaver, jednocześnie płatając jakiś złośliwy figiel, który nieuchronnie wpędzi jej syna, Beavera, w kłopoty.

Jednak Roger nie był tak zły jak Eddie Haskell, a ja nie byłem Beaverem.

Roger lubił zamęczać mnie magicznymi trikami. Spędzał dużo czasu w salonie z przyborami dla magików i radził sobie z nimi równie

zręcznie jak ja na boisku. Jednej z jego ulubionych sztuczek nigdy nie rozpracowałem. Polegała na tym, że Roger wpychał swój kciuk w dziurę, którą wyciął w dwóch złączonych niebieskich kartach, a potem jak gilotynę przesuwał czerwoną kartę między niebieskimi, pozornie obcinając sobie kciuk. Prosiłem go i błagałem, ale nigdy nie powiedział mi, jak to robił.

Mój brat był zręcznym magikiem amatorem, ale jego największym talentem było zawsze dochowywanie tajemnicy.

20.

Leżałem w łóżku, gapiąc się na pęknięcia w suficie, kiedy usłyszałem delikatne pukanie do drzwi.

– Tak? – rzekłem.

– Nick?

Głos Lauren, ściszony i niepewny.

– Wejdz.

– Jesteś pewny, że to będzie w porządku?

– Oczywiście. – Usiadłem na łóżku, podciągając prześcieradło.

Drzwi otworzyły się powoli, skrzypiąc na zawiasach, i zajrzała do środka.

Zauważyła moją nagą klatkę piersiową.

– O mój Boże, przepraszam – powiedziała.

– Wszystko dobrze – rzekłem. – Nie martw się, nie wstanę z łóżka.

Weszła. Teraz miała na sobie jedynie za duży podkoszulek, ale był on na tyle długi i luźny, że wystarczająco skromny. Była rozczochrana.

– Nie mogę zasnąć.

– Ja również.

Usiadła na fotelu do czytania obok łóżka.

– Jak łóżko? – zapytała z troską.

– Wspaniale. Co się stało z bandażem na twojej głowie?

– Nie potrzebuję go. Skaleczenie nie jest głębokie i już się goi. Tylko tak źle wygląda.

Popatrzyła na moją klatkę piersiową, tylko przez moment, potem szybko uciekła wzrokiem.

– Zamierzałam zostawić ci piżamę Rogera.

– Zazwyczaj nie śpiam w piżamach. Poza tym pewnie by nie pasowała.

– Prawda. – Milczała przez kilka sekund. – Myślisz, że Gabe dobrze sobie radzi?

– Trudno powiedzieć – rzekłem. – Jest nastolatkiem.

– O czym chciał z tobą pogadać?

Pokręciłem głową.

– Nigdy nie zdradzam bratanka.

– Gabe czasem mnie przeraża. Widzi zbyt dużo.

– Powinnaś usłyszeć, czego słucha.

– Zawsze tkwi przy komputerze ze słuchawkami na uszach, słuchając tej okropnej muzyki.

– Szkoda, że wyrósł z tych gier wideo, w które grywał przez cały czas, *Halo Trzy* i *Call of Duty Cztery*, w których po prostu sprawdzasz, ilu gości jesteś w stanie zabić. I tym podobnych zdrowych rozrywek.

Pokręciła głową, posłała mi zakłopotany uśmiech.

– I ten jego notatnik. Komiks, nad którym pracuje przez cały czas. Na który nie mogę popatrzeć.

– Powieść graficzna.

Przytaknęła.

– Pokazał ci ją?

– Nie. Jeszcze nie.

– Wiesz, jak bardzo cię podziwia.

– Nie wiem dlaczego.

– Myśli, że jesteś w porzo.

– Nie. On wie, że wcale nie jestem w porzo.

– Cóż, uważa, że jesteś wspaniały.

– Pewnie, czemu nie? Wpadam mniej więcej raz na miesiąc i nie męczę go, żeby odrobił lekcje.

– Nie, to... to tak, jakbyś był tatą, jakiego zawsze chciał mieć. Raz powiedział... – Zmieszała się i chyba zmieniła zdanie, postanawiając nie mówić tego, co prawie powiedziała. – Nie zrozum mnie źle, Roger jest najlepszym ojczymem dla Gabe'a, jakim potrafi być. Zawsze traktował Gabe'a jak rodzonego syna. Jednak to nie mogło być dla niego łatwe, poślubić rozwódkę z małym dzieckiem. A z natury nie jest najbardziej... no wiesz, czuły.

Zamilkła.

– No cóż, nasz ojciec nie był zbyt dobrym przykładem. Małżeństwo naszych rodziców niespecjalnie zachęca do naśladowania – rzekłem.

– To dlatego się nie ożeniłeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie znalazłeś jeszcze odpowiedniej kobiety? – zapytała.

– Znalazłem mnóstwo odpowiednich kobiet.

– A więc...?

– Małżeństwo jest wspaniałe... dla niektórych ludzi. Po prostu nie sądzę, by znajdowało się w zestawie moich umiejętności.

Wydawało się, że usilnie się nad czymś zastanawia. Przygryzła wargę. Przez chwilę spoglądała na swoje dłonie.

– Lauren, czemu Gabe myśli, że Roger uciekł z jakąś kobietą?

– Co? Tak uważa? O Boże, czy tak ci powiedział?

Przytaknąłem.

– To okropne.

– Dlaczego tak sądzi?

– Ponieważ ma bogate życie wewnętrzne. Te komiksy to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

Uśmiechnąłem się, ale ona nie żartowała.

– Muszę zadać ci bardzo osobiste pytanie.

– Chodzi ci o to, czy Roger miał romans?

– To naprawdę nie moja sprawa – powiedziałem. – Chyba że ma

związek z tym, co się z nim stało.

– Rozumiem i odpowiedź brzmi: nie, nie miał romansu.

– Jesteś pewna?

– Czy jestem na sto procent pewna, że nigdy mnie nie zdradził?

Kto może być pewny czegokolwiek na sto procent? Jednak z pewnością tak uważam i sądzę, że dowiedziałabym się o zdradzie.

– Niekoniecznie. Zawsze był naprawdę dobry w dochowywaniu tajemnic.

– Sądzę, że kobiety zawsze wiedzą. W pewien sposób, świadomie lub podświadomie, po prostu wiedzą.

– A ty zgłębiłaś swoją podświadomość.

– Posłuchaj, Nick, ja po prostu wiem.

Przytaknąłem.

– Rozumiem.

Jednak byłem przekonany, że nie powiedziała mi wszystkiego.

21.

Alarm samochodowy obudził mnie o czwartej trzydzieści, więc postanowiłem wstać i zacząć przeglądać archiwa mojego brata w poszukiwaniu interesujących tropów. Zszedłem po cichu na dół do kuchni, znalazłem włącznik światła, a potem przez chwilę rozpracowywałem ekspres do kawy. Jestem dobrym mechanikiem, ale ponieważ nie ukończyłem MIT, jego obsługa przekraczała moje możliwości. W końcu znalazłem włącznik, który zapalił rząd zielonych diod. Maszyna zaczęła mielić ziarna. Mniej więcej po minucie ze stalowej rurki zaczęła kapać kawa – sądząc po wyglądzie, espresso. Nie miałem pojęcia, gdzie trzymają kubki do kawy, ale znalazłem jeden czysty w zmywarce. Przegapiłem pierwszą dawkę espresso, ale zdołałem uzyskać więcej naparu.

Niebawem siedziałem w gabinecie Rogera z dużym kubkiem espresso. Gdzieś w rurach popłynęła woda – ktoś spłukiwał toaletę. Domyśliłem się, że to Lauren. Zapewne nie spała tak mocno jak Gabe. Szczególnie po zaginięciu męża.

Miałem odrobinę nadziei na to, że laptop Rogera ozdrowiał samostnie podczas nocy, ale nie. Nadal pokazywał się niebieski ekran śmierci, pokryty tymi hieroglifami.

Niestety, szafka na dokumenty, która mnie najbardziej interesowała, ta, w której Roger, zgodnie z opisem, przechowywał wyciągi z banku i dane finansowe, była zamknięta na standardowe zamki na zatyczki ze sprężynową blokadą, wyskakującą po otwarciu zamka. Niezbyt skomplikowane. Dziecko mogłoby je otworzyć – cóż,

dziecko niezwykle sprawne manualnie i mające przyzwoity zestaw wytrychów.

Tak więc zacząłem od niezamkniętych na zamek szuflad i znalazłem rząd pękatek teczek z wyciągami z kart kredytowych. Wszystkie starannie uporządkowane według rodzaju (platynowa American Express, różne karty MasterCard i Visa), poukładane w teczkach według dat.

Nie miałem nic konkretnego na myśli. Szukałem głównie jakichś wzorów: powtarzających się wypląt, niecodziennych opłat. Za podróże, restauracje czy cokolwiek. Czegoś, co mogłoby mi powiedzieć o moim bracie coś, czego nie wiedziałem.

Dość szybko dowiedziałem się o Rogerze więcej, niż chciałem wiedzieć.

Na przykład, że farbuję włosy – kilkupozycyjny rachunek z Rite-Aid na farbę do włosów Just For Men oraz inne artykuły, takie jak czopki przeciw hemoroidom Preparation-H i inne preparaty, o których wołałbym nie wiedzieć. Oczywiście nie ma nic złego w tym, że mężczyzna farbuję włosy. Jednak Roger zawsze chwalił się, że to sprawnie działającemu układowi krążenia zawdzięcza swój młodzieńczy wygląd.

Wcale nie. Just For Men. Średniociemnobrązowej.

Oraz – co również odkryłem – kilkukrotnym kuracjom botoksowym. W Advanced Skin Specialists w Silver Spring. Tysiąc pięćset dolców za zastrzyk.

Najwyraźniej mój brat był nieco bardziej prózny, niż twierdził.

Potem na wyciągach operacji dokonywanych jedną z jego kart MasterCard znalazłem kilka powtarzających się opłat za usługi Verizon. Jeden wyciąg dotyczył domowej stacjonarnej linii telefonicznej i obejmował listę połączeń. Trzy pozostałe opłaty były za Verizon Wireless, za trzy różne telefony komórkowe.

Zacząłem więc szukać rachunków telefonicznych Rogera i znalazłem je dosyć szybko w następnej szufladzie. Najwyraźniej miał w domu dwie linie telefoniczne. Jedna z nich była ledwo używana. To prawdopodobnie ta, z której korzystali do wysyłania faksów, w

czasach kiedy ludzie wysyłali faksy. Druga linia, ich podstawowy numer domowy, służyła do połączeń z szeregiem numerów, których nie rozpoznawałem. Najczęściej z numerem w Virginia Beach, gdzie mieszkała siostra Lauren, Maura. Drugim najczęściej wybieranym był numer w Charlottesville w Wirginii, gdzie mieszkała matka Lauren.

Następnie komórki. Główny telefon komórkowy Rogera był jednym z tych promocyjnych, sprzedawanych z nieograniczonym czasem rozmów. Najwyraźniej używał go do pracy – codziennie wielokrotnie dzwonił do Alexandra, prawdopodobnie do centrali przedsiębiorstwa Gifford Industries. Rzadkie telefony do domu, kilka na komórkę Lauren. Drugi telefon komórkowy należał do Lauren, z Gabe'em objętym „planem rodzinnym”.

Jednak pomimo usilnych poszukiwań nie mogłem znaleźć rachunków za trzeci telefon komórkowy, tak więc zanotowałem w myślach, aby zapytać o to Lauren. Następnie zacząłem szukać klucza otwierającego szuflady z wyciągami finansowymi Rogera. Nie znalazłem nic w miejscach, gdzie ludzie zwykle chowają klucze. Wziąłem więc mały śrubokręt i spinacz z jednej z szuflad biurka Rogera i zabrałem się do otwierania zamka.

Usłyszałem znaczące kasznięcie i podniosłem głowę.

Lauren z rękami założonymi na piersi stała w drzwiach i patrzyła na mnie. Miała na sobie pięknie uszytą granatową garsonkę, białą jedwabną bluzkę i wyglądała fantastycznie. Nawet z blaknącymi siniakami i zadrapaniami.

– Wcześniej wstałaś – powiedziałem.

– Leland leci do Luksemburga.

– Dobrze.

– Choć zawsze wcześniej zaczyna pracę. Obudził cię alarm samochodowy?

– Ta.

– Przepraszam za to.

Przeszła przez pokój do biurka Rogera i otworzyła górną szufladę.

– Nie chcę ci psuć zabawy – powiedziała, wyciągając małą szarą

kopertę i wręczając mi ją – ale może łatwiej będzie użyć klucza.

– Ukrytego zupełnie na widoku – rzekłem. – Sądzę, że Edgar Allan Poe napisał coś o tym.

– Czy mogę zapytać, czego szukasz?

– Wypląt większych sum pieniędzy. Czeków. Przelewów z jednego z jego kont lub na jedno z nich.

– Co ci to powie?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy otrzymał pieniądze od kogokolwiek niezwykłego. Albo czy komuś płacił. Szczególnie interesują mnie duże kwoty. Ślad pieniędzy zawsze pomaga.

Przytaknęła.

– Cóż, nie wiem, o której musisz wyjść do pracy, ale Gabe jest zabierany do szkoły około siódmej czterdzieści pięć. Czy możesz dopilnować, żeby coś zjadł na śniadanie? On chyba nie jada śniadań. A naprawdę powinien.

– Spróbuję, ale niczego nie obiecuję. Lauren, czy Roger często używał tego komputera?

– Codziennie. Dlaczego?

– Kiedy ostatni raz widziałś, jak go używał?

Zmrużyła oczy i przechyliła głowę najpierw na jedną, a potem na drugą stronę.

– Ostatniego ranka, kiedy tu był. Dlaczego pytasz?

– Jest usmażony. Kompletnie zepsuty.

– To dziwne.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, zabiorę go do pracy, żeby sprawdzić, czy można odzyskać jakieś dane. I jeszcze jedna sprawa. Czy zazwyczaj włączasz alarm w ciągu dnia?

– Czasami. Czemu?

– Od tej pory chcę, aby był włączony zawsze, kiedy cię tu nie ma. A kiedy ty i Gabe śpicie, chcę, abyś używała nocnych ustawień. Prawdę mówiąc, chciałbym przysłać tu kogoś, kto trochę podrasuje wasz system alarmowy. Zainstaluje coś bardziej wyrafinowanego.

– Naprawdę uważasz, że to konieczne?
– Chcę po prostu, żebyś przedsięwzięła środki ostrożności.
– Naprawdę uważasz, że system alarmowy powstrzyma kogoś, kto zechce wdrzeć się do domu?
– Oczywiście, że nie. Jednak chcę im to maksymalnie utrudnić.
Uśmiechnęła się, ale widziałem napięcie na jej twarzy, zaciśnięte mięśnie szczęki, zmarszczki wokół oczu. Żółknące sińce.
– Och, jeszcze jedno – powiedziałem, gdy się odwróciła, aby odejść. – Nie mogłem znaleźć wszystkich rachunków za telefony komórkowe Rogera.
– Wszystkie powinny być tutaj. Chodzi ci o brak jakiegoś wyciągu czy coś takiego?
– Nie mogę znaleźć żadnych billingów jednego numeru – powiedziałem i przeczytałem go jej.
– To nie jest telefon komórkowy Rogera.
– To konto Verizon Wireless.
– Nigdy nie słyszałam tego numeru – rzekła. – Jesteś pewny, że to jego?
– Jego.
– Przykro mi, Nick – powiedziała. – Nie mogę ci z tym pomóc. To dla mnie zagadka. Wszystkie rachunki zawsze płacił Roger, nie ja.
– Interesujące – rzuciłem.
– Jednak nigdy nie ukrywałby czegoś takiego przede mną. Nie miałby sekretne numeru telefonu komórkowego. Nie Roger.
Stanowczo pokręciła głową i wyszła z pokoju, a ja pomyślałem: Może tak naprawdę nie znasz Rogera.

22.

W drodze do pracy Lauren odsłuchiwała pocztą głosową przez zestaw głośnomówiący lexusa.

Większość wiadomości była od Lelanda. Ilekroć pomyślał o czymś, co chciał, aby zrobiła, zostawiał jej wiadomość na poczcie głosowej.

Minęło kilka lat, zanim nauczył się korzystać z poczty elektronicznej – wcześniej dyktował jej e-maile, ale w końcu wypracował własną dwupalcową metodę „szukaj i wciskaj” i lubił to robić sam. I zaraz sprawił sobie palmofoon BlackBerry, chociaż narzekał, że jego palce są za grube do lilipucich klawiszy.

Jednak kiedy podróżował albo po prostu był w drodze, łatwiej było mu zostawiać jej wiadomości na poczcie głosowej. Kilka pierwszych miało przepraszający ton.

– Nie chcę cię zamęczać pierwszego dnia po powrocie – tak się zaczynała jedna z nich, a potem: – Ponadto... ale jeśli nie czujesz się na siłach, nie martw się, poproszę o to Noreen.

Noreen Purvis, asystentka dyrektora do spraw finansowych, również pracowała w sekretariacie, tuż obok jego gabinetu, i mógł ją wezwać w każdej chwili. Była katastrofalnie nieudolna, chociaż Leland ze względu na uprzejmość nigdy jej tego nie powiedział. Była starsza od Lauren i pracowała w Gifford Industries znacznie dłużej. Nie robiła tajemnicy z faktu, że spodziewała się, iż Leland wybierze

ją na swoją sekretarkę, kiedy Cynthia, przez wiele lat pracująca na tym stanowisku, przeszła ponad dziesięć lat temu na emeryturę.

Jednak Leland nie lubił Noreen. Uważał, że jest niezorganizowana, a nawet niechlujna, i denerwowało go to, że pali papierosy, chociaż nigdy nie robiła tego w budynku. Ponadto nie chciał zabierać komuś sekretarki. Dlatego zatrudnił Lauren.

Oczywiście Noreen nie miała pojęcia, co tak naprawdę Leland o niej myśli. Chciała stanowiska, które dostała Lauren, i niejednokrotnie dała jej do zrozumienia, na wszystkie bierne i agresywne sposoby, że ma znacznie lepsze kwalifikacje na sekretarkę administracyjną dyrektora naczelnego.

Autostrada była zapchana samochodami, jak zwykle rano o tej porze, ale Lauren nie miała nic przeciw temu.

Potrzebowała czasu, aby pomyśleć.

Postanowiła przyjechać do pracy i skupić się wyłącznie na Lelandzie, nie rozpraszać się swoimi traumatycznymi przeżyciami. Chciała przez tych kilka godzin, kiedy był w biurze, poświęcić mu całą uwagę.

Dawno temu zdała sobie sprawę, że właściwie jest dla niego jak żona, tylko bez seksu. (Potem pomyślała ze smutkiem, że po prawdzie to ona i Roger też nie mieli bogatego życia seksualnego w ciągu paru ostatnich lat). Pod pewnymi względami знаła Lelanda lepiej niż jego własna żona. Jednak w przeciwieństwie do wielu małżeństw, w których ludzie z czasem zaczynają nienawidzić swojego partnera (jak w jej pierwszym małżeństwie), związek z Lelandem Giffordem stawał się coraz lepszy. Jej oddanie i szacunek do tego mężczyzny jeszcze się pogłębiały. Poznała wszystkie jego wady i kochała tego mężczyznę pomimo nich. A może właśnie z ich powodu.

Nie mogła sobie pozwolić na rozmyślania o Rogerze, o tym, gdzie mógł być w tej właśnie sekundzie. Myśl o tym, co może mu się stać, budziła w niej okropny, dręczący niepokój.

Nie. Musi usunąć te myśli z umysłu, przynajmniej na kilka godzin. Musi przyjechać do biura z trzeźwą głową.

Wjechała na parking Gifford Industries i zaparkowała lexusa na wolnym miejscu blisko budynku. Nie miała własnego miejsca. Te mieli tylko członkowie zarządu. Jednak o tak wczesnej porze nadal było mnóstwo wolnego miejsca i nie musiała parkować kilometr dalej.

Łagodne światło poranka odbijało się od szarozielonej powierzchni budynku Gifford. Był on dziwnym, futurystycznie wyglądającym wieżowcem, dwudziestoczeropiętrowym równoległobokiem. Nie mogła zdecydować, czy jest brzydki, czy piękny. Był „zielonym” budynkiem – ekologicznym i energooszczędnym. Zbudowany z betonu wytworzonego z żużlu. Z zatrzymującymi ciepło szybami okiennymi od podłogi po sufit. Na dachu znajdował się system zbierający deszczówkę i jednomegawatowy kolektor słoneczny.

Kiedy szła w stronę głównego wejścia, ktoś ją zawołał. Był to starszy wiceprezes, Tom Shattuck, wysoki i barczysty blondyn.

– Lauren, przykro mi słyszeć o twoim mężu – powiedział ponurym głosem przedsiębiorcy pogrzebowego.

Zastanawiała się, w jaki sposób informacje rozeszły się tak szybko i czy wszyscy zakładali, że Roger nie żyje.

– Dzięki – rzekła.

– Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, wiesz, że możesz na mnie liczyć.

Zawsze traktował ją nadzwyczaj serdecznie, ale wiedziała o nim wszystko od jego sekretarki. Tyranizował tę kobietę, która pracowała dla niego przez cały dzień. Wszystkie sekretarki plotkują, oczywiście. Czy ich szefowie nie zdają sobie z tego sprawy?

Uśmiechnęła się, przytaknęła i poszła dalej. Machnęła swoją plaketką przed czujnikiem zbliżeniowym, przeszła przez drzwi obrotowe i weszła do przestronnego przedsionka. Na samym środku, otoczony przez tropikalne listowie, stał olbrzymi glob z brązu, z reliefowymi płaskorzeźbami kontynentów. Z przodu globusa znajdowało się skośnie umieszczone logo Gifford Industries, które nie mogło być bardziej rażące – toporne kaligraficzne pismo w stylu retro, które

musiało wyglądać futurystycznie, kiedy zostało zaprojektowane w latach trzydziestych.

Kilka innych osób pomachało do niej i zrobiło współczujące miny, więc umknęła ekspresową windą na dwudzieste czwarte piętro.

Światła w sekretariacie były już włączone, co ją zaskoczyło. Zazwyczaj przychodziła pierwsza. Przesunęła swoją plakietkę przed czujnikiem, aż zapiszczał, po czym pchnęła przeszkłone drzwi. Minęła załom korytarza i zobaczyła, że ktoś siedzi za jej biurkiem.

Noreen Purvis.

23.

W pokoju Gabe'a było ciemno jak w jaskini.

Spał na łóżku, widoczny jako ledwie dostrzeganie wybrzuszenie pościeli. Ta ohydna muzyka wydobywała się z głośników wielkiego czarnego radiobudzika z odtwarzaczem CD stojącego na jego biurku, iPod Gabe'a był podłączony na górze radiobudzika.

Muzyka stanowiła dźwiękowy odpowiednik igieł wbijanych w moje gałki oczne. Włączyłem światło. Jęknął.

– Wstawaj – powiedziałem. – Powinieneś być wstać dwadzieścia minut temu.

Naciągnął na głowę koc.

– Możesz uciec, ale nie zdołasz się skryć – rzekłem.

Burknął coś i zagrzebał się głębiej.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Ruszaj się, bo inaczej zaraz się dowiesz, w jaki sposób wypłoszyłem tych terrorystów Al-Kaidy z ich jaskiń w Tora Bora.

Jego głowa powoli wyłoniła się z pościeli, jak zółw ze swojej skorupy.

– Co za bzdury – powiedział. – Nigdy nawet nie zdołaliście znaleźć Osamy bin Ladena.

– Hej, mnie o to nie obwiniaj.

Wygłosił lekko uszczypliwą uwagę.

– Ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś cwany? Wyłącz muzykę – rzekłem.

Zrobił to.

- Co ty tutaj robisz?
- Pilnuję, żebyś poszedł do szkoły. Rusz się.
- Zostaję w domu. Nie czuję się dobrze. – Naciągnął pościel z

powrotem na twarz.

- Śpisz przy tym przez całą noc?
- Nie, to tylko... budzik.

Jego głos był stłumiony.

– Nic dziwnego, że zaspaleś. Ta muzyka jest zbyt usypiająca. Nie masz czegoś ostrzejszego? Może Celine Dion?

Chrząknął nierozbawiony. Mimo że bardzo lubił Gabe'a, był on trudnym dzieckiem. Na szczęście stanowiło to problem kogoś innego. Myśl o posiadaniu dziecka lub dzieci przyprawiała mnie o ciarki, ale wychowywanie nastolatka naprawdę wyglądało na horror. Nie rozumiałem, jak ludzie to robią, jednak najwyraźniej robili. Na przykład moja matka. (Pocziwy stary tatuś, jako sprytny facet, odszedł, kiedy miałem trzynaście lat. Ominęła go większość zabawy).

- Daj spokój, dzieciaku – powiedziałem. – Wstawaj.
- Nie zmusisz mnie.
- Ach tak? Nie wiesz, że mam uprawnienia policjanta? Mogę cię

zaraz aresztować za wagarowanie.

To brzmiało niemal prawdopodobnie. Gabe powoli odchylił pościel, żeby na mnie zerknąć. Rzucił dość paskudnym przekleństwem.

- Mogę cię również aresztować za obrazę moralności.
- To za to dziadek siedzi w więzieniu? – zapytał.
- Bystry jesteś.
- Dzisiaj zostaję w domu.
- W czym problem, Gabe?

Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem. Przysunąłem się bliżej i zdarłem z niego prześcieradła.

- Słabo cię słyszałem – wyjaśniłem.
- Zakrył ręką oczy, osłaniając je przed światłem.
- W całej szkole o tym gadają.

- Co gadają?
- O tacie.
- Co o nim mówią?

Usiadł, spuścił nogi z łóżka i stanął. Sięgnął do biurka i przesunął palcem po touchpadzie swojego MacBooka. Ekran ożył.

Pojawiła się strona Facebooka. Zdjęcie Gabe'a w ramce na górze i grupka innych małych ramek i rzeczy.

- Na co patrzę? – zapytałem.

Postukał palcem w ekran. Popatrzyłem w miejsce, które wskazał, na obszar nazywany „Tablicą”, gdzie znajdowała się kolumna małych zdjęć, zapewne uczniów szkoły. Przeważnie były to fotografie portretowe, ale także dziwacznie pozowane ujęcia. Niektórzy chłopcy mieli na głowach czapeczki bejsbolówki założone daszkiem do tyłu. Obok każdego zdjęcia znajdowało się nazwisko i jakiś komentarz typu „Co jest zadane z angielskiego?” i „Jutro sprawdzian z czasowników?”. Najwyraźniej w ten sposób Gabe i jego znajomi porozumiewali się z sobą.

W jednej linii był niebieski znak zapytania zamiast zdjęcia. I komentarz: „Hej, Gabe, pedale, frajerze, twój tata cię porzucił, nie można go winić, czemu po prostu się nie zabijesz?”.

Spojrzałem na Gabe'a i zobaczyłem w jego oczach łzy.

- Kto to napisał? – zapytałem.
- Nie wiem.
- Tu jest nazwisko. Nie możesz na nie kliknąć?
- Jest fałszywe. Ktoś stworzył fałszywą stronę na Facebooku.
- Sądzisz, że to ktoś ze szkoły?
- Na pewno.
- Czy to właśnie nazywają nękaniami w cyberprzestrzeni?
- Nie wiem.

– Za moich czasów, kiedy ktoś cię wyzwał, czekałeś na niego po szkole, żeby go stłuc.

– Och, proszę – rzekł. – Uczęszczałeś do jakiejś wytwornej prywatnej szkoły w Winchester County. No wiesz, wożono cię limuzyną z szoferem.

– Przyznaję – powiedziałem. – To jednak wcale nie oznacza, że nie biliśmy się na pięści.

Byłem bliski opowiedzenia mu, jak często białem dzieciaki, które wyśmiewały się z jego ojca po aresztowaniu Victora. Jednak nie sądzę, aby chciał usłyszeć, że wujek Nick był obrońcą jego ojca. Szczególnie że Roger był moim starszym bratem.

– „Czemu po prostu się nie zabijesz?” – rzekł gorzko. – Może to zrobię.

– No to im pokażesz – powiedziałem i zdałem sobie sprawę z tego, że sarkazm w tym momencie to prawdopodobnie zły pomysł. – Daj spokój, Gabe. Nie możesz zwracać uwagi na takich palantów. Wiesz, co zawsze mówię: nigdy nie pozwól dupkowi zająć miejsca w swojej głowie.

Znów usiadł na brzegu łóżka, opierając głowę na rękach.

– Rusz się.

Gabe zaczął się ubierać – dzinsy były tak wąskie, że musiał się w nie wcisnąć, czarna bluza z kapturem, czarne buty Chuck Taylor. Złapał otwartą już puszkę red bulla i pociągnął długi łyk.

Popatrzyłem na zegarek.

– Za dziesięć minut przyjedzie po ciebie samochód. Twoja matka chciała, żebyś zjadł śniadanie.

Wzniósł w toaście puszkę z red bullem.

– A jak myślisz, co to jest?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem najmniejszej ochoty być dla tego dzieciaka autorytetem.

– Gabe, jak sądzisz, dlaczego dzieciaki z twojej szkoły gadają takie rzeczy o twoim tacie?

– Ponieważ są dupkami?

– Bez wątpienia. Jednak co powoduje, że mówią takie zwario-
wane rzeczy, jak myślisz?

Zrobił ponurą minę.

– Skąd mam wiedzieć?

– Nie masz pojęcia, skąd dzieciaki ze szkoły wzięły taki pomysł?

– Może to prawda.

– Powiedziałeś to już wcześniej – przypomniałem łagodnie i ostrożnie. – Dlaczego tak uważasz?

Teraz wyraźnie poczuł się nieswojo.

– Mówiłem ci, po prostu widzę rzeczy. Zauważam rzeczy.

– Czy tata ci coś powiedział?

– Nie – rzekł pogardliwie. – Oczywiście, że nie.

– Więc co widziałeś? Co zauważyłeś?

– Nic. To po prostu... Nie wiem, coś jak przeczucie.

– Może strach?

– Może.

– To zrozumiałe.

– Muszę iść do szkoły.

– Patrzcie, kto nagle martwi się o czas – powiedziałem.

Kiedy czekałem razem z nim na samochód, który miał go podwieźć, zapytałem:

– Gabe, czy używałeś laptopa taty?

– Czemu miałbym to robić? Mam własny.

– Masz jakiś pomysł, dlaczego jest zepsuty?

– Zepsuty?

– Niebieski ekran śmierci.

– Och. Tata pytał mnie, jak sformatować dysk. Powiedział, że zamierza kupić nowy. Może spieprzył procedurę. Nie zdziwiłoby mnie to.

– Próbował sformatować dysk? Usunąć jego zawartość?

To tyle, jeśli chodzi o moją teorię, że ktoś włamał się, aby pomajstrować w komputerze Rogera. Jednak wiedziałem, że włącznik alarmu w przeszklonych drzwiach do gabinetu Rogera został szybko i niedbale odłączony. A to oznaczało, że ktoś z jakiegoś powodu wszedł ukradkiem do domu. Może powęszyć. Albo w innym celu, którego się jeszcze nie domyśliłem.

– Tak myślę.

– Po co?

– Kto wie. A w ogóle, dlaczego grzebałeś w komputerze taty?

– Ponieważ sądziłem, że może tam znaleźć wskazówkę, co się z nim stało.

– Czemu miałby zostawić wskazówkę na swoim laptopie?

– Nie zostawiałby – rzekłem i zanim mogłem mu to wyjaśnić, na podjazd wjechała duża niebieska toyota land cruiser.

– Do zobaczenia – powiedział Gabe.

– Pamiętaj, co mówiłem ci o dupkach.

– Ta. Nigdy nie pozwól im zająć miejsca w swojej głowie. Chciałbym, aby to było takie proste.

Przerzucił plecak przez ramię i wsiadł do samochodu. A ja nie mogłem pozbyć się wrażenia, że Gabe, podobnie jak jego mama, coś przede mną ukrywa.

24.

– Popatrz na siebie! – krzyknęła Noreen Purvis, podnosząc się. – Powinnaś być w domu w łóżku!

– Nic mi nie jest – powiedziała Lauren. – Naprawdę.

– Och, kochanie, naprawdę tak myślę. Mogę zająć się sprawami tutaj, dopóki nie wydobrejesz.

– I doceniam to. Jednak czuję się dobrze.

Noreen była postawną, niezgrabną kobietą o popielatoszarych włosach, które strzygła krótko i prosto – coś jak księżna Diana około 1990 roku. Księżna Di wyglądała dobrze w tej fryzurze.

Noreen nosiła podróbkę szala Chanel, brązowe spodnie i czarne czółenka Tory Burch. Zapewne też podrabiane. Zalatywała perfumami o zapachu różanej herbaty i dymem papierosowym.

– Dlaczego drzwi są zamknięte? – zapytała Lauren, spoglądając na wejście do gabinetu Lelanda, znajdujące się obok jej biurka.

Noreen wzruszyła ramionami.

– Jest tam, odkąd tu przyszedłam, może dwadzieścia minut temu.

– Z kim rozmawia?

Noreen ponownie wzruszyła ramionami i zaczęła sprzątać swoje rzeczy z biurka Lauren.

– Cóż, chyba powinnam cię zapoznać z harmonogramem podróży Lelanda.

– Zaraz wrócę – rzekła Lauren. – Muszę skorzystać z toalety.



Zamknęła się w kabinie, opuściła deskę sedesową, usiadła na niej i zaczęła płakać.

To przypominało pęknięcie tamy. Ta przeklęta Noreen siedząca przy jej biurku, mówiąca o Lelandzie, jakby był jej własnością.

I Roger. Bała się. Nie wiedziała, co myśleć. Nie miała pojęcia, co się dzieje z Rogerem.

Niewiedza. To właśnie jest najgorsze.

Urwała kawałek papieru toaletowego, aby osuszyć łzy. Po około pięciu minutach wyplakała się. Opuściła kabinę, podeszła do umywalki i poprawiła makijaż. Potem umyła ręce zimną wodą – krany włączały się automatycznie na kilka sekund, kiedy pomachało się pod nimi dłońmi, ale nie na tyle długo, aby woda się ogrzała. Dozownik papieru do rąk wyrzucił z siebie irytująco mały prostokąt perforowanego brązowego papieru.

Teraz wszystko ją denerwowało. Wszystko złościło.

Była z powrotem w pracy ledwie pół godziny, a już potrzebowała urlopu.

25.

Kiedy tylko Gabe wsiadł do samochodu, zadzwoniłem do Merlina i poprosiłem go o kolejną przysługę.

Chciałem, aby wpadł później do domu Lauren i pomógł mi zainstalować porządny system alarmowy. Przyznaję, prosić Merlina o założenie systemu alarmowego to trochę jakby zwrócić się do Billa Gatesa o wsparcie techniczne dla MS Worda. Gruba przesada. Jednak Merlin był łaskawy i zgodził się pomóc.

Kiedy wycofywałem wóz z podjazdu Lauren, zadzwonił mój telefon komórkowy.

– Poruczniku – powiedziałem, spojrzawszy na identyfikator rozmówcy.

– Może zechciałby pan tu wpaść.

Głos Arthura Garvina brzmiał jeszcze gorzej niż wczoraj.

– Dostał pan taśmę?

– Tak.

– I?

– Będę tutaj do jedenastej.

– Mam spotkanie w biurze – rzekłem. – Myśli pan, że może wysłać mi kopię kurierem?

Kaszlał hałaśliwie przez kilka sekund.

– Pewnie – powiedział. – Zaraz wysyłam do pana swojego prywatnego kuriera. Na rączym rumaku.

– W porządku – powiedziałem. – Zaraz tam będę.



Garvin obrócił monitor swojego komputera, tak abyśmy obaj mogli go zobaczyć. Zaproponował mi kawę i tym razem nie odmówiłem.

Na ekranie zastygł rozmyty kolorowy obraz. Nie mogłem rozróżnić na nim nic poza parą niewyraźnych sylwetek na ulicy. Założyłem, że bankomat znajdował się na zewnątrz budynku. W pobliżu stacji benzynowej. W tle bardzo szybko przemykały samochody.

W ramce otaczającej obraz znajdowały się liczby – kod daty, sekwencja czasowa i tym podobne rzeczy.

Garvin katował myszkę, klikając to raz, to dwa razy, najpierw lewym, a potem prawym przyciskiem. W końcu zdołał włączyć film i zobaczyłem parę rozmazanych plam wykonujących śmiesznie gwałtowne ruchy przed kamerą.

– Powiniennem od razu pana ostrzec – powiedział. – Rozdzielczość jest nędzna.

– Och tak?

– I to nie wszystko. Sądziłem, że prześlą nam film wideo. Jednak nie.

– A co to jest?

– Kilka nieruchomych ujęć.

– Co ma pan na myśli?

– Ten bankomat nagrywa jedną ramkę co dziesięć sekund.

Jęknąłem.

– Założę się, że po to, by zaoszczędzić miejsce na twardym dysku.

– Kto to, do diabła, wie. Nie wiem, po co w ogóle się trzudzą.

To zabawne, że tak wiele banków inwestuje ogromne pieniądze w swoje systemy bezpieczeństwa, instalując w swoich bankomatach wysokiej jakości cyfrowe kamery, które wysyłają skompresowany sygnał wideo do centralnego serwera. Wszystko to bardzo wymyślne i zaawansowane – a potem, żeby zaoszczędzić miejsce na dyskach, ustawiają te kamery na najwolniejszy tryb nagrywania. Jedna ramka na dziesięć sekund to tempo niewiele lepsze od filmu stopklatkowego.

Garvin nacisnął coś i pojawiło się kolejne ujęcie. Zobaczyłem mężczyznę w garniturze pochylonego w stronę ekranu bankomatu. Twarz była wyraźnie widoczna.

To Roger.

Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Okulary bez oprawek, duże czoło, ciemne brązowe włosy zaczesane na bok. Włosy rozczochrane, a okulary trochę przekrzywione. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i krawat, ale jedna kłapa garnituru sterczała do góry, a krawat był przekrzywiony. Roger wyglądał tak, jakby był ranny. Nie dało się zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale z tego, co widziałem, wyglądał na przestraszonego.

Roger przeżył napad.

Dopiero teraz byłem tego pewny. Jednak nie miałem pojęcia, gdzie jest w tym momencie ani nawet czy jeszcze żyje. Zagadka, którą napotkałem – albo w którą zostałem wplątany – stała się nagle dużo trudniejsza do rozwiązania.

I prawdopodobnie o wiele niebezpieczniejsza.

26.

- To on? – zapytał Garvin.
 - Tak.
 - Jestem panu winny przeprosiny – rzekł.
 - Przyjmuję je. Ale za co?
 - Miał pan rację, że to było uprowadzenie.
 - Miałem?
 - Pana brat działał pod przymusem. To dość oczywiste.
 - Na podstawie czego?
 - Proszę popatrzeć. I zweryfikować to. Chyba wiem, jak to zrobić.
- Kliknął dwa razy myszką, przesuwając ramkę na lewo. Potem wcisnął coś jeszcze, umieszczając kursor na postaci obok mojego brata.

Był to facet w bluzie z kapturem, odwrócony tyłem do kamery. Porucznik Garvin dotknął ekranu palcem wskazującym, przykuwając moją uwagę do czegoś, co z wyglądu przypominało broń.

- Ma pan twarz tego faceta?
- Nie. Cała transakcja trwała minutę i dziesięć sekund. Siedem ramek. I na żadnej nie widać twarzy tego faceta. Nawet częściowo.
- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałbym zobaczyć je wszystkie.

Garvin przytaknął. Spodziewałem się przynajmniej pełnego zniecierpliwienia westchnienia, ale wyglądało na to, że jego niechęć do

mnie trochę się zmniejszyła. Nie byłem już irytującym bratem ofiary ani wścibskim, konkurencyjnym detektywem. Teraz byłem niemal kolegą, pomagającym mu rozwiązać problem.

Kliknął myszką i przesuwał klatkę po klatce, od początku. Tym razem oglądaliśmy jedynie lewą połowę obrazu, tę część, która wcześniej wychodziła poza kadr. Widać było zakapturzoną postać stojącą bardzo blisko Rogera, zawsze plecami do kamery. Nawet nie podniósł broni. Trzymał ją przy boku, wycelowaną w Rogera.

– Czy ochrona Wachovii wyjaśniła, czy jest tam inna kamera? – zapytałem.

– Tylko ta jedna.

– Gdzie jest ten bankomat?

– W Georgetown. M Street, niedaleko Key Bridge.

Skinąłem głową.

– Kilka przecznic od miejsca, gdzie zostali zaatakowani. Tak więc ten, kto porwał Rogera, chciał jedynie pieniędzy? Przepraszam, ale nadal trudno mi w to uwierzyć.

Wzruszył ramionami.

– Dostali cztery tysiące dziewięćset dolców. Z konta mógł pobrać dziennie nie więcej niż pięć tysięcy. To nie jest drobna kwota.

– Przyznaję. Jednak wątpię, aby pieniądze były głównym motywem.

– Pięć tysięcy dolców to duży motyw.

– Pewnie. Jednak nie o nie chodziło.

– Ma pan lepszą teorię od tej?

– Cóż, to nie jest typowe porwanie. Nie zażądano okupu.

– Jak dotąd.

– Minęło wystarczająco dużo czasu. Nie. Nazwał to pan uprowadzeniem i sądzę, że ma pan rację. Przyznaję to.

– Jak to?

– Ponieważ Roger spodziewał się jakiegoś ataku.

– Skąd pan o tym wie?

– Tak wynika z tego, co powiedział tamtej nocy swojej żonie. Powiedział „Kocham cię”.

– Co z tego?
– To niepodobne do niego.
– Niepodobne, żeby powiedzieć żonie, że ją kocha? Słodki facet, co?

– Nie chce pan się w to zagłębiać. Chodzi o to, że wiedział, iż ma zostać uprowadzony. Wiedział, że może nigdy więcej jej nie zobaczyć. Pożegnał się z nią.

– Może.

W jego głosie słyszałem powątpiewanie.

– A potem, kiedy zobaczył, że ktoś złapał Lauren, krzyknął: „Co jej robisz, do diabła?! Dlaczego jej?!”.

– Taak. Coś jak „weźcie mnie zamiast niej”.

– Zgadza się.

– Jednak to nie oznacza, że znał napastnika.

– Ma pan rację. Nie oznacza.

– Nie było krwi, żadnych śladów, żądania okupu. Pańska teoria nadal nie posunęła nas ani trochę do przodu.

Milczałem przez chwilę. Jedną z moich żelaznych zasad to nigdy nie mówić nikomu tego, czego nie musi wiedzieć. Nie kłapać dziobem i tak dalej. Jednak Garvin i ja byliśmy w tym momencie w pewnym sensie partnerami. Jedyne, co się liczyło, to odnalezienie mojego brata, a im więcej Garvin wiedział, tym bardziej mógł być pomocny.

Zatem powiedziałem mu o tym, co wyglądało na próbę włamania do domu Rogera. A także o e-mailu z NaWypadek-Smierci.net.

– Grożono mu – zakończyłem. – Dlatego zaaranżował ten e-mail. Ponieważ bał się, że spróbują upozorować jego samobójstwo.

Kiedy mówiłem, Garvin kichnął i głośno wydmuchał nos. Zaczynałem się zastanawiać, czy to zwyczajne przeziębienie, czy może wirus Ebola.

– Czy mogę zobaczyć kopię tego e-maila?

– Zniknął – powiedziałem i wytłumaczyłem mu, jak do tego doszło.

– Cóż, musi być gdzieś jakaś kopia.

Pokręciłem głową.

– Musicie w waszej dobrze opłacanej firmie mieć jakichś dobrze opłacanych magików komputerowych, którzy potrafią odzyskać ten e-mail.

– Mogę zapytać.

– Powiedział pan, że Rogerowi grozono. Z jakiego powodu?

Znów pokręciłem głową.

– Nie wiem. Może aby siłą coś z niego wyciągnąć.

– Na przykład?

– Co podejrzewam? Miał jakieś informacje, które ktoś chciał zdobyć. Albo uważano, że je ma. Coś związanego z interesami. Z jakimś dużym projektem, którego finansami się zajmował.

– To dość enigmatyczne.

– Tak jak powiedziałem, to tylko domysły. Naprawdę nie wiem. Jednak próbował usunąć wszystko ze swojego laptopa.

– Aby pozbyć się dowodów?

– Albo chronić swoją rodzinę.

– Jak to?

– Zatrzeć ślad. Powiedzmy, że gromadził informacje na swoim laptopie i nie chciał, aby ci kolesie wiedzieli, że je ma.

– Ma pan ten laptop?

– Tak – odpowiedziałem ogólnikowo. Miałem co do niego inne plany. – Tak myślę. Rozejrzę się za nim.

– W porządku. Tak więc teraz sądzę, że wszystko rozumiem.

– Co pan rozumie?

Zaczął porządkować rzeczy na swoim biurku, układając teczki na stosie.

– Poprosiłem Homeland Security, aby sprawdzili wszystkie wyloty z kraju. Powiedziałem, aby wprowadzili do bazy paszport pańskiego brata. Wtedy myślałem, że to ucieczka, a nie porwanie.

– I?

– Okazało się, że pański brat znajduje się na liście nielatających.

– Liście nielatających?

– Tak. Wie pan, to taka nowa lista TSDB.

– TSDB? – zapytałem i przypomniałem sobie, co znaczy nowy akronim tuż przed tym, zanim Garvin mi go wyjaśnił.

– Terrorist Screening Database.

– Mój brat nie był terrorystą – rzekłem.

– Podobnie jak większość ludzi na tej liście – powiedział Garvin.

Przytaknąłem. Jak większość ludzi, którzy mieli kontakt z organami ścigania Stanów Zjednoczonych po jedenastym września 2001 roku, widziałem wiele przypadków nadużycia władzy. Takie rzeczy jak ustawa PATRIOT Act wykorzystywano dla uzasadniania rozmaitych naruszeń swobód obywatelskich.

– Wie pan, co to takiego „przypadkowy połów”? – zapytał Garvin.

Pokręciłem głową.

– To kiedy rybacy łowiący tuńczyka łapią w sieci coś innego, na przykład żółwie morskie lub delfiny. Przypadkiem.

– Łowienie na chybił trafił – powiedziałem. – Czy nie tak to nazywają?

– Racja.

– Jednak to sugeruje złapanie czegoś, czego nie chciało się złowić – podkreśliłem. – Nie umieszcza się przypadkowo czyjegoś nazwiska na liście nielatających.

– W porządku – przyznał Garvin. – Zatem może to nie jest przypadek. Może ma pan rację. Może pański brat zrobił sobie jakichś wrogów. Może czymkolwiek się zajmował, natknął się na coś, czego nie powinien wiedzieć. Na przykład coś dotyczącego bezpieczeństwa narodowego.

– Prowadził finanse firmy budowlanej.

– Gifford Industries jest firmą budowlaną? A Home Depot to sklepik żelazny. Być może jest coś, czego mi pan nie mówi o bracie.

– Powiedziałem panu wszystko, co wiem.

– W takim razie może jest coś, czego pan o nim nie wie – rzekł Garvin.

27.

W rzeczywistości było dużo rzeczy, których nie wiedziałem o swoim bracie.

Na przykład nie znałem jego sposobu myślenia.

To, że byliśmy braćmi, nie oznaczało, że łączyło nas coś więcej niż dziwne wychowanie i pięćdziesiąt procent naszego DNA. Nie mogliśmy bardziej różnić się od siebie.

Jednak przez długi okres naszego dzieciństwa, do dnia, w którym odszedł tata, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Tata był dla nas obu nieprzystępną, niezgłębianą, wielką postacią. Wydawało się, że śmieje się najgłośniej ze wszystkich ludzi. Najbardziej się złości. Jest najmądrzejszy, najmocniejszy, wszystko „naj”.

Uwielbialiśmy chodzić do jego biura na Manhattanie. Jego firma zajmowała całe ostatnie piętro Graystone Building, smukłego wieżowca w stylu art déco w pobliżu Grand Central, który zaprojektowano tak, by przypominał świątynie Babilonu. W holu znajdował się olbrzymi fresk jakiegoś znanego artysty przedstawiający Prometeusza kradnącego ogień. Drzwi windy były mosiężne i bogato zdobione. Gabinet ojca zawsze pachniał fajkowym dymem, starym drewnem, skórą oraz płynem do czyszczenia mosiądzu i był przesycony ozonowym zapachem władzy. Roztaczał się z niego zapierający dech w piersi widok na miasto. Stojąc na tle majaczącego na horyzoncie Manhattanu, Victor Heller zdawał się potężniejszy od żyłtkowatych

wieżowców w oddali, niczym kolos siedzący okrakiem na kuli ziemskiej.

Baliśmy się go. Kiedy robił się zły, lepiej było omijać go na kilometr. Pewnego dnia szukał czegoś w naszej łazience, którą dzieliłem z Rogerem, i znalazł napoczętą paczkę tytoniu do żucia. Na etykietce napisane było RED MAN.

Wpadł do naszego pokoju gier i zapytał, który z nas używał tytoniu do żucia.

Żaden się nie przyznał. Ja nawet nie wiedziałem, co to takiego.

Wściekły tata sprzął nas obu swoim paskiem z krokodylej skóry. Nie sądzę, żeby naprawdę przejmował się tym, czy używamy tytoniu do żucia. Po prostu nie lubił, kiedy podważano jego autorytet.

Po wszystkim Roger i ja pocieszaliśmy się nawzajem. Obaj wiedzieliśmy, że zostaliśmy niesłusznie ukarani, co bolało nas nawet bardziej niż nasze tyłki. Roger zsunął pasek swoich bokserów i pokazał mi obrażenia, jakich doznał. Jego pośladki były karmazynowe. Moje również.

– Hej, Red Man – powiedział i obaj parsknęliśmy śmiechem.

Okazało się, że tytoń do żucia zostawił pod umywalką Sal, jeden z naszych dozorców, który naprawiał przeciek. Jednak po tym incydencie pozostał nam pseudonim, którego używaliśmy, zwracając się do siebie: „Red Man”. Nigdy przy innych. Tylko między sobą.

– Hej, Red Man – mówiliśmy przez telefon i to było jak żartobliwy kuksaniec, mrugnięcie. Przywoływało to natychmiast inny świat, archeologiczne wykopy na krańcach posiadłości, które rozwścieczały Yoshiego, starego japońskiego ogrodnika; psikusy płatanie naszej ulubionej kucharce, pani Thomasson, chichoty; wpadanie w kłopoty i pomaganie sobie w opalach.

To sprawiało, że czuliśmy się jak spiskowcy. Co było miłe. I jeszcze bardziej nas zbliżyło. Dopóki nie zwróciliśmy się przeciwko sobie.

28.

W wyniku jakiegoś dziwnego zawirowania koła genetycznej ruletki wyrosłem na barczystego i muskularnego młodzieńca, natomiast Roger stał się żyłasty i niezgrabny. Potrzebował okularów, ja nie. On był ostentacyjnym mołem książkowym, a ja sportowcem udającym, że nie przejmuję się szkołą. On był tym mądrym, a ja tym silnym. Przyciągał prześladowców jak magnes i chociaż był starszy ode mnie, stałem się jego obrońcą. Nie podobało mu się to.

Już kiedy byliśmy nastolatkami, stało się jasne, że Roger chce być dokładnie taki jak tata. Opowiadał wszystkim, że będzie pracował „w finansach”.

Pewnego dnia, kiedy miałem trzynaście lat, a Roger prawie piętnaście, wróciliśmy ze szkoły do domu i znaleźliśmy mamę czekającą na nas w mrocznej bibliotece, siedzącą w dużym skórzanym fotelu w kręgu światła rzucanego przez lampkę do czytania. Powiedziała, że chce z nami porozmawiać.

Wstała, uściskała nas obu i powiedziała, że tego ranka tata został aresztowany w pracy. Na oczach swoich pracowników. Założono mu kajdanki i wyprowadzono go przez piętro handlowe.

- Dlaczego? – zapytał Roger.
- Departament Sprawiedliwości chciał go zawstydzić.
- Nie, miałem na myśli, dlaczego go aresztowali?

Wytłumaczyła nam, ale nie wszystko do mnie dotarło. Coś o defraudowaniu papierów wartościowych i wykorzystywaniu informacji niejawnych. Coś o śledztwie Komisji Papierów Wartościowych, które było prowadzone od miesiący. Ponieważ ledwie rozumiałem, jak tata zarabiał na życie, nie miałem pojęcia, za co go aresztowano.

Nie zobaczyliśmy taty aż do następnego dnia. Był w domu, kiedy wróciliśmy ze szkoły, co wydawało się dziwne. Normalnie nie wracał wcześniej niż po obiedzie.

Wziął nas do swojego gabinetu i powiedział, że spędził noc w więzieniu. Tego ranka został doprowadzony przed sędziego pokoju, postawiony w stan oskarżenia i wypuszczony za kaucją.

Powiedział, żebyśmy się nie martwili, że zarzuty zostały sfabrykowane. Przysporzył sobie wpływowych wrogów, którzy próbowali obrzucić go błotem. Jednak ma wspaniałych prawników i wygra tę walkę, przejdziemy przez to i będziemy szczęśliwi.

– Jednak chcę, chłopcy, abyście wiedzieli jedno – powiedział z naciskiem. – Jestem niewinny. Nigdy o tym nie zapomnijcie.

– Nie rozumiem – rzekł Roger. – Jak mogli aresztować kogoś, kto jest niewinny?

Tata odchylił się do tyłu w swoim krześle i ryknął śmiechem.

– Och, dobry Boże, dzieciaku, musisz dużo się nauczyć o tym świecie.



Następnego ranka, kiedy Roger i ja jechaliśmy do szkoły, nasz samochód zatrzymał się na końcu długiego podjazdu. Kierowca – tak, mieliśmy kierowcę – głośno zaklął i spojrzeliśmy przez przednią szybę.

Przed bramą stał tłum – kamery, reporterzy z bulwiastymi mikrofonami, ludzie otaczający samochód i krzyczący na nas.

Kierowca wycofał samochód i wywiózł nas tylną bramą.

Szkoła nie była tego dnia fajnym miejscem. Każdy słyszał o

aresztowaniu Victora Hellera. W takiej szkole dla bogatych dzieciaków jak ta możecie wierzyć, że rodzice każdego rozmawiali o tym przy stole przy śniadaniu z jawną radością. Nasz ojciec budził ogromną, choć skrywaną niechęć. I zazdrość.

Nasi przyjaciele współczuli nam, ale było mnóstwo dzieci, które rzucały obelgi.

Wtedy nauczyłem się bić.

Każdy, kto ośmielił się powiedzieć coś złego o moim ojcu, miał ze mną do czynienia. Każdy, kto ubliżył mojemu bratu, również musiał stawić mi czoła.

Nasz dom stał się oblężoną twierdzą. Rodzice o wiele za często byli w pobliżu, nie licząc tych chwil, gdy do domu przychodzili prawnicy taty na kilkugodzinne spotkania z nim w jego gabinecie. Telefon ciągle dzwonił, ale rodzice nie podnosili słuchawki. Przestali wychodzić z domu.

Mama, która do tego momentu zawsze wydawała się nieco apatyczna, rzuciła się w wir działania, pomagając adwokatom przygotować linię obrony. Nagle poczuła się potrzebna. Nie wiedziała nic o Wall Street ani o przestępstwach popełnianych przez urzędników, ale była bystra i zdecydowana stać po stronie swojego męża.

Widziała skaleczenia i zadrapania na mojej twarzy, kiedy wracałem do domu ze szkoły, i nic nie mówiła. Wiedziała. Po prostu opatrywała i mówiła, że wszyscy przez to przebrniemy.

Kiedy tata wychodził z kolejnej strategicznej narady ze swoimi prawnikami, kręcił się po domu lub ćwiczył swój serw tenisowy i dużo z nami rozmawiał, zapewniając nas, że jest niewinny, wszystkie zarzuty zostaną oddalone i ten koszmar się skończy. Wkrótce.

Jakiś tydzień później obudził mnie warkot uruchamianego w środku nocy samochodu. Wstałem i podszedłem do okna. Zobaczyłem charakterystyczne tylne światła ojcowskiego porsche speedstera z 1955 roku. Wróciłem do łóżka.

Następnego ranka taty nie było. Nawet się nie pożegnał. Mama

miała przekrwione i podkrążone oczy, wiedzieliśmy, że płakała. Powiedziała tylko, że tata musiał nagle wyjechać w interesach.

Nadal nie było go, kiedy wróciliśmy ze szkoły.

Ani następnego dnia.

Minęły trzy dni, zanim mama powiedziała nam, że tata szybko nie wróci. Opuścił kraj. Nie wiedziała, dokąd pojechał.

Powiedziała, że jedyne, co wie, to że jest niewinny. Nie zrobił nic złego. Jednak niewinność nie zawsze oznacza uczciwy proces.

Akt oskarżenia odczytano cztery dni po ucieczce taty. Victor Heller został oskarżony o malwersację, uchylanie się od płacenia podatków i defraudację papierów wartościowych, a nawet o udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Gazety zaczęły pisać o nim jako o „zbiegłym finansście”.

Jednak nie musiałem już dłużej bronić honoru swojego ojca w naszej eleganckiej prywatnej szkole. Nazajutrz zostaliśmy w domu i pomogliśmy mamie spakować nasze rzeczy. Następnego dnia przyjechała po nie ciężarówka.

Rząd zajął cały majątek taty, co oznaczało wszystko – dom w Bedford, dwupoziomowe mieszkanie przy Piątej Alei i Wschodniej Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, dom w Palm Beach, którego Roger i ja nie znosiliśmy, domek letniskowy w Aspen, ranczo w Montanie. Wszystkie konta bankowe. Wszystko do ostatniego centa.

Wcisnęliśmy się do starego kombi subaru, którym mama lubiła jeździć sobie dla przyjemności po Bedford Village, i skierowaliśmy się w stronę domu jej matki, na północy Bostonu. Po przekroczeniu granicy Massachusetts mama zatrzymała się w Sturbridge na lunch, wyszła do bankomatu po pieniądze i zaczęła płakać. Jej osobiste konto również zostało przejęte.

Nie mieliśmy nic.

Roger i ja byliśmy tak głodni, jak tylko bywają nastoletni chłopcy, ale nic nie powiedzieliśmy.

- Dobrze się czujesz, Red Man? – zapytał mnie Roger.
- Dobrze – odparłem.

Nie zatrzymaliśmy się, dopóki nie dojechaliśmy do Maiden, do ciasnego i pomalowanego na różowo dwupoziomowego podmiejskiego domu naszej babci. Domu, w którym wychowała się mama. Bez kortu tenisowego. Bez stajni.

I bez taty.

Nie widzieliśmy go przez ponad dziesięć lat.

29.

Po pięciu latach pracy w ciemnych zaułkach Waszyngtonu, zarówno dla rządu, jak i nie, miałem dość pękaty notatnik z adresami. Nie taki jak Jay Stoddard, ale całkiem niezły. Znałem kogoś w niemal każdej trzyliterowej agencji rządowej.

Wiem, że właściwie nikt już nie używa notatnika z adresami. Prawdę powiedziawszy, wolę koncepcję banku przysług. Oddajesz komuś przysługę, pomagasz komuś wygrzebać się z tarapatów, umawiasz kogoś z kimś, nawiązujesz kontakt... wtedy są szanse, że osoba, której pomogłeś, odwdzięczy ci się.

Nie zawsze tak się dzieje. Niektórzy ludzie to palanty. Wyświadczone przysługi nie gwarantują rewanzu i tak dalej. Ponadto lokaty w banku przysług nie mają rządowych gwarancji. I nie zawsze wyświadczasz przysługę, aby dostać coś w zamian. Czasem robisz to, co należy, tylko po to, aby postąpić właściwie, co można nazwać siecią dobrej karmy albo zasadą swoistej przedpłaty.

Jakikolwiek jednak jest twój motyw, zawsze chcesz utrzymać dodatnie saldo na swoim koncie w banku przysług. Zachować płynność, na wypadek gdybyś kiedyś musiał nagle wycofać wkład. Im dłużej pracuję w tym mrocznym przestępczym świecie, tym bardziej przypomina mi on biuro Tony'ego Soprano w pokoju na zapleczu klubu striptizowego Bada Bing. I nie tylko Waszyngton, ale cały świat

biznesu: oni są jak mafia, tylko bez końskiego łba w łóżku. Zazwyczaj.

W każdym razie znam pewnego gościa, który pracuje na dość wysokim stanowisku w Transportation Security Administration, czyli TSA. To ci ludzie, którzy cię rewidują i każą ci ściągać buty oraz arbitralnie decydują, aby przeszukać twoją bieliznę przy bramce bezpieczeństwa na lotnisku. Ci sami, którzy pewnego razu przed kilkoma laty zarekwirowali kubek niekapek szkraba na lotnisku imienia Reagana i zatrzymali jego matkę za próbę przemycenia na pokład samolotu potencjalnie śmiertelnej odżywki dla dzieci.

Jakiś rok temu Stoddard Associates zostało zatrudnione przez TSA do przeprowadzenia zewnętrznego śledztwa w sprawie rzekomej korupcji w ich agencji – siatki przemytniczej kierowanej przez kogoś z TSA. Z jakiegoś powodu ludzie z TSA nie chcieli wzywać FBI. Miało to coś wspólnego z polityką i wpływami, ale Jay Stoddard się tym nie przejmował.

Wskazali administratora działu ochrony, niejakiego Billa Puccino. Spotkałem go i od razu wiedziałem, że tego nie zrobił. Nawiązaliśmy przyjacielskie stosunki. Jego bostoński akcent był dla mnie znajomy i tak kojący jak para starych tenisówek, po latach, jakie spędziłem w domu babci w Maiden.

Okazało się, że jego szef chciał zrobić z niego kozła ofiarnego. Oczyszciliśmy Puccino. Awansował na stanowisko swojego szefa. Jego szef został ukarany przeniesieniem na wyższe stanowisko w Departamencie Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie odznaczono go medalem za „całokształt” i wysłano do Paryża jako „attaché”. Okrutne i niezwykle. Straszny los oficjela z politycznego nadania.

TSA było częścią Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego, który z kolei był częścią rozbudowanej nowej agencji utworzonej po atakach z jedenastego września 2001 roku. Waszyngton odpowiedział na jedenastego września tak jak korporacja odpowiada na zły kwartał – przeprowadzając reorganizację. Tasując okienka na wykresie organizacyjnym. Niebawem TSA stworzyło listę nielatających, tajny

wykaz ludzi, których nie wolno wpuszczać na pokład rejsowych samolotów latających nad Stanami Zjednoczonymi. Liczba osób na tej liście też jest tajna, ale jest ich około pięćdziesięciu tysięcy.

Kiedy szedłem Constitution Avenue w stronę K Street, zadzwoniłem pod numer służbowy Billa Puccino.

- Puccino – warknął w słuchawkę.
- Nick Heller – rzekłem.
- Nico! – powiedział. – Jesteś!
- Jak leci?
- Nieźle, całkiem nieźle.
- Potrzebuję szybkiej przysługi – rzekłem.
- Dla ciebie, wielkoludzie, wszystko.
- Chcę, żebyś pogrzebał w bazie danych.
- Której?
- TSDB.

Milczał przez dobre pięć czy sześć sekund.

- Przepraszam, Nick. Nie mogę.

I rozłączył się.

Na początku nie dotarło do mnie, że się rozłączył. Myślałem, że rozmowa może została przerwana – może przez brak zasięgu. To się często zdarza w Waszyngtonie.

Jednak po mniej więcej dwóch minutach ktoś zadzwonił na moją komórkę. To był Puccino.

– Przepraszam za tamto – rzekł. Jakość dźwięku była inna; wyglądało na to, że on też dzwoni z telefonu komórkowego. – Nie mogę rozmawiać o takich sprawach na służbowej linii.

- Monitorują twoje rozmowy?
- Daj spokój, człowieku, a jak myślisz? Pracuję dla Wielkiego Brata. Zatem powiedz mi, czego chcesz.
- W jaki sposób ktoś zostaje umieszczony na liście nielatających?
- Grożąc, że wysadzi Biały Dom? Biorąc lekcje latania samolotem i mówiąc, że nie musisz umieć nim wylądować?
- Zabawne. Na waszej liście nielatających jest pewne nazwisko –

powiedziałem. – Chcę wiedzieć, jak się na niej znalazło.

Głośno westchnął w mikrofon swojego aparatu.

– Nick, jak ważne jest to dla ciebie?

– Bardzo.

Znowu głośno wypuścił powietrze. Jednak nie było to rozdrażnione westchnienie. Raczej zdradzało napięcie i niezdecydowanie. Walczył z sobą.

– Mogę sprawdzić, czy ktoś jest na liście nielatających – rzekł Puccino. – To proste. Wielu ludzi z organów ścigania ma dostęp do programu Bezpieczny Lot. Jednak jeśli pytasz, jak się tam znalazł i z jakiego powodu tam jest... cóż, to zupełnie inna sprawa. To oznacza dostęp do superhiperpodwójnie zabezpieczonej bazy danych nazywanej TIDE, Terrorist Identities Data coś tam lub podobnie. Ta zawiera wykroczenia.

– Wykroczenia?

– Złe rzeczy, które ci ludzie zrobili. Powody, dla których dana osoba stanowi zagrożenie. I która agencja ją tam umieściła. Agencja dokonująca wpisu.

– Czy możesz dostać się do tej bazy?

– Pewnie. Tylko że za każdym razem, kiedy logujesz się do TIDE, zostawiasz ślady. Teraz są te wszystkie zabezpieczenia informacji. Zostaje wyraźny trop dla audytu. Zatem muszę być ostrożny.

– Rozumiem. Doceniam, że nadstawiasz dla mnie karku.

– Masz datę urodzenia lub numer ubezpieczenia zdrowotnego? Nie uwierzysz, jak wielu mamy Garych Smithów. Albo Johnów Williamsów.

Podąłem mu nazwisko.

– Heller, jak Nick Heller? – zapytał.

– Mój brat.

– Chyba żartujesz.

– Chciałbym.

– Co zrobił?

– Wkurzył niewłaściwych ludzi.

– Założę się.

Ponownie się rozłączył i zadzwonił znowu, kiedy wjeżdżałem właśnie na podziemny parking przy 1900 K Street. Wcisnąłem się w wolne miejsce na ulicy tuż przy hydrancie, ponieważ w podziemiu był słaby zasięg.

– Nico, myślisz że ktoś może ukraść tożsamość twojego brata lub coś takiego? To się czasem zdarza.

– Co masz?

– Agencja zgłaszająca to DoD. Oznacza to, że Roger Heller został umieszczony na liście przez Departament Obrony.

– Jest powiedziane dlaczego?

– Widzisz, w tym problem. W polu bazy danych, które zazwyczaj zawiera powód, no wiesz, „Mustafa mówi, że chce wysadzić w powietrze Biały Dom”, widnieje tylko kod. A to oznacza stopień tajności przekraczający mój poziom dostępu.

– W porządku – rzekłem. – Bardzo mi pomogłeś. Dziękuję ci.

Już chciałem się rozłączyć, kiedy powiedział:

– Nick, posłuchaj. Wiem, że jestem tylko zwykłym urzędasem. Jednak muszę chronić swój urzędniczy kark. Rozumiesz?

– Tak – odparłem. – Nie martw się tym. Więcej nie zadzwonię.

30.

Umieszczenie mojego brata na liście terrorystów było niedorzeczne. Tak, był dupkiem. Ale terrorystą? To wszystko powiedziało mi, że ma jakichś potężnych wrogów, którzy potrafili wykorzystać listę nie latających. Wrogów zapewne skrytych gdzieś w moim starym mateczniku – Pentagonie.

Tylko jak Roger narobił sobie wrogów w Departamencie Obrony? I dlaczego?

Im bardziej się w to zagłębiałem, tym bliżej byłem uwierzenia, że działo się coś dziwnego i niepokojącego: jakaś afera na bardzo wysokim szczeblu, której mój brat był jedynie przypadkową ofiarą. I może miałem jeszcze ważniejszy powód: moją obsesyjną potrzebę zaglądania pod każdy kamień, jak lubił mówić Jay Stoddard. Doszukiwania się prawdy. Psychiatra prawdopodobnie powiedziałby mi, że to logiczna, aczkolwiek neurotyczna spuścizna po moim osobliwym wychowaniu, wynik wielokrotnego okłamywania przez Victora Hellera.

Ponieważ jednak nigdy nie byłem u psychiatry i nie jestem szczególnie skłonny do autorefleksji, niespecjalnie interesowało mnie, skąd się to bierze. Nie musiałem tego rozumieć.

Wiedziałem tylko, że nie spocznę, dopóki nie odkryję prawdy o tym, co stało się z moim bratem.



Dorothy Duval ze Stoddard Associates miała na swoim biurku tabliczkę z napisem JEZUS NADCHODZI – WYGLĄDAJ NA ZAJĘTEGO.

Zawsze podobał mi się ten slogan, który nieźle podsumowywał jej osobowość. W rzeczywistości była dość wierząca, ale miała rubaszne poczucie humoru. I lubiła wkurzać ludzi. Nie była cicha i pokorna. Zawsze mówiła to, co myślała – „wykladała kawę na ławę”, jak to ujmowała. To cecha nierozzerwalnie związana z jej uporem. Dorothy była błyskotliwa, niestrudzona i systematyczna, a poza tym nigdy się nie poddawała.

Widywałem ją w koszulkach z napisami JEZUS TO MÓJ ZIO-MAL, SZATAN JEST DO BANI i MÓJ BÓG MOŻE SKOPAĆ TWOJEMU BOGU DUPE. Jednak nie w biurze. Zawsze ubierała się dużo ładniej, niż było to wymagane od technika kryminalistyki. Tego dnia miała na sobie czarną spódnicę, brzoskwiniową bluzkę i ogromne srebrne kolczyki w kształcie kół.

Jako technik, nie śledczy, Dorothy nie miała swojego gabinetu. Dostała w Stoddard Associates boks w otwartej przestrzeni nazywanej byczą zagrodą, wraz z resztą personelu pomocniczego. Na jej biurku zawsze panował idealny porządek. Do ścianek boksu były przypięte pinezkami zdjęcia rodziców, brata oraz chmary bratanic i bratanków. Sama nie miała dzieci ani żadnego partnera czy partnerki i nigdy nie pytałem o jej życie osobiste. Chociaż była taka bezceremonialna, pozostawiała swoje życie prywatne prywatnym, a ja zawsze to szanowałem.

Dostrzegła mnie stojącego w progu i obrzuciła nieufnym spojrzeniem laptop, który trzymałem pod pachą.

– To dla mnie?

Przytaknąłem. Wzięła go.

– Numer sprawy? Nie widzę na nim naklejki. Chodziło jej o naklejkę z kodem kreskowym numeru sprawy, umieszczaną na wszystkich dowodach, tak aby wszystko było łatwe do odnalezienia.

– To nie jest sprawa Stoddarda – powiedziałem i wyjaśniłem jej, o co chodzi.

Zajął mi to kilka minut. Odwróciła komputer i otworzyła go.

– To laptop twojego brata?

Przytaknąłem.

– Powiedz mi, czego chcesz, przyjacielu. – Rozejrzała się dokoła. Maszerujący dumnie Marty Masur, kolega po fachu i małostkowy służbista, skinął nam głową. – Porozmawiajmy w twoim biurze – rzekła. – Potrzebujemy odrobiny prywatności.



– Tak, jest dużo skasowanych plików, zgadza się – powiedziała Dorothy kilka minut później, gapiąc się w ekran. – Ktoś próbował wyczyścić twardy dysk, ale spieprzył robotę. Jest też system operacyjny. Czego potrzebujesz?

– Interesuje mnie wszystko, co zdołasz wydobyć.

– Co jest na nim takiego ważnego?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Jednak zgaduję, że było tam coś dostatecznie ważnego, by mój brat próbował się tego pozbyć.

– Dlaczego?

– Właśnie ci powiedziałem.

– Ta. Powiedziałeś mi, czego szukasz. Nie powiedziałeś mi, dlaczego chcesz to mieć.

– Dlaczego tego po prostu nie zrobisz? – zapytałem, trochę rozdrażniony.

– Kochasiu, to nie tak działa – rzekła. Zauważyłem, że jej mowa staje się „uliczna”, kiedy Dorothy się denerwuje. Wsunęła palec wskazujący i postukała długim, polakierowanym na brzoskwinioowo paznokciem w dłoń drugiej ręki. – Nie ma żadnej magicznej sztuczki ani sposobu na odzyskanie trwale usuniętych danych, rozumiesz? Takie rzeczy to czysta fantastyka. Oglądasz zbyt wiele filmów.

– Prawdę mówiąc, za mało. Nie mam czasu.

– Tak, cóż, jeśli ktoś poważnie podchodzi do wyczyszczenia

swojego komputera, to są doskonałe programy kasujące dane, które fizycznie nadpisują każdy sektor, od początku do końca dysku. Nie ma sposobu, abyśmy znaleźli jakieś ślady, jeśli ten ktoś wiedział, co robi. Mogę wypróbować jakieś narzędzia do odzyskiwania danych z tego cacka i może mi się poszczęścić, ale to strzelanie w ciemno.

– No cóż, zobacz, co możesz zrobić – rzekłem. – Nie rozumiem połowy tego, co powiedziałaś, ale nie muszę.

– Człowieku, ty chyba naprawdę jesteś dumny z bycia technofobem.

– Nie jestem dumny. Wiem, że są rzeczy, w których jestem dobry i takie, na których się nie znam.

– Cóż, może powinieneś je poznać.

– Nie chciałbym pozbawiać cię pracy.

– Nie martwiłabym się o to.

– Chyba lepiej już się zamknę.

– Sądzę, że to pierwsza mądra rzecz, którą dzisiaj powiedziałaś.

– Dziękuję za szczerść.

– Posłuchaj, Nick, jeśli poważnie podchodzisz do rozpracowania tego, co stało się z twoim bratem, to zapewne chcesz wykonać głębokie przeszukiwanie baz danych. Mam rację?

Uśmiechnąłem się, wzruszyłem ramionami.

– Masz mnie.

– Znam cię.

– Cokolwiek możesz zrobić – rzekłem.

– Czy otrzymam za to zapłatę?

– Co tylko chcesz.

– Nazwijmy to po prostu sześciocyfrowym wkładem na moje konto w banku przysług. Ujmując to w stylu Nicka Hellera.

Uśmiechnąłem się ponownie.

– Masz to załatwione.

Wstała i skrzyżowała ramiona.

– Nick, skarbie, czy mogę coś powiedzieć?

– Czy kiedykolwiek zdołałem cię powstrzymać przed powiedzeniem czegokolwiek?

- Raczej nie. Nick, nie rób tego.
- Nie rób czego?
- Nie mieszaj się w to. Cała ta sprawa z twoim bratem... to zbyt osobiste. Jesteś zbyt zaangażowany i tylko narobisz sobie kłopotów.

Zaczyniesz robić rzeczy, których nie powinieneś. Stracisz swój zawodowy dystans.

- Widziałeś, żebym kiedyś zachowywał się nieprofesjonalnie?

Zastanawiała się przez sekundę.

- Wiele razy.
- Ale nie w pracy.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba nie.
- Poradzę sobie z tym.

– Widzisz, nie jestem tego pewna. Zostaw to glinom. To ich praca. Chcesz im pomóc, karmić ich informacjami, śmiało. Jeśli jednak sam się tym zajmiesz, zabrniesz za daleko. Mówię ci to, ponieważ cię kocham.

- A ja to doceniam – rzekłem.
- Mówię poważnie, Nick.
- Nie martw się o mnie – powiedziałem.

31.

– Wszystko jest pod kontrolą – powiedziała Noreen. – Jego stały apartament w hotelu Le Royal w Luksemburgu, prywatna sala zarezerwowana u Mosconiego dla starszych menadżerów Beneluksu...

– Princière.

– Co?

– Kiedy zatrzymuje się w Luksemburgu, lubi apartament Princière w Le Royal.

– Wiem – rzekła Noreen, urażona.

– Czy poprosiłaś hotel, żeby mieli w barku butelki San Pellegrino? Albo Perrier? Ich zwykła woda mineralna jest zbyt słona.

– Nic o tym nie mówił.

– Zawsze zapomina, dopóki tam nie przyjedzie, a potem robi piekielną awanturę. – Lauren uświadomiła sobie, że mówi jak maniaczka kontroli nad otoczeniem, i zawstydzila się. Dodała łagodniejszym tonem: – Zadzwoń do konsjerża.

– Och, a Leland ma teraz spotkanie z nowym doradcą finansowym. Swoim prywatnym, niezatrudnionym przez naszą firmę. Miły gość. Tylko jaki brzydki! O rany. Chyba spadł z drzewa brzydoty i obijał się o każdą gałąź.

– W porządku, zostałam ostrzeżona – powiedziała Lauren.

– Nazywam go Bawologęby. Kiedy wchodzi do ubikacji, włączają się wszystkie spłuczki.

– Muszę wracać do pracy – rzekła Lauren.

Noreen w końcu wróciła do swojego biurka, a Lauren sprawdziła pocztę.

Nic od Rogera.

Jednak dlaczego miałyby cokolwiek być? Był tylko ten jeden, łąmiący serce e-mail, a teraz zniknął.

Nick chciał, aby odkryła, nad czym Roger pracował w Gifford, ale prawdę mówiąc, bała się to zrobić. Jak mogła przeprowadzić śledztwo, nie uruchamiając alarmu?

Musiała być bardzo ostrożna.

Drzwi do gabinetu Lelanda się otworzyły i wyszedł stamtąd szybko idący mężczyzna w workowatym szarym garniturze. Widziała go tylko przez moment – pospolita twarz, okulary w rogowych oprawkach – zanim zniknął.

Potem Leland wyszedł ze swojego biura i się rozpromienił.

– Nie sądziłem, że tak szybko wrócisz do pracy! – zagrział z teksańskim akcentem. Ojciec Gifforda był kolejarzem w zachodnim Teksasie, zanim założył rodzinną firmę. Teraz ten interes przynosił dochody rzędu dziesięciu miliardów dolarów rocznie, zarządzając budowlami w czterdziestu siedmiu krajach, i nadal znajdował się w rękach rodziny Giffordów. Gifford Industries miało swoją główną siedzibę w Austin do czasu, gdy Leland podjął trudną decyzję o przeniesieniu się do Waszyngtonu, ponieważ tam robiono najwięcej interesów. Rządowych, już nie na rynku ropy.

Wstała, gdy Leland podszedł do jej biurka i ją uściskał. Był wysoki i pulchny, miał łukowate krzaczaste brwi i obwisłe policzki, dużą głowę, rumianą cerę i siwe włosy obcięte najeża. Ci, którzy spotykali go po raz pierwszy, uważali go za przytłaczającą postać – i rzeczywiście, odpoczywając, często miał władczy wyraz twarzy, jeszcze groźniejszy z powodu tych łukowatych brwi.

Nagle znieruchomiał.

– Zapomniałem, że jesteś ranna, a ja wyciskam z ciebie życie.

– Daj spokój, Leland, nie jestem ze szkła.

Położył obie ręce na jej ramionach i zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Nic nowego w sprawie Rogera?

Pokręciła głową.

– Nawet nie wiedzą, czy żyje?

– Zgadza się.

Zamknął oczy.

– Dlaczego w ogóle tu przyszedłeś? – spytał łagodnie.

– Ponieważ muszę tu być – rzekła.

– Rozumiesz, że możesz wziąć tyle wolnego, ile potrzebujesz, prawda? Tygodnie, miesiące, ile tylko ci trzeba.

– Muszę tu być.

– Wiesz, nie rozumiem połowy spraw, którymi zajmował się Roger, ale jest cenionym pracownikiem. Co ważniejsze, jest twoim mężem. Gdybyś kiedykolwiek czegoś ode mnie potrzebowała, po prostu powiedz, słyszysz?

Przytaknęła.

– Musisz wyjechać za pół godziny – powiedziała. – Właściwie za dwadzieścia pięć minut.

Wyciągnęła kilka czasopism ze sterty na swoim biurku i wręczyła Lelandowi nowy „Business Week” i „Forbes”. Potem odwróciła się, otworzyła szufladę i wyjęła z niej garść opakowań metamucilu. Wręczyła mu je również.

– Myślisz o wszystkim – powiedział. – Dzięki.

32.

Kiedy zbliżyłem się do gabinetu Jaya Stoddarda, doleciał z niego głośny śmiech. Spodziewałem się, że zobaczę Jaya pogrążonego w ożywionej rozmowie z jednym z jego starych kumpli z Agencji. Jednak był sam, odchylony do tyłu w swoim fotelu, i patrzył w ekran komputera.

Zerknął na mnie, a potem znów odwrócił się do komputera. Wyciągnął lewą rękę i przywołał mnie machnięciem dłoni.

- Nicky – rzekł. – Oto człowiek, z którym chciałem porozmawiać.
- W porządku.

Stoddard miał na sobie jeden ze swych najbardziej wystrzałowych, szytych na miarę garniturów: dwurzędowy, z szerokimi klapami, zrobiony z włochatego tweedowego materiału. Na każdym mankencie cztery guziki, które naprawdę się zapinały – ostatni rozpięty. Wyglądał, jakby właśnie wrócił z weekendu w Balmoral Castle. Mój ojciec zwykł nosić takie garnitury. Zanim zaczął codziennie nosić pomarańczowy więzienny uniform.

– Och, a niech mnie – wykrztusił, zaśmiewając się. – Och, słodki Jezu. Widziałeś to?

Wszedłem, pochyliłem się nad jego biurkiem i wyciągnąłem szyję. Oglądał film w Internecie. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na porno. Cóż, był to pewien rodzaj porno. Kilka biuściastych młodych kobiet w lateksowych kostiumach smagających skórzanymi pejcjami gołe pośladki mężczyzny w średnim wieku. Jedna z nich szukała wszy

w jego włosach. Krzyczały na niego w kulawym niemieckim. Najwyraźniej miała to być orgia, jednak nie wyglądało na to, żeby ten biczowany facet dobrze się bawił.

- Ich niemiecki akcent nie jest zbyt dobry, prawda? – zapytałem.
- Wiesz, kim jest ten facet?
- Jego tyłek wcale nie wydaje mi się znajomy.

Stoddard podał mi nazwisko prominentnej postaci brytyjskiej sceny politycznej.

– Chce wiedzieć, jak ten film wyciekł. Próbuje uzyskać nakaz sądowy, aby usunąć go z Internetu. Twierdzi, że pogwałcono jego prawo do prywatności.

Przyjrzałem się bliżej.

– Tutaj podają, że ten film obejrzało milion czterysta tysięcy ludzi...

- Wiem, wiem. To absolwent Oksfordu, wiesz?
- Nie wiedziałem.

– Brophy może zająć się tym w przerwie między jedną drzemką a drugą – rzekł Jay. Brophy był jednym z naszych najstarszych śledczych. – Strata czasu, gdyby ktoś mnie pytał, ale nie odrzucę tego zlecenia.

– Może Brophy powinien wziąć także sprawę tego dyrektora naczelnego kanału informacyjnego.

Wyprostował swoje krzesło.

– Nie, Nicky, jesteś naszym wielkim, przebojowym detektywem. Nie mów mi, że masz etyczne skrupuły również co do tej sprawy. – Przeczesał palcami srebrną grzywę.

– Nie. Nie, jeśli to może poczekać. Biorę kilka wolnych dni z powodów osobistych.

- Och?
- Sprawy rodzinne.

Patrzył na mnie wyczekująco.

Odpowiedziałem mu obojętnym spojrzeniem.

Oczywiście chciał znać powód, a ja nie zamierzałem powiedzieć mu niczego, czego nie musiałem.

Spojrzał w zadumie na nieskazitelną powierzchnię swojego biurka, lekko pokręcił głową.

– Twoja rodzina – rzekł. – Twój ojciec, potem twój brat... Jesteś pewny, że nie wywodzisz się z rodu Atreusza?

– Słucham?

– Człowiek się zastanawia, czy to nie jakaś rodzinna klątwa.

– Co wiesz o moim bracie? – zapytałem.

Jego telefon zabrzączał i usłyszeliśmy głos Elizabeth, rzeczowo zawiadamiającej, że dzwoni ktoś, kto nalega na natychmiastową rozmowę z Jayem.

Wstałem, gdy odbierał telefon. Jego palec wskazujący zawisł nad przyciskiem połączenia.

– Nie wygląda to dobrze, prawda? – powiedział, a potem wcisnął przycisk i odebrał rozmowę.

33.

Pożegnalna uwaga Stoccarda była jak kopniak w splot słoneczny.

„Nie wygląda to dobrze”. Czy miał na myśli, że szanse na odnalezienie Rogera nie są duże? Tylko skąd o tym wiedział? A co ważniejsze, kto mu powiedział o zniknięciu Rogera?

Wydawało się, że Jay Stoddard wie coś, czego ja nie wiedziałem. Pewnie – miał lepsze kontakty niż ktokolwiek inny, znał ludzi, ich sekrety i grzeszki.

I z jakiegoś powodu chciał, żebym wiedział, że on wie.

Wahałem się przez moment, stojąc na korytarzu przed jego gabinetem, zastanawiając się nad gwałtownym powrotem do środka, wyrwaniem Stoddardowi telefonu z ręki, rzuceniem nim o ścianę i zapytaniem, co, do diabła, wie. Jednak szybko odzyskałem zdrowe zmysły. Istniały inne, lepsze sposoby, aby się tego dowiedzieć.



Jednym z nich był facet z przedmieścia Marylandu, który dawno temu pracował w FBI. Frank Montello to nieco podejrzany typ, ale dobrze go znać. Nazywał sam siebie maklerem informacji. Dawniej był tym, do kogo dzwonisz, jeśli chcesz ustalić nazwisko właściciela zastrzeżonego numeru telefonu, a nie masz czasu albo możliwości uzyskania nakazu sądowego. Teraz miał kontakty wśród personelu każdego znaczącego dostawcy bezprzewodowej telefonii, włączając w to T-Mobile, AT&T i Verizon. Nigdy nie pytałem go, w jaki

sposób zdobywa informacje. Nie chciałem tego wiedzieć.

Zadzwoiłem do Franka zaraz po powrocie z LA i poprosiłem go, aby się dowiedział, do kogo należy numer telefonu, który dał mi na lotnisku Woody. Frank podał mi oburzająco wysoką cenę i powiedział, że to może potrwać parę dni.

Tak więc teraz ponownie zadzwoniłem do Franka.

– Cierpliwości, przyjacielu – rzekł swoim głębokim, zgrzytliwym głosem. – Mojej dziewczyny nie było wczoraj w pracy.

– Nie dzwonię w tej sprawie – powiedziałem. – Mam kolejną robotę.

– Posłuchajmy.

Podaliśmy mu numer telefonu komórkowego Rogera, ten, którego billingów nie mogłem znaleźć w jego gabinecie, i poprosiłem Franka, aby jak najszybciej przesłał mi je pocztą elektroniczną. Domyślałem się, że jeśli mój brat zadał sobie trud ukrycia rachunków za ten telefon, musi być w nich coś przydatnego. A przynajmniej coś, co chciał ukryć.

Cena, którą podał Frank, była jeszcze większa niż poprzednio.

– Nie dostanę rabatu za hurtowe zamówienie? – zapytałem, a Frank roześmiał się serdecznie, co oznaczało odmowę.

Wyszedłem po kubek kawy, a kiedy wróciłem, Dorothy Duval siedziała przy moim biurku, wyciągnięta w fotelu, z nogami opartymi o blat.

– Jak mogę zdobyć taki gabinet? – zapytała.

– Całując wiele tyłków.

– W takim razie chyba mam szczęście, siedząc w boksie – mruknęła. – Wiesz, to zdumiewające, czego dzisiaj można się dowiedzieć o ludziach. Nie potrafię powiedzieć, czy to fajne, czy przerażające. Może jedno i drugie.

– Odzyskałaś dane z laptopa?

– Dziecinko, to zajmie długie godziny. Wiele godzin. Na razie przeprowadziłam podstawowe przeszukiwanie baz danych.

– Mów.

- Co wiesz o receptach przepisanych twojemu bratu?
- Mówisz poważnie?
- Na przykład na atak serca.
- Jak je zdobyłeś? – zapytałem. Byłem pod wrażeniem.

Zaśmiała się.

– Och, to paskudna historia. Wszystkie duże sieci farmaceutyczne sprzedają dane dotyczące recept kilku przedsiębiorstwom, nazywanym elektronicznymi bankami recept. Niby robią to dla bezpieczeństwa pacjentów, ale wiadomo, o co naprawdę chodzi. – Pokazała palcami powszechnie zrozumiały gest liczenia forsy. – Człowieku, teraz wszystko jest online.

- I doskonale chronione, co?
- Och, tak. Więc jak wiele chcesz wiedzieć o swoim bracie?
- O czym mówimy?
- Cóż, na przykład o viagrze.
- Brał viagrę?

Założyła nogę na nogę.

– To chyba więcej, niż chcę wiedzieć o życiu seksualnym Rogera i Lauren.

- Może to nie dotyczy Lauren – rzekła.

Założyłem ręce na piersi.

- Jak na to wpadłeś?

Opuściła stopy na podłogę i pochyliła się do przodu.

- Ponieważ siedem miesięcy temu twój brat zapłacił za aborcję.

Gapiałem się na nią przez kilka sekund.

- Zakładam, że nie chodziło o Lauren.

Pokręciła głową.

- Jak na to...? – Słowa utknęły mi w ustach. Byłem wstrząśnięty.

Nie sądziłem, że cokolwiek o moim bracie może mnie zaskoczyć. Jednak to ścięło mnie z nóg. A przede wszystkim bardzo mnie zasmuciło. Pomyślałem o Lauren i jej miłości do niego, której nigdy nie rozumiałem. Oraz o Gabie i jego podejrzeniach, że ojciec był niewierny. Zastanawiałem się, czy dzieci po prostu nie widzą lepiej

pewnych spraw. Jako jedynak, Gabe zapewne obserwował swoich rodziców iście rentgenowskim wzrokiem.

Dorothy westchnęła w zadumie.

– Wiesz, dane medyczne nie są tak naprawdę tajne.

– Jednak aborcje... Czy ludzie nie używają czasem gotówki, aby zachować to w tajemnicy?

– Najwyraźniej były jakieś komplikacje. Dzięki temu znalazłam te dane: kobieta została przyjęta z ośrodka planowania rodziny w Brookline do General Hospital w Bostonie, a nazwisko twojego brata zostało zapisane jako nazwisko osoby towarzyszącej.

– Kim jest ta kobieta?

– To śmieszne nazwisko, Candi jakaś tam. – Popatrzyła w swoje notatki. – Candi Dupont. To Candy z „i” na końcu.

– Znalazłaś coś na jej temat?

– Jeszcze nie.

– Sądziś, że to prawdziwe imię?

– Dla mnie brzmi jak imię striptizerki.

– Czy możesz dalej pogrzebać i zobaczyć, co znajdziesz? Typowe bazy danych. Sprawdź, co znajdziesz o jej miejscach pobytu, zatrudnieniu i tym podobnych.

– Daj spokój, Nick, a jak myślisz?

– Doceniam to.

– Myślisz, że jego żona wie?

– Wątpię.

– One zawsze dowiadują się ostatnie, prawda? Zamierzasz jej powiedzieć?

Zawahałem się, potem pokręciłem głową.

– Nie widzę sensu. To nie ma nic wspólnego z tym, co się z nim stało.

– Jesteś pewien?

– Jej życie już i tak zostało wywrócone do góry nogami. Być może straciła męża. Nie ma powodu jeszcze przysparzać jej bólu.

- Zatem nie powinnam była ci o tym mówić?
- Oczywiście, że powinnaś była – zapewniłem, zdziwiony, że w ogóle to zasugerowała. – Muszę wiedzieć wszystko o swoim bracie. Nawet o sprawach, o których wolałbym nie wiedzieć.
- Nick – rzekła – nie można wiedzieć wszystkiego o kimkolwiek. Nieważne, jak dobrym jesteś detektywem, nieważne, do ilu baz danych masz dostęp, nieważne, jak głęboko kopiesz. Po prostu nigdy nie zdołasz całkowicie poznać drugiego człowieka.
- Jesteś zbyt bystra, aby pracować w miejscu takim jak to – powiedziałem.

34.

W college'u przez parę kolejnych lat pracowałem w czasie wakacji jako asystent u McKinseya, w wielkiej firmie konsultingowej do spraw zarządzania. Właściwie nie powinienem był dostać tej pracy. Takie stanowiska były zwykle zarezerwowane dla kandydatów z dyplomami magisterskimi i doktorskimi, a nie dla studentów. Jednak kobieta, która mnie zatrudniła, prawdopodobnie doszła do wniosku, że Victor Heller, zbiegły finansista, legendarny Książę Ciemności z Wall Street, może pomóc jej ubić jakiś duży interes. Co oczywiście nigdy się nie zdarzyło.

Przydzielono mnie do zespołu pracującego dla mającego kłopoty producenta butów sportowych, co oznaczało, że musiałem przeprowadzić rozmowę z każdym, z kim się dało, a potem pod koniec lata przygotować prezentację dla zarządu. Moja szefowa wydawała się dużo bardziej zainteresowana tymi, których nazywała „bramkarzami” i „decydentami” tego przedsiębiorstwa, niż nędzną jakością ich tenisówek. Musiałem nawet zrobić macierz decyzyjną ze wszystkimi głównymi graczami oznaczonymi kolorami-kodami – zielony oznaczał, że chcieli kupić więcej naszych konsultanckich usług. Czerwony, że byli temu zdecydowanie przeciwni. Kiedy pokazałem swoją prezentację szefowej, mocno na mnie naciskała, abym obsmarował w niej szefa jednego z oddziałów i podkreślił wszystkie problemy w jego zespole.

Próbowałem się o to spierać z tą kobietą. Przecież szef tego oddziału był w porządku. W końcu jedna z moich współpracowniczek, śliczna ciemnowłosa dziewczyna, z którą umawiałem się tamtego lata, wytłumaczyła mi, o co w tym chodzi.

Okazało się, że ten konkretny menadżer był „czerwonym nazwiskiem”. Stwarzał trudności. Uważał, że konsultanci tacy jak my są stratą czasu. Moja szefowa chciała go zneutralizować.

Zatem zrobiłem to, co mi kazano. Stworzyłem prezentację w PowerPointcie, odgrzebałem każdą pomyłkę, jaką popełnił ten szef oddziału, każdą złą decyzję.

Wkrótce potem facet został zwolniony.

Problem został rozwiązany.

Wtedy właśnie zdecydowałem, że praca konsultanta nie jest dla mnie. Jednak umiejętność działania i mówienia w stylu konsultanta niejednokrotnie okazywała się bardzo przydatna.

Zadzwoiłem do Lauren i uzgodniłem z nią, że na biurku dozorczy w holu Gifford Industries będzie czekała na mnie przepustka. Zgodnie z nią byłem konsultantem do spraw zarządzania w Bain & Company.

To pozwoli mi dostać się na górę i swobodnie poruszać się w budynku.



Do szpanerskiego budynku głównej siedziby Gifford Industries dotarłem dopiero późnym popołudniem. Miałem nadzieję wyjść z biura dużo wcześniej, ale przeszkodził mi nawał pracy. Nie mogłem tak po prostu zostawić spraw, nad którymi pracowałem – musiałem przekazać akta kolegom ze Stoddard, poinformować ich o postępach i najważniejszych kwestiach. Musiałem zadzwonić do klientów, dla których pracowałem, i zawiadomić ich, że biorę kilka dni wolnego z powodów rodzinnych, których nie wyjaśniłem, oraz zapewnić ich, że są w dobrych rękach. Musiałem napisać wiele e-maili i na wiele odpowiedzi. Poczta elektroniczna: przekleństwo nowoczesnego życia biurowego. Nie pamiętam, co robiliśmy, zanim ją wymyślono.

Nadal byłem wstrząśnięty tym, czego Dorothy dowiedziała się o Rogerze. Faktem, że miał romans i zabrał kochankę do kliniki aborcyjnej. Faktem, że mój brat zdradzał swoją żonę, kobietę, przy której powinien uważać się za szczęściarza. Przecież nie był Bradem Pittem ani George'em Clooneyem. Czulem się tak samo jak wtedy, gdy czytam jakieś hollywoodzkie plotki o mężu kolejnej supermodelki przyłapanym na zdradzie. Czego ty chcesz, facet? Jesteś mężem jednej z najbardziej pożądanych kobiet na świecie. Czego jeszcze możesz chcieć?

Jako samotny mężczyzna, przyznaję, że rozumiałem tę chęć. Mój brat i ja jako dzieci często opowiadaliśmy dowcip, który brzmiał jakoś tak: „Hej, czy słyszałeś, że właśnie wyszedł »Playboy« w wersji dla żonatych? Ta. Co miesiąc na rozkładówce jest ta sama kobieta”. Jednak czuć pociąg a ulegać mu to dwie różne sprawy.

Sądzę, że w głębi podświadomości żywiłem nadzieję, iż prowadząc śledztwo w sprawie zniknięcia mojego brata, odkryję jakąś jego stronę, której nigdy nie znałem i dzięki której w końcu zacznę go doceniać.

Nie sądziłem, że dowiem się czegoś, co sprawi, że będę czuł do niego jeszcze większą niechęć.

Roger pracował w specjalnej grupie projektowej w dziale rozwoju korporacji Gifford Industries. Było tam trzech pełnomocników i tylko jedna sekretarka. Wystarczyło spojrzeć na ich gabinety, by wiedzieć, że ta specjalna grupa projektowa była swego rodzaju gettem w przedsiębiorstwie. I wcale nie wydawała się „specjalna”. Była ukryta w odległym zakątku Wydziału Prawnego, na trzecim piętrze, w labiryncie identycznych gabinetów. Na ścianach nie wisiało nic poza ogłoszeniami, jakie można znaleźć w biurze każdej korporacji na świecie – lakoniczne notatki o akcji krwiodawstwa i utrzymaniu kuchni w czystości (notatka mówiła „Nie jesteśmy twoimi matka-mi!”). Nagle wydało mi się, że mam za mocno zaciśnięty krawat.

Sekretarka specjalnej grupy projektowej nazywała się Kim Harding.

Była nieśmiała i pogrążona w książkach, na początku pięćdziesiątki, ze zbyt dużymi okularami o fotochromowych szklach. Miała krótko obcięte brązowe włosy i małe zaciśnięte usta pomalowane ciemną czerwoną szminką. Wyglądała jak przestraszony królik.

– Cześć, Kim – powiedziałem. – Nazywam się John Murray, jestem z Security Compliance. – Wręczyłem jej wizytówkę. To była jedna z przykrywek, które Stoddard zapewniał swoim detektywom, i zawsze działała. Wskazywała Security Compliance Partners jako firmę konsultingową do spraw zarządzania specjalizującą się w audytach bezpieczeństwa korporacji Fortune 500. Podany był na niej adres Stoddard Associates i numer telefonu, który od razu odbierała Elizabeth, nasza recepcjonistka.

Każda korporacja, która robiła interesy z Pentagonem, tak jak Gifford Industries, musiała znosić regularne wizyty zewnętrznych audytorów do spraw bezpieczeństwa, którzy grasowali na korytarzach firmy, spotykając się z ludźmi, sprawdzając pomieszczenia i urządzenia, upewniając się, że spełniają one wszystkie śmieszne, paranoidalne normy bezpieczeństwa, które rząd narzucał każdemu zleceńbiorczy wykonującemu poufne zadania. Zatem Kim Harding była przyzwyczajona do tego rodzaju współpracy.

Spojrzała na wizytówkę i rzekła:

– Tak, John, w czym mogę panu pomóc?
– Cóż, wie pani, pan Gifford zatrudnił nas, abyśmy sprawdzili kilka niezgodności dotyczących kogoś, kto z panią pracuje, a mianowicie pana Rogera Hellera.

Oniemiała, zaciśnęła usta i popatrzyła na mnie. Przez chwilę myślałem, że może zapytać, czy przypadkiem nie jestem spokrewniony z Rogerem. Roger i ja już nie byliśmy do siebie podobni, ale kobiety bywają znacznie bardziej spostrzegawcze od mężczyzn, a ktoś taki jak Kim, kto pracował z nim każdego dnia, mógł być wyjątkowo przenikliwy.

Jednak ona była tylko zaniepokojona.

- Tak bardzo martwię się o Rogera. Czy wiemy coś więcej...?
- Nie mogę o tym rozmawiać, Kim, ale będę bardzo wdzięczny za pani pomoc.

Zamrugła kilka razy.

- Tak?
- Cóż, zacznijmy od czegoś prostego. Czy trzyma pani zapisy numerów telefonów, pod które dzwonił Roger lub z których do niego dzwoniłono?

Kim się wyprostowała. Jej nozdrza rozszerzyły się, gdy wciągała przez nie powietrze.

- Odpowiedź się nie zmieni, niezależnie od tego, ile razy będziecie mnie pytali.
- Już ktoś o to panią pytał?
- Właśnie dzisiejszego ranka. Biuro pana Gifforda. Czemu odnoszę wrażenie, że nie wie lewica, co czyni prawica?

– Kto z biura pana Gifforda?

Przeszyła mnie wzrokiem.

- Noreen Purvis. Kobieta, która zastępowała Lauren Heller.
- Rozumiem.
- Powiem panu to, co powiedziałam jej. – Uniosła bloczek różowych karteczek z wiadomościami „podczas twojej nieobecności”. Znałem je dobrze. – Zapisuję wiadomości na tych karteczkach i wręczam je pełnomocnikom lub kładę im je na biurkach, i nie, nigdy nie przechowuję kopii. Jeśli chce pan dostać rejestr rozmów telefonicznych, proszę porozmawiać z dziewczynami z księgowości.

– Cóż, zawsze to jakiś początek – rzekłem. – Przepraszam za podwójny wysiłek. Czy może mi pani pokazać gabinet Rogera? Muszę spojrzeć na jego komputer.

- Ludzie, wy naprawdę z sobą nie rozmawiacie, prawda?
- Noreen również to zrobiła?
- Nie. Pytała o komputer, ale powiedziałam jej, że go tu nie ma. Został zabrany przez ochronę, na bezpośrednie polecenie pana Gifforda.

Nieładna kobieta w okularach o grubych drucianych oprawkach, ubrana w szary kostium, przeszła obok, a Kim podniosła różową karteczkę z wiadomością. Kobieta wzięła ją od Kim.

– Dzięki, Kim – powiedziała. Spojrzała na karteczkę, zmięła ją i wrzuciła do metalowego kosza na śmieci obok biurka Kim Harding.

Potem popatrzyła na mnie.

– Pyta pan o Rogera?

– Zgadza się – odpowiedziałem.

– O co chodzi?

Wręczyłem jej swoją wizytówkę, która poinformowała ją, że jestem z Security Compliance. Uścisnęła mi rękę, mocno jak mężczyzna.

– Wygląda pan znajomo – powiedziała.

– Często to słyszę – rzekłem.

– Jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś o Rogerze, proszę porozmawiać z Marjorie – rzuciła Kim Harding, odwracając się do klawiatury. – Marjorie wie wszystko o Rogerze.

Kobieta o imieniu Marjorie uśmiechnęła się i zarumieniła.

– Nie wiem – rzekła. – To zabrzmiało tak, jakbyśmy mieli romans.

– Czy ja tak powiedziałam? – zapytała mnie Kim. – Powiedziałam?

– Nie, nie powiedziała pani – odparłem.

– Nie, nie powiedziałam – rzekła Kim, powoli kręcąc głową. – Jednak Roger zawsze mi mówi, że jeśli go nie ma, a ja chcę wiedzieć coś o umowie, nad którą on pracuje, powinnam iść prosto do Marjorie.

Marjorie wzruszyła ramionami.

– Och, to przesada – powiedziała, ale wciąż była zarumieniona i uśmiechała się z wyraźnym zadowoleniem.

– Daj spokój, kochanie – rzekła do niej Kim. – Roger mawia, że jeśli Marjorie czegoś nie wie, zawsze może się dowiedzieć. Jak myślisz, dlaczego nazywa cię bibliotekarką?

35.

- Dlaczego tak bardzo interesuje pana, nad czym pracował Roger?
- Ja tylko wykonuję swoją pracę – odpowiedziałem.

Marjorie Ogonowski pracowała w boksie, więc usiedliśmy w gabinecie Rogera.

Nie wyglądał tak, jak się spodziewałem. Myślałem, że gabinet Rogera w Gifford Industries będzie przynajmniej w pewnym stopniu odzwierciedlał pompatyczny wystrój jego domowej biblioteki. Z niezłym obrazem koni pędzła George'a Stubbsa. Może nawet z antykwareczną ryciną kowalika, autorstwa Johna J. Audubona. Tymczasem było to ciasne i ponure pomieszczenie, kompletnie pozbawione osobowości.

Na biurku nie było komputera.

– Dlaczego? – zapytała Marjorie. – Czy to ma coś wspólnego z jego zniknięciem?

– Czy wie pani coś o tym?

– Ja pana zapytałam.

– To tylko robocza hipoteza – powiedziałem, ponieważ nie miałem ochoty na tego rodzaju odbijanie piłeczki. – Co może nam pani powiedzieć, Marge?

– Marjorie. Jeśli pracuje pan dla Lelanda Gifforda, wie pan dokładnie, czym się zajmował.

Zamilkłem na moment. Trafiła w sedno.

– Pan Heller zasugerował w swoim e-mailu do żony, że jeśli coś mu się stanie, pani będzie wiedziała, z jakiego powodu.

– Naprawdę?

Przytaknąłem.

– Czy mogę zobaczyć ten e-mail?

– Obawiam się, że nie.

– Co napisał o tym, co... co mu się przydarzyło?

– Musiał pani powiedzieć coś na ten temat.

– Nie powie mi pan, co napisał Roger?

– Problem polega na tym, że nic nie napisał. Nic poza tym. Jak pani sądzi, czego dotyczyła ta wzmianka?

Była nieładną kobietą o męskim typie urody. W ogóle się nie malowała. Nawet jej szary kostium miał męski krój. Była bardzo bystra, rzeczowa, precyzyjna w mowie i sposobie bycia.

Zamrugła jak sowa.

– Nic mi nie mówił. Poza tym, co powiedziała Kim.

– Musiał pani powiedzieć wystarczająco dużo, aby się pani o niego martwiła.

Oczywiście, to były z mojej strony czyste domysły. Wyraźnie czerpała dumę ze swojego wyjątkowego związku z Rogerem, który raczej nie miał seksualnego charakteru – Marjorie wydawała się wyzywająco asekualna. Mógł jej się zwierzać, ponieważ była tak doskonale kompetentna.

– Bardzo mało mi o tym mówił.

– O czym?

– O tym, co odkrył.

Poczekalem, a kiedy nie kontynuowała, zapytałem.

– Co odkrył?

– Panie Murray, ma pan pojęcie, czym zajmował się tutaj Roger?

– John – poprawiłem. – Nie, niespecjalnie.

– Pracujemy głównie nad sprawami M&A z zespołem do spraw umów biznesowo-rozwojowych, weryfikujemy księgi, sprawdzamy bieżące i oczekiwane dochody, pracujemy nad zwiększaniem obrotów.

Już dawno nie słyszałem takiej przedziwnej biznesowej angielszczyzny, brzmiącej jak obcy język. Tak naprawdę, od czasów pracy dla McKinseya. Przetłumaczenie w myślach jej słów zajęło mi kilka sekund.

– To znaczy, że kupujecie przedsiębiorstwa – powiedziałem.

– Upraszczać, tak. Ja jestem tylko asystentką doradcy, więc pomagam Rogerowi. I muszę powiedzieć, że Roger Heller był najbardziej bystrą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam. Był po prostu geniuszem finansów. I nigdy nie zdobył tutaj takiego uznania, na jakie zasłużył. Ludzie o wiele gorzej wykwalifikowani zawsze wyprzedzali go w awansach. Powinien być głównym doradcą lub dyrektorem do spraw finansowych. A przynajmniej dyrektorem zarządzającym do spraw M&A. Jednak było tak, jakby utknął na żółtym świetle.

– Jak pani myśli, dlaczego tak się stało?

– Może dlatego, że jest zbyt inteligentny. Odstrasza ludzi.

– Doprawdy?

Przytaknęła i docisnęła do nosa okulary.

– Zawsze mówi to, co myśli. Tak jakby nie było żadnego filtra. Powiedziałabym, że większość ludzi nie potrafi się z nim dogadać. Uważają go za pozbawionego poczucia humoru. Jednak Roger i ja... świetnie się dogadywaliśmy. On oczekuje maksimum wysiłku od każdego współpracownika, a ja dawałam z siebie wszystko. Oczekuje perfekcji, a ja...

– Pani mu ją zapewniała.

– Zwykle nie popełniam błędów. On wie, że zawsze może się do mnie zwrócić. – Uśmiechnęła się. – Wszystko dokumentuję. Miał w zwyczaju nazywać mnie „podręczną bibliotekarką”, a potem po prostu „bibliotekarką”, w skrócie. Zawsze układało nam się doskonale.

– Ufał pani.

– Sądzę, że tak.

– Zatem co pani powiedział?

Widziałem, że zaczęła czuć się swobodniej w moim towarzystwie.

– Powiedział, że odkrył coś w księgach jednej z firm. Podczas rutynowej kontroli. Coś, co jego zdaniem było „niepokojące”.

– Co to było?

– Nie powiedział, naprawdę. Jednak mówił, że wolałby tego nie odkryć. Powiedział, że boi się o swoje życie. Był przerażony.

– Nie nadażam. Dlaczego odkrycie czegoś „niepokojącego” miałoby spowodować, że bał się o swoje życie?

– Cóż, najwyraźniej coś przemilczał. Jak powiedziałam, nie mówił mi wszystkiego. Jednak w pewien sposób wskazał, że skontaktował się z nimi. Powiadomił ich, co znalazł.

– Z kim się skontaktował?

– Z firmą. Tą, która popełniła... cokolwiek to było.

– Co takiego?

– Jakieś malwersacje, jak sadzę.

– Ale dlaczego się z nią skontaktował?

Pokręciła głową.

– Oczywiście, był zdenerwowany. Jednak taki już jest, wie pan? Zawsze musi postawić kreskę w każdym „t” i kropkę nad każdym „i”. Myślę, że dlatego tak dobrze się dogadywaliśmy.

Miałem wielką ochotę coś powiedzieć, ale się powstrzymałem. Mówiła dalej.

– Wie pan, jego ojciec jest sławny... To był ten zbiegły finansista, Victor Heller. Był, jest... nie jestem pewna. Siedzi w więzieniu, a może w nim zmarł. Jednak miałam naprawdę silne wrażenie, że Roger odreagowywał jego przestępczą działalność. No wie pan, to tylko moje zdanie, nigdy nie lubił mówić o swoim ojcu. Raz, kiedy jechaliśmy samochodem na lotnisko Dulles, zebrałam się na odwagę i zapytałam go o Victora Hellera. Chyba uznałam, że pracujemy z sobą wystarczająco długo, żebym mogła z nim rozmawiać o takich sprawach. Odparł, że jego ojciec był błyskotliwym i nierozumianym człowiekiem i że nigdy nie powinien pójść do więzienia. Coś w tonie jego głosu powiedziało mi, żebym nie kontynuowała tego tematu, więc zmieniłam go. A później zdałam sobie sprawę, że nie jestem

pewna, co Roger miał na myśli, wie pan? Co miał na myśli, mówiąc, że jego ojciec nie powinien nigdy pójść do więzienia? Uważał, że jego ojciec nie powinien być łamać prawa? Czy że nie powinien pójść do więzienia za to, co zrobił? Nigdy tego nie zrozumiałam, naprawdę. Jednak nie mogłam zapytać.

– Hmm – rzekłem, nie wiedząc, co mógłbym powiedzieć.

– Innym razem powiedział mi, cóż, to była swego rodzaju uwaga na marginesie, taki żart, o jakichś zmiennych udziałach, które zauważył w zestawieniu zysków pewnego przedsiębiorstwa, i rzekł: „Wiesz, przy dobrym rynku nazywa się to inżynierią finansową. Przy złym rynku nazywają to defraudacją”. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Co dokładnie miał na myśli.

Sam też się trochę pogubiłem.

– Czy to oznacza, że nie potrafiła pani stwierdzić, czy Roger aprobował to, czy nie? – spytałem.

Milczała przez długą chwilę.

– Sama nie wiem, co o tym myśleć.

– Jednak zareagował oburzeniem na to, co odkrył w księgach tej firmy... mówiła pani, że jak się ona nazywa?

– Nie mówiłam.

– Co to była za firma?

Teraz milczała jeszcze dłużej.

– Tego nie mogę powiedzieć.

– To niezmiernie ważne – rzekłem.

– Rozumiem. Jednak o pewnych przejęciach, których dokonujemy, po prostu nie wolno mi rozmawiać.

– Zatem było to przedsiębiorstwo, które Gifford Industries ostatnio przejęło.

– Nie mogę powiedzieć.

– To naprawdę nam nie pomaga.

– Wiem. Przykro mi. Jednak muszę przestrzegać pewnych zasad.

Czasem cisza jest najpotężniejszą bronią w arsenale detektywa, więc przez długi czas patrzyłem na Marjorie, nic nie mówiąc.

Jednak broń nie zawsze trafia w cel. Marjorie odwróciła wzrok, potem spuściła oczy i znowu je podniosła. Po chwili odezwała się cicho:

- Mogę panu jedynie powiedzieć, że Roger był przerażony.
- Rozumiem.
- Wie pan – dodała – naprawdę wygląda pan znajomo.

36.

Zanim dotarłem do Georgetown, było już dobrze po południu. Zaparkowałem tyłem na parkingu przy Water Street, wzdłuż płotu z siatki. Kilka przecznic dalej Water Street przechodziła w K Street. Brzegi Potomacu w tym miejscu nie nadawały się na widokówki. Tu nie było kwitnących wiśni ani lśniącego pomnika Jeffersona. Zamiast tego były wielkie sterty ziemi, barakozów robotników budowlanych i przenośnych toalet. Miasto od lat usiłowało zbudować park nabrzeżny w miejscu zrujnowanych magazynów, opuszczonych fabryk i składów złomu. Starą spalarnię śmieci chcieli zmienić w hotel Ritz-Carlton. Być może pewnego dnia powstanie tu park. Teraz jednak było to istne pobojuwisko, porośnięty chwastami i zaśmiecony ugór w cieniu autostrady Whitehurst Freeway. Prawdziwa historia cywilizacyjnej klęski.

Mój telefon wyemitował cztery wysokie piski, informując mnie o nadejściu wiadomości tekstowej.

Był to raport urządzenia śledzącego GPS, które Merlin przesłał FedEksem do EasyOffice, skrzynki pocztowej Traverse Development w Arlington w Wirginii. Urządzenie GPS właśnie zostało dostarczone do skrzynki pocztowej. Link z SMS-a odesłał mnie do mapy Google Earth, gdzie mogłem zobaczyć mrugającą czerwoną kropkę wskazującą, gdzie znajduje się urządzenie.

Nic nowego mi to nie powiedziało. Znałem już ten adres.

Ruszyłem kładką w górę do Cady's Alley i przeszedłem na drugą stronę do lokalu, w którym Lauren i Roger jedli swoją ostatnią kolację. Japońska restauracja przy Trzydziestej Trzeciej Ulicy nazywała się Oji-San.

Potem wróciłem tą samą drogą, którą szli oni z restauracji, Cady's Alley. Z powrotem kładką. Przez Water Street do samochodu.

Następnie stałem przez kilka minut, rozmyślając. Obok przejechał czarny hummer. Używaliśmy opancerzonych M1114 Humvee w Iraku jako pojazdów taktycznych, wyposażonych w zabezpieczenia przeciwpożarowe i przeciwminowe oraz stojaki na dachu do mocowania karabinów maszynowych i granatników. Klimatyzacja też nie była zła. Jednak nigdy nie rozumiałem sensu jeżdżenia jednym z nich po mieście, nawet cywilnym modelem. Czego ci ludzie się spodziewali, ostrzału z granatników w Georgetown?

Lauren powiedziała, że tej nocy, kiedy ich napadnięto, padał deszcz. Zapewne brakowało miejsc parkingowych. Restauracja nie oferowała parkowania samochodów klientów, ale nieopodal był parking. Zatem dlaczego Roger zostawił auto tak daleko, zjeżdżając ze wzgórza na Water Street?

Nie był sknerą. Nie mogłeś wyrosnąć w naszym domu w Bedford i nauczyć się tam odcinania kuponów. W najlepszym razie mogłeś wyrosnąć na kogoś, kto niezbyt martwi się o pieniądze – wiedząc, co one mogą, a czego nie. Jednak mój brat, w przeciwieństwie do mnie, podzielał z Victorem Hellerem niezdrową fascynację bogactwem. Lubił się nim popisywać. Musiał mieć najlepszy samochód, najnowocześniejszą kuchnię. Nie był facetem, który radośnie zaparkowałby swojego mercedesa klasy S na nędznej Water Street, pośród włóczęgów i potłuczonych butelek, skazując się na długi spacer w deszczową noc.

Nie rozumiałem tego.

I pomyślałem o tym, co przypomniła sobie Lauren, a co krzyknął Roger, kiedy ich napadnięto: „Dlaczego jej?!”.

Nie „Dlaczego?”. Nie „Zostaw ją w spokoju”.

Tylko „Dlaczego jej?!”.

Tak jakby „Czemu przychodzisz po nią, skoro to mnie chcesz?”.

Albo coś w tym stylu.

Spojrzałem na zegarek i kontynuowałem rozmyślenia nad ostatnimi słowami mojego brata, idąc Water Street w kierunku Key Bridge. Lubilem ten most. Lubilem rytm jego pięciu wysokich betonowych łuków, jego swobodny styl. Lubilem nawet ten zabawny fakt, że aby zbudować most imienia Francisa Scotta Keya, faceta, który napisał *Gwiazdzisty Sztandar*, musiano zburzyć dom Francisa Scotta Keya.

Po sześciu minutach doszedłem do bankomatu, z którego Roger wybrał pieniądze. Była to jedna z tych czynnych przez całą dobę maszyn, wbudowana w ścianę z cegły obok stacji benzynowej. Na zewnątrz i na widoku. Korzystała z niej młoda kobieta, rosła i ubrana na czarno, z platynowymi włosami sterczącymi z przodu jak koguci grzebień. Albo bawiła się w punkowe, albo była w drodze na bal kostiumowy. Odwróciła się i przeszła mnie gniewnym wzrokiem. Zabawne, ale to ona bała się mnie.

Zatem cofnąłem się o dwa metry i czekając, uważnie przyjrzałem się otoczeniu. Była to stacja benzynowa bez nazwy, całodobowa i reklamująca świeże przekąski oraz najzimniejsze drinki w mieście. Sprzedawali tu papierosy, bibułki do skrętów i kupony loteryjne. Dystrybutory paliwa były samoobsługowe.

Obok przejechał czarny hummer. Ten sam, który przejeżdżał, obok mnie na Water Street? Zastanawiałem się, czy nie jestem obserwowany. Zanotowałem jego numery rejestracyjne.

Zakładałem, że Roger został wepchnięty do samochodu na miejscu ataku, a potem zawieziony do bankomatu. Dlaczego, nie miałem pojęcia. Jednak mogłem stąd zobaczyć wjazd na Key Bridge, który prowadził na drugą stronę Potomacu do Wirginii, oraz na autostradę, obwodnicę i wiele innych dróg szybkiego ruchu. Niezłe miejsce na postój przed wyjazdem z miasta.

Kobieta guzdrała się przy bankomacie. Podeszedłem, chrzęszcząc podeszwami butów na piargach tego białego żwiru, który miał

wchłaniać rozlaną benzynę. Kobieta odwróciła się, spojrzała na mnie gniewnie, wyciągnęła swoją kartę i pieniądze, po czym oddaliła się pospiesznie.

Ceglany mur był pokryty graffiti. Byłem niemal pewny, że to jedna ze ścian starego Georgetown Car Barn, dziewiętnastowiecznego budynku, który kiedyś był zajezdnią trolejbusów. Prawdopodobnie teraz urządzono tu biura i mieszkania.

Na górze konsoli bankomatu znajdował się obiektyw kamery, tej, która nagrała podchodzącego Rogera i jakiegoś faceta z bronią. Podszedłszy do bankomatu, obróciłem się i obserwowałem, jak stara honda wjeżdża na parking i zatrzymuje się przy dystrybutorze paliwa. Zakładając, że Roger i jego porywacz lub porywacze przyjechali tutaj z Water Street, doszedłem do wniosku, że musieli potem skręcić w M Street. Water Street to ślepy zaułek.

Stąd pewnie pojechali prosto na Key Bridge. Jednak mogli wybrać również Whitehurst Freeway. Kiedy odwróciłem głowę, zauważyłem coś nad sklepem ogólnospożywczym: drugą kamerę bezpieczeństwa.

Odporna na działania czynników atmosferycznych, kuloodporna kamera, jak ją nazywano, była przymocowana na stalowym wysięgniku. I wycelowana w bankomat.

37.

Pracownik stacji benzynowej stał przy kasie fiskalnej w kabinie za szybą z grubego kuloodpornego pleksiglasu. Wymieniał rolkę papieru w kasie. Był niskim, ciemnoskórym mężczyzną po pięćdziesiątce. Hindus, a może Pakistańczyk, z kruczoczarnymi włosami, okularami w stalowych oprawkach i poważną miną. Miał krawat. Wywnioskowałem, że nie był tylko pracownikiem, ale prawdopodobnie właścicielem. Czarna plakietka przypięta do jego białej koszuli głosiła: PAN YOUNIS.

Pan Younis. Oto człowiek, który oczekuje szacunku.

– Przepraszam, panie Younis – rzekłem.

Przeszył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Tak?

– Może mógłby mi pan pomóc. – Mówiłem rzeczowym tonem. – Kilka dni temu zostałem napadnięty przy tym bankomacie. Paru bandziorów zabrało mi pieniądze, portfel, wszystko.

Pokręcił głową, odwrócił się i powrócił do zmieniania taśmy.

– Nic o tym nie wiem.

Racja, pomyślałem. Obawiał się, że zostanie wplątany w przestępstwo, z którym nie miał nic wspólnego, tylko dlatego, że doszło do niego na terenie będącym jego własnością. Czy bankomat znajdował się rzeczywiście na jego terenie? Należał do Wachovia Bank. Ściana z cegły była częścią budynku starej zajezdni i prawdopodobnie należała

do Georgetown University, który posiadał w okolicy liczne nieruchomości. Zatem dlaczego ten mężczyzna skierował swoją kamerę monitorującą na bankomat?

Domyśliłem się, że chodzi o graffiti. Dzieciaki z puszkami farby w aerozolu, brudzące ścianę, na którą patrzył każdego dnia. Zapewne przez to jego i tak już wysokie ciśnienie podskakiwało do niebezpiecznego poziomu.

– Gliniarze nie kiwną w tej sprawie palcem – rzekłem. – Uważają to za zwracanie głowy.

Chrząknął, pobawił się rolką taśmy i wcisnął ją w szczelinę.

– Wie pan, co powiedzieli? – ciągnąłem. – Powiedzieli, żebym o tym zapomniał. Nic ich to nie obchodzi. W tym mieście narasta cholerna fala przestępczości, a policjanci po prostu siedzą na swoich tłustych tyłkach.

Pokręcił głową i jeszcze bardziej spochmurniał. Zamknął przegródkę kasy fiskalnej i podniósł wzrok.

– To hańba – przyznał.

Człowiek, który zainstalował tak złożony system bezpieczeństwa, nie był osobą mającą wiele zaufania do pracy policji. Był człowiekiem z długo żywioną urazą.

Mogłem zrobić go jak glinę.

– Te bandziory biegają sobie po okolicy – powiedziałem. – Robią, co tylko, do cholery, chcą. Wiedzą, że ujdzie im to na sucho. Tak jak te wszystkie graffiti na tamtej ścianie.

W jego głowie zaskoczył trybik gniewu. Spojrzał na mnie.

– Ci wandale, policja nazywa ich „pacykarzami”, a oni nazywają ten wandalizm „sztuką”. Policja mówi mi, że nie mogą z tym nic zrobić, jeśli nie mają żadnych dowodów. Dlatego zainstalowałem kamery.

– To ich nie powstrzymało, co?

– Nie! Wcale! Jeden policjant powiedział mi nawet, że takie „pacykowanie” to swoboda wypowiedzi! – Założył ręce na piersi.

– Łatwo im tak mówić. Nie muszą z tym żyć.

- To oburzające!
- Jednak wygląda na to, że zainstalował pan tu doskonały system monitoringu. Wysoka rozdzielczość, podczerwień...
- A i tak nic mi to nie dało! Nic! Tysiące dolarów, a ci pacykarze nadal uprawiają swoją „sztukę”!
- O rany, czy nie byłoby wspaniale, gdyby pański system nagrał, jak napadnięto na mnie kilka dni temu? Do diabła, może to byli nawet ci sami faceci, którzy ciągle malują na pańskiej ścianie. Zobaczmy, jak gliny spróbują się wymigać z tego, co?
- Popatrzył na mnie i zmrużył oczy.
- Czy wie pan, jak obsługiwać rejestrator cyfrowy? – zapytał. – Muszę pozostać za ladą.



Pan Younis trzymał swój sprzęt bezpieczeństwa w zamkniętej szafie z zapasami tuż obok półki z piwem. Na metalowej półce stał prosty rejestrator cyfrowy, ośmiokanałowy, czarne prostokątne pudełko. Obrazy wideo były przechowywane na twardym dysku komputera. Na rejestratorze stał tani czternastocalowy kolorowy monitor. Pan Younis pokazał mi, jak szukać zapisów według daty i godziny, po czym wrócił do swojej budki z pleksiglasu, aby obsłużyć paru chłopaków z college'u, którzy chcieli kupić paczkę marlboro i skrzynkę budweisera.

Szafa z zapasami była płytka, tak więc stałem na wpół w środku, a na wpół na zewnątrz. Odnalezienie nocy, której szukałem, zajęło mi pięć minut. Wcisnąłem PLAY. Rejestrator był ustawiony tak, że robił zdjęcia co dwie sekundy, dopóki nie wykrył ruchu, a wtedy zaczynał nagrywać z prędkością pełnych trzydziestu ramek na sekundę. Samochody wjeżdżały w kadr, pojawiały się i znikwały. Ludzie podchodzili do bankomatu, sami lub parami, czasem nawet w trzyosobowych grupkach, ich gwałtowne ruchy nagle stawały się płynne. Przewinąłem na podglądzie do przodu, aż dotarłem do godziny jedenastej w nocy.

Sześć po jedenastej w kadrze pojawiła się biała furgonetka i zatrzymała się pod ścianą z cegły, kilka metrów na lewo od bankomatu. Od strony kierowcy wysiadł gruby facet w szarej bluzie z kapturem, trzasnął drzwiami i obszedł tył samochodu, podchodząc do drzwi pasażera. Trudno było powiedzieć na pewno, ale wyglądało na to, że w lewej ręce miał broń. Kiedy nieco się obrócił, przez moment dostrzegłem jego profil: szeroką twarz, wąsy. Dobrze po trzydziestce lub tuż po czterdziestce. Prawą ręką odemknął drzwi pasażera. Włożył do kieszeni kluczyki, przełożył broń do prawej ręki, a lewą otworzył drzwi.

I z samochodu wysiadł Roger.

Facet w kapturze podniósł broń i poruszył nią znacząco. Roger skinął głową. Wyglądał na spanikowanego. Miał przekrzywiony krawat i pomięty garnitur.

Facet w bluzie z kapturem chwycił Rogera lewą ręką i we dwóch przeszli za furgonetkę. Stali tam przez kilka sekund.

– Koleś.

Spojrzałem w górę. Stał tam dzieciak z tatuażami i srebrnym kolczykiem z przegrodzie nosowej.

– Zig-Zagi – powiedział.

– Co z nimi?

Miał też wielkie srebrne korki w małżowinach usznych, o co najmniej centymetrowej średnicy. Zastanawiałem się, jak ten dzieciak będzie wyglądał, mając siedemdziesiąt lat, z wielkimi dziurami w uszach i nosie.

– Gdzie, do cholery, są bibułki do skrętów?

– Taa – przeszyłem go gniewnym wzrokiem – jakbym to wiedział. Pospiesznie odszedł.

Odwróciłem się do monitora. Muskularny facet w bluzie z kapturem powiedział coś do Rogera, potem odwrócił się i miałem pełny obraz jego twarzy.

Nie znałem go, ale znałem ten typ: czoło neandertalczyka, głębokie oczodoły i małpie rysy. Mógł być każdym z tuzinów facetów, z którymi

odbywałem szkolenie w siłach specjalnych i którzy go nie ukończyli. Jeden z tych umięśnionych kretynów z twarzami bez wyrazu, którzy uważają się za silniejszych i sprytniej szych, niż naprawdę są, i zazwyczaj kończą jako ochroniarze w supermarketach.

Zatrzymałem film i powiększałem klatkę, aż zobaczyłem dobre ujęcie twarzy tego faceta, a potem wyciąłem i wkleiłem obraz. Nieźle jak na komputerowego analfabetę. Potem wróciłem do normalnego widoku i przesuwałem kursor, dopóki na środku ekranu nie znalazł się tył samochodu. Furgonetka Ford Econoline E-350 Super Duty, stosunkowo nowa. Taka, jakie można zobaczyć wszędzie.

Zrobiłem zbliżenie i kolejne ujęcie.

Porywacz był ostrożny i nie pokazał swojej twarzy kamerze bankomatu. Jednak nie był na tyle inteligentny, żeby zauważyć drugą kamerę, rejestrującą bardzo wyraźny obraz jego twarzy.

Oraz tablicę rejestracyjną furgonetki, którą jeździł.

38.

Zapewne mogłem poprosić kogoś ze Stoddard Associates o sprawdzenie dla mnie tego numeru rejestracyjnego, ale wiedziałem, że zgodnie z jakimś idiotycznym prawem stanowym dane pojazdów ze stanu Wirginia nie są dostępne online, a ponadto nie chciałem korzystać w pracy z żadnych przysług, jeśli nie musiałem. Nie ze Stoddardem mającym oko na to, co robię.

Jednak Arthur Garvin z najwyższą przyjemnością ruszył tym tropem, ponieważ był to zdecydowany przełom w sprawie, która dotychczas stała w miejscu. Kiedy szedłem do samochodu, przeczytałem mu numer i powiedziałem, że jak tylko wrócę do biura, prześlę mu pocztą elektroniczną zdjęcia bandziora, który uprowadził Rogera. Ostrzegł mnie, że może mu to zająć dzień lub dwa, ale obiecał, że znajdzie mi właściciela tej furgonetki.

Mój telefon komórkowy wydał z siebie cztery krótkie dźwięki. Stojąc przy defenderze, przeczytałem wiadomość tekstową. Kolejny raport urządzenia śledzącego GPS umieszczonego w kopercie FedExu.

Teraz znajdowało się w Falls Church w Wirginii. Jakies dziesięć lub dwanaście kilometrów od skrzynki pocztowej w Arlington. Adres przy Leesburg Pike.

To oznaczało, że przesyłka została przeniesiona. Ktoś ją wyciągnął i dostarczył gdzie indziej.

Zauważyłem, że żongluję telefonem komórkowym i palmofonem BlackBerry, którego nigdy nie lubiłem używać jako komórki, oraz płytą DVD ze skopiowanym filmem z kamery pana Younisa, umieszczoną w popękanej kasetce na CD, która walała mu się w sklepie. Położyłem je przed sobą na masce defendara, mojego ruchomego biura.

Kiedy kliknąłem mapę Google Earth i powiększyłem migoczącą kropkę na ekranie mojego BlackBerry, zobaczyłem budynek biurowy w kształcie litery V.

Sukces. Być może. Jednak wiedziałem przynajmniej, że ktoś odebrał paczkę FedEksu i przeniósł ją ze skrzynki pocztowej do budynku biurowca w Falls Church, a to już było coś. Mogło również okazać się mylnym tropem. Dowiem się, kiedy tam pojedę i sprawdzę. Włożyłem palmofon i komórkę do kieszeni, po czym wyłowiłem z niej kluczyk do samochodu, trzymając płytkę DVD w lewej ręce.

Defender jest najbardziej manualnym pojazdem, jaki możesz dostać: nawet okna są na korbki. Nie ma zdalnego uruchamiania, nie ma pilota. Otwierasz go dobrym staromodnym kluczykiem, tak jak w poprzednim stuleciu. Włożyłem kluczyk do zamka i przekręciłem go.

Sekundę za późno usłyszałem szuranie stóp na chodniku.

Zacząłem się odwracać, ale nagle szyba samochodu rzuciła się na mnie, uderzając mnie w nos i usta. W tej samej chwili ktoś wyrwał mi DVD z lewej ręki.

Słaniając się z bólu, obróciłem się i uniosłem ręce, chwiejnie stojąc na nogach. Jakimś cudem szyba nie pękła, ale miałem wrażenie, że mój nos nie okazał się równie odporny.

Rozwścieczony, ruszyłem za napastnikiem, który był już dość daleko. Czarny hummer przemknął ulicą i odrobinę zwolnił. Drzwi po stronie pasażera otworzyły się i uciekający facet wskoczył do środka.

Kiedy zobaczyłem tablicę rejestracyjną samochodu, wiedziałem, że to ten sam hummer, który wcześniej dwukrotnie mnie minął. Nie jestem najszybszym biegaczem, ale napędzany przez adrenalinę i

rozwścieczony, zdołałem jeszcze dobiec do hummera i rąbnąć pięścią w jego lewą tylną szybę, zanim znikł w oddali.

Napastnik był niezwykle wysoki i zbudowany jak zapaśnik karmiony sterydami, a na głowie miał coś, co z daleka przypominało fryzurę „na rekruta” – głowę wygoloną poza wąskim pasem na jej czubku, niczym skrócona wersja punkowego irokeza. Wyglądał jak Travis Bickle z nadwagą.

Pomacałem nasadę nosa. Nie był złamany. Nie straciłem też żadnego zęba, chociaż miałem rozbitą górną wargę. Czulem zapach i smak krwi.

Wyjąłem telefon komórkowy i wcisnąłem powtórnie wybieranie numeru, a kiedy Garvin odebrał, powiedziałem:

– Mam dla pana jeszcze jeden numer rejestracyjny.

39.

Dean & DeLuca na M Street w Georgetown sprzedawali wspaniałe świeżo upieczone ciasteczka posypane wiórkami czekoladowymi. Kupiłem ich tuzin i poprosiłem ekspedienta piekarni, aby zapakował je dla mnie w zwykłe białe pudełko. Umieściłem pudełko z ciastkami w samochodzie na siedzeniu pasażera i pojechałem George Washington Memorial Parkway. Całe wnętrze samochodu od razu wypełnił słodki maślany zapach świeżo upieczonych ciasteczek.

Okolo pół godziny później zjechałem z Leesburg Pike na półkolisty podjazd przed nowoczesnym dziesięciopiętrowym biurowcem w kształcie szerokiego V, z niebieską szklaną powierzchnią odbijającą niebo tak doskonale, że momentami znikał.

Na fasadzie budynku widniał napis „Skyview Executive Center”. Wyglądał na biurowiec wynajmowany przez wielu dzierżawców. Jak większość komercyjnych budynków w Tysons Corner i Falls Church, miał podziemny parking. Zamiast tam zaparkowałem przy stojącym przecznicy dalej hotelu Doubletree i przeszedłem się z pudełkiem ciasteczek.

Od pewnego czasu nie dostałem żadnego SMS-a z lokalizatora GPS, więc idąc, wyjąłem telefon i sprawdziłem ostatnią wiadomość, jaką otrzymałem, a potem kliknąłem na mapę. Czerwona kropka znikła. To mi powiedziało, że urządzenie przestało wysyłać sygnał. Co przypuszczalnie oznaczało, że ktoś je znalazł, a potem wyłączył.

Wszedłem do holu i spędziłem kilka minut, sprawdzając listę firm mieszczących się w budynku, jedną z tych dużych czarnych tablic naściennych z białymi literami, podświetlonymi od spodu. Długa lista dzierżawców. Przeważnie małe i średnie firmy: konsultanci do spraw opieki medycznej, menadżerowie inwestycyjni, księgowi i wielu prawników. Parę satelickich biur agencji rządowych. Kilka firm o zagadkowo brzmiących nazwach, takich jak Aegis Partners i Orion Strategy, które były siedzibą lobbystów lub podwykonawcami Departamentu Obrony.

Jednak nie znalazłem Traverse Development ani żadnej firmy o choćby odrobinę podobnej nazwie. Nie zdziwiło mnie, że ta tajemnicza firma nie znajdowała się na liście dzierżawców biur tego budynku. Jednak któreś z tutejszych przedsiębiorstw musiało być z nią w pewien sposób powiązane.

Strażnik usadowiony za zakrzywionym kontuarem z granitu na środku holu zauważył, że gapię się na listę.

– Czy mogę panu pomóc, proszę pana?! – zawołał do mnie.

Był pod sześćdziesiątkę, miał głęboko osadzone oczy, wystające czoło, błyszczącą łysą głowę i sterczące uszy.

– Czy ma pan listę dzierżawców tego budynku, którą mógłby mi pan dać?

– Nie, proszę pana, obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Firma zarządzająca nie pozwala mi jej udostępnić.

– Przepisy są przepisami, prawda? Chodzi o to, że moja żona próbuje rozkręcić biznes, sprzedaż ciasteczek z wiórkami czekoladowymi. – Pokazałem mu białe pudełko z piekarni. – Pomagam jej w marketingu. Ponieważ nie pozwala mi zbliżyć się do kuchni.

Uśmiechnąłem się, a on odwzajemnił uśmiech. Kontynuowałem.

– Chcemy rozdać darmowe pudełka z ciasteczkami wszystkim firmom, które się tu znajdują. To taki rodzaj promocji. – Podeszedłem bliżej i wręczyłem mu pudełko. – Proszę, to jest dla pana. Proszę spróbować i powiedzieć, czy się udały mojej żonie.

Zawahał się.

– Śmiało, proszę spróbować jedno. Jeśli uda się panu skończyć na jednym.

Otworzył klapkę pudełka, wyciągnął ciasteczko i ugryzł duży kęs.

– Mmm – rzekł. – Delikatne, ciągnące się i chrupkie jednocześnie.

Używa czarnych wiórków czekoladowych?

– Tylko z czekolady najlepszej jakości.

Ugryzł następny kęs.

– Człowieku, one naprawdę są dobre.

– Dziękuję.

Otworzył szufladę biurka, wyciągnął z niej zszyte kartki papieru i podał mi je.

– Tylko proszę nikomu nie mówić, skąd pan to ma, dobrze?

Mrugnął.

Odmrugnąłem mu.

– Ani słowa.

Przyjrzał mi się, dotknął swojego nosa i ust.

– Pokłócił się pan z żoną? – zapytał.

Przez moment nie wiedziałem, o czym mówi, a potem przypomniałem sobie, że mój potłuczony nos i pęknięta warga zapewne do tego czasu przybrały paskudny wygląd.

– Tak – odparłem – powiedziałem jej, że sądzę, iż powinna używać margaryny zamiast masła. Dostałem nauczkę. Będę trzymał się marketingu.



Zamiast pojechać z powrotem do biura, wstąpiłem do punktu ksero FedEx/Kinko i wysłałem do Dorothy faks z listą najemców budynku. Nie na jakąś maszynę odbierającą fakсы w biurach Stoddard Associates, gdzie każdy mógł zobaczyć tę listę, ale na jej konto pocztowe, tak by dostała ją online. Kiedy byłem w tym punkcie, wykupiłem trochę czasu przy komputerze, sprawdziłem swoją pocztę i znalazłem e-mail od Franka Montello, mojego maklera informacji.

Ilekróć pisał e-maile, używał wielkich liter, jakby wysyłał telegram przez Western Union.

ZAŁĄCZAM RACHUNKI TELEFONICZNE TWOJEGO BRATA. NADAL PRACUJĘ NAD TĄ DRUGĄ KOMÓRKĄ, JEDNAK POWINIENEM MIEĆ COŚ DO JUTRA. ZAŁĄCZAM FAKTURĘ, PŁATNĄ DO DZIESIĘCIU DNI, JAK ZWYKLE.

Zatem jeszcze nie zlokalizował właściciela kontaktowego numeru alarmowego, który dał mi na lotnisku Woody Sawyer. Jednak zdołał znaleźć wyciągi jednego z telefonów Rogera, tego, za który w gabinecie Rogera nie mogłem odszukać rachunków. Szczegółowa lista połączeń zajmowała kilka tuzinów stron. Nie byłoby fajnie czytać tego na BlackBerry. Wydrukowałem je wszystkie i pobieżnie przejrzałem listę, kiedy siedziałem w samochodzie.

Przeważnie były to długie kolumny numerów telefonicznych. Jednak nagle coś rzuciło mi się w oczy.

Pięć rozmów, wszystkie na koszt abonenta, wszystkie z numeru w Altamont w stanie Nowy Jork.

„Wystawione w imieniu Global TellLink” – informowało i podawało numer telefonu z kierunkowym 518.

Zakład Karny Altamont, informowało.

Oczywiście, od Victora Hellera.

Nie rozmawiałem z ojcem od wielu lat. Natomiast Roger rozmawiał z nim pięć razy w ciągu ostatniego miesiąca.

Mój brat zawsze był w dobrych stosunkach z naszym ojcem, dużo lepszych niż ja. Zawsze sądziłem, że powodem jest to, iż są do siebie tak bardzo podobni.

Jednak pięć rozmów w miesiącu?

Zacząłem dokładniej przeglądać rachunki telefoniczne za poprzedni rok i znalazłem tylko jedno połączenie na koszt abonenta od

mojego ojca, jedenaście miesięcy temu. Sześć połączeń na koszt abonenta w przeciągu jednego roku od taty, pięć z nich w ostatnich czterech tygodniach. Tuż przed zniknięciem Rogera.

To nie był zbieg okoliczności.

40.

Kiedy wróciłem do domu Lauren – po krótkim postoju na stacji benzynowej pana Younisa w Georgetown, aby zrobić kolejną kopię DVD filmu z monitoringu – Lauren i Gabe byli oboje w domu. Otworzyłem frontowe drzwi. Nie usłyszałem ostrzegawczego dźwięku systemu alarmowego. Wyłączyli go.

Nie tego chciałem. Wyraźnie powiedziałem Lauren, że ilekroć będą w domu, powinni używać nocnych ustawień, które włączą alarm, kiedy ktokolwiek wejdzie.

Nie było jej w kuchni. Nie było jej także w pokoju telewizyjnym ani przy komputerze w kąciuku, który służył jej za domowe biuro. Usłyszałem podniesione głosy na piętrze i ruszyłem w stronę schodów, po czym wszedłem na górę.

Matka i syn się kłócili. Przystanąłem na półpiętrze i usłyszałem, jak Gabe krzyczy, łamiącym się głosem.

– Przecież tego nie wiesz. Nie wiesz!

– Posłuchaj mnie! – odrzyknęła Lauren. – Pojawi się. Znajdą go. Obiecuję ci!

– Po takim czasie? On nie żyje, nie rozumiesz tego? Dlaczego nadal udajesz?

– On żyje, Gabrielu! Musisz myśleć pozytywnie. Musisz wierzyć. Twój ojciec nie umarł!

To było zbyt bolesne, by tego słuchać, a poza tym podsłuchiwałem prywatną rozmowę. Zszedłem ze schodów.



Przez kilka minut apatycznie oglądałem telewizję, zmieniając kanały i nie znajdując nic, na czym chciałbym się zatrzymać. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi, a potem ciężkie kroki i do pokoju weszła Lauren.

– Przysięgam, że ten dzieciak... – Stała jak wryta, gdy zobaczyła moją twarz. – Jezu, Nick, co się stało?

Wzruszyłem ramionami.

– Kto ci to zrobił?

– Nie jest tak źle, jak wygląda – rzekłem i uśmiechnąłem się.

– Tak, zrozumiałam aluzję. Jak to się stało?

– Lauren, podsłuchałem twoją rozmowę z Gabe'em.

Usiadła na końcu tej samej kanapy, na której ja siedziałem.

– Ty to nazywasz „rozmową”? Raczej wrzaskiem. On po prostu wie, jak trafić w każdy mój czuły punkt.

– Dlaczego mówisz mu, żeby wierzył w powrót Rogera? Jaki sens zapewniać go, że Roger żyje?

– Dlaczego? – Jej oczy rozbłysły. – Możesz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy twój ojciec nagle znika i nie wiesz, czy... – Zamilkła, widząc wyraz mojej twarzy, pojmując.

Skinałem głową.

– Owszem, mogę sobie wyobrazić.

– Dlaczego nie dostrzegłam podobieństwa sytuacji?

– Dlaczego sądzisz, że istnieje jakieś podobieństwo? Mój ojciec odszedł w środku nocy. Matka powiedziała nam, że uciekł. Wiedzieliśmy, że gdzieś tam jest, ukrywa się przed władzami.

– Może Roger też gdzieś tam jest – cicho powiedziała Lauren. – Tak samo jak... chcę wierzyć, że tak właśnie było.

– Nie sądzę – rzekłem i opowiedziałem jej, co zarejestrowała kamera na filmie, który niedawno obejrzałem: wyraźne porwanie, furgonetkę econoline, broń.

Wyglądała na wstrząśniętą, a potem zamknęła oczy na pięć lub dziesięć sekund.

– Czy mogę to zobaczyć? Masz kopię?
– Tak – odpowiedziałem. – Ktoś mi ją zabrał. To stąd to mam. – Wskazałem na swój rozbity nos i pęknięte usta. – Tak więc wróciłem i zrobiłem jeszcze jedną kopię.



Włączyłem DVD na jej komputerze, a ona zareagowała tak, jak się spodziewałem: szokiem, niedowierzaniem, a potem ogromną ulgą. A później zakłopotaniem: Co to oznacza? Roger nie zginął podczas napadu, ale został porwany. Tylko przez kogo i dlaczego?

– To oznacza, że on żyje – oświadczyła.
– Być może – powiedziałem ostrożnie. – Z pewnością oznacza to, że przeżył napad. Tyle wiemy na pewno. Co do tego, czy...
– On żyje – rzekła. – Ci ludzie go przetrzymują.
– Może tak być. Wskazała na moją twarz.
– Kto ci to zrobił?
– Prawdopodobnie ci sami ludzie, którzy porwali Rogera.
– Kto?
– Będziesz pierwszą osobą, której powiem, kiedy się dowiem – obiecałem.

Kiwnęła głową i zacisnęła usta.

– Nick, zdołałeś dzisiaj dostać się do Gifford Associates, prawda?
– Tak, byłem tam. Spotkałem się z bibliotekarką.
– Bibliotekarką...?
– Pamiętasz e-mail od Rogera? Napisał coś o pożegnaniu bibliotekarki. Okazało się, że „bibliotekarką” Roger nazywał swoją koleżankę prawniczkę, niejaką...
– Marjorie jakąś tam. Racja! Zupełnie zapomniałam. I co ona powiedziała?

Opowiedziałem Lauren, jak bardzo Marjorie starała się chronić Rogera i nie ujawnić żadnych szczegółów poza tym, że Roger odkrył coś „niepokojącego” w księgach jakiejś firmy, którą przejmowali.

– Cóż, nie powinno być zbyt trudno ustalić, o której firmie mówiła. W ciągu ostatnich trzech czy czterech miesięcy przejęliśmy tylko jedną, elektrownię w Brazylii.

– Nie powiedziała, czy chodzi o firmę, którą Gifford przejęło, czy zamierzało przejąć.

– Czy ona coś ukrywa?

– Nie miałem takiego wrażenia. – Zamilkłem. Zastanawiałem się przez moment. – Pospacerowałem trochę po Georgetown. Przeszedłem drogą, którą szliście ty i Roger w noc napadu. Pozwól więc, że cię o coś zapytam.

– Jasne.

– Roger zaparkował swój samochód na Water Street. Spory kawałek w dół wzgórza od restauracji. Nie rozumiem tego.

– Czego nie rozumiesz? Oji-San nie parkuje samochodów gości.

– Jednak są parkingi znajdujące się znacznie bliżej tej restauracji. Ponadto to była deszczowa noc, nie jedna z tych, które zachęcają do spacerów po Georgetown.

– Ja... chyba nie zastanawiałam się nad tym.

– Nie wydało ci się to dziwne?

– Nie, niezbyt. Do czego zmierzasz?

– Nie mam żadnej teorii. Po prostu to nie ma sensu.

– Sensu? No wiesz, Roger parkował tam już wcześniej. Darmowe miejsce postojowe, łatwo tam wjechać i stamtąd wyjechać. Nie rozumiem, o co taka wielka sprawa.

– W porządku.

– Sądzisz, że celowo tam zaparkował z jakiegoś zbrodniczego powodu?

– Niekoniecznie.

– Zatem co chcesz powiedzieć?

– Po prostu zastanawiam się, jak dobrze go znasz – odparłem ostrożnie. – Ile o nim wiesz.

– Jak dobrze znam Rogera? O czym ty mówisz? Jeśli chcesz dać mi coś do zrozumienia, dlaczego po prostu tego nie powiesz?

Zawahałem się, wypuściłem haust powietrza.

– Czy wiedziałaś, że Roger miał romans? – zapytałem łagodnie.

– Przestań.

– Wiedziałaś?

– Po prostu przestań.

– Nie miałaś pojęcia?

– To po prostu nieprawda. Teraz słuchasz zwariowanych pomysłów Gabe'a?

– Nie pytam, czy to prawda. Pytam, czy o tym wiedziałaś.

Pokręciła głową.

– Przestań.

Wstałem, zamknąłem drzwi salonu.

– Co wiesz o Candi Dupont? – zapytałem. Lauren zamrugła kilka razy.

– Candy...?

– Candi Dupont to kobieta. Candi, z „i” na końcu. Kobieta, z którą Roger miał romans...

Zaczerwieniła się i wyglądała, jakby właśnie ją spoliczkowano. Ponownie zamknęła oczy.

– Siedem miesięcy temu... – zacząłem.

– Nie chcę tego słyszeć – przerwała. – Jeśli znowu zaczął się z nią spotykać, nie chcę o tym wiedzieć.

– Zatem wiedziałaś.

– Co to ma wspólnego z tym, co się z nim stało?

– To ważny trop. Ona może wiedzieć, gdzie jest Roger.

– Albo nie.

– Albo nie – zgodziłem się.

– Nick, kilka lat temu przechodziliśmy przez... trudny okres naszego małżeństwa.

Spojrzała na mnie, ale ja tylko w milczeniu skinąłem głową.

– Swego rodzaju kryzys. Chyba tak to można nazwać. Poznał jakąś kobietę podczas służbowego wyjazdu do Bostonu. Strasznie się pokłóciliśmy, zanim wyjechał, i chyba był na mnie zły... Powiedział mi, że był w barze hotelu Four Season i w chwili słabości...

– Candi Dupont.

– Nigdy nie poznałam jej nazwiska. Nie chciał mi go wyjawić. Jednak to było trzy albo cztery lata temu, Nick. Błagał mnie, żebym mu wybaczyła, i powiedział, że z nią zerwał. Przysiągł.

– Najwyraźniej nie zerwał. Siedem miesięcy temu Roger zapłacił za zabieg aborcji niejakiej Candi Dupont w klinice w Bostonie.

– O Boże.

– Nie znaleźliśmy nic na temat „Candi Dupont” w standardowych bazach danych, co mówi mi, że „Candi Dupont” może być przybranym nazwiskiem. Jakkolwiek jednak się nazywa, może być tą samą kobietą, o której opowiadał ci Roger. Co świadczyłoby, że ten romans nie zakończył się trzy lub cztery lata temu.

Chwyliła leżącą na ławie książkę w twardej okładce i cisnęła nią przez pokój. Tom uderzył w ścianę, zakółsał zdjęciem w ramce i upadł na podłogę. Nie mogłem nie zauważyć, że książka nosiła tytuł „Gniew. Mądrość dla ostudzenia płomieni” i została napisana przez Thich Nhat Hanha.

– Wystarczy! – załkała. – Nie chcę o tym słyszeć! Jeśli nie przestał widywać tej... zdziry... nie chcę o tym wiedzieć! Nie rozumiesz tego?

– Rozumiem – powiedziałem cicho. – Przepraszam. Wybacz mi.

Wstała i podniosła książkę, odłożyła ją z powrotem na ławę i znów usiadła na kanapie, ale dużo bliżej mnie. Przez mniej więcej minutę milczała, a ja też nic nie mówiłem. Potem się odezwała.

– Nick.

– Taak?

– Okłamałam cię.

41.

– W porządku – powiedziałem łagodnie, swobodnym, spokojnym i nieoskarżycielskim tonem. Chciałem, aby czuła się bezpiecznie, kiedy w końcu się przede mną otworzyła. – Mów.

– Roger wspomniał mi o czymś.

– O czym?

– Tylko tyle, że odkrył coś, o czym nie powinien wiedzieć. To brzmiało, jakby wykrył jakieś nadużycia.

– Czyli dokładnie to, co powiedziała mi Marjorie Ogonowski. Czy mówił, że to dotyczy Gifford Industries?

– Nie wiem. Mówił, że chodzi o duże sumy pieniędzy, ale poza tym wypowiadał się dość ogólnikowo. Im bardziej go naciskałam, tym bardziej się wycofywał. Potrafił tak robić. Zamykał się w sobie.

– Nie podał ci żadnych szczegółów? Zupełnie nic?

– Nic. Jednak... no cóż, bał się, że coś może mu się stać. Grożono mu.

– To też jest dość ogólnikowe.

– Przyznał, że mówi jak paranoik. Jak jakiś maniak teorii spiskowych. Zapytałam go, czy chce, żebym porozmawiała z Lelandem, sprawdziła, czy Leland mógłby coś zrobić, pomóc w jakiś sposób. Jednak powiedział, żebym nic nie mówiła o tym Lelandowi. Kazał mi obiecać.

– I dotrzymałaś tej obietnicy?

– Oczywiście.

– I nie wyjaśnił, kto mu groził?

Ponownie pokręciła głową.

– On nie wyjaśnił, a ja przestałam pytać. Powiedział, że chce chronić Gabe'a i mnie i że im mniej wiem, tym lepiej.

– Zatem ten e-mail, który wysłał, ten z NaWypadekSmierci.net, tak naprawdę wcale cię nie zaszokował, prawda?

Chwila ciszy. A potem smutne:

– Nie.

– Dlaczego to przede mną ukrywałaś?

– Och, Nick – westchnęła, objęła się sama, drżąc, jakby było jej zimno. – Ponieważ... A co, jeśli on... poddał się?

– Poddał się? Komu?

– No wiesz, grozili mu, grozili jego rodzinie, a on wiedział, że nie może już tego wszystkiego odkręcić. Nie mógł udawać, że nie wie o tym czymś, co odkrył. Może więc zawarł z nimi umowę. Ci faceci, kimkolwiek są, zaatakowali mnie, a on to zobaczył i krzyknął: „Dlaczego robicie krzywdę jej?! To ja jestem tym, kogo chcecie. Weźcie mnie”. Aby uratować mnie i Gabe'a. Nadażasz? Czy to ma jakiś sens?

– Tak sądzę – rzekłem. – Jak myślisz, co się stało z Rogerem?

– Może poświęcił się za nas – powiedziała bardzo cicho.

Spuściła głowę, niemal opierając brodę o pierś, a potem przycisnęła dłonie do skroni. Po tym, w jaki sposób poruszała się jej głowa, wiedziałem, że płacze. Po chwili podniosła głowę. Łzy spływały jej po twarzy.

– Widzisz? Rozumiesz, dlaczego jestem taka przerażona?

– Tak, rozumiem. – Sięgnąłem w jej stronę i zamknąłem ją w mocnym uścisku, czując jej wilgotne ciepło. – Jednak nie pozwolę, żeby coś się stało tobie lub Gabe'owi.

– A jeśli to przekracza twoje możliwości, Nick?

– Nie przekracza – rzekłem i natychmiast zawstydziłem się, ponieważ było to oczywiste kłamstwo. Wiele rzeczy przekraczało moje możliwości.

– I wiesz co, słuchając, jak mówisz o tym, co zdarzyło się tamtej nocy, kiedy zostałam napadnięta... cóż, może masz rację. Może było w tym coś dziwnego. Potem ten e-mail od Rogera, a teraz to nagranie. To wszystko razem daje inny obraz sytuacji, niż sądziłam.

Trzymałam ją w ramionach przez długą chwilę.

– Lauren, czy Roger mówił ci kiedyś, dlaczego tak często rozmawiał z Victorem? – zapytałam.

– Dzwonił do waszego taty? Kiedy?

– Ściśle mówiąc, to Victor dzwonił do niego. Rozmowy na koszt odbierającego. Pięć razy w ciągu ostatniego miesiąca.

– Nigdy nic mi o tym nie mówił. Jesteś tego pewien? Sądziłam, że nie rozmawiał z Victorem od prawie roku.



Kiedy Lauren poszła spać, siedziałem przez kilka minut przed telewizorem – i wtedy coś mi przyszło do głowy.

Poszedłem do holu i frontowych drzwi. Zapasowy klucz do samochodu znajdował się w zielonej japońskiej ceramicznej misie na stoliku. Jego mercedes AMG klasy S stał w garażu, czarny i błyszczący. W środku pachniało nową skórą. Uruchomiłem go, nacisnąłem przycisk systemu nawigacji na dotykowym ekranie LCD, wcisnąłem PAMIĘĆ – CEL PODRÓŻY, a potem OSTATNI CEL PODRÓŻY.

Piękny samochód, ten mercedes. Sześciolitrowy silnik V-12 ma sześćset cztery konie mechaniczne i niewiarygodny moment obrotowy. Ta bryka zapewne kosztowała około stu osiemdziesięciu tysięcy dolarów. I miała najgorszy system nawigacji na świecie.

Jednak powiedziała mi to, co chciałem wiedzieć.

Roger nie tylko kilkakrotnie rozmawiał z tatą przez telefon w ostatnim miesiącu. Odwiedził go również w więzieniu. Pojechał w głąb stanu Nowy Jork i przynajmniej raz użył systemu nawigacji mercedesa, aby się tam dostać.

Pytanie tylko dlaczego.

Jedyna osoba, która mogła wiedzieć, co się stało z Rogerem, była ostatnią osobą, którą chciałem widzieć.

CZEŚĆ DRUGA

*Najjawniejsze czyny człowieka mają swoją
tajemną stronę.*

JOSEPH CONRAD

42.

Zakład Karny Altamont został pierwotnie zbudowany jako szpital dla umysłowo chorych przestępców, sto pięćdziesiąt lat temu. Dom wariatów Altamont, jak go nazywano, był wielkim wiktoriańskim gotyckim kompleksem kopuł i zdobionych krenelażem wież. Jego złowrogie mury z czerwonej cegły były pokryte stuletnią warstwą sadzy z silników spalinowych. Jakieś czterdzieści lat temu szpital dla umysłowo chorych został zamknięty i przekształcony w więzienie o umiarkowanym rygorze, ale nadal wyglądał na miejsce, z którego ucieka maniakalny morderca, żeby terroryzować pobliski letni obóz.

Od tamtych czasów kaftanów bezpieczeństwa i lobotomii wykonano tu pewne renowacje. Postawiono dziesięciometrowy betonowy mur zwieńczony zwojami drutu kolczastego, wieże strażnicze oraz reflektory umieszczone na masztach. Za murem stary gotycki kompleks więzienny był otoczony bujnym zielonym trawnikiem, którego nie powstydziłoby się Pebble Beach.

Przyleciałem z Waszyngtonu do Albany, wynająłem samochód i przejechałem kilka kilometrów na peryferia miasta Guilderland. System nawigacyjny był przenośnym urządzeniem mocowanym do tablicy rozdzielczej gumową przyssawką. Mówił bardzo oficjalnym, nosowym kobiecym głosem, co jeszcze można by znieść, gdybym przez niego nie zgubił się na dwadzieścia minut. Zatem czułem do niego pewną niechęć, jako do sprawcy niewielkiego spóźnienia. Chociaż mój ojciec nigdzie się nie wybierał.

Wypełniłem formularz, pokazałem prawo jazdy i przeszedłem przez wykrywacz metalu, potem przez skaner jonowy, wykrywający narkotyki. Musiałem opróżnić kieszenie i zostawić telefon komórkowy oraz klucze w papierowej torebce z umieszczonym na niej moim nazwiskiem. System kontroli odwiedzających był niemal całkowicie zautomatyzowany: sfotografowali mnie i wydrukowali przyklejaną przepustkę z moim zdjęciem i kodem kreskowym.

Po przejściu przez drugą metalową klatkę obróciłem się do strażnika, który skanował moją przepustkę czytnikiem kodów kreskowych, i rzekłem:

– Zaawansowana technologia.

Strażnik, wyglądający na znudzonego, otyły czarny facet ze smutnymi oczami i szerokimi ustami, skinął głową.

– W takim dużym i starym budynku jak ten spodziewałem się, no wie pan, jednej z tych ogromnych ksiąg i gęsiego pióra.

Wybuchnął śmiechem. Najwyraźniej niewiele trzeba było, aby go rozbawić.

– Hej, więc to zapewne oznacza, że trzymacie zapis o każdym odwiedzającym w waszym komputerze.

– Och, tak.

– Każdy może zobaczyć, że złożyłem wizytę?

– Nie, jeśli nie ma dostępu do komputera – rzekł.

Kiwnąłem głową.

– Dobrze.

– Odwiedza pan Victora Hellera?

– Zgadza się.

– Kim jest, pańskim bratem?

– Ojcem.

– Ojcem, co? Długo siedzi?

– Trochę.

– Pewnie strasznie się pan boi, prawda?

– Można tak powiedzieć.



Pokój widzeń wyglądał jak stołówka w mojej szkole średniej: takie same plastikowe krzesła, takie samo zielonkawe linoleum na podłodze, taki sam wysoki sufit z poplamionymi białymi panelami. Ten sam zapach amoniaku zmieszany z wonią ludzkiego potu i rozpacz. Długi blat wił się przez całą długość pomieszczenia, dzieląc je na dwie części: jedną dla więźniów i drugą dla odwiedzających. Po stronie odwiedzających na ścianie był namalowany wesoły obraz, prymitywny wiejski krajobraz, prawdopodobnie wykonany przez więźniów. W sali było zaledwie kilkoro odwiedzających. Dwoje małych dzieci biegało dokoła, nieświadomych otoczenia. Więźniów było tylko trzech.

Na końcu stołu siedział mój ojciec.

Oczywiście, przez te dwanaście lat, kiedy go nie widziałem, postarzałem się. Jednak wyglądało na to, że on starzał się z prędkością światła. Victor Heller, Książę Ciemności z Wall Street, był starym człowiekiem. Garbił się. Miał długą białą brodę i wyglądał jak prorok ze Starego Testamentu. Jego brwi były ciężkie i rozwichrzone, jak kłębki zbyt długo używanej stalowej wełny. Miał na sobie ciemnozieloną koszulę i tego samego koloru spodnie, więzienny strój, który wyglądał jak uniform dozorczy.

Spojrzał na mnie, gdy podchodziłem. Miał załzawione oczy i wyglądał na zagubionego. Jego przewlekła łuszczyca jeszcze się pogorszyła, od kiedy ostatnio go widziałem: duże płyty skóry schodziły mu z policzków i czoła. Przypominał mi liniejącego gada, węża zrzucającego skórę, jakby schodziły z niego łuski, odsłaniając zepsute wnętrze.

Jednak na mój widok się uśmiechnął, a w jego oczach pojawił się znajomy błysk.

Poczekał, aż usiądę i przysunę swoje krzesło, szurając jego nogami po linoleum.

- Musieli ci powiedzieć.
- Powiedzieć o czym? – zapytałem.

– O raku.

– Raku – powtórzyłem, potem zrozumiałem. Powód tego, że on i Roger rozmawiali pięć razy. Jednak dlaczego Roger nic nie powiedział mnie albo przynajmniej Lauren? Dlaczego matka nie zadzwoniła do mnie, aby przekazać wiadomość? Ten stary człowiek umierał. Nagle poczułem pustkę.

Spuściłem wzrok.

– Tato, ja... mój Boże, miałem...

Śmiał się hałaśliwie, odchyliwszy głowę do tyłu. Siwa broda zakrywała mu szyję. Pustka we mnie powoli wypełniała się czymś lodowato zimnym.

– Z jakiego innego powodu złożyłbyś broń i przyjechał odwiedzić swojego biednego starego tatę? – zapytał, krztusząc się ze śmiechu. – Nie, nie umieram. Jednak musi być piekielnie ważny powód, dla którego tu jesteś. Domyślam się, że musisz wiedzieć o czymś, o czym mi nie mówią.

– Nie, tato, nie wiem.

– Nie byłeś tu nigdy przedtem, prawda?

Pokręciłem głową.

– Oczywiście, że nie byłeś. W dniu, kiedy się zgłosiłem, odwiózł mnie Roger. Twoja matka była chora.

– Była w zbyt dużej depresji, aby wstać z łóżka.

– Tak, prawda. A ty... ty musiałeś studiować, żeby skończyć w McKinsey, czy tak?

– Wtedy już byłem w wojsku.

– Ach tak. Wśród wybranych. Dumnych. Nick Heller.

– Byłem w armii, nie w marines. Siły specjalne.

– Specjalne – powtórzył. Smakował to słowo jak pierwszy łyk Chateau Lafite. Kąciki jego ust się wygięły. – Oo.

W dniu, kiedy poszedł do więzienia, tata podarował Rogerowi swoją najcenniejszą rzecz, stary zegarek Patek Philippe, który dała mu mama, gdy zarobił swoje pierwsze sto milionów. Z tyłu wygrawerowany był cytat z Wergiliusza: *Audentes fortuna juvat*. Odważnym

szczęście sprzyja. Rzeczywiście był odważny, ale szczęście było tylko wspomnieniem.

- Zatem czemu zawdzięczam twoją obecność?
- Chcę wiedzieć, o czym rozmawiał z tobą Roger.

W jego oczach ujrzałem pustkę.

– O czym ze mną rozmawiał? A o czym synowie rozmawiają ze swoimi ojcami? – Krótki, niewesoły uśmiech. – To było tak dawno, że pewnie zapomniałeś.

Jeden z więźniów przy blacie klócił się ze swoją odwiedzającą, młodą czarną kobietą, która wydawała się matką dwójki biegających wokół dzieciaków. Może był ich ojcem. Zastanawiałem się, czy więźniowie mają pozwolenie na małżeńskie wizyty.

– Ostatnio często się z tobą kontaktował.

– Dzwoni do swojego taty. Martwi się o mnie. Wysła mi paczki. Twoja matka wysła mi paczki. Oni wszyscy to robią. – Przechylił głowę, uniósł grube brwi i spojrzał na mnie spod ciężkich powiek. – Może mają jakieś problemy finansowe?

Oczywiście, wiedziałem, że Roger wcale nie dzwonił do taty. Więźniom nie pozwalano tu odbierać telefonów. Tata musiał wykonać połączenia na koszt abonenta.

– Roger też cię tu odwiedzał.

– Pozwalają na wizyty między siódmą trzydzieści a trzecią. Właściwie zachęcają do odwiedzin. Mówią, że widzenia mogą mieć pozytywny wpływ, wiesz o tym? Mówią, że więźniowie, którzy są regularnie odwiedzani, znacznie lepiej się przystosowują po wyjściu z więzienia. Co w moim wypadku nastąpi za jedyne osiemnaście lat. Kiedy będę miał, zakładając, że wciąż będę żył...

– Dlaczego?

– Dlaczego mnie odwiedza? Może dlatego, że się o mnie troszczy. Głupie, wiem. Stary człowiek jak ja zamknięty z gwałcicielami, pedofilami i innymi zbrojcami... Czym się tu martwić?

– Chodziło mi o to, czemu tak często?

– Często? To względne pojęcie, kiedy się tu znajdujesz.

Oblizwał wargi. Były spierzchnięte, zaskakująco czerwone przy śnieżnej bieli jego brody Matuzalema.

Spróbowałem ponownie, tym razem prosto z mostu.

– Kiedy ostatnio go widziałeś?

Zmarszczył brwi, skrzyżował ramiona i odchylił się do tyłu.

– Nie widziałem twojego brata od... no cóż, przynajmniej od roku.

– Spojrzał w górę i w prawo. Jedna z charakterystycznych oznak, że kłamie. Można by rzec, że jak zawsze, kiedy poruszał wargami. – Roger ma rodzinę i poważną pracę. Nie jest mu łatwo...

– Był tu w zeszłym tygodniu – rzekłem.

Powoli pokręcił głową.

– Sądzę, że pamiętałbym o tym, Nicholasie. Nie ma tu zbyt wiele do roboty, jeśli nie podnosisz ciężarów i widziałeś po kilka razy wszystkie odcinki *Prawa i porządku*.

– Nazwisko Rogera widnieje w systemie kontroli odwiedzin trzykrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu tygodni.

Wahał się tylko przez ułamek sekundy, rozważając, czy łąć dalej. Potem jego twarz powoli rozpromienił uśmiech, a oczy rozbłyły.

– Znasz mnie zbyt dobrze – rzekł ze śmiechem.

43.

Tego lata, zanim Roger poszedł na Harvard, przesiadywaliśmy w warsztacie Norman Lang Motors, sprzedającym używane samochody i będącym własnością mojego kumpla.

Timmy Lang obserwował, jak koleś maluje aerozolem pomarańczowo-żółtego ognistego kucyka na boku czerwonego mustanga. Opary farby paskudnie śmierdziały i zawsze uważaliśmy, że Timmy, który nie należał do najbystrzejszych, nawdychał się ich zbyt wiele przez lata pracy, dlatego Roger i ja staliśmy najdalej, jak mogliśmy. Mówiłem o tym, jak nie w porządku jest to, co zrobili tacie. Musiał uciekać, zostać uciekinierem gdzieś w Szwajcarii, a to wszystko dlatego, że narobił sobie jakichś potężnych wrogów. Był niewinny. Sam nam to powiedział.

Roger mi przerwał.

– Słuchaj, Red Man – rzekł. – Naprawdę nie powinieneś mówić o sprawach, których nie rozumiesz.

– Co to ma znaczyć?

– Chodzi mi tylko o to, Nick, że czasem sprawy są... skomplikowane, to wszystko.

– O czym ty mówisz?

– Domyśl się – powiedział.

Wtedy zrobiłem coś, czego nie zrobiłem nigdy wcześniej: przyłożyłem Rogerowi w brzuch. Zgiął się wpół i wyprostował się dopiero minutę później, czerwony na twarzy. Jednak nie był zły. Uśmiechnął się.

– Jesteś ostatnim głęboko wierzącym, prawda, Nick? – zapytał. – Nauczysz się.

Jeśli cynik jest po prostu rozczarowanym idealistą, to Roger nie był prawdziwym cynikiem. Nigdy nie był idealistą. Po prostu myślał trzeźwiej niż ja.

Widzicie, ja wierzyłem w to, co mówił tata.



– Wszystkie rozmowy telefoniczne są tutaj monitorowane i nagrywane – powiedziałem do ojca. – Zatem jeśli chcesz porozmawiać o jakichś delikatnych sprawach, musisz to zrobić osobiście. O czym Roger chciał rozmawiać?

Powoli podniósł brodę i kilkakrotnie wydał usta.

– Tak, czemu, u licha, marnowałby czas, jadąc taki kawał drogi, żeby pogadać z takim starym pierdzielem jak ja?

– Tato – rzekłem, nie reagując na jego złośliwości – to ważne. Chodzi o Rogera.

Jednak tata nie zamierzał zakończyć swej tyrady. Powoli podnosił głos. Czułem koźli odór jego ciała.

– Był czas, kiedy uwielbiałeś swojego brata. Uważałeś, że zawiesił księżyc. Jednak rozumiem, dlaczego teraz nim gardzisz. Nie możesz znieść faktu, że stał przy mnie przez te wszystkie lata, podczas gdy ty poszedłeś na łatwiznę, uległeś naciskom i odwróciłeś się ode mnie.

– Skończyłeś? – zapytałem cierpliwie.

Matka z dwójką dzieciaków przestała się kłócić ze swoim chłopakiem lub mężem. Jej dzieci zmęczyły się badaniem nieciekawego pomieszczenia, usiadły na podłodze z pisakami i kolorowały książeczki.

– Czy wiesz, że producenci z Fox News, CNN, a nawet *Sixty minut* nadal dzwonią do więzienia i piszą do mnie, chcąc przeprowadzić ze mną wywiad? MSNBC chce, żebym wystąpił w jakimś programie zatytułowanym *Zamknięty*. I wiesz, czemu odmawiam? Z

twojego powodu. I twojej matki. I Rogera. I mojego wnuka. Ponieważ nie chcę przypominać tych spraw. Nie chcę was zawstydząć. Chcę, aby ludzie zapomnieli. Wiem, o co im chodzi. O nakręcenie fajnego, soczystego filmu, pokazującego odzianego w więzienny uniform miliardera, który tak nisko upadł, upokorzonego i skruszonego, żalującego popełnienia swoich straszliwych przestępstw. Chcą podbudować morale. Tak aby ich widzowie czuli się trochę lepiej, wiodąc swe pełne cichej rozpaczycie życie.

– Tato...

– Czy wiesz... czy ty wiesz, że jestem zamknięty w tym samym bloku więziennym co mordercy i gwałciciele? Wsadzili mnie na trzydzieści lat, Nicholasie. Są tu pedofile, którzy wyjdą na wolność na długo przede mną.

– Możesz wyjść wcześniej za dobre sprawowanie – rzekłem.

Uśmiechnął się gorzko.

– Jeśli będę bardzo, bardzo grzeczny, wsadzą mnie do autobusu więziennego i pozwolą zbierać śmieci z pobocza drogi. Czy zdajesz sobie sprawę, że jest tu mężczyzna, który zamordował swojego ojca? Pobił go kijem bejsbolowym, a potem wypatroszył nożem do ryb i zakopał ciało w lesie. Ten mój uroczy współtowarzysz został skazany za zabójstwo pierwszego stopnia i odsiaduje pięć lat. Pięć lat. Podczas gdy ja mam tu siedzieć trzydzieści. A wiesz dlaczego?

W kąciku jego ust pojawiła się banieczka śliny. Skinąłem głową.

– Defraudacja papierów wartościowych i kradzież znacznych sum pieniędzy.

Poruszył palcem.

– Zła odpowiedź. Jestem tutaj z powodu ambicji.

– Zapewne można tak to ująć.

– Och, nie moich własnych ambicji. Wierz mi. Jestem tutaj, ponieważ jacyś chciwi i żądni sukcesu młodzi ważniacy z biura prokuratora okręgowego na Manhattanie chcieli czyjejs głowy. Chcieli posunąć do przodu swoje nędzne małe kariery. Chcieli wylądować na lukratywnym stanowisku w jakiejś ekskluzywnej firmie prawniczej.

Albo kandydować na burmistrza. Lub gubernatora. To wszystko przez ambicje, Nicholasie. Ich przeciwko mojej. Byłem tylko kamieniem milowym na ich ścieżce ku większej chwale. Nie ma już mafii, więc teraz polują na bogatych facetów. Przesłębstwa „białych kołnierzyków”, tak to nazywają. Czy nie tak teraz zarabiasz na życie? Jako rodzaj szpicla? Prywatny detektyw? Nie sądzisz, że to poniżej twojej godności, Nicholasie? Trochę *déclassé*?

Znacząco i powoli powiodłem wzrokiem po pokoju widzeń.

– Trudno sprostać twoim dokonaniom – rzekłem. – Bardzo wysoko umieściłeś poprzeczkę. – Uśmiechnąłem się. – Poza tym Stoddard Associates nie było zbyt *déclassé*, kiedy chciałeś, aby ratowali twój tyłek.

– Kiedy potrzebujesz hydraulika, dzwonisz do hydraulika. Nie oznacza to, że stajesz się jednym z nich.

Wzruszyłem ramionami.

– A jednak ośmielasz się mnie osądzać – rzekł.

– Wcale nie. Nie muszę cię osądzać. Ja już wiem, co o tobie myśleć.

Posłał mi swój drapieżny uśmiech.

– Poza tym nie pytałem o ciebie – powiedziałem. – Chociaż jesteś taki fascynujący. Muszę wiedzieć, o czym przyjechał tutaj porozmawiać Roger.

Oblizał bardzo dokładnie wargi, samym czubkiem języka.

– Twój brat i ja rozmawialiśmy w zaufaniu. Nie zdradzę tego zaufania. Możesz sam zapytać o to Rogera.

– Chciałbym. Jednak go nie ma. I sądzę, że ma to coś wspólnego z tym, o czym wy dwaj rozmawialiście.

– To sprawa między ojcem i synem – rzekł z okrutnym, krzywym uśmiechem, jakby ze mną łączyło go jakieś inne pokrewieństwo, nie tak bliskie jak jego i Rogera.

– Dobrze – powiedziałem. Odsunąłem krzesło i wstałem. Strażnik popatrzył zza swojego drewnianego stolika przy drzwiach. – Było miło cię widzieć, tato. Jak zawsze przyjemnie.

– Usiądź – rzekł. – Nie bądź głupi. Twój brat może ci powiedzieć tyle, ile uzna za stosowne.

– Mało prawdopodobne. On i Lauren zostali zaatakowani w Georgetown kilka dni temu, a kiedy ona ocknęła się w szpitalu...

– W szpitalu? Czy Lauren nic się nie stało?

Kiwnąłem głową i zacząłem się cofać.

Mój ojciec gapił się na mnie. Zamrugał kilka razy.

– A Roger?

– Od tamtej chwili nikt nie może go znaleźć. Nie ma od niego żadnej wiadomości.

W jego oczach pojawił się strach i nagle wydał z siebie głośny, gardłowy okrzyk.

– Nie! Dobry Boże, nie! Do diabła, mówiłem mu, żeby tego nie robił.

44.

Mój ojciec przesunął dłonią po czole, po oczach, zrywając kilka płatków martwej skóry.

– Co to oznacza, że nikt nie może go znaleźć? Nie znaleźli...?

– Nie ma ciała, tato. Może on żyje. Może nic mu nie jest. Albo... – Wróciłem i usiadłem na plastikowym krześle. – Zatem powiedz mi, o czym ty i Roger rozmawialiście.

Przycisnął dłonie do swego łuszczącego się czoła. Jego szerokie i krótkie palce masowały mocno skórę i musiałem odwrócić wzrok. Łuszczyca często nasila się w chwilach poważnego emocjonalnego stresu. Miałem wrażenie, że pobyt w więzieniu może być stresujący. To zabawne, że choroba czyniła go bardziej odpychającym i oślizłym niż sympatycznym i wrażliwym.

– Powiedział, że coś odkrył, i chciał mojej rady – odezwał się wreszcie Victor, jego słowa były stłumione.

– Twojej rady.

Spojrzał w górę i westchnął. Skrzyżował dłonie na blacie przed sobą.

– Tak, Nicholasiu, okazuje się, że wiem to i owo. Chociaż nigdy nie chciałeś niczego się ode mnie nauczyć.

– Co masz na myśli? Nauczyłem się wiele.

– Twój sarkazm mi nie umyka. Roger powiedział mi, że natknął się na fikcyjne koszty u jednego ze swoich podwykonawców... firmy do spraw bezpieczeństwa.

– Podwykonawcy?

– Zapewniali bezpieczeństwo Gifford Industries. Uzbrojeni strażnicy ich elektrowni, projektów budowlanych i tym podobnych.

– Co rozumiesz przez „fikcyjne koszty”?

– Roger uważał, że była to jakaś łapówka, nielegalna prowizja za pomoc w transakcji dla jakiejś ważnej osobistości z Pentagonu, i chciał dowodu. Jednak to było trudne zadanie, nawet dla kogoś tak błyskotliwego jak twój brat. To trochę tak, jakbyś chciał zrozumieć kombinatorykę, nie opanowawszy dzielenia liczb wielocyfrowych.

Ach, ta stara arogancja Victora Hellera. Nawet rozmawiając o czczonym i uwielbianym synu, musiał pokazać swoją wyższość.

– Jak szkrab próbujący pobiec w maratonie bostońskim, tak?

– Daj spokój, Nicholasie. Roger dość dobrze orientował się w tych sprawach. Jednak nie tak dobrze jak ja. Ja to wszystko robiłem.

Założyłem, że miał na myśli to, iż tworzył różnego rodzaju fikcyjne przedsiębiorstwa w zagranicznych rajach podatkowych. Często zastanawiałem się, czy przelał gdzieś pieniądze, których rząd nie zdołał zlokalizować i przejąć. Jak inaczej mógłby żyć jako zbieg przez te wszystkie lata?

– Tak więc Roger chciał udowodnić, że ta firma do spraw bezpieczeństwa daje łapówki Pentagonowi – rzekłem sceptycznie. To pasowałyby do tego, co powiedziały mi Lauren i Marjorie Ogonowski. – Po co? Zamierzał zgłosić to władzom? Może dostać medal? Dlaczego nie pasuje mi to do Rogera?

Mój ojciec westchnął niecierpliwie i pomachał ręką, jakby chciał odgonić chmurę moskitów.

– Och, proszę – powiedział. – Oszczędź mi tego. Roger miał dość życia w biedzie.

– W biedzie? – powtórzyłem. – Dobry Boże. Miał sześcicyfrową pensję.

Ojciec prychnął.

– Sześcicyfrowa pensja. W dzisiejszych czasach to ubóstwo.

– Ile zarabiasz, pracując w pralni więziennej? – zapytałem. – Dziesięć centów na dzień?

Nie pofatygował się nawet, by posłać mi jedno ze swoich słynnych miażdżących spojrzeń.

– Odsunęli go na boczny tor. Miał dość oglądania miernot, które awansowano przed nim, podczas gdy on tkwił w miejscu. Jako jeden ze stu wiceprezesów. Mógł kierować Gifford Industries i wiedział o tym.

– Co więc próbował zrobić?

– To proste, zamierzał jasno pokazać, co na nich miał. Co wiedział. I ile chciał.

– Pieniądze za milczenie – rzekłem.

Przytaknął.

– Wymuszenie.

– Zawsze zręcznie dobierałeś słowa.

Tak. Teraz pasowało mi to do Rogera, którego znałem.

– Ile chciał?

– Dziesięć milionów dolarów.

– Tylko tyle? – zapytałem tak sucho, jak potrafiłem.

– Właściwie była to całkiem rozsądna propozycja. Opłacalna. Jeśli rozważysz wrzawę, jaka by wybuchła, gdyby łapówka wyszła na jaw. Straciliby o wiele więcej w cofniętych kontraktach rządowych.

– Kontrakty rządowe, tak? Co to za firma?

– Mogłeś słyszeć o Paladin Worldwide.

– Ach – rzekłem.

Paladin Worldwide było największą na świecie prywatną armią. Zaczynało od dostarczania uzbrojonych strażników dla takich firm jak Gifford Industries i w końcu przekształciło się w pełni rozwiniętą armię do wynajęcia. Paladin było niesławną, kontrowersyjną i ogólnie pogardzaną firmą. Żołnierzy z Paladin, „kontraktorów”, jak ich nazywano, powszechnie uważano za skłonnych do nadużywania broni kowbojów. Jednak żołnierzy Stanów Zjednoczonych najbardziej kłuło w oczy to, że typowy sierżant zarabiał sto dolców na dzień, a facet z Paladin tysiąc.

Kiedy służyłem w Afganistanie i Bośni, najemnicy z Paladin walczyli obok armii Stanów Zjednoczonych. Wszyscy z nich byli niedawnymi weteranami i byli równie dobrze wyszkoleni jak inni, lecz ponieważ prawnie zostali zaklasyfikowani jako „konsultanci”, nie podlegali przepisom prawnym kraju, w którym walczyli – a nawet przepisom armii Stanów Zjednoczonych. Oznaczało to, że mogli bezkarnie strzelać do cywilów, i niektórzy z nich to robili. Nie można ich było postawić przed sądem. Żaden z nich nie został nigdy oskarżony o jakiegokolwiek przestępstwo. Jak na Dzikim Zachodzie. W rzeczywistości, w Iraku było więcej najemników niż żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych. A Paladin Worldwide było tam największym kontraktorem.

– Próbował wyciągnąć dziesięć milionów dolarów od Paladin? Niezbyt mądry pomysł. Ci kolesie są uzbrojeni i niebezpieczni.

– Ostrzegałem go, że to lekkomyślny pomysł.

– Naprawdę, tato? Czy może poradziłeś mu, jak ma to zrobić?

Kolejne westchnienie, tym razem bardziej urażone niż zniecierpliwione.

– Powiedziałem mu, że gra w bardzo niebezpieczną grę.

Milczałem przez długą chwilę.

– Czy dostał te dziesięć milionów?

– Nie wiem. Zakładam, że nie.

Przywołałem w myślach e-mail od Rogera, który został wysłany przez portal NaWypadekSmierci.net. „To musi być najdziwniejszy list, jaki kiedykolwiek napisałem” – pisał. „Ponieważ jeśli go otrzymasz, będzie to oznaczało, że nie żyję”.

I: „Kto wie, co oni robią. Czy postarają się, żeby wyglądało to na samobójstwo?”.

Mówił o nich „ludzie, którzy próbują mnie powstrzymać”.

Ludzie, którzy próbowali go powstrzymać – przed szantażowaniem ich, przed wymuszeniem – byli z Paladin Worldwide, to oczywiste. Roger w jakiś sposób dowiedział się o fikcyjnych wydatkach, którymi próbowali obciążyć Gifford Industries, o łapówce, za którą

wystawili Gifford rachunek. A Roger, jak to Roger, zwietrzył dobry interes. Zażądał dziesięć milionów dolarów w zamian za milczenie.

Od Paladin Worldwide. Największej na świecie prywatnej armii.

Trudno o groźniejszego przeciwnika.

– Jak myślisz, co się stało? – zapytałem. – Sądzisz, że Paladin porwało Rogera? Czy może Roger zniknął, próbując im uciec?

Ojciec przycisnął dłonie do oczu i spadł z nich duży srebrny płatek.

– Zniknął? Nie, Nicholasie. O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że oni... pozbyli się go. W taki sposób działają.

– Wątpię. – Nie fatygowałem się wyjaśnianiem mu swojego rozumowania, opartego na tym, że Lauren została ogłuszona, a nie zabita. – Nie wierzę w korporacyjne oddziały zabójców.

– Zatem albo jesteś naiwny, albo nie zwracasz uwagi na to, co się wokół ciebie dzieje. Niejaka Karen Silkwood pracuje z fabryce nuklearnej w Oklahomie i zostaje zatruta plutonem. Wsiada do swojego samochodu, aby spotkać się z reporterem „New York Timesa” i opowiedzieć mu o niebezpiecznych warunkach pracy w przemyśle nuklearnym, ale jej wóz wypada z drogi. Samobójstwo?

– Widziałem ten film z Meryl Streep. Był niezły. Czego chcesz dowiedzieć?

– Nie mam wątpliwości, że oni zabili Rogera – rzucił gniewnie. – Prawdopodobnie chcieli zabić również Lauren, a nie tylko wywołać wstrząs mózgu.

Zdecydowałem się zakończyć tę dyskusję. Do niczego nie prowadziła.

– Potrzebuję nazwisk – rzekłem. – Z kim z Paladin rozmawiał Roger? Kto mógł mu grozić?

Tata patrzył na mnie przez długą chwilę, jakby zastanawiając się, ile mi powiedzieć.

– Próbował się skontaktować z założycielem Paladin i dyrektorem naczelnym, Allenem Grangerem, ale ten nie chciał z nim rozmawiać.

Wiedziałem co nieco o Allenie Grangerze, miliarderze i założycielu Paladin Worldwide, ale ograniczało się to do tego, co przeczytałem i usłyszałem. Były marines z północnego Michigan. Bogaty facet, typ

odludka. Powtórnie narodzony ewangelik, prawicowy konserwatysta.

– Zatem rozmawiał z kimś innym z Paladin?

Victor skinął głową.

– Z szefem ich biura w Waszyngtonie, niejakim Carlem Koblenzem. Zdaje się, że to prezes tej firmy, numer dwa zaraz po Grangerze.

– Carl Koblenz – powtórzyłem. – Czy Koblenz był tym, który otwarcie groził Rogerowi?

– Czy mówiłem coś o jakichś otwartych groźbach?

– Nie, nie mówiłeś – odpowiedziałem.

– Ty coś planujesz – rzekł. – Widzę to.

– Może.

– Nie rób tego. Przynajmniej naucz się czegoś z błędów twojego brata. Nie chcę stracić jedyne go pozostałego syna.

– Jestem wzruszony. Jednak to się nie stanie.

– Z pewnością znasz *Trzydzieści sześć podstępów*.

Pokręciłem głową.

– O starożytnej chińskiej sztuce podstępu.

– Och, racja. Sun Tzu. Ulubieniec Jaya Stoddarda.

– Zapomnij o *Sztuce wojennej* Sun Tzu. Jest taka pospolita. – Uniósł wykrzywiony palec ze starczymi plamami. – O wiele bardziej interesujący od Sun Tzu jest Chu-ko Liang. Prawdopodobnie najbardziej błyskotliwy wojenny strateg w historii. Jedną z jego strategii polegała na pokonywaniu wroga od wewnątrz. Infiltrujesz obóz wroga pod pozorem współpracy lub kapitulacji. A potem, po odkryciu źródła jego słabości, uderzasz.

W jakiś sposób w tym otoczeniu, w pokoju widzeń w Zakładzie Karnym Altamont, rada mojego ojca była mniej autorytatywna. Wychodząc stamtąd, delektowałem się uczuciem ulgi. Ponieważ w tym momencie wiedziałem, że mój brat żyje.

45.

„Prawdopodobnie chcieli zabić również Lauren, a nie tylko wywołać wstrząs mózgu” – powiedział Victor.

Jednak ja nic nie mówiłem o wstrząsie mózgu.

Powiedziałem mu tylko, że Lauren została zaatakowana i obudziła się w szpitalu. Byłem pewien, że miał jakieś inne źródło informacji. Chociaż udawał, że pierwszy raz słyszy o napadzie. A wzięwszy pod uwagę, ile razy rozmawiali z sobą w ostatnim miesiącu, prawdopodobnie tym źródłem był Roger.

Jeśli tak, to oznaczało, że Roger rozmawiał z tatą po swoim zniknięciu.

A więc Roger nie tylko żył, ale także mógł odbierać telefony. Co oznaczało, że nie był zakładnikiem ani ofiarą porwania, nie został gdzieś uwięziony. Ukrywał się.

Jednak był uchwytny. Ponieważ Victor nie mógł odbierać przychodzących połączeń, musiał dzwonić do Rogera.

I ten numer telefonu musiał figurować na liście tutaj, w więzieniu. Więźniom pozwalano wykonywać jedynie połączenia na koszt abonenta, kontaktować się z nie więcej niż piętnastoma numerami telefonów znajdujących się na zatwierdzonej liście.

Po kilku minutach przyjacielskiej pogawędki z moim nowym znajomym, strażnikiem siedzącym przed pokojem widzeń, wyznałem mu, że obawiam się, iż mój ojciec mógł próbować znów nawiązać kontakty ze swoimi dawnymi kumplami. Czy to nie jest niezgodne z

przepisami więziennymi?

Strażnik ochoczo podszedł do komputera i wyciągnął z niego zatwierdzoną listę telefonów Victora. Dałem mu pięćdziesiąt dolarów za pomoc w poszukiwaniach i podziękowałem za utrzymanie mojego ojca na uczciwej drodze.

Kiedy jechałem na międzynarodowe lotnisko Albany, zadzwoniłem do Franka, maklera informacji.

– Czy nie mówiłem ci, żebyś był cierpliwy? – zapytał, zanim zdołałem podać mu ten jeden numer z listy telefonów Victora, którego nie rozpoznałem.

– Chodzi o coś innego, Frank.

– Tak, cóż, mam informacje o numerze telefonu komórkowego, który mi podałeś.

Minęła sekunda, zanim przypomniałem sobie, o jakim numerze mówił Frank: tym, który dał mi w Los Angeles Woody z firmy przewozowej.

– Wspaniale – rzekłem. – Co masz?

– To konto firmowe. Zarejestrowane na Carla Koblenza.

– Paladin Worldwide – powiedziałem.

– Wiedziałaś już o tym?

– Znam to nazwisko.

Zatem prezes Paladin Worldwide zatrudnił Woody'ego, aby ukraść prawie miliard dolarów z Traverse Development. To była kradzież korporacyjna na naprawdę wielką skalę.

Kawałki łamigłówek zaczęły układać się w całość. Jeśli mój ojciec mówił prawdę – czego oczywiście nie można było zakładać – to Roger znalazł dowód na to, że Paladin Worldwide płaci łapówki Pentagonowi. Kiedy dowiedzieli się, że Roger go ma, zaczęli mu grozić. Wiedział, że zamierzają go porwać, może nawet zabić.

Zatem zniknął, zanim zdążyli to zrobić.

Jednak co z tym miliardem dolarów? Może firma Paladin, która wykonywała wiele zleceń w Iraku, dowiedziała się, że Traverse Development – ktokolwiek za nią stał – wysyła całą forszę z powrotem

do Stanów Zjednoczonych, i postanowiła skorzystać z okazji. Miliard dolarów to dużo łapówek.

– Przesłałem ci rachunki telefoniczne twojego brata – rzekł Frank, przerywając moje rozmyślenia. – Dostałeś je?

– Tak, dziękuję – powiedziałem. – I mam dla ciebie jeszcze jeden numer.

46.

Przez cały poranek Lauren co chwila zaglądała do swojej skrzynki elektronicznej.

Sprawdzała, czy nie ma e-maila od Rogera. Jakkolwiek głupie to było.

Daj sobie spokój, upominała siebie w myślach. Nic więcej od niego nie przyjdzie. Przestań się zadrećcać.

Przyjechała do pracy później niż zwykle, ponieważ musiała wpuścić przyjaciela Nicka, aby przeprowadził przegląd i kapitalny remont domowego systemu alarmowego. To było w porządku: Leland wyjechał z kraju, więc sprawy toczyły się wolniej niż zazwyczaj. Tuż przed lunchem oderwała wzrok od komputera i zobaczyła mężczyznę siedzącego na jednym z foteli dla gości. Przyjrzała mu się ponownie.

Pamiętała, że widziała go wychodzącego z biura Lelanda. Ten mężczyzna był nadzwyczaj... no cóż, przeciętny. Nie owijając w bawełnę, po prostu brzydki. Twarz miał usianą głębokimi bliznami, najwyraźniej będącymi pozostałością po ciężkim przypadku młodzieńczego trądziku. Nosił okulary w rogowych oprawkach, miał rzadniejące brązowe włosy, okrągłe ramiona i wąską klatkę piersiową.

– Witam – powiedziała pytająco.

– Nie chciałem pani przeszkadzać – rzekł mężczyzna. Wstał niezgrabnie, przy czym skórzana aktówka wyslizgnęła mu się z dłoni i upadła na podłogę. Pochylił się, żeby ją podnieść, a kiedy się wyprostował, jego pokancerowana twarz była zaczerwieniona. Z zawstydzoną miną podszedł do jej biurka i wyciągnął do niej rękę. – Hmm,

jestem Lloyd Kozak. Nie wiem, czy Leland o mnie wspominał...? Jestem jego nowym doradcą finansowym.

Lauren spojrzała na Noreen, która powiedziała:

– Witaj, Lloyd.

– Och, tak... Noreen, prawda? – Podeszedł do biurka Noreen i jej również podał rękę. – Przepraszam, nie zauważyłem pani. – Popatrzył na Lauren, potem znowu na Noreen, wyglądając na zagubionego między tymi dwoma kobietami. – Ja tylko... czy Leland zostawił dla mnie jakieś dyskietki?

Lauren pokręciła głową.

– Nic nie mówił...

– Och, pewnie, są tutaj – odezwała się Noreen, wyjęła szarą kopertę i wręczyła ją mężczyźnie.

– Dziękuję – powiedział do niej, potem podeszedł do biurka Lauren i rzekł: – Przepraszam, że pani przeszkodziłem.

– Nie szkodzi – zapewniła Lauren.

Mężczyzna odszedł pośpiesznie.

Lauren zaczęła, aż zniknął.

– Leland nic mi nie mówił o doradcy finansowym – zwróciła się do Noreen.

– Wydawało mi się, że ja ci o nim mówiłam.

– Cóż, owszem, ty tak. Jednak Leland o nim nie wspomniał.

– Przystopuj – zachnęła się Noreen. – Leland powiedział mi, że ten facet wpadnie dzisiaj, i poprosił mnie, żebym coś mu przekazała. To nic wielkiego.

– Cóż, nic nie powiedział, i tyle.

– Chyba nie oczekujesz, że będzie tłumaczył wszystko dwa razy, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– No to wszystko w porządku.

Lauren zanotowała w myślach, żeby zapytać o tego doradcę finansowego, kiedy Leland wróci. Jednak mimo woli czuła się trochę zraniona. Zwykle to ona zajmowała się wszystkimi jego sprawami. Nie miał przed nią żadnych sekretów. Wiedziała, że to niemądre, ale

czuła się trochę pominięta. A Noreen niewątpliwie cieszyła się z tego. Zawłaszczyła niewielką część prywatnego życia Lelanda, o której ona, i tylko ona, coś wiedziała.

Lauren naprawdę nie lubiła tej kobiety.

Wczesnym popołudniem, zaraz po lunchu, Lauren ponownie sprawdziła swoją pocztę i znalazła wiadomość wysłaną z adresu, którego nie rozpoznała. Jako temat wiadomości podano „Do Lauren – prywatne”.

Kliknęła wiadomość.

W okienku nie było żadnego tekstu. Tylko ciemnoszary prostokąt, w którym od razu rozpoznała odtwarzacz video, taki jakie widuje się wszędzie w całym Internecie: ramka z przyciskami na pasku narzędziowym w dolnej krawędzi. Duże ciemnoszare kółko na samym środku zawierające biały trójkątny przycisk włączający. Dosłownie wołał do niej: „Kliknij mnie! Kliknij mnie!”.

Zastanawiała się przez moment. To wyglądało podejrzanie. Mogło być niebezpieczne.

Sprawdziła adres nadawcy i zobaczyła puste pole. To dziwne, była pewna, że coś tam było kilka sekund temu.

Jednak adres nadawcy znikł.

Pozostało jedynie okienko odtwarzacza filmów. Duży biały trójkątny przycisk drwił z niej.

Po kilku sekundach nie mogła dłużej się opierać. Kliknęła na trójkąt. Szary prostokąt ożył; popłynął strumień obrazów. Czarno-biały. Na początku rozmazany i niewyraźny. Ciemny. Niczego nie dało się rozróżnić.

Potem jednak film stał się wyraźniejszy, jakby opadła mgła, i było coś upiornie znajomego w scenie, którą widziała. Coś, czego nie mogła rozpoznać, choć wyglądało znajomo. Postać okryta białym całunem na powolnym zbliżeniu, która stała się bryłą pod pomiętą pościelą. Ktoś leżący na łóżku. Nagranie, które oglądała, miało jakość kiepskiego filmu porno dla podglądaczy. Tylko co to takiego? Dlaczego wygląda tak znajomo? Wcisnęła przycisk odtwarzania pełnoekranowego i obraz wypełnił cały ekran monitora. Rozdzielczość nie

była dobra, film był ziarnisty, jakby kręcony w nocy, przy użyciu podczerwieni lub czegoś takiego.

Niespokojnie śpiąca postać odwróciła się i Lauren rozpoznała długie rzęsy oraz kręcone włosy. Zakręciło jej się w głowie, a serce zaczęło bić szybciej, gdy kamera zrobiła zbliżenie prosto na twarz Gabe'a.

Jej syn, śpiący w swoim łóżku.

Głośno jęknęła.

Nagle film przestał się odtwarzać i ciemnoszare okno wróciło do początkowych rozmiarów, z białym trójkątem na środku. Lauren drżącymi palcami sięgnęła po myszkę komputerową i spróbowała kliknąć ponownie przycisk odtwarzania, ale ciemnego szarego kwadratu nie było. Zniknął jak kot z Cheshire w *Alicji w krainie czarów*.

Nie pozostawiając żadnego śladu.

Jakby nigdy go tam nie było.

47.

Miałem mnóstwo czasu przed odlotem samolotu z lotniska, więc zatrzymałem na trochę dłużej wypożyczony samochód, wyjechałem z parkingu i jeździłem po okolicy, po prostu rozmyślając. Drogi tutaj były szerokie i nowo wybrukowane, a korki znacznie mniejsze niż w Waszyngtonie. Po kilku kilometrach minąłem Kolonialną Bibliotekę Publiczną. Pod wpływem impulsu zawróciłem i podjechałem do niej.

W czasach Internetu publiczne biblioteki są ogromnie niedoceniane jako źródła informacji. Czasem po prostu nie istnieje substytut książek na półkach i starych gazet, nawet w postaci mikrofilmów. Liczne lokalne gazety zwyczajnie nie są przeszukiwane przez Google. Nawet te, które mają własne wyszukiwarki dostępne w Internecie, często są kiepsko zindeksowane. Większość przydatnych rzeczy musisz znaleźć staromodnym sposobem.

Znalazłem zbiór indeksów gazety z Michigan, „Grand Rapids Press”, i zacząłem je przeglądać rok po roku w poszukiwaniu artykułów na temat pustelnika, założyciela Paladin, Allena Grangera. Ponieważ jego rodzina pochodziła z północnego Michigan, doszedłem do wniosku, że mogę znaleźć jakiś interesujący artykuł w lokalnej prasie, z którego dowiem się czegoś, czego nie wyczytałem w „Time” lub „Newsweeku”.

Kiedy kartkowałem kolejne tomy, zadzwonił mój telefon. Bibliotekarka z działu czasopism przeszła mnie wzrokiem, więc wyłączyłem komórkę, nie spojrzawszy na identyfikator dzwoniącego. Znalazłem kilka artykułów na temat Grangera, ale prawie wszystkie były

przedrukami i żaden z nich nie był dla mnie nowy. Wygrzebałem też dużo artykułów o Paladin i różnych kontrowersjach, jakie budziła działalność pracowników tej firmy w Iraku, ora za Artykuły o Allenie Grangerze zeznającym przed Kongresem. Jednak nie stawał przed komisją senacką już od roku. I z tego, co wiedziałem, przez ten czas nie udzielał osobiście żadnych wywiadów. Był jedynie wywiad, w którym „Pan Granger rozmawiał z »Associated Press« przez telefon z głównej siedziby Paladin w południowej Georgii”. Wyglądało na to, że w ciągu ostatniego roku Carl Koblenz, nazywany dyrektorem naczelnym Paladin Worldwide z siedzibą w Falls Church w Wirginii, przejął rolę rzecznika firmy. Granger nie występował publicznie od ponad roku.

Musiałem cofnąć się o całe lata, zanim zdołałem odnaleźć jakiegokolwiek lokalne wywiady z Allenem Grangerem. Dokładnie o piętnaście lat.

Podszedłem do biurka z czasopismami i poprosiłem o rolkę mikrofilmu z „Grand Rapids Press”. Dziesięć minut później przewijałem porysowany stary mikrofilm, walcząc z chorobą lokomocyjną, aż w końcu znalazłem wywiad przeprowadzony przez reportera „Grand Rapids”, który opisywał Allena Grangera jako „przystojnego potomka imperium utylizacji odpadów” i „byłego marines”. Zamieszczone zdjęcie potwierdzało komplement: Granger miał miłą powierzchowność, niebieskie oczy i zdrowy wygląd mieszkańca Środkowego Zachodu. Opowiedział reporterowi, jak ostatnio kupił cztery tysiące hektarów sosnowego lasu w południowej Georgii, z przeznaczeniem na obiekt szkoleniowy mający służyć czemuś, co nazywał „FedEksem narodowego bezpieczeństwa”, cokolwiek miało to oznaczać.

Ostatnia linijka wywiadu mówiła: „Dla Allena Grangera była to długa droga z Traverse City”.

Traverse City w Michigan to miasteczko, z którego pochodził Granger.

A Traverse Development? Czy mogła to być kolejna z jego firm?

Zupełnie się pogubiłem. Dlaczego prezes Paladin Worldwide miałby zatrudnić jakiegoś gościa z przedsiębiorstwa przewozowego,

aby ukradł miliard dolarów w gotówce innej firmie Allena Grangera?

Chyba że Granger nie wiedział, co robi Koblenz.

Nie widziałem w tym żadnego sensu.

Wychodząc na zewnątrz w oślepiający blask słońca, sprawdziłem swoją pocztę głosową.

– Nick – powiedziała cicho Dorothy. – Zadzwoń do mnie. Mamy kłopot.

48.

- Co się stało? – zapytałem.
- Nie sądziłam, że Stoddard w ogóle wie, gdzie jest mój boks. Po prostu podszedł do mojego biurka i powiedział mi, że nadużywam zasobów biura.
- Wykonywałaś całą swoją robotę w terminie?
- Wiesz, że tutaj tak się nie pracuje. Mam nienormowany czas pracy.
- Właśnie. Powiedz mu, że to, co robisz w wolnym czasie, to twoja sprawa.
- Po pierwsze, Nick, nigdy nie mówiłam w ten sposób do Stoddarda i nie zamierzam teraz zacząć. Ja to nie ty. Nie jestem niezastąpiona.
- Jesteś najlepsza, Dorothy, i wiesz o tym. Żaden inny sądowy technik nie jest zapraszany na poranne poniedziałkowe zebrania.
- Tak, cóż, dla Jaya Stoddarda jestem jednym z około tysiąca specjalistów od odzyskiwania danych, z których większość ochoczo skorzystałaby z okazji podjęcia tu pracy. – Zniżyła głos. – I prawdopodobnie ma rację.
- Nie zwolni cię za pomaganie mi w zlokalizowaniu mojego brata.
- Och nie? Powiedział to. Powiedział, że jeśli nadal będę grzebała w bazie danych w poszukiwaniu informacji o Traverse Development, Rogerze Hellerze lub o czymś, czym nie zajmuje się Stoddard Associates, to powinnam zaktualizować swój życiorys.

- Dorothy – rzekłem – wiesz, że zawsze stoję za tobą murem.
 - To chyba dlatego zawsze biorą mnie od przodu – powiedziała kwaśno. – Nie zdołasz go powstrzymać od zwolnienia mnie, Nick.
 - Nie bądź tego taka pewna.
 - Taa – rzekła. – Pewnie. Uwierzę, jak zobaczę.
 - Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Poszczyli ci się z tą listą dzierżawców, którą ci przefaksowałem?
 - Nie. Przykro mi.
 - Co z tym robisz, sprawdzasz każdą firmę, czy nie jest filią innego przedsiębiorstwa?
 - To by zajęło wieczność. Nie, szukam jakiegoś powiązania z Traverse Development. Jednak dotychczas nie miałam szczęścia.
 - A laptop Rogera?
 - Wygląda na to, że zawiera głównie prywatne dane. E-maile i tym podobne rzeczy.
 - Możesz mi je wysłać?
 - Nie, ale powiem ci, co mam, kiedy się zobaczymy.
- Miałem drugą rozmowę przychodzącą i zobaczyłem, że to Garvin.
- Dorothy – zapytałem – czy nie miałabyś nic przeciwko...?
 - Odbierz telefon, Nick.
 - Dzięki. Jesteś najlepsza.
 - Cieszę się, że to doceniasz – powiedziała. – Ponieważ to ostatnia robota, jaką mogę dla ciebie wykonać. Widzisz Nick, potrzebuję czeku z wypłatą.
- Kiedy przełączyłem się na rozmowę z Garwinem, zaczął pospiesznie, nie przedstawiając się.
- To interesujące.
 - Posłuchajmy.
 - Sprawdziłem obie tablice, furgonetki econoline i czarnego hummera.
- Jak większość gliniarzy, Garvin nazywał tablice z numerami rejestracyjnymi po prostu tablicami.
- I?

- Obie prowadzą do tego samego właściciela.
- To ma sens – rzekłem. – Kto nim jest?
- Wygląda na to, że oba te pojazdy są zarejestrowane na pewną spółkę holdingową.

Czekałem.

- Coś o nazwie A.G. Holdings.
- Czy jest jakiś adres?
- Tylko skrytka pocztowa.
- W porządku – powiedziałem. – To nam pomoże. I to bardzo.

Odłożyłem słuchawkę i minutę później znowu rozmawiałem z Dorothy.

- Powiedziałam ci, Nick, że nic więcej nie mogę już dla ciebie zrobić – przerwała mi.

- Chcę tylko, żebyś spojrzała na listę dzierżawców, którą ci przefaksowałem.

- Tylko spojrzała?

- Zgadza się.

- Mam ją tutaj.

- Czy w tym budynku wynajmuje lokal firma, która nazywa się A.G. Holdings?

Zapadła długa cisza, przerywana szelestem papieru.

- Szóste piętro – powiedziała w końcu Dorothy.

- Ładnie – mruknąłem.

- Co?

- A.G. Holdings to Allen Granger.

- Nie rozumiem.

- Ja chyba też – powiedziałem. – Jednak zamierzam to wyjaśnić.

49.

Wyglądało na to, że im więcej wiedziałem, tym mniej rozumiałem.

Paladin Worldwide, Traverse Development i A.G. Holdings – one wszystkie były tą samą firmą. A ściśle mówiąc, wszystkie miały jednego właściciela, co niedokładnie było tym samym. Jedna z nich posiadała pozostałe. Może to bez różnicy, która firma była właścicielem pozostałych. Wszystkie należały do Allena Grangera.

W porządku, świetnie. Zatem jedna z filii Paladin, Traverse Development, potajemnie wysłała miliard dolarów w gotówce do Stanów Zjednoczonych, tylko że ta forsa zaginęła. Dlaczego? Ponieważ została ukradziona przez szefa ochrony firmy przewozowej.

Zatrudnionego przez tę samą firmę, która wysłała gotówkę.

Tak więc, w gruncie rzeczy, Paladin Worldwide okradło samo siebie.

Albo, co miało większy sens, Carl Koblenz ukradł tę forszę swojej własnej firmie. Może o to chodziło. Może zdefraudował olbrzymią kwotę pieniędzy.

Może Carl Koblenz próbował ukraść miliard dolarów, a Roger się o tym dowiedział i usiłował wydusić z niego pieniądze w zamian za milczenie. A Koblenz zdecydował, że łatwiej będzie Rogera porwać, może nawet zabić.

A Roger jakimś cudem zdołał im się wymknąć.

Dobrze. W takim razie dlaczego Paladin – pod nazwą jednej ze swoich filii lub spółek holdingowych, Traverse Development – zatrudniło moją firmę, aby wyszledziła zagubione pieniądze?

Jedyne wyjaśnienie, które miało dla mnie sens, to że Stoddard Associates zostało zatrudnione nie przez Carla Koblenza, lecz przez Allena Grangera. Innymi słowy, dyrektor naczelny Paladin nie miał pojęcia, że prezes tej firmy ukradł jej miliard dolarów.

A Roger wdepnął w sam środek tego bałaganu.

I ja też.

Kiedy wróciłem na parking lotniska, zadzwoniłem do znajomego mojego kolegi pracującego dla Paladin Worldwide. Nazywał się Neil Burris i był byłym członkiem sił specjalnych marynarki wojennej zatrudnionym w Paladin w Falls Church, w ich wydziale bezpieczeństwa wewnętrznego.

Jego głos nie brzmiał zbyt przyjaźnie, ale kiedy przedstawiłem się jako Marty Masur ze Stoddard Associates i powiedziałem mu, że nasza firma rozważa możliwość zatrudnienia go z wynagrodzeniem co najmniej dwa razy większym niż to, które dostawał w Paladin, ożywił się.

Umówiliśmy się na drinka.

50.

Lauren drżącą ręką sięgnęła po telefon, aby zadzwonić do Nicka.

Serce mocno jej biło. Zaschło jej w ustach. Miała mdłości i zawroty głowy. Odnosiła wrażenie, że pokój powoli wiruje, a ona spada w pustkę.

Jak ktoś mógł nakręcić film ze śpiącym Gabe'em? Czy ktoś zakradł się w nocy do ich domu? Czy w pokoju Gabe'a znajdowała się jakaś ukryta kamera? Czy to możliwe?

I kto mógł zrobić coś takiego?

Czując się tak, jakby miała zaraz zwymiotować, odłożyła telefon. Nie. Dzwonienie do Nicka byłoby błędem. Już odkrył różne rzeczy o Rogerze i ich rodzinie, które wolałyby zachować w tajemnicy. Jak, do licha, dowiedział się o romansie Rogera, tej okropnej, obrzydliwej aferze, która tak popsowała ich małżeństwo? Żałowała, że Gabe poprosił Nicka o pomoc.

Potem otworzyła stronę internetową szkoły syna – harwardzki szkarłat, elegancka czcionka, herb szkoły – i na dole strony znalazła numer centrali. Ponownie podniosła telefon i zadzwoniła do szkoły.

Rozpoznała głos kobiety, która odebrała – recepcjonistki, pani Jordan – i zaczęła pospiesznie mówić.

– Ruth, tu mama Gabe'a Hellera, Lauren Heller. Mogłaby pani sprawdzić, czy Gabe jest dzisiaj w szkole?

– Och, dzień dobry, pani Heller. Czy jest jakiś problem?

– Nie, wcale nie. Wyszłam z domu wcześniej, a wie pani, jak długo chłopcy śpią i...

Pani Jordan cicho zachichotała. Lauren słyszała, jak stuka w klawisze. Wpatrywała się w pieczęć szkoły. Łacińskie motto: *Mens Sana in Corpore Sano*. Co to znaczyło? W zdrowym ciele zdrowy duch? Zastanawiała się, jak by brzmiało po łacinie „Więcej bogatych dupków niż drzew w lesie”.

Nie mogła oddychać.

– Jest dzisiaj w szkole – powiedziała pani Jordan. – Chyba ma teraz lekcję przyrody. Czy chce pani zostawić dla niego wiadomość?

Lauren powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Nie, ja... – Zawahała się. – Właściwie tak, Ruth. Czy może mu pani powiedzieć, że odbiorę go dzisiaj ze szkoły?

Znalazła numer telefonu Kate Vaughan, matki, która zgodnie z planem miała w tym tygodniu podwozić dzieci popołudniami. Zadzwoiła do niej i powiedziała, żeby nie odwoziła Gabe'a do domu.

Lauren mogła dziś wcześniej wyjść z pracy. Lelanda nie było, a Noreen będzie bardziej niż szczęśliwa, pilnując twierdzy.

Lauren musiała zobaczyć swojego syna i upewnić się, że nic mu nie jest.

51.

Ból głowy powrócił.

To samo pulsowanie w skroniach i w czole, uczucie, jakby jej głowa była żarówką, która może eksplodować w każdej chwili. Wrażenie, jakby w tył jej gałek ocznych wbijały się igły.

Ledwie mogła skupić się na prowadzeniu. Ponieważ nigdy nie wychodziła z pracy tak wcześnie, nie miała pojęcia, jak zatłoczona jest po południu George Washington Parkway. Była dopiero druga trzydzieści, nawet jeszcze nie godzina szczytu, a już zaczęły się korki.

A jej głowa pękała z bólu.

W myślach wciąż odtwarzała film ze śpiącym Gabe'em, raz po raz, aż chciało jej się krzyknąć.

Szkoła St Gregory's mieściła się w pokrytym zielenią miasteczku uniwersyteckim przy Wisconsin Avenue, niedaleko katedry. Wyglądała na uczelnię należącą do Ivy League. A z pewnością kosztowała tyle co jedna z nich. Lauren minęła korty tenisowe, duży nowy obiekt sportowy i zajęła miejsce w długiej kolejce bardzo drogich samochodów. Przed nią stał range rover. Za nią porsche cayenne turbo.

Cała ta sceneria była dla niej obca. A jednocześnie przyjemna. Odbieranie dziecka ze szkoły to coś, za czym naprawdę tęskniła. Ostatnio odbierała Gabe'a ze szkoły i zabierała do domu, kiedy chodził do pierwszej klasy. Było to w pierwszych latach pracy dla Lelanda i z trudem znajdowała na to czas, ale udawało jej się to przez siedem lat. Oprócz tych nielicznych dni, kiedy był chory.

Był czas, gdy Lauren wiedziała, że może zapewnić Gabe'owi bezpieczeństwo. Kiedyś mogła podnieść go jedną ręką. Uspokoić, gdy płakał, dając mu butelkę lub pierś, klepiąc go po plecach, aż mu się odbiło, owijając go w kocyki jak sajonkę.

A potem wysyłasz swoje dziecko w świat i wszystko może się zdarzyć.

Strefa podjazdowa była zakorkowana przyjeżdżającymi i odjeżdżającymi samochodami, wymijającymi się z trudem, niczym w jakimś szalonym rajdzie terenowym.

Sygnał klaksonu. Niebieska toyota land cruiser stanęła obok wozu Lauren. Kierowca opuścił szybę.

– Lauren?

Kate Vaughan. Piękna blondynka, bardzo wysportowana, która nosiła włosy związane w kucyk. Kate miała trzech synów: dwaj z nich chodzili do St Gregory's, wszyscy trzej byli dobrymi graczami w squasha, a najstarszy zajmował nawet niezłe miejsce w rankingu ogólnokrajowym. Na dwóch tylnych siedzeniach siedzieli czterej chłopcy, szturchając się i klóćcąc.

Lauren pomachała do nich.

– Dostałam twoją wiadomość o Gabie – powiedziała Kate. – Wybieracie się gdzieś?

– Nie, po prostu... mój szef jest poza miastem. Czy widziałas gdzieś tam Gabe'a?

– Nie widziałam go, przykro mi. Dobrze się czujesz? Słyszałam, że miałaś wypadek.

– Och, nic mi nie jest, dzięki.

– A, hm... Roger? Dowiedzieli się o nim czegoś?

Lauren pokręciła głową.

– Boże, Lauren, na pewno się zamartwiasz.

Duży czarny cadillac escalade stojący za toyotą Kate chciał przejechać i głośno trąbił.

– Martwię się.

Syn Kate, Kip, siedzący na przednim siedzeniu, powiedział coś do niej, a ona dała mu kuksańca.

– Uspokójcie się, dzieciaki, dobrze? Boże, Lauren. Wiesz, słyszałam kiedyś o czymś nazywanym wędrującą amnezją. To coś w rodzaju transu. Jest aktywowana przez stres, po prostu nagle zapominasz, kim jesteś, i możesz się błąkać dokoła i...

Klakson escalade wył nieprzerwanie.

Kate pokazała kierowcy escalade środkowy palec.

– Kurczę, co za nawiedzony facet! No dobra, lepiej się ruszę. Informuj mnie, dobrze? Jestem pewna, że to nic takiego. Tylko to takie przerażające, co?

– Będę cię informować. Dzięki.

Samochód Lauren był ostatni w kolejce do podjazdu. Tłum czekających tam chłopców, śmiejących się, popychających i krzyczących na siebie, malał, a ona nie widziała Gabe'a.

Czuła pulsujący ból w skroniach i oddychała z trudem.

Może nie dostał wiadomości, że go odbierze.

Mało prawdopodobne. Pani Jordan, szkolna sekretarka, była stu-procentowo niezawodna. Szkoła St Gregory's skrupulatnie pilnowała, co robią uczniowie przebywający na jej terenie. Uczęszczali do niej synowie kilku bardzo bogatych i wpływowych ludzi – senatorów, pracowników Sądu Najwyższego i prezydentów obcych krajów. Rodzice musieli mieć pewność, że ich dzieci są bezpieczne.

Jednak Gabe czasem bywał trochę zakręcony. Mógł zapomnieć, że Lauren po niego przyjeżdża. Chociaż wtedy wsiadłby do samochodu Kate Vaughan, a ona powiedziała mu, żeby zaczekał na mamę.

Samochód stojący przed Lauren odjechał, a ona podjechała do krawężnika, ale nikogo tam nie było.

Nie było Gabe'a.

Zadzwoiła na jego telefon komórkowy.

Usłyszała cztery, pięć, sześć dzwonek, a później włączyła się poczta głosowa. Czy jak tam zwać ten ryk okropnej muzyki, której nie miała cierpliwości słuchać, czekając, aż rozlegnie się nagrany głos Gabe'a.

Może zapomniał wziąć swój telefon komórkowy. To cały Gabe.

Rzadko używał komórki, często zostawiał ją w domu lub swojej szafce w szkole.

Lauren zgasiła silnik i wysiadła. Nie powinno się tutaj parkować, ale zlekceważyła zakaz. Z mocno bijącym sercem pobiegła betonową ścieżką do budynku Middle School.

W holu leżała sterta plecaków, a na podłodze siedzieli trzej chłopcy i jeden z nich pokazywał pozostałym coś na swoim iPodzie.

– Czy któryś z was widział Gabe'a Hellera? – zapytała.

Wzruszyli ramionami. Nie chodzili do jego klasy i nie znali go. Lauren poszła dalej, w górę dużej kamiennej klatki schodowej do sekretariatu szkoły.

Pani Jordan, przystojna czarnoskóra kobieta w średnim wieku, rozmawiała przez telefon. Uśmiechnęła się do Lauren, skinęła głową i zawiesiła rozmowę.

– Pani Heller, dlaczego pani...?

– Czy widziała pani Gabe'a? – zapytała Lauren, usiłując zachować spokój, żeby nie wzięto jej za rozhisteryzowaną neurotyczkę.

Pani Jordan, która ze swojego stanowiska monitorowała wszystkie nieobecności uczniów, spóźnienia i wczesne wyjścia, wyglądała na zakłopotaną.

– Został odebrany pół godziny temu, tak jak pani mi powiedziała.

Lauren pokręciła głową.

– Nie, prosiłam, żeby mu powiedzieć, że dzisiaj sama go odbiorę. Nic nie mówiłam o tym, że przyjadę wcześniej.

– Racja, ale potem znowu pani zadzwoniła, żeby powiedzieć, że policja chce z nim porozmawiać.

– Policja?

– Dwóch policjantów przyszło tutaj, tak jak pani mówiła, a ja posłałam ich po niego na lekcję angielskiego i...

Pokój zawirował wokół niej.

– Ja nie dzwoniłam...

Lauren odwróciła się i na uginających się nogach, chwiejnie ruszyła do wyjścia.

– Przepraszam, pani Heller? Powiedziała pani, że...
Jednak Lauren biegła do swojego samochodu i już jej nie słyszała.

52.

Kiedy samolot linii Delta wylądował na lotnisku imienia Reagana, włączyłem z powrotem telefon i palmofon BlackBerry. Miałem pięć głosowych wiadomości na swojej komórce. Trzy od Lauren.

Gabe zaginął.

Zanim oddzwoniłem do Lauren, przyszło mi do głowy, że Gabe prawdopodobnie po prostu się odgrywa. Był przygnębiony, zestresowany i martwił się o swojego ojca. Do tego dochodziły problemy w szkole. I... cóż, był po prostu Gabe'em.

Jednak kiedy w końcu się do niej dodzwoniłem, powiedziała mi, że zabrali go ze szkoły dwaj umundurowani policjanci i że nie może dodzwonić się na jego telefon komórkowy. Była przerażona. Próbowałem ją uspokoić, zapewniając, że prawdopodobnie zrobił to porucznik Garvin lub jego ludzie i że do niego zadzwonię.

Potem jednak opowiedziała mi o anonimowym e-mailu, jaki otrzymała w biurze – klipie wideo ze śpiącym w swoim łóżku Gabe'em, najwyraźniej nakręconym przez ukrytą kamerę w jego sypialni.

W tym momencie zrozumiałem, że stało się coś złego. Zadzwoniłem na telefon komórkowy Garvina i zapytałem go, czy wysłał jakichś mundurowych do St Gregory's, żeby z jakiegoś powodu porozmawiali z Gabe'em.

Nie zrobił tego. Nie byli z jego wydziału, inaczej by o tym wiedział.

Poprosiłem go, żeby włączył radio i sprawdził, czy jacyś policjanci zostali wysłani do szkoły Gabe'a.

I z maksymalną prędkością pojechałem do Chevy Chase.

* * •

Lauren otworzyła mi drzwi. Twarz miała zaczerwienioną, a makijaż rozmazany. Było widać, że płakała.

– Znajdziemy go – powiedziałem.

Pokręciła głową, pociągnęła nosem i otarła go grzbietem dłoni. Nadal miała na sobie swój biurowy strój. Wyglądała na załamana.

– On jest tutaj – powiedziała.

– Był tu przez cały czas?

Ponownie pokręciła głową.

– Przywieźli go do domu. Odebrali go ze szkoły i przywieźli do domu.

– Kto to zrobił?

– Nie wiem. To po prostu brzmi dziwnie. Zupełnie bez sensu...

Czy możesz z nim porozmawiać, Nick?

– Co się stało?

– Może z tobą porozmawia. Ze mną nie chce.

– Dobrze się czuje?

– Nic mu nie jest. Jednak nie możemy tu dłużej zostać. Nie jesteśmy bezpieczni.

– Lauren.

– Zabieram Gabe'a i wynoszę się stąd. Może zatrzymam się u siostry.

– Lauren – powiedziałem – pozwól mi z nim pogadać.

53.

Usłyszałem metaliczny zgrzyt ze słuchawek iPoda Gabe'a, zanim jeszcze otworzyłem drzwi. Gabe leżał na swoim łóżku, miał na sobie czarną podkoszulkę z rysunkiem z filmu *Miasteczko Halloween*, i czytał książkę w miękkiej oprawie. Na okładce znajdował się jakiś facet w stroju rzymskiego gladiatora, trzymający błyszczący miecz i lecący w powietrzu. Bez wątplenia jedna z tych powieści science fiction, które pozerał tak samo jak wszystkie kiedykolwiek wydane komiksy.

Nie oderwał od niej oczu.

Usiadłem na brzegu łóżka.

– Hej – powiedziałem.

Nadal czytał. Może to kwesta różnic międzypokoleniowych, ale nie rozumiałem, jak może jednocześnie czytać i słuchać takiej muzyki. Ja bym nie mógł.

Właściwie przy takiej muzyce nie mógłbym nawet czyścić zębów nicią dentystyczną, ale co tam.

– Chcę usłyszeć, co się stało – powiedziałem.

Nadal patrzył w książkę, ale jego oczy się nie poruszały.

– Co się stało, Gabe? – zapytałem.

Nie odpowiedział.

Sięgnąłem i jednym mocnym szarpnięciem wyrwałem słuchawki z jego uszu.

– Hej! – zaskrzeczał.

– Co ci zrobili? – spytałem.

Przeszył mnie gniewnym wzrokiem.

– Bo co? Żebyś powiedział mamie? Jest tym strasznie wkurzona.

– Była przerażona. Nie możesz jej winić. Co zrobili?

– Czy mnie aresztowali albo coś? – Posłał mi to typowe spojrzenie spode łba nastolatka i położył otwartą książkę grzbietem do góry na łóżku. – Chcieli mnie wypytać o pewne sprawy.

– Na przykład?

– Nie wiem, różne.

– Zabrali cię dokądś?

– Nie. Tylko rozmawiali po drodze.

– Po drodze?

– Odebrali mnie ze szkoły i podwieźli do domu. Wiedzieli, gdzie mieszkam i wszystko. Nie musiałem nawet pokazywać im drogi.

– I o co cię pytali?

– O różne rzeczy.

– Takie jak...?

– Na przykład, czy tata ma jakąś skrytkę depozytową, gdzie trzyma klucze i tym podobne. Czy chowa jakieś rzeczy w domu. Czy mamy bezpieczny pokój albo jakiś schowek, w którym mógłby coś schować. Gdzie jeździmy na wakacje i czy tata i mama mają jakieś ulubione wakacyjne miejsce. Chcieli poznać nazwiska przyjaciół i krewnych taty. Takie rzeczy. Wszystko, co mi przyjdzie do głowy.

– Czy powiedzieli ci, dlaczego chcą wiedzieć to wszystko?

– Oczywiście. Powiedzieli, że próbują odnaleźć tatę. Powiedzieli, że może zostawił akta lub notatki, lub cokolwiek. Rzeczy, które mogłyby im wyjaśnić, gdzie się podział. Ludzi, którzy mogą wiedzieć, dokąd wyjechał.

– A ty... odpowiedziałeś na wszystkie ich pytania, prawda?

– Oczywiście, że tak.

Poczułem pustkę w brzuchu.

– Powiedziałem im, że tata ma skrytkę w Chevy Chase Bank, tylko zapomniałem, w którym oddziale. Powiedziałem im, że jestem

prawie pewny, iż tata ukrywa się w naszym domu na Cape Cod.

- W domu na Cape Cod – powtórzyłem.
- Wellfleet.
- Nikt mi nie mówił o tym domu w Wellfleet – rzekłem.
- To dlatego, że go nie mamy. Tata nie ma również skrytki depozytowej w Chevy Chase Bank. Daj spokój, facet, co z ciebie za detektyw?

54.

Przez chwilę byłem oszołomiony. Zauważyłem uśmieszek wyginający kąciaki ust Gabe'a i mimo woli sam się uśmiechnąłem.

– Okłamałeś ich.
– Wprowadziłem w błąd – rzekł Gabe. – W porządku, okłamałem ich.

– Domyśliłeś się, że nie są prawdziwymi gliniarzami.

– Chodzi o to, wujku Nicku, że jeździli crown vikiem jak wszyscy policjanci w cywilu i mieli mundury z naszywkami METROPOLITAN POLICE, więc na pierwszy rzut oka wyglądali na prawdziwych. Pokazali mi nawet swoje odznaki. Jednak odznaki, policyjne mundury i inne rzeczy można kupić przez Internet.

– Więc po czym poznałeś, że to fałszywi policjanci?

– Nie mieli zainstalowanego policyjnego radia.

– Doskonale.

– Nie mieli także tego migoczącego światła, które gliniarze wyciągają i umieszczają na dachu samochodu, kiedy ścigają piratów drogowych.

– Bardzo dobrze.

– No i nie wyczułem zapachu pączków.

Uśmiechnął się, a ja odpowiedziałem mu uśmiechem.

– Dobrze się spisałeś – pochwaliłem.

– Powiedz to mamie – poprosił.

– Powiem.

Nachyliłem się i klepnąłem go po ramieniu, a wtedy zauważyłem, że twarz ma dziwnie wykrzywioną, a w oczach łzy. Czknął. Powstrzymywał płacz.

– Byłem śmiertelnie przerażony, wujku – powiedział.

– Wiem.

Chciałem go objąć, ale było to trudne, gdyż leżał na łożku. Potem on nachylił się i przytulił do mnie.

– Kim oni są? – zapytał.

– Nie wiem.

– Nie wiesz czy nie chcesz mi powiedzieć?

– W tym momencie mogę jedynie zgadywać, a tego wolałbym nie robić.

Puścił mnie, odwrócił się, usiadł na krawędzi łożka i znów na mnie spojrzał.

– Zatem jaki to wszystko miało cel? Po prostu chcieli nastraszyć mamę i mnie?

– Może.

– Po co?

– Nie wiem.

– Czy... czy jesteśmy bezpieczni?

Wahałem się zbyt długo.

– Nie wiem.

– Zamierzasz zostać z nami w domu czy powrócić do swojej twierdzy samotności?

– Powiedziałem ci, Gabe. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

– Nauczysz mnie, jak posługiwać się bronią?

– Nie.

– Czemu nie?

– Miej we mnie odrobinę wiary – rzekłem.

Wydał z siebie drwiące prychnięcie.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Nie ufasz mi?

Przewrócił oczyma.

– Posłuchaj – powiedziałem – był kiedyś legendarny francuski

linoskoczek, który nazywał się Charles Blondin, wiesz? W dziewiętnastym wieku słynął ze swych niewiarygodnie śmiałych wyczynów. Zawiesił linę o długości ponad trzystu metrów nad wodospadem Niagara. Zebrał się tłum, a on przeszedł po linie nad wodospadem, setki metrów nad wąwozem. Kiedy Blondin znalazł się po drugiej stronie, tłum szalał, klaskał i wiwatował.

Gabe posłał mi sceptyczne spojrzenie.

– Tak?

– A on powiedział do tłumu: „Czy wierzycie, że mogę to zrobić znowu?” i tłum zaczął wiwatować: „Tak!”. A on to zrobił. I tłum wiwatował jeszcze głośniej. Blondin zapytał: „Czy wierzycie, że mogę to zrobić z przepaską na oczach?”. A wtedy niektórzy ludzie w tłumie wystraszyli się i krzyknęli: „Nie, nie rób tego!”, a inni zawołali: „Tak! Potrafisz to zrobić!”.

– I spadł – rzekł Gabe.

Pokręciłem głową.

– Zrobił to, a tłum wiwatował jeszcze głośniej. Blondin zapytał: „Czy wierzycie, że tym razem mogę to zrobić na szudłach?”. I tłum wykrzyknął: „Tak! Potrafisz to zrobić!”.

I zrobił to, a tłum ryczał i szalał jeszcze bardziej. Wtedy Blondin zapytał: „Czy wierzycie, że mogę to zrobić, pchając po linie taczkę?”. A tłum ryczał i wiwatował, i wołał: „Tak!”. Blondin zapytał: „Naprawdę sądzicie, że potrafię to zrobić? Wierzycie w to?”. A oni krzyczeli: „Tak! Tak, potrafisz to zrobić!”.

Wbrew samemu sobie, wbrew swojemu nastoletniemu cynizmowi Gabe naprawdę słuchał. Przez chwilę wyglądał, jakby znowu był dzieckiem, słuchającym bajki na dobranoc.

– To prawdziwa historia?

– Tak.

– I rzeczywiście to zrobił?

– Tak. Zrobił to. Przeszedł po linie setki metrów nad wąwozem, pchając taczkę, a kiedy znalazł się po drugiej stronie, tłum był już ogromny, szalał i wiwatował. Naprawdę oszalał. Więc Blondin zapytał: „Czy wierzycie, że mogę znowu to zrobić, ale tym razem

„pchając w taczce człowieka?”. A tłum odkrzyknął: „Tak!”. Spytał: „Naprawdę wierzycie, że mogę to zrobić?”. A oni odparli: „Tak, zdecydowanie! Potrafisz to zrobić! Wierzymy w ciebie! Tak! Absolutnie!”. W tym momencie tłum go uwielbiał. Wszyscy uważali, że Blondin może zrobić wszystko. A Blondin zapytał: „Zatem kto się zgłosi na ochotnika, aby usiąść w tej taczce?”. I nagle tłum zamilkł. Zapadła głucha cisza. A Blondin zapytał: „Co się dzieje? Już we mnie nie wierzycie?”. A oni długo milczeli, aż w końcu ktoś z nich odparł: „Owszem, wierzycie w ciebie. Jednak nie aż tak mocno”.

– Ha. Czy ktoś kiedykolwiek zgłosił się na ochotnika, aby wejść do taczki?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak ten facet zmarł?

– W łóżku. Czterdzieści lat później. Na cukrzycę.

– Pechowiec.

– Lepsze to, niż upaść i się zabić, nie sądzisz?

– Czy mogę wykorzystać tę historię w mojej powieści?

– Jest cała twoja.

– I jaki z tego morał, Nick? Wszyscy pewnego dnia umrzemy, tak?

– Nie. Po prostu mówię ci, że czasem trzeba mieć odrobinę wiary.

– Wstałem. – Dobranoc, Gabe.

Kiedy wychodziłem z jego sypialni, zawołał mnie.

– Hej, wujku Nicku?!

– Tak?

Cisnął czymś we mnie, a ja złapałem to w powietrzu. Jego notatnik. Jego powieść graficzna.

– Daj mi znać, co o tym myślisz – powiedział.

Tym razem to ja się wzruszyłem.

55.

Lauren biegała po swojej sypialni, wrzucając ciuchy do walizek leżących na łóżku. Twarz miała zaczerwienioną, lśniąca od potu.

– Spokojnie – rzekłem. – Weź powolny, głęboki oddech.

– Nie, Nick. Nie mogę. Nie możemy tu zostać.

– Lauren, usiądź, proszę.

– Czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, co się z nim działo dzisiaj po południu?

– Powiem, jeśli usiądziesz.

Powoli, niechętnie, opadła na siedzisko ogromnego, tapicerowanego fotela do czytania w rogu pokoju. Zwięźle opisałem jej, co się stało z Gabe'em i jak zręcznie sobie z tym poradził.

– A więc to byli fałszywi gliniarze – powiedziała. – Oszuści.

Przytaknąłem.

– Próbowali znaleźć Rogera, prawda?

– Być może – rzekłem. – Jednak nie sądzę, że celem tego numeru było zdobycie informacji. To była groźba. Tak jak ten film wideo, który dzisiaj dostałaś. Obserwujemy was. Ty i twój syn jesteście narażeni. Nie jesteście nigdzie bezpieczni.

Krew odpłynęła z jej twarzy.

– I to ma mnie uspokoić? – zapytała, podnosząc głos.

– Nie jestem tu po to, aby cię uspokoić.

Zaczęła szybko mówić, prawie mamrocząc do siebie.

– U mojej siostry nie ma dla nas miejsca. Jednak możemy zostać

przez kilka dni u mojej mamy i wtedy czegoś poszukam.

– Dlaczego myślisz, że będziecie bezpieczniejsi w mieszkaniu twojej matki? Lub w jakimś Comfort Inn? Uważasz, że nie zdołają cię wytropić? Ja nie sądzę, żebyś mogła gdzieś się przed nimi ukryć.

– Nick! – Zerwała się na równe nogi.

– Czy mój kolega Merlin był tu dzisiaj, żeby zainstalować nowy system alarmowy?

– Tak.

– Chcę, żebyś zaczęła go używać.

– Po co? – zapytała ostro. – Żebyśmy siedzieli przez cały dzień w domu z włączonym alarmem, jak... jak w jakiejś twierdzy? Sądzisz, że jesteśmy tutaj naprawdę bezpieczni? A co się stanie, kiedy Gabe pójdzie do szkoły? Myślisz, że nie zabiorą go znowu? I tym razem...

– Gdyby ktoś chciał skrzywdzić ciebie lub Gabe'a, już by to zrobił. Nie sądzę, żeby tego chcieli.

– A więc czego chcą?

– Mam zgadywać? Współpracy.

– Współpracy? W czym?

Odpowiedziałem jej pytaniem.

– Co przede mną ukrywasz?

– Niczego przed tobą nie ukrywam.

– Lauren. Masz coś, czego oni chcą.

– Nie mam pojęcia, czego ktokolwiek mógłby ode mnie chcieć.

– Słuchaj – powiedziałem – widziałem się rano z moim ojcem.

– Z Victorem? W więzieniu?

– A gdzie indziej? Powiedział mi, że Roger próbował wymusić dużo pieniędzy od prywatnej firmy ochroniarskiej o nazwie Paladin Worldwide.

Zrobiła wielkie oczy i pokręciła głową.

– Nie wierzę w to. Roger? Nigdy w życiu.

– Cóż, czy Roger zrobił to, czy nie, jestem pewny, że szukają go oni. Ludzie z Paladin. I nie tracą czasu. Masz coś, czego oni chcą. Może coś, co Roger ci zostawił, czy jesteś tego świadoma, czy nie. I

jeśli im tego nie dasz, oni coś ci zabrają. Coś bardzo dla ciebie ważnego.

– Nie mów tak. Boże, Nick, nie mów tak.

– Znaczenie tej groźby jest oczywiste. Jednak nie zawiera ani jednego wyraźnego żądania. Zatem co takiego masz, czego oni chcą?

– Nie mam najmniejszego pojęcia!

– Roger napisał w tamtym e-mailu, że poczynił jakieś kroki, aby cię ochronić. I dał ci środki, żeby ich powstrzymać. Czego jeszcze mi nie mówisz?

Ponownie pokręciła głową, tym razem gwałtowniej.

– Nie wiem, co miał na myśli. Nigdy nic mi nie mówił o żadnym wymuszeniu. Nigdy nie wspominał tego... Paladin Worldwide. Musisz mi uwierzyć. Mówię ci wszystko, co wiem.

– Powiedziałaś mi, że wszystko dobrze się układało – przypominałem.

Zamilkła i zmarszczyła brwi.

– To było co innego. – Westchnęła. – To było... osobiste. Nie sądziłam, że powinnam o tym z tobą rozmawiać. Niczego nie ukrywam.

Korciło mnie, aby ją teraz przycisnąć, ale się powstrzymałem.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Chcę zrobić wszystko, co mogę, aby was ochronić. Dlatego muszę wiedzieć o wszystkim, co Roger ci powiedział, może było to coś, co wówczas nie miało żadnego znaczenia. A może coś ci dał.

– Mówię ci, Nick, niczego takiego nie pamiętam. Sądzisz, że ukrywałabym coś przed tobą, kiedy stawką jest życie Gabe'a?

– Oczywiście, że nie. Nie świadomie. Jednak chcę, żebyś naprawdę dobrze się zastanowiła.

– Zrobię to.

– I dała mi szansę odnaleźć tych gości. Jedyne rozwiązanie to wykurzyć ich i zneutralizować.

– Zneutralizować? Co to dokładnie oznacza?

– Będę wiedział, kiedy do tego dojdzie. Miej do mnie trochę zaufania, proszę.

Zamilkła, przełknęła ślinę.

– W porządku – powiedziała. – Jednak jeszcze jedna groźba, jeszcze jeden telefon, e-mail albo coś podobnego do tego, co się dzisiaj stało, a zabieram Gabe'a i wyjeżdżam jak najdalej stąd.

– Umowa stoi.

Wyciągnęła rękę i uściśniemy sobie dłonie. Jeden raz, w górę i w dół. Mocno. Potem po raz pierwszy zauważyła notatnik Gabe'a w mojej ręce.

– Dał ci go?

– Chce jedynie mojej fachowej opinii.

– Dlaczego tobie?

– Nie mam pojęcia – odparłem.

– Na litość boską, jestem jego mamą.

– Może właśnie dlatego nie chce, żebyś to zobaczyła.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Lauren popatrzyła na mnie czujnie.

– Kto to może być?

– Znowu Merlin. I Dorothy, moja koleżanka z pracy. Są tu, aby sprawdzić dom.

– Sprawdzić...?

– W poszukiwaniu elektronicznych urządzeń. Ukrytych kamer i mikrofonów, wszystkich tego rodzaju rzeczy. I zamierzam powiedzieć im, aby zaczęli od pokoju Gabe'a.

– Pokoju Gabe'a? Nie chcę, aby wiedział o tej sprawie z wideo, Nick. Zbikuje.

– Tak, może – rzekłem. – Na początku. Jednak miej w niego odrobinę wiary. Potrafi sobie z tym poradzić.

– Nie masz pojęcia, jak to jest mieć dziecko – powiedziała.

– Z tym nie mogę się spierać.

– To tak jakbyś zmienił się z potężnego w bezsilnego. Ty... ty tworzysz to istnienie, które chcesz chronić z całego serca i z całej siły, ale wtedy odkrywasz, że nie potrafisz. Zdajesz sobie sprawę z tego, że w pewnym momencie nie możesz go już ochronić.

– Wiesz, co możesz zrobić? – spytałem łagodnie. – Jeśli naprawdę chcesz ochronić Gabe'a i siebie?

- Co?
- Otwórz się. Porozmawiaj ze mną szczerze. Cokolwiek ukrywasz, musisz pozwolić mi się o tym dowiedzieć.

56.

Walter McGeorge, alias Merlin, był niski i krępy, jak wielu gości z sił specjalnych. Miał modnie ostrzyżone czarne włosy, świński nos i cienkie wąsy. Jego czoło przecinały głębokie pionowe bruzdy, które nadawały mu stale rozgniewany wygląd.

Pomogłem mu wnieść jego sprzęt na górę, do pokoju Gabe'a: kilka żebrowanych aluminiowych walizek wyłożonych czarną poliuretanową pianką oraz coś, co wyglądało jak umieszczona na statywie duża stara kamera wideo z wczesnych lat osiemdziesiątych.

Gabe wytrzeszczył oczy, kiedy weszliśmy.

– Przepraszam – powiedziałem – ale musimy na chwilę pożyczyć twój pokój.

– Po co?

– Twoja mama wszystko ci wytłumaczy – odparłem.



Przez kilka chwil patrzyłem, jak Merlin porusza wzdłuż ściany czymś, co wyglądało na wykrywacz metali lub min. Przyrząd był podłączony do pary czarnych słuchawek, które miał na uszach.

– Nic jeszcze nie znalazłeś?

– Nic. Jesteś pewien, że tu coś jest?

– Oczywiście.

– To tutaj to wysokiej klasy analizator widmowy. Kosztuje fortunę. Widzi sygnały radiowe w czasie rzeczywistym. Rzeczy, których normalnie nie można wykryć.

– I niczego tu nie znajduje.
– Zgadza się.
– To oznacza, że nie ma tu żadnych bezprzewodowych pluskiew, tak?

– Najwyraźniej nie. W każdym razie takich, które nadawałyby w tej chwili. Natomiast ta termowizyjna kamera – wskazał rzecz na trójnogu – to przyrząd używany w laboratoriach. Chcę przez to powiedzieć, że to maleństwo potrafi rejestrować ciepłe punkty w ścianach z czułością do jednej osiemnastotysięcznej stopnia.

– I nic?

– Nic.

– Jeśli nic nie znajdujesz, to nie sądzisz, że to może być jakieś urządzenie GSM?

Skinął głową.

– Jeśli to naprawdę Paladin, to tak. Oni używają rządowego sprzętu.

Stare czasy, w których gość monitorujący urządzenie podsłuchujące musiał siedzieć w czarnej furgonetce na ulicy wystarczająco blisko, aby odbierać transmisję, minęły. Najnowocześniejsze pluskwy wykorzystywały tę samą technologię, którą stosowano w telefonach komórkowych. W rzeczy samej, były to bebechy telefonów komórkowych bez klawiatury i fikuśnych dodatków. Można się do nich dodzwonić z każdego miejsca na świecie, a one cicho odbiorą połączenie i przełączą na mikrofon, ty zaś będziesz mógł słuchać. Skądkolwiek. Są mniejsze od paczki papierosów, czasem mają zaledwie pięć centymetrów długości, a jeśli podłączy się je do prądu, będą działały wiecznie.

Nadają sygnały telefonu komórkowego, ale tylko wtedy, kiedy są włączone. Tak więc Merlin użył kamery termicznej, szukając jakichś układów elektronicznych. Choćby niewielkiej ilości ciepła generowanego przez prąd przechodzący przez diody.

– To coś też nic nie wykryło?

– Wykrywacz nieliniowych połączeń – rzekł Merlin. – Wysłał impuls wysokiej częstotliwości, a potem analizuje odbite i powracające

dźwięki. Powinien znaleźć każde elektroniczne urządzenie, nawet jeśli jest wyłączone.

– I?

– Znalazłem ich mnóstwo.

– Och?

– Tak. Zegarki, telefony, odtwarzacz DVD i tak dalej. Ale pluskiew nie ma. Czy mogę tutaj zapalić?

– Nie.

– W więzieniach używają tych urządzeń do znajdowania prze-myconych telefonów komórkowych ukrytych w ścianach lub podłogach.

– Naprawdę?

– Tak. Jednak mówię ci, Heller, tu nic nie ma.

Próbowałem pomóc, szukając staromodną metodą – dokonując oględzin, szukając najdrobniejszych śladów w ścianach i suficie. Odkręciłem włączniki światła i pokrywy gniazdek sieciowych oraz instalację oświetleniową na suficie. W dzisiejszych czasach jest wiele sposobów na ukrycie kamer w przedmiotach takich jak filtry powietrza, zegary ściennie i lampy. Liczba potencjalnych kryjówek jest nieograniczona.

Merlin i ja pracowaliśmy szybko, ale pół godziny później wyglądał na zniechęconego.

– Nic – rzekł.

– Co z siebie za Merlin – powiedziałem.

– Skończyliśmy?

– Jeszcze nie – odparłem. – Dopóki tego nie znajdziesz.

57.

Kiedy wszedłem do kuchni, usłyszałem hałaśliwy śmiech Dorothy. Lauren robiła kawę, a Dorothy jej pomagała albo po prostu nawiązywała damską przyjaźń. Jednak wiedziałem, że Dorothy ma w tym ukryty cel: uspokajała Lauren, uśmierzając jej niepokój.

– Ukrywałeś przede mną tę dziewczynę – powiedziała Dorothy, popijając z kubka.

– Nigdy nie mieszam interesów z przyjemnościami – odparłem. Gardłowy, porozumiewawczy śmiech.

– Pewnie. Mów do mnie jeszcze. Nie powiedziałaś mi, że ona jest z C-Ville. Spędzałam tam każde lato, w domu babci.

Lauren nalała kawy ze szklanego dzbanka, jednego z tych prostych automatycznych przelewowych ekspresów, i podała mi kubek. Pociągnąłem łyk.

– Pyszna – rzekłem. – Czemu ja nie potrafię parzyć takiej dobrej kawy?

– Ponieważ nie używasz odpowiedniej maszyny – powiedziała Lauren.

Zauważyłem na blacie poobijany stary ekspres do kawy Hamilton Beach.

– Ukrywałeś go przede mną. Tego umiem używać.

– Roger nigdy nie lubił mieć tego ekspresu na blacie. Nie podobał mu się jego wygląd.

Wlała kawę do kolejnego kamionkowego kubka.

– Jaką kawę pije twój kolega na górze?

– Nie mam pojęcia – rzekłem. – Gotowaliśmy liofilizowany rozpuszczalny syf na składanej kuchence Esbit. Czasem po prostu żuliśmy ziarenka kawy wprost z opakowania. Jeśli się śpieszyliśmy. Jednak od czasów Afganistanu jego gust mógł stać się bardziej wyrefinowany. Gdzie jest Gabe?

– W salonie, czyta.

– Powiedziałaś mu?

Przytaknęła.

– Jak to zniósł?

– Powiedział, że to go nie dziwi.

– Nick – odezwała się Dorothy – czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

– Znalazłaś coś?

– Zgadza się.

– W porządku – rzekłem. – Chcę, aby Lauren to usłyszała.

Dorothy przeniosła spojrzenie ze mnie na Lauren, a potem z powrotem na mnie.

– Żaden z moich zestawów wykrywających szkodliwe oprogramowanie niczego nie znalazł – powiedziała. – Aż w końcu umieściłam na łączu miernik ruchu w sieci. I wtedy wykryłam jakiś zakodowany strumień wychodzących danych.

– Zakodowany? – zapytałem.

– Mnóstwo przypadkowych znaków. Niczego nie mogę odczytać.

– Mówimy o oprogramowaniu szpiegowskim? – spytała Lauren.

– Zgadza się – odparła Dorothy. – Dość wyszukany kod. Nie komercyjny, gotowy produkt z półki jak eBlaster. Wygląda na produkt jakości rządowej.

– Rządowej? – zapytała Lauren. – To znaczy, że to robi rząd?

– Albo niezależny wykonawca z dostępem do rządowego systemu kodowania.

– Zatem każdy e-mail, który dostajemy lub wysyłamy, każda strona internetowa, którą odwiedzamy...

– Każde naciśnięcie klawisza – dodała Dorothy.
– Wszystkie moje nazwy użytkownika i hasła do wszystkich kont pocztowych?

– Zgadza się.

– Paladin ma kontrakty rządowe, prawda? – zapytała mnie Lauren.

– Rząd Stanów Zjednoczonych jest ich głównym klientem.

– Tylko jak zdołali to zainstalować? Czy to oznacza, że byli w naszym domu?

– Niekoniecznie – odpowiedziała Dorothy. – Mogli zainstalować ten program zdalnie. Jednak to wideo, które ci wysłali, dowodzi, że byli w twoim domu, kochana. Aby umieścić kamerę.

Lauren przytaknęła i przygryzła wargę.

– Czy twój przyjaciel znalazł tę kamerę? – Wskazała na sufit.

– Jeszcze nie – rzekłem. – Ale znajdzie.

– Nie rozumiem, jak ten klip wideo z Gabe'em mógł zniknąć – powiedziała Lauren. – Jak mogli spowodować, że zniknął w ten sposób?

Dorothy pokiwała głową.

– Wiem, co to takiego. Nazywają to VaporLock. To swego rodzaju prywatny sieciowy system pocztowy. Dla niezapisywanej komunikacji elektronicznej. Kiedy otworzysz e-mail, najpierw znika adres nadawcy, a potem cała wiadomość.

– W porządku – rzekła Lauren. – W jakim celu umieścili to oprogramowanie szpiegowskie? Sądzą, że Roger może się ze mną skontaktować, więc chcą czytać każdy e-mail, jaki od niego dostanę? Czy tak?

– Być może.

– Czy to nie dowodzi, że ich zdaniem on żyje?

Milczałem przez jakieś dziesięć sekund.

– Prawdopodobnie – powiedziałem.

– I może oni wcale go nie mają? Nie wiedzą, gdzie on jest?

– Tak przypuszczam – przyznałem. – Jednak jest bardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

- Jakie?
- Oni myślą, że ty coś masz. I chcą tego.
- A ja wciąż ci powtarzam, że nie mam pojęcia, co to mogłoby być.
- Może to pieniądze – rzekłem. – Dużo pieniędzy.
- To szaleństwo.
- Lub informacje. Pliki.
- Cóż, ja nic nie mam. Uwierz mi, nie mam. Może oni myślą, że mam, ale nie mam.
- W porządku – powiedziałem, chociaż nie wiedziałem, w co wierzyć.
- Kolejne pytanie – ciągnęła Lauren. – Kiedy rodzice zakładają oprogramowanie szpiegowskie na komputerach dzieci, czasem dostają raporty na swoje konta pocztowe w pracy lub gdziekolwiek, prawda? Czy nie możecie ustalić, dokąd ten program wysyła raporty? Sprawdzając adres IP? Czy to wam nie powie, kto to robi?
- Dorothy uśmiechnęła się szeroko i spojrzała na mnie. Miała niewielką szparę między przednimi zębami, którą zawsze uważałem za uroczą.
- Ta dziewczyna jest niewiarygodnie sprytna – powiedziała. – Widzę, że komputerowa ignorancja nie jest w tej w rodzinie dziedziczna.
- Jesteśmy skoligaceni, a nie spokrewnieni – przypomniałem.
- Najwyraźniej – rzekła Dorothy. – Wszystkie paczki idą na adres na Ukrainie, prawdopodobnie jednego z tych gości we wschodniej Europie, którzy stworzyli nielegalną sieć tysięcy zainfekowanych komputerów z Windowsem XP na całym świecie, łącząc je w sieć drugiej warstwy.
- Chyba rozumiem część z tego, o czym mówisz – powiedziałem.
- Zakładam, że dane, które wychodzą stąd przez DSL, w rzeczywistości nie kończą w jakiejś nielegalnej sieci na Ukrainie, zgadza się?
- Zgadza się. To po prostu sposób, aby ukryć, dokąd naprawdę idą. Zatem proponuję zostawić całe oprogramowanie szpiegowskie i pluskwy na miejscu i nadal monitorować ruch w sieci, aż ustalę, dokąd

są przesyłane te dane. Jeśli zdołam.

– To brzmi sensownie – rzekłem. – Rób, cokolwiek trzeba. Idę na górę. – Wziąłem kubek kawy z blatu. – Merlin wypije kawę bez śmietanki, czy taką lubi, czy nie.



Merlin nadal nic nie znalazł.

– Jeśli coś tu było – powiedział – teraz już tego nie ma. Skąd wiesz, że to wideo nie zostało nakręcone tydzień temu? Może nawet miesiąc temu?

– Nie wiem – przyznałem.

Kiedy on szukał, ja usiadłem na fotelu przy biurku Gabe'a i przeczytałem jego powieść graficzną. Byłem zdumiony jakością rysunków. Nigdy nie byłem miłośnikiem komiksów, ale wiele lat temu, jako chłopcy, Roger i ja wymienialiśmy przez jakiś czas stare zeszyty z Batmanem i Supermanem, sporadycznie *Zieloną Latarnię* i *Kapitana Amerykę*. A rysunki Gabe'a były co najmniej równie dobre. Wykonał je czarnym długopisem z bardzo cienką końcówką, zakreślując cienie. Krój liter również wyglądał prawie profesjonalnie.

Jednak zupełnie powaliła mnie treść.

Zatytułował powieść *Artysta ucieczek*. Jej superbohater o kwadratowej szczęce zwał się Maska i walczył ze złoczyńcami w stolicy kraju, która była rozpadającą się wersją Waszyngtonu. Maska – nazywany tak, ponieważ nosił czarną maskę jak Batman – był bardzo podobny do mnie. Miał nawet moje czarne włosy, chociaż Gabe dodał mu opadający na czoło, jak Supermanowi, gęsty lok, którego nie miałem. Maska, facet z mroczną przeszłością, która skrywała śmierć jego żony, był posępny i milczący. Miał swoją twierdzę samotności, zdradzającą więcej niż ulotne podobieństwo do mojego prawdziwego poddasza w Adams Morgan. Potrafił zbiec z każdego więzienia, uciec z zamknięcia jak Houdini i w zasadzie pobić wszystkich niedobrych facetów, z których większość była złymi, przerośniętymi nastolatkami ubranymi jak chłopcy z St Gregory's, w blezery i spodnie, a jednocześnie wyglądających, jakby zeszli ze stron *Władcy much*.

Matka Gabe'a nie pojawiła się ani razu. Arcyłotr nazywał się Doktor Cash. Bardzo przypominał Rogera, tylko że był szkaradnie zdeformowany i miał niebieską skórę – skutek zatrucia koloidalnym srebrem. Był dyrektorem naczelnym korporacji zła, który w jakiś sposób przejął rządy w postapokaliptycznym zamachu stanu i teraz tyranizował Ziemię z podziemnego bunkra pod rozpadającymi się ruinami Białego Domu. Często widywano go z piersiastą blondynką u boku, występłą Candi Dupont.

Candi Dupont.

Nie było to nazwisko, które łatwo zapamiętać.

Z pewnością przybrane: Dorothy nie znalazła go w żadnej bazie danych. Jednak jakkolwiek nazywała się naprawdę, najwidoczniej Gabe również wiedział o niej i o romansie.

Dorothy weszła do pokoju, odrywając mnie od lektury.

– Nie włączyłeś z powrotem komputera dzieciaka, prawda?

Zamknąłem notatnik.

– Nie – rzekł Merlin.

– Wyłączyłam oba komputery, ale zdecydowanie wykrywam wychodzący transfer. Coś nadal przesyła sygnał przez Internet.

– Dzięki – powiedział zjadliwie Merlin. – To mi bardzo pomaga.

– To mówi nam, że coś jest w domu – rzekłem. – Coś, co nadaje, prawda?

Merlin wzruszył ramionami.

– Zatem szukamy dalej.

– Człowieku, ten dzieciak to Richie Rich – rzekła Dorothy, pożądliwie przyglądając się wszystkim rzeczom Gabe'a. – Popatrz na te wszystkie graty. Ma gry wideo, iPody, przenośne radiomagnetofony, Game Boya i Nintendo Wii, i PlayStation Trzy, i Xboxa. A ja sądziłam, że to mój bratanek jest rozpieszczony. Czy sprawdziłeś wszystkie sprzęty elektroniczne?

– Tak – powiedział Merlin – i znalazłem wiele półprzewodników.

– Tak, dzięki – odpowiedziała. – Wszystkie elektroniczne urządzenia mają półprzewodniki. Rozumiem twój sarkazm. Ale czy to nie właśnie tam chcesz szukać? W kupie innych elektronicznych obwodów?

– Tak – rzekł Merlin, nie zamierzając zrezygnować ze swojego sarkazmu. – To właśnie tam ukryłbym kamerę. W Game Boyu, który jest przenoszony wszędzie.

– Nie wiem, po co w ogóle fatygujesz się szukaniem tutaj – powiedziała mu Dorothy. – Kąt kamery jest zły. Lauren opisała mi ujęcie i ta kamera powinna znajdować się na wysokości oczu. – Przecięła dłonią powietrze, poruszając nią poziomo tam i z powrotem.

Skinąłem głową, podszedłem do biurka Gabe'a i popatrzyłem na olbrzymi odtwarzacz CD z wbudowanymi głośnikami. Ten, do którego podłączał swojego iPod'a, aby używać go codziennie jako budzika. Odtwarzacz był pokryty cienką warstwą kurzu.

Jednak mała powierzchnia z przodu konsoli nie była zakurzona.

Tuż przy diodzie elektroluminescencyjnej, która jakoś tu nie pasowała. Chwyciłem malutką żaróweczkę, pociągnąłem i na zewnątrz wyszedł długi czarny wąż kabla, który był do niej przymocowany.

– Jasna cholera – rzekł Merlin.

– No – powiedziała Dorothy.

W ciągu kilku minut Merlin ostrożnie rozmontował odtwarzacz CD i umieścił jego elementy na stercie książek Gabe'a.

– O rany – rzekł podniecony. – To jest naprawdę fajne.

Nigdy wcześniej nie widziałem jednej z tych superminiaturowych. Wyprodukowana przez Misumi, tajwańską firmę. Podłączona do bezprzewodowego kodera wideo IP, który bierze sygnał analogowy i przesyła go przez Internet.

– Więc jak to możliwe, że jej nie znalazłeś? – zapytała Dorothy.

– Ponieważ zapakowali ją w neopren, aby ukryć sygnaturę termiczną. Bardzo sprytnie. Tylko skąd wiedzieli, gdzie to umieścić? Musieli wcześniej sprawdzić dom.

Pomyślałem o wyłączonych czujnikach w gabinecie Rogera.

– Z pewnością – powiedziałem i spojrzałem na zegarek. – Dziękuję wam, koledzy. Jestem wam winny dużą przysługę.

– Po prostu dodaj to do mojego konta w banku przysług.

– Masz to załatwione.

- Człowieku, czekam z niecierpliwością na spieniężenie go – rzekła.
- Wysoka kara za wcześniejsze wycofanie wkładu – ostrzegłem ją, kiedy szedłem w kierunku drzwi. – Zobaczymy się wkrótce.
- Masz randkę czy co?
- Nie – powiedziałem. – Idę ze starym kumplem na drinka.

58.

Tawerna Anchor była obskurną spelunką kilka przecznic od Kapitolu. Na ścianie wisiały wypchane zwierzęta. W środowe wieczory dawali piwo za dolara, mieli najlepsze burgery w mieście i nie serwowali przekąsek.

Czekając na Neila Burrisa, ochroniarza z Paladin Worldwide, usiadłem na dziesięć minut w czerwonym boksie, który był lepki i śmierdział rozlanym skwaśniałym piwem.

Spodziewałem się, że od czasu kiedy do niego dzwoniłem z lotniska Albany, udając Marty'go Masura, zdążył już wszystko sprawdzić. Co w tym wypadku prawdopodobnie oznaczało zaledwie to, że popytał ludzi, jak płaci Stoddard Associates, i pocięła mu ślinka.

Już miałem opuścić bar, gdy do mojego boksu podszedł krępy i muskularny mężczyzna o zabawnie szerokich barach, z niechlujną kozią bródką. Miał ten typowy wygląd zniewieściałego twardziela. Nosił opiętą czarną nylonową koszulę, z zaciągniętym pod szyję zamkiem. Zapewne chciał popisać się swoimi potężnymi bicepsami i mięśniami klatki piersiowej, ale niefortunnym efektem ubocznym tego było uwidocznienie zarysowującego się brzuszka.

– *Hola* – powiedział. Nawet się nie starał, żeby zabrzmiało to po hiszpańsku. Wyciągnął nad stołem dłoń i obdarował mnie miazdzącym kości uściskiem. – Neil Burris.

– Marty Masur – rzekłem. – Miło cię poznać.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie. Nie mogłem znaleźć miejsca do zaparkowania.

– Ciężko tu zaparkować – przyznałem.

Wsunął się do boksu naprzeciwko mnie. Patrzył na mnie przez długą chwilę.

– Zabawne – rzekł. – Nie wyglądasz jak na swoim zdjęciu.

– Ćwiczyłem.

Gapił się na mnie chwilę dłużej, a potem powoli się uśmiechnął. Miał małe, ostre i przebarwione zęby. Zbrązowiałe – prawdopodobnie od żucia tytoniu.

– Posłuchaj, człowieku – rzekł. – To zostanie między nami, prawda? Nie chcę...

– Nie chcesz, aby ktokolwiek w Paladin wiedział, że rozmawialiśmy. Rozumiem. My też tego nie chcemy.

– Dobrze.

Dałem znak kelnerce.

– Z tego, co słyszę, Koblenz nie puści cię bez walki.

– Cóż... – powiedział Neil ze wzruszeniem ramion i powolnym, zakłopotanym uśmiechem.

– Chodzi mi o to, że tak naprawdę to Koblenz u was rządzi, co? Nie Allen Granger?

– Jeśli chcesz znać prawdę, nigdy nie spotkałem Grangera. On tak jakby siedzi w Georgii. Jak jakiś pustelnik lub ktoś taki. Nikt go nigdy nie widuje.

– Jak myślisz, dlaczego? Zerknął na boki i nachylił się bliżej.

– Z tego, co słyszałem, są ludzie, którzy chcą go zabić.

– Nie rozumiem. Przecież kieruje największą prywatną armią na świecie. Ma tylu ochroniarzy, ilu potrzebuje, prawda?

– To nie pomoże, kiedy faceci, którzy chcą cię skasować, pracują z tobą.

– Co masz na myśli?

Skinął głową.

– Właśnie to. Naprawdę. Pamiętasz to wielkie zamieszanie kilka lat temu w Bagdadzie, kiedy zastrzelono ośmiu lub dziesięciu turbaniarzy? Cywilów? Kilku gości z Paladin miało z tego powodu poważne kłopoty.

Coś tam pamiętałem. Jacyś ochroniarze z Paladin strzelali do irackich cywilów i ich zabili.

– Rodziny ofiar wniosły chyba sprawę do sądu Stanów Zjednoczonych?

– Tak. Straszna obsuwa, człowieku. Pentagon zagroził, że nie odnowi z nami kontraktu, więc Granger wydał tych facetów.

– Wydał?

– Mógł walczyć, gdyby chciał. Jednak poszedł na jakąś ugodę z rządem. Tak jakby powiedział, że ci faceci to tylko zepsute jabłka, wiesz? Weźcie ich i róbcie z nimi, co chcecie, a takie gówno już się nie powtórzy. Cóż, wielu gości z Paladin dostało szału. Myśleliśmy, że jeśli coś złego się stanie, oni nas obronią. Jak zawsze. – Pokręcił głową. – Z tego, co słyszałem, jacyś kumple tych facetów, pracujący w ochronie Paladin w Georgii, próbowali wykończyć Grangera.

– Wykończyć? To znaczy: zabić go?

– Nie wiem, człowieku. Tylko tak słyszałem. Popieprzone, no nie?

Kelnerka, ładna młoda dziewczyna z nastroszonymi blond włosami i licznymi kolczykami w małżowinach usznych, przyjęła nasze zamówienie. Burris przedstawił się i próbował z nią flirtować, ale bez powodzenia. Może to przez jego imię. „Neil” to naprawdę ładne imię, ale nie dla twardziela. Prawdopodobnie chciałby nazywać się Bruno lub Butch, lub przynajmniej Jack.

– Zatem sprawa wygląda tak, Neil – powiedziałem. – Stary Stoddard chce się rozwinąć. Zbudować markę. Chce wejść w interes Paladin i szuka kogoś, kto pokieruje tym zadaniem.

– Pokieruje – mruknął Burris.

– Ustawi to dla nas. To znaczy, potrzebujemy kogoś, kto zna się na rzeczy.

– Zna się na rzeczy – powtórzył Burris.

Wyglądał na zdenerwowanego. Mogłem niemal dostrzec dymek z tekstem, unoszący się nad jego głową, jakby był postacią z komiksu: „Macie niewłaściwego faceta. Ja jestem tylko mięśniakiem. Nie znam

się na tych sprawach”. Jednak nie chciał stracić szansy takiej jak ta. Co z tego, że nie ma odpowiednich kwalifikacji. To kupujący powinien uważać.

Mówiłem dalej.

– W takim biznesie jak ten macie tylko jednego głównego klienta, prawda? Rząd Stanów Zjednoczonych.

– Zgadza się.

– Musisz wiedzieć, kim są gracze. Jak do nich podejść. Rozumiesz, o czym mówię?

Przytaknął.

– Absolutnie.

– Musisz wiedzieć, gdzie trzeba posmarować, wiesz? Dać bak-szysz.

Znacząco potarłem palcem o palec.

– Skoro o tym mowa, wiesz, Paladin płaci mi w gotówce.

– W gotówce? Mówisz poważnie? Wszystkim?

– Pewnie nie chcę zostawiać żadnych rejestrów. Gotówka nie zostawia śladu.

– Gotówką? Naprawdę?

– Nie wszystkim z nas. Nie wiem na pewno, ale sądzę, że to może mieć związek z tym, iż jesteśmy niezależnymi wykonawcami, nie pracownikami. Zawsze myślałem, że to jakiś przekręt, jakiś sposób na unikanie płacenia podatków, ale nie zadaję zbyt wielu pytań. Lubię gotówkę.

– Nie mogę cię za to winić.

– Czy to dla was jakiś problem?

– Jestem pewny, że wszystko da się załatwić – rzekłem.

Kilka minut później kelnerka z nastroszonymi włosami postawiła na stole przed nami dwa piwa. Budweisery. Słabe, wodniste i prawie bez smaku, po prostu piwo, jakie lubię.

Przepiliśmy do siebie.

– Pewnie nie powinienem ci tego mówić – powiedziałem zniżonym głosem – ale Jay Stoddard naprawdę chce wejść w ten biznes, i to szybko. To oznacza, że jeśli jesteś w stanie pokazać mi próbkę towaru,

prawdopodobnie zdołam wycisnąć z niego dużo więcej, niż powiedziałem ci przez telefon. Chodzi mi o to, że być może nie będziemy w stanie płacić ci w gotówce. Być może tak, a może nie. Jednak rozmawiamy o trzech czwartych miliona na początek. Plus zniżka na akcje.

Właśnie przełykał i trochę piwa chyba poszło nie tam, gdzie powinno, ponieważ zaczął się krztusić i poczerwieniał. Podniósł rękę, dając mi znać, że nic mu nie jest albo żebym poczekał chwilkę.

– Jestem do twoich usług, hmm, Marty – powiedział, gdy w końcu przestał kaszleć.

59.

– Więc jakiej szukacie próbki? – zapytał Burns.
– Głównie nazwisk. Czegoś, co mogę wziąć z powrotem do Stoddarda, aby miał pewność, że wiesz, kim są prawdziwi gracze. – Uśmiechnąłem się. – Widzisz, nie musisz pisać résumé. Wystarczy kilka nazwisk.

– Zapewne mogę się dowiedzieć – rzekł.
– Nie znasz ich?
– Jestem trochę... Wolę zostawiać takie rzeczy innym, wiesz? – powiedział pospiesznie. – Jednak mogę popytać dokoła.
– To brzmi tak, jakbyś w tym nie siedział.
– Nie, nie, to nie tak. Po prostu skupiam się raczej na innych sprawach – skłamał na poczekaniu i niezbyt przekonująco. Nie wiedział.

Wstałem i wyszedłem z boksu. Rzuciłem dwudziestkę.

– Piwo na mój rachunek, Neil. Przykro mi, że zmarnowałem twój czas.

Wyciągnął rękę i chwycił mnie za łokieć.

– Poczekaj. Mogę się dla was wszystkiego dowiedzieć. – Przywołał mnie blisko skinieniem ręki. – Wyciągnąć różne brudy.

– Pewnie.

– Poważnie. Mogę popytać wkoło – rzekł.

– Popytać wkoło? Daj spokój, człowieku. Każdy może popytać wkoło.

Burns stanowczo pokręcił głową.

– Nie każdy, jeśli chcesz mieć dobry towar. Poważne, tajne sprawy, te są naprawdę chronione.

– Chronione. – Skrzywiłem się.

– Naprawdę. – Jeszcze bardziej zniżył głos. – Koblenz trzyma w sejfie w swoim gabinecie kartę dostępu. Używa jej, żeby korzystać z zabezpieczonej części sieci, płacić, wykonywać przelewy i tak dalej.

Byłem zaintrygowany, ale udawałem znudzonego i sceptycznego.

– Cóż, każda licząca się firma ma coś takiego. To klucz, karta bezpieczeństwa, generująca losowo jednorazowe hasło, które wpisujesz. Też mi nowina.

– Nie. Nie. Nie o tym mówię. To inteligentna karta z jakimś osadzonym w niej chipem szyfrującym. Zupełnie nowego typu. Supersprzęt wysokiej klasy. Słyszałem o nim. Stworzony przez NSA. Nikt w prywatnym sektorze jeszcze go nie ma.

– A zatem, Neil – rzekłem – możesz to dla mnie zdobyć? Jako próbkę?

– Tak sądzę. Może uda mi się to zrobić. Jego sekretarka ma kombinację do jego sejfu, a ja chyba wiem, gdzie ją trzyma.

Odwrociłem wzrok. Nie mogłem wyglądać na mniej zainteresowanego.

– Ta.

– Jestem prawie pewny, że mogę to zrobić – powiedział Burris, zwracając mi dwudziestkę. – Och, i cóż... piwo na mój koszt. Naprawdę.

Rzucił na stół nowiutki studolarowy banknot.

Popatrzyłem na studolarówkę i nie mogłem się powstrzymać przed zerknięciem na seryjny numer z przodu. Zaczynał się od DB. Tak jak tamte w przesyłce, którą odkryłem pod Los Angeles.

Burris prawdopodobnie pomyślał, że zaimponuje mi to, iż może rzucać studolarowymi banknotami.

– Tak jak ci powiedziałem – rzekł – płacą mi w gotówce.

Zadzwoił jego telefon komórkowy i Burris zerknął na aparat.

– Muszę odebrać – rzekł. – To szef. – Odebrał i powiedział: – Cześć, Carl.

Wstałem i pomachałem mu ręką. Pokazałem na migi „pogadamy”, robiąc mały symbol telefonu moją lewą dłonią i przykładając ją do ucha.

Pokazał mi podniesiony kciuk.

Przepchnąłem się przez bar, lawirując i przeciskając się przez tłum stałych bywalców różnego rodzaju: klientów z sąsiedztwa z stacjach HVAC z nazwiskami na naszywkach, szczurów senackich w ciemnoszarych garniturach z Men's Wearhouse, wyładowujących stres po długim dniu robienia kserokopii i całowania tyłka jakiegoś mało znanego kongresmana.

Kiedy wyszedłem z baru na świeże powietrze, dostrzegłem zamieszanie za swoimi plecami. Neil Burris przepychał się przez tłum, energicznie pracując łokciami.

– Hej – powiedział, wychodząc za mną na ulicę. – Ty nie jesteś Marty Masur.

– Nie?

Obok nas z rykiem przejechało kilka motocykli. Burris podszedł do mnie tak blisko, że poczułem jego nieświeży oddech.

– Jesteś bratem tego faceta – powiedział. – Jesteś Nick Heller.

60.

Samochody przemykały z warkotem. Gdzieś niedaleko czekał pies. Kilka dziewczyn w biustonoszowych topach paliło papierosy, czego nie mogły robić w barze. Banda przerośniętych studenciaków rzucała szydercze uwagi, a jeden z nich sikał w zaułku za barem. W ubikacjach tak cuchnęło, że nikt nie korzystał z nich więcej niż jeden raz.

W jakiś sposób Carl Koblenz dowiedział się, że spotykam się z Burnsem. Nie miałem pojęcia jak, ale zapewne nie powinienem być zaskoczony.

- A ja myślałem, że nie jesteście do siebie podobni – rzekłem.
- Ty sukinsynu.
- Gdzie on jest, Neil?

Strzał na oślep. Może wiedział, może nie.

Burris odpowiedział obelgą i nagle rzucił się na mnie. Zauważyłem to o ułamek sekundy za późno. Cisnął mną o ścianę budynku, mocno uderzając moją głowę o cegły. Prawą ręką chwycił mnie za gardło tuż poniżej jabłka Adama i mocno ścisnął. Był silny, nawet silniejszy, niż podejrzewałem, i używał do tego wszystkich swych nazbyt rozwiniętych mięśni. Jednocześnie unieruchomił ramieniem moją lewą rękę i złapał za prawą, tuż powyżej nadgarstka. Prawe kolano wepchnął mi między nogi.

Teraz wiedziałem, że naprawdę był w oddziałach specjalnych. Robił wszystko zgodnie z podręcznikiem.

Z czego właściwie byłem zadowolony.

Jego twarz znalazła się tak blisko mojej, że czułem szczecinę jego koziej bródki.

– Twój brat – powiedział, ciężko dysząc – nie był taki sprytny, jak sądził. – Jego twarz poczerwieniała z wysiłku i z trudem łapał powietrze. – Myślał, że może nas wykantować i uciec. To mu się nie uda.

Kropelki śliny opryskały mi oczy.

Rozluźniłem mięśnie ramion i wciągnąłem szyję, utrudniając mu duszenie. Popatrzyłem w jego oszalałe od nadmiaru adrenaliny oczy. Zamrugałem powoli. Nic nie powiedziałem.

Myślał, że będę walczył. Nie spodziewał się, że nic nie zrobię, więc właśnie to robiłem. Nic.

W każdym razie przez kilka sekund.

– Twój brat zadarł z bardzo potężnymi ludźmi. Stał się zbyt chciwy. Posunął się za daleko. Zatem postawmy sprawę jasno, Heller. Cokolwiek twój brat za sobą pozostawił, na przykład pliki, dokumenty czy cokolwiek, zechcesz się tym z nami podzielić. Zataisz coś, a ktoś ucierpi. Mówię o członkach rodziny. Sam zdecyduj, czy to jest tego warte. Wierz mi, nie chcesz sobie z nas zrobić wrogów.

Miał tę triumfalną minę kogoś, kto wie, że pokonał swojego przeciwnika. Upajała go pewność siebie.

Błyskawicznie uderzyłem lewą dłonią, trafiając w jego prawe ramię, w wyniku czego na moment rozluźnił palce zaciśnięte na mojej szyi. Złapałem prawą dłonią jego prawą rękę i przekręciłem zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Zawył i zakręcił się w miejscu, usiłując znaleźć jakieś oparcie, ale pociągnąłem jego ramię w dół i do tyłu, rzucając go na usłany żwirem chodnik.

Trzymałem oburącz jego prawą dłoń, odchyliwszy palce tak mocno, że wystarczyłby jeden jego zbyt gwałtowny ruch, a nadgarstek trzasnąłby jak zapalka. Był bezsilny i wiedział o tym. Jednak był zbyt głupi i zbyt zadziorny. Próbował wierzgać, więc kopnąłem go kolaniem w twarz, mocniej, niż zamierzałem. Ryknął, usłyszałem trzask i wiedziałem, że złamałem mu nos, być może także kość policzkową. Krew zalała dolną część jego twarzy.

– Czy to była groźba? – zapytałem. – Ponieważ naprawdę nie-nawidzę grózb.

Zawył, a ja trochę mocniej wykręciłem mu rękę, żeby przypomnieć mu cenę dalszej walki. Wyrzucił z siebie stek wulgaryzmów, ale nie sądzę, żeby włożył w to serce. Najwyraźniej nie pozostało mu zbyt wiele energii.

Oddychając z trudem przez pełne krwi usta, wybełkotał coś o tym, co zamierza zrobić Lauren.

– Nie sądzę – powtórzyłem. – Nie jedną ręką.

Chwyliłem jego prawą dłoń za palce i pociągnąłem je wszystkie do tyłu. Łamiąc się, jego nadgarstek wydał stłumione chrupnięcie, a nie głośny trzask, którego oczekiwałem. Neil wrzasnął z bólu. Jego prawa ręka – zapewne ta, w której zwykle trzymał broń – obwisła bezużytecznie, jak marionetka, której przecięto sznurki.

Burriss zebrał ostatnie siły, próbując się wyprostować, ale kopnąłem go w klatkę piersiową i usłyszałem trzask pękających żeber. Odruchowo odrzucił głowę do tyłu, padając na chodnik.

Ze świstem wypuścił z ust powietrze i wyglądał na oszołomionego. Zupełnie opadł z sił.

Wyprostowałem się, strzepnąłem ze spodni kurz i sprawdziłem wyrządzone szkody.

Miał mętny wzrok. Unosił się gdzieś między świadomością a nieświadomością. Jego głowa dość mocno zderzyła się z asfaltem.

– Hej, Neil – powiedziałem.

Jego oczy przesunęły się odrobinę w moim kierunku. Wątpiłem, by mnie wyraźnie widział, ale byłem pewny, że mnie słyszy.

Nic nie powiedział.

Pochyliłem się nad nim i wbiłem kolano w jego splot słoneczny.

– Co wiesz o moim bracie? – zapytałem łagodnie.

Zamrugnął jeden raz. Chrząknął, ledwo słyszalnie, co dowodziło, że mnie słyszał, chociaż nie mógł uformować słów. Banieczka krwi pojawiła się w kąciку jego ust.

Wiedziałem, że nie otrzymam od niego odpowiedzi, nawet jeśli coś wiedział.

Nie jestem jednym z tych gości, którzy czerpią perwersyjną przyjemność z bicia ludzi. Jednak muszę przyznać, że zadawanie bólu Neilowi Burrisowi nie było całkiem nieprzyjemne.

Moja satysfakcja nieco się zmniejszyła kilka minut później, kiedy przeszedłem przez ulicę i znalazłem defendera z głęboką białą rysą biegnącą od drzwi po stronie kierowcy aż do tylnego nadkola. Wyglądało to tak, jakby ktoś przejechał po nim nie kluczem, ale śrubokrętem. Może jakiś pijany studenciak.

Było to denerwujące, ale miałem większe zmartwienia. Wyciągnąłem telefon i wybrałem numer, który Woody od transportu podał mi w LA. Numer, który należał do Carla Koblenza.

Usłyszałem standardowy damski głos, podający mi numer, pod który się dodzwoniłem, i po sygnale zostawiłem wiadomość dla Carla Koblenza.

Kiedy kończyłem zostawiać wiadomość, otrzymałem następne połączenie. Odebrałem je, chociaż na wyświetlaczu zamiast numeru rozmówcy wyświetliło się „zastrzeżony”.

Dzwonił Frank Montello. Mój makler informacji.

– Ten numer telefonu, na który twój ojciec dzwonił z więzienia? – zaczął.

– Tak?

– To telefon komórkowy na kartę. Założę się, że kupiony za gotówkę.

Bardzo dobrze, Roger, pomyślałem. Niczego innego nie oczekiwałem.

– Czy operator ma rachunki?

– Po co im rachunki? To telefon na kartę, prawda? Dziesięć docłów, dwadzieścia, pięćdziesiąt... ile zapłacisz. Nie muszą przechowywać billingów.

– Czasem to robią. Ja tylko chcę wiedzieć, gdzie był Roger, kiedy odebrał rozmowę na koszt abonenta od mojego ojca.

- Nie ma szans. Te tanie telefony nie mają lokalizatorów GPS. Większość nie ma. W każdym razie ten nie miał.
- A co z lokalizacją podstacji, w zasięgu której znajdował się telefon, kiedy przyszło połączenie?
- Nie zapisują tych danych, nie na tych jednorazowych telefonach. Mam przeczucie, że twój brat zadał sobie sporo trudu, żeby ukryć swoją lokalizację.
- Co ty powiesz – mruknąłem. – Co ty na to, żeby wykonać jeszcze jedną robótkę?

61.

Zanim wróciłem do domu Rogera, Lauren i Gabe spali. Przemylem wodą utlenioną paskudne rozcięcia i zadrapania na swojej twarzy oraz szyi, sprawdziłem, czy alarm został prawidłowo ustawiony i dom jest bezpieczny. Potem przespałem kilka godzin. Miałem ważne spotkanie, do którego musiałem się przygotować.



Siedziba główna Paladin Worldwide znajdowała się w południowej Georgii, na czterech tysiącach hektarów podmokłego terenu, który służył również jako obiekt szkoleniowy. To tutaj Allen Granger, prezes Paladin, najwyraźniej spędzał większość swojego czasu.

Jednak nie można robić interesów z rządem Stanów Zjednoczonych i nie utrzymywać bazy w Waszyngtonie lub w jego pobliżu. Zatem Paladin miało małe biuro w Falls Church w Wirginii, na szóstym piętrze Skyview Executive Center przy Leesburg Pike, skąd prowadzili większość rządowych operacji, swoje lobbystyczne wysiłki i tym podobne działania.

Tym razem zaparkowałem na trzecim poziomie podziemnego garażu. Jednak zamiast wjechać od razu windą na szóste piętro, wyszedłem na ulicę i udałem się na spacer wokół budynku. Obejrzałem sobie otoczenie wieżowca, sztuczne zagajniki drzew z tyłu i płytkie

zagłębienie, na którym się wznosił. Stojąc na najwyższym wzniesieniu, jakie zdołałem znaleźć, wyciągnąłem kieszonkową lunetkę i odnalazłem rząd okien A.G. Holdings, które należało do Paladin albo było spółką holdingową posiadającą Paladin – aczkolwiek właściwie było to jedno i to samo. W końcu to tutaj pracował Carl Koblenz i tu kazał mi przyjechać. Przez jakieś dwadzieścia minut obserwowałem wszystko, co mogłem zobaczyć, patrząc pod tym kątem.

Nie było tak jak w kinie. Nie widziałem dużo. Byłem prawie pewny, że dostrzegłem Koblenza – widziałem jego zdjęcie na stronie internetowej Paladin – siedzącego przy swoim biurku i naradzającego się ze swoim asystentem i kilkoma roslymi mężczyznami. W każdym razie zobaczyłem wystarczająco, aby wiedzieć, jaki jest ruch w biurze.

Potem wszedłem do holu i skierowałem się w stronę tablicy z wykazem firm. Nigdzie nie pojawiała się nazwa „Paladin”. Na szóstym piętrze znajdowały się japońska firma zajmująca się prawami intelektualnymi oraz A.G. Holdings. Spółka holdingowa Paladin. To miało sens. Może woleli nie ujawniać, gdzie są biura Paladin. Prawdopodobnie nie chcieli demonstrantów lub szalonych intruzów próbujących szturmować bramę.

– Hej, ciasteczkowy człowieku!

Odwróciłem się i zobaczyłem mojego starego przyjaciela strażnika, posłałem mu uśmiech i pomachałem do niego.

– Masz dla mnie więcej darmowych próbek? – zapytał.

– Następnym razem, obiecuję. Mam spotkanie w Paladin. Carl Koblenz.

– Och tak? Doskonale. Pracuje tam sporo naprawdę dużych facetów. Idę o zakład, że oszaleją na punkcie ciasteczek twojej żony.

A zatem tak jak myślałem. A.G. Holdings i Paladin to ta sama firma.

Podąłem mu moje nazwisko, a on wydrukował dla mnie przepustkę do naklejenia z przodu koszuli.



Miałem na sobie džinsy i nieco sfatygowaną koszulkę polo, częściowo po to, aby przypomnieć Koblenzowi, że nie przybyłem tu oficjalnie, jako przedstawiciel Stoddard Associates. I aby dać mu do zrozumienia, że nie gram według reguł świata garnituru i krawata.

Winda gładko i szybko wjechała na szóste piętro. Wszedłem z niej do małego holu z ciemnymi drewnianymi drzwiami na obu końcach. Każde drzwi miały mosiężną plakietkę. Jedna informowała: NAKAMURA & WSPÓLNICY. Firma prawnicza, zgodnie z tablicą z listą firm. Druga mówiła: A.G. HOLDINGS.

Mała czarna kopulasta kamera, prawie niewykrywalna, była zamontowana wysoko na ścianie po stronie Paladin, ale nie po stronie Nakamura & Wspólnicy. To powiedziało mi, że Paladin miało swój własny system alarmowy oprócz tego, który montowano w tym budynku dzierżawcom. Nie spodziewałem się niczego innego. Do framugi drzwi zamontowany był czytnik kart, przez który pracownicy Paladin przesuwali karty, żeby wejść.

Popchnąłem ręczną dźwignię w dół i wszedłem do recepcji z długim biurkiem z czarnego granitu.

Recepcjonistka była śliczną młodą blondynką ze starannie nałożonym makijażem i kosztowną fryzurą.

- Pan Heller? – zapytała.
- Zgadza się.
- Proszę usiąść, a pan Koblenz za chwilę przyjdzie.

Na przedniej ścianie biurka recepcjonistki widniało logo Paladin, granatowy globus z białymi kontynentami i nałożonymi na nie nitkami celownika. Jakby głosiło: „Celujemy w świat”.

Albo może: „Naciągamy rządy na całym świecie i zabijamy niewinnych cywilów od 1994 roku”.

Globus przypominał mi ten z holu Gifford Industries. Może wszystkie zachłanne międzynarodowe przedsiębiorstwa musiały mieć globus w swoim logo. Stolik do kawy był czarny, marmurowy i miał kształt trumny. Oferował skromny wybór lektury: „Wall Street

Journal” oraz kilka magazynów dotyczących bezpieczeństwa. Spojrzałem na stronę tytułową „Journala”, ale nie miałem czasu go przeczytać, ponieważ otworzyły się drzwi w głębi i do holu weszli trzej rośli faceci. Jeden z nich miał prawą rękę w gipsie.

62.

– Cześć, Neil – powiedziałem. – O rany, co ci się stało w rękę?

Neil Burris tylko popatrzył na mnie z wściekłością. Miał na sobie garnitur z supermarketu, nie żeby było w tym coś złego, ale najwyraźniej cena nie obejmowała kroju. Był zbyt obcisty w ramionach i zbyt krótki w rękach, w wyniku czego Burris wyglądał w nim jak goryl z cyrku.

Dwóch pozostałych facetów również miało na sobie tanie garnitury, które wydawały się strojami roboczymi ochroniarzy Paladin. Jeden z nich miał dłuższe włosy, przetykane siwizną, i obwisłe wąsy. Był szczupły i muskularny, o wyglądzie żołnierza Navy SEAL. Drugi wyglądał jak żywcem wzięty z WrestleManii – jeden z tych groźnie wyglądających, stu pięćdziesięciokilogramowych Ukraińców. Był ostrzyżony „na rekruta”. Jego też rozpoznałem.

To on zabrał mi DVD z nagraniem z kamery w Georgetown i w trakcie tego rozbił mi twarz o okno mojego defendera.



– Musi pan oddać swój telefon komórkowy i BlackBerry – powiedział długowłosy facet, który był z nich najstarszy i wyglądał na dowódcę.

– „Oddać” je? – zapytałem.

Trzeba przyznać, że Koblenz był sprytny. Zarówno telefon komórkowy, jak i BlackBerry można wykorzystać jako urządzenia

podsluchujące. To sugerowało, że chce porozmawiać swobodnie, co mi odpowiadało. Nie chciał, aby to, co powie, zostało nagrane lub przesłane do kogokolwiek.

Pozostali dwaj próbowali przeszywać mnie wzrokiem. Ładna recepcjonistka przeglądała egzemplarz „People” ze skupieniem rabina studiującego Talmud.

– Pan Koblenz nie spotka się z panem, jeśli będzie miał pan przy sobie jakikolwiek sprzęt radiotelefoniczny.

Wzruszyłem ramionami.

– Nigdy niczego nie oddaję – oznajmiłem.

Wręczył mi szarą torbę izolującą fale radiotelefoniczne. Używałem wcześniej takich toreb w ściśle chronionych obiektach, ale tylko wojskowych lub wywiadowczych. Wsunąłem do środka BlackBerry oraz telefon komórkowy i zapiąłem rzepy, po czym włożyłem torbę do mojej skórzanej teczki.

– Dziękuję panu – odezwał się ten długowłosy. Wyglądało na to, że tylko jemu wolno było mówić. – Tędy, proszę.

– Wspaniale – powiedziałem. – Mam nawet własną świtę.

Facet z długimi włosami pomachał swoją plakietką przy czytniku zbliżeniowym zainstalowanym obok wewnętrznych drzwi. Drzwi zapiszczały, on otworzył je pchnięciem, a dwaj pozostali poszli za nim, Burris obok mnie i André Gigant za mną. Albo próbowali mnie zastraszyć, albo obawiali się, że mogę coś ukraść.

Przeszliśmy przez hol o wystroju typowym dla hotelu średniej klasy.

– Hej, Neil – wymamrotałem do Burrisa. – Nadal czekam na twoje referencje.

Patrzył przed siebie. Dłoń i rękę miał spowite twardą powłoką z jakiejś lekkiej żywicy na piance, spiętą paskami zapinanymi na rzepy.

– Witam, panie Heller.

Carl Koblenz był dobrze po czterdziestce, ale wyglądał młodo, nie licząc worków pod oczami. Miał różową gładką twarz, jasnozielone oczy i krótko przycięte włosy koloru piasku. Nosił elegancki

niebieski blezer nałożony na koszulę w paski i krawat wojskowy. Może był to krawat Eton, gdzie studiował Koblenz, a może Sandhurst, gdzie uzyskał stopień oficerski. Nie znam się zbyt dobrze na brytyjskich krawatach wojskowych.

– Carl – powiedziałem.

Podaliśmy sobie ręce. Moją ujął za końce palców, tak że nie mogłem mocno ścisnąć jego dłoni. Sprytna sztuczka. Zapewne miał ich sporo w zanadru.

– Dziękuję, że przyjechał pan do Falls Church.

Mówił tak cicho, że ledwie go słyszałem.

– Dziękuję, że znalazł pan czas, aby się ze mną zobaczyć.

Kiedy odpowiedział na moją telefoniczną wiadomość, nalegałem, żebyśmy spotkali się w Waszyngtonie, a on naturalnie odmówił. Był zbyt ważną osobą, by opuścić swoje biuro, miejsce swej władzy.

– Obawiam się, że mój terminarz jest zapelniony spotkaniami, panie Heller – powiedział, przeciągając słowa, co, jak się domyśliłem, było charakterystycznym sposobem mówienia wyniesionym z Eton. – Chciałbym móc wyrwać się z biura, ale nie mogę.

Tak jak się spodziewałem i miałem nadzieję, ta sama przewrotna psychologia, która tak dobrze działała na trzyletnich chłopców, podziałała również na niego. Niechętnie zgodziłem się przyjechać do biura Paladin w Falls Church.

– Sądzę, że poznał pan już Neila, prawda?

– Jesteśmy starymi znajomymi – odparłem.

– Don Taylor i Anatoly Bondarchuk – powiedział Koblenz, wskazując pozostałych. – Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, iż do nas dołączą.

Założyłem, że Bondarchuk to André Gigant.

Za biurkiem po prawej stronie przed drzwiami do gabinetu Koblenza siedziała niska, pospolita kobieta z krótkimi, mysio-brązowymi włosami. Plakietka z imitacji drewna na jej biurku informowała: ELEANOR APPLEBY.

– Wie pan, właściwie mam coś przeciwko – rzekłem przepraszająco. – Liczyłem na to, że będziemy mogli szczerze porozmawiać.
– Wolałbym mieć ich przy sobie.
– Nie zamierzam pana skrzywdzić, Carl – powiedziałem. – Obiecuję.

– Skrzywdzić mnie? – Błysk rozbawienia pojawił się w jego oczach. – Nie wie pan o mnie zbyt wiele, prawda?

Wiedziałem o nim więcej, niż prawdopodobnie by chciał. Wiedziałem, że po Eton i Sandhurst wstąpił do Gwardii Szkockiej, a potem został wybrany do SAS, brytyjskich sił specjalnych, które powszechnie uważano za jeszcze lepsze od naszych, chociaż oczywiście ja w to wątpiłem. Był swego rodzaju legendą podczas Pustynnej Burzy. Należał do grupy uderzeniowej, która próbowała wkraść się do irackiego obiektu komunikacyjnego, gdzie napotkała trzystu irackich żołnierzy, ale mimo to podłożyła materiały wybuchowe i wycofała się pod ostrzałem. Ani jeden członek tego oddziału SAS nie został ranny. Wielu bogatych Arabów w Kensington chciało go po tym zatrudnić w swojej ochronie, lecz on spieniężył wszystko, co miał, i dołączył do międzynarodowej firmy ochroniarskiej. Przemycił broń dla rządu Sierra Leone, łamiąc embargo ONZ. Potem jako zamieszany w próbę zamachu na prezydenta Gwinei Równikowej został aresztowany i osadzony na sześć miesięcy w więzieniu Black Beach Malabo, które przy Zakładzie Karnym Altmont było jak luksusowy kurort.

– Dość, by z panem nie zadzierać – powiedziałem ze wspaniałomyślnym uśmiechem, a on uśmiechnął się do mnie.

Z ręką na moim ramieniu, poprowadził mnie do swojego biura, które wyglądało równie typowo jak reszta tego miejsca. Pachniało starym dymem z cygar.

Trzej ochroniarze szli za mną. Przystanąłem i odwróciłem się.

– Dzięki, chłopcy – powiedziałem. – Doprowadziliście mnie tutaj bezpiecznie. Dobra robota. Teraz wasz szef i ja mamy kilka prywatnych spraw do omówienia.

Koblencz pokręcił głową, westchnął i powiedział:

– Dobrze, koleczy, poczekajcie na zewnątrz, proszę.

Usiadł za swoim biurkiem, a ja na fotelu przed nim.

– Cóż, ma pan całkiem niezłą kartotekę – zauważył.

– Kłamstwa, same kłamstwa – odparłem skromnie.

Zauważyłem jego biurowy sejf, w którym – według Neila Burrisa – znajdowała się karta z osadzonym w niej chipem szyfrującym, która dawała dostęp do najlepiej zabezpieczonej warstwy sieci komputerowej Paladin. Sejf był czarny, prawie tak wysoki jak biurko Koblencza, i wyglądał na trzy- lub czteroszufladowy model. Z elektroniczną klawiaturą. Prezentował się okazale.

Pomimo efektownych scen przedstawiających wielkie włamanie do sejfów, jakie wszyscy widzieliśmy na filmach, w rzeczywistości bardzo trudno jest dostać się do porządnie zabezpieczonego sejfu. Ta technologia zbyt dobrze się rozwinęła w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Kiedy jednak ma się inteligentny plan, wszystko jest możliwe.

– Polowanie na przestępców wojennych w Bośni, co? Z jakimś supertajnym wojskowym oddziałem. Co to było, ISA, tak?

– Nie był taki tajny, skoro pan o nim wie.

Odrobił swoją pracę domową. Intelligence Support Activity był tajnym wojskowym oddziałem wywiadowczym, który penetrował Bośnię w poszukiwaniu serbskich przestępców wojennych. Nazywaliśmy te błyskawiczne akcje „przechwytywaniem priorytetowych celów”. Nigdy z nikim nie rozmawiałem o tym, co robiłem w Bośni i Iraku podczas wojny w Zatoce Perskiej. Zatem Paladin miało doskonałe źródła informacji w Pentagonie.

– To, co pan zrobił temu serbskiemu facetowi... Draskoviciowi? – Wymówił to nazwisko z nienagannym akcentem. Pokręcił głową, uśmiechnął się. – Dobra robota.

Zachichotał z podziwem.

Nic nie powiedziałem. Wyciągnąłem tylko teczkę ze zdjęciami i wręczyłem mu ją.

Jedno zbliżenie pokazywało tablicę rejestracyjną furgonetki

econoline, którą jeden z jego ludzi porwał Rogera. Drugie twarz tego faceta. Na trzecim widać było Rogera i jego porywacza stojących przy furgonetce.

– Pański pracownik był na tyle ostrożny, aby nie pokazać tablic rejestracyjnych kamerze bankomatu – rzekłem – ale nie pomyślał o tym, że stacja benzynowa ma własne kamery bezpieczeństwa.

– Tak – powiedział. – Widziałem nagranie.

Cóż, to jakiś początek, pomyślałem.

– I powinienem wiedzieć, o co w tym chodzi? – zapytał.

– Chodzi o piętnaście lat w więzieniu za porwanie – rzekłem. – Dla pana i pańskiego szefa. I miliony dolarów straty w interesach z rządem. Jeśli zabiliście Rogera, cóż, mówimy o czterdziestu latach za kratkami albo dożywociu.

– Mógłby pan być trochę ostrożniejszy w rzucaniu oskarżeń.

– Nie interesuje mnie oskarżanie. – Skrzyżowałem ramiona i posłałem mu zabójczy uśmiech. – Widzi pan, ja po prostu chcę odzyskać swojego brata.

63.

Koblencz milczał przez kilka sekund, jakby się nad czymś zastanawiał. Wydmuchał powietrze przez wydęte usta.

- Od czego mam zacząć, Heller?
- Może od kontenerów z forszą w Los Angeles. Może pan zacząć od tego. Jestem pewny, że Allen Granger chciałby o tym usłyszeć.
- Tyle tematów do omówienia.
- Sporo. Możemy porozmawiać też o podjętych przez mojego brata próbach wymuszenia od pana pieniędzy. Z pewnością wydawało się, że łatwiej będzie pozbyć się faceta, niż ryzykować ujawnienie wszystkich łapówek, które dał pan Pentagonowi.

Pokręcił głową, sprawiając wrażenie rozbawionego.

- Ach, cóż, zobaczmy. – Podniósł zdjęcie i puścił je. Zatrzepotało i prześliznęło się po jego biurku, ostatecznie lądując na podłodze. – Przede wszystkim nie mam pojęcia, kim jest ten gość. Drugi to najwyraźniej pański brat.

– Właśnie w tej chwili przeszukujemy bazy – blefowałem. – W dzisiejszych czasach PATRIOT Act znacznie to ułatwia. Ta ustawa i oprogramowanie do rozpoznawania twarzy.

- Cóż, dajcie mi znać, co znajdziecie. A jeśli złapiecie tego gościa, możecie go zapytać, po co ukradł tablicę rejestracyjną jednego z naszych pojazdów.
- Spodziewałem się po panu czegoś lepszego, Carl.
- Nie mamy ani jednej furgonetki econoline.

- Kto nie ma? Paladin? Czy jedna z pańskich dwunastu filii?
- Ponad dwunastu. Jednak nie. Nie mamy żadnych furgonetek econoline. Zapewniam pana, Heller, że nie porwaliśmy pańskiego brata. Chociaż żałuję, że o tym nie pomyśleliśmy.
- Mam nadzieję, że nie zaprzecza pan, iż to jedna z waszych tablic rejestracyjnych – powiedziałem.
- Nie mogę tego ani potwierdzić, ani zaprzeczyć – rzekł Koblenz z lekko drwiącym uśmiechem. – Ledwie pamiętam numery rejestracyjne własnych samochodów. Jednak prefiks na tablicy sugeruje, że jest to jeden z naszych, więc nie zamierzam się spierać. Aczkolwiek odkryje pan, że to rejestracja hummera lub escalade. A co do tego, kto podmienił tablice, cóż, nie mam pojęcia.
- Policja waszyngtońska nie będzie się przejmować tym, do którego pańskiego pojazdu należą numery.
- Szczerze w to wątpię – powiedział Koblenz. – A jeśli chodzi o forszę... cóż, wszystko, co mogę powiedzieć, to wyrazić moje najszersze podziękowania. Jest pan naprawdę tak dobry, jak twierdził Jay Stoddard.
- Miliard dolarów w gotówce – rzekłem. – To powinno mniej więcej pokryć nieksięgowane wypłaty za miesiąc lub dwa.
- Przyznaję się do winy. Jednak z pewnością nie sądzi pan, że jesteśmy jedyną firmą ochroniarską w Bagdadzie, która musiała płacić łapówki irackim urzędnikom, aby wykonać robotę. Tam było jak w Nigerii. – Przesunął po blacie biurka pudełko z cygarami. – Czy zapomniał pan, jak to działa, Heller? To była ekonomia pieniądza. Największym rozdawcą łapówek był rząd Stanów Zjednoczonych. Chciałbym zobaczyć, jak ktoś ich próbuje oskarżyć. Ma pan ochotę na kubańskie?
- Pokręciłem głową.
- Nie, dziękuję.
- Jest pan pewny? Hoyo de Monterrey Double Coronas. Ręcznie robione na Kubie jedynie przez najlepiej wykwalifikowanych *torcedoras*. *Totalmente a mano*.

– Nie, dziękuję.

– Ulubione pańskiego ojca. Chociaż nie wyobrażam sobie, aby obecnie często miał okazję je palić.

Wybrał jedno cygaro, wyciągnął ze swojego biurka obcinacz, przytrzymał cygaro na poziomie oczu, po czym zdecydowanym ruchem je obrzezał.

Zamilkłem i uśmiechnąłem się, myśląc o przynajmniej trzech możliwych ripostach. Potem wziąłem jedno z jego cygar i oglądałem je przez kilka sekund, zanim mu oddałem.

– Mój ojciec, pomimo swych wad, nigdy nie paliłby podrabianych cygar.

– Podrabianych? Nie sądzę, Heller. – Pstryknął srebrną gazową zapalniczką i przytrzymał koniec cygara przy płomieniu, obracając je powoli, po czym wetknął je do ust i zaciągnął się nim niespiesznie, jak dziecko cieszące się pierwszym uspokajającym ssaniem smoczka.

Wskazałem na zielono-biały znaczek akcyzy z lewej strony na przodzie pudełka.

– Proszę obejrzeć to w ultrafiolecie, a przekona się pan. Nie zobaczy pan mikrodruku powyżej REPUBLICA DE CUBA. To nie jest pieczęć gwarancyjna kubańskiego rządu.

Spowity dymem, podejrzliwie oglądał pudełko.

– Nie mówi pan poważnie – powiedział niepewnie.

– Przykro mi. Nie powinienem był nic mówić. Nie chciałem zepsuć panu przyjemności. Nigdy nie poznałby pan różnicy.

Gapił się na mnie zwężonymi, błyszczącymi oczami. Kontynuowałem.

– Nie od razu się domyśliłem, dlaczego wynajął pan szefa ochrony Argon Express Cargo, żeby ukradł pański transport pieniędzy. Dopóki nie zrozumiałem, że nie chciał pan, aby rząd Stanów Zjednoczonych znalazł tę gotówkę, na przykład podczas przypadkowej kontroli. Tak więc zorganizował pan sfingowaną kradzież. Aby mieć pewność, że Paladin nie zostanie oskarżone przez jakiegoś rządowego biurokrata o przemyt ogromnych sum pieniędzy.

– Podoba mi się pańska teoria.
– Dziękuję.
– Jediną luką w niej jest oczywiście to, że rząd Stanów Zjednoczonych wynajął nas, żebyśmy odebrali tę gotówkę w Bagdadzie i przewieźli ją z powrotem. Wszystko było jawne, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe z rządem.

Uśmiechnął się.

– Przykro mi. Popełnił pan błąd, dając Elwoodowi Sawyerowi numer swojego telefonu na wypadek jakichś nieprzewidzianych wydarzeń.

– I na tej wątej podstawie buduje pan oskarżenie przeciwko mnie? Na tym, że ktoś podał mu numer mojego telefonu komórkowego? Teraz zastanawiam się, czy Jay Stoddard nie darzy pana zbyt dużym uznaniem.

– Bez wątpienia – rzekłem.

– A jeśli chodzi o pańskiego brata, cóż, po prostu zadarł z niewłaściwymi ludźmi.

– Tak – powiedziałem. – Prawdopodobnie chciał zamiast tego zadrzeć z Matką Teresą.

– Ta sekutnica z Kalkuty umarła, niestety – rzekł Koblenz z krzywym uśmiechem. – Chociaż zawsze chciałem mieć obrus zrobiony z jej sari. Czy płacimy łapówki kilku wpływowym osobom w Pentagonie? Pewnie.

– Przyznaje pan.

– Cóż, nie do publicznej wiadomości, nie, oczywiście, że nie. Nie jestem aż tak głupi.

– Ile pieniędzy Roger zażądał od pana w zamian za milczenie?

– Z tego, co wiem, ani centa.

– Zatem czemu mój brat stanowił dla pana takie zagrożenie?

– Kto powiedział, że był zagrożeniem?

– Mam kamień w bucie, panie Corleone – odpowiedziałem cytatem z trzeciej części *Ojca chrzestnego*. Kolejny ulubiony film Stoddarda, ale ja też go lubiłem.

Koblencz zrozumiał aluzję.

– Jak mówiłem, nie mamy nic wspólnego ze zniknięciem pańskiego brata. Ktokolwiek znajduje się na tej taśmie z monitoringu, nie jest od nas. Proszę przeprowadzić małe dochodzenie, a zobaczy pan. – Uśmiechnął się. – I nie, nie podaliśmy również pańskiemu bratu zatrutego cannoli. Po co mielibyśmy to robić?

– Może z tego samego powodu, z którego pańscy goryle grozili, że porwą syna Rogera. Albo wysyłali e-mailem filmy do jego żony. A oprogramowanie szpiegowskie i kamery, które umieściliście w jego domu? Dane szły do jakiejś autonomicznej sieci w Europie Wschodniej i w końcu wracały do Paladin. Przyznaję, że ustalenie tego zajęło nam dużo czasu. Jednak każdy krok mamy udokumentowany.

Co tylko w połowie było prawdą. Dorothy nadal nie była w stanie rozpracować, dokąd ostatecznie trafiał przekaz po dotarciu do tej ukraińskiej sieci. Jednak pozwoliłem myśleć Koblenczowi, że jesteśmy dalej, niż byliśmy w rzeczywistości.

Pokręcił głową.

– Nic nie wiem o żadnych urządzeniach monitorujących ani autonomicznej sieci w Europie Wschodniej... czy czymkolwiek takim. Jednak *arguendo*, jak mówią prawnicy, zupełnie teoretycznie, założymy, że moi pracownicy wywierali nacisk na żonę pańskiego brata. Po co by to robili, gdyby przetrzymywali Rogera jako więźnia? Gdzie tu jest sens?

– Ponieważ coś zostawił, a wy chcecie to mieć.

– Teraz to zaczyna mieć sens. Ma pan połowiczną rację.

– Mam?

– Absolutnie. On ma coś, czego my chcemy. To absolutnie prawda. Jednak wątpię, żeby gdzieś to zostawił. To nie pasuje do mojej oceny charakteru pańskiego brata. Chociaż może to aroganckie. Pan zna go dużo lepiej niż my. Czy jestem w błędzie, zakładając, że jest podobny do waszego ojca?

– Do czego pan zmierza?

Obrócił się dookoła w swoim fotelu i wziął brązową teczkę na akta

z szerokiego drucianego stojaka na szafce za nim, na której stało kilka standardowych roślin biurowych. Otworzył ją, wyjął kartkę papieru i patrzył na nią przez chwilę. Potem wręczył mi ją.

Był to faks z banku na Kajmanach o nazwie Transatlantic Bank & Trust (Cayman) Limited, znajdującego się przy Mary Street w George Town. Któraś z rzędu kopia, ze smugami i śladami pozostawionymi przez fotokopiarki. List od Rogera, z nagłówkiem Gifford Industries, do menadżera banku. Zlecenie przelewu.

Roger polecał w nim dyrektorowi banku przelać dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów z jednego konta – filii Paladin, której nazwę poznałem – na swoje własne konto.

- Na co to według pana wygląda? – zapytał Koblenz.
- Na falsyfikat.

Wzruszył ramionami i prychnął.

– Zgadza się, Heller. Mamy liczne zespoły fałszerzy, tworzących fałszywe dokumenty specjalnie dla pana. – Jego sarkazm był subtelny. – Teraz pan widzi? Zaczyna pan rozumieć sposób działania pańskiego brata? Kradzież wielkich pieniędzy, potem, kiedy pojmujesz, że zaradłeś z niewłaściwymi ludźmi, tchórzliwa ucieczka? Zastanawiam się, po kim to ma.

- Pieprz się.

Nie miałem już wyrzutów sumienia z powodu tej bajeczki o jego cygarach.

– Och, proszę mi wierzyć, to prawda. Może dla synów Victora Hellera to zaledwie drobne znalezione pod poduszkami sofy. Jednak nie dla mnie. I z pewnością nie dla Allena Grangera.

– Roger pracował dla Gifford Industries. Nie dla Paladin. Nie miałyby nawet uprawnień do przeprowadzenia transferu pieniędzy.

- A jednak miał.
- To nie działa w ten sposób – powiedziałem.
- Pański brat miał pełnomocnictwo Gifford Industries.
- Co Gifford ma wspólnego z Paladin? Koblenz przechylił głowę na bok.

- Jestem rozczarowany, że pan nie wie.

– Nie wiem czego?

– Gifford Industries jest naszą macierzystą firmą. Gifford jest właścicielem Paladin. Od pięciu miesięcy.

W tym momencie nie wiedziałem, co powiedzieć. Po prostu na niego patrzyłem.

– Oczywiście, nie jest to powszechnie znany fakt – rzekł. – Jako prywatnie zarządzana korporacja, Gifford nie ma obowiązku informować kogokolwiek o tym przejęciu. Allen od lat starał się sprzedać firmę. Tak więc nie tylko ja i Allen Granger chcemy odzyskać te pieniądze. Również Leland Gifford. I dżentelmeni stamtąd. Każdy z nich ma ważny finansowy powód, aby znaleźć pańskiego brata i co ważniejsze, odzyskać pieniądze, które ukradł. Może pan nazwać ich łowcami posagów. Motyw korzyści zawsze działa.

– Pieprz się – powiedziałem. Moje słownictwo stało się nagle bardzo ograniczone.

– Zona Rogera może potrzebować innego typu motywacji do współpracy.

– To już więcej nie zadziała.

– Heller, jest wiele sposobów, aby nakłonić ją do współpracy.

– Nie polecam panu wypróbowania żadnego z nich.

– I wolałbym tego nie robić. Jednak zrobię wszystko, co będzie konieczne.

Pomachałem kartką papieru, którą dopiero co mi wręczył.

– Jeśli to jedyny dowód, jaki pan ma...

– Nie potrzebuję dowodu – rzekł spokojnie Koblenz. – Tak jak pan, nie zamierzam iść z tym do sądu. Chcemy tylko odzyskać nasze pieniądze. Nieważne, jakim sposobem. Jeśli będą przypadkowe ofiary, to trudno.

– To brzmi jak kolejna groźba – powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

– Mówię, jak jest.

Wstałem, odłożyłem kartkę na biurko i postukałem w nią palcem wskazującym.

– To całkiem niezły falsyfikat. Chociaż byłby bardziej przekonujący,

gdybyście umieścili na nim właściwy kod banku SWIFT.

Kod banku SWIFT to grupa numerów lub liter, których bank używa do identyfikacji przy transferach pieniędzy.

– Rozumiem – rzekł Koblenz. – Ponieważ, oczywiście, zna pan na pamięć każdy kod SWIFT.

– Nie, nie każdy – powiedziałem. – Wiem tylko, że kod SWIFT banków na Kajmanach zawsze zawiera litery KY. Tak jak galaretka K-Y Jelly. Jestem pewny, że wie pan, co to takiego. A ten tutaj nie ma tych liter. Blisko, ale nie całkiem, jak mówią.

Koblenz, który nie wyglądał na kogoś, komu kiedykolwiek brakuje słów, przez chwilę milczał. Zamrugał kilka razy i niemo poruszał wargami, jak ryba.

– Bardzo mi pan pomógł, Carl – podsumowałem. – Powiedział mi pan dokładnie to, co chciałem wiedzieć.

Doszedł do siebie i posłał mi cierpki, sceptyczny uśmiech, a ja kontynuowałem.

– Widzi pan, ja wiem, gdzie jest mój brat. Chciałem się jedynie dowiedzieć, czy pan to również wie. A teraz dowiedziałem się, że nie. Tak więc dziękuję za pomoc.

I spokojnie wyszedłem z jego gabinetu.

64.

To był, oczywiście, beczelny blef, krótko mówiąc, i wkrótce go pożałowałem.

Dopiero kiedy opuściłem biuro Paladin i zjechałem na dół windą do podziemnego parkingu, dotarł do mnie sens słów Koblenza.

Oczywiście musiałem założyć, że wszystko, co mi powiedział, włączając w to spójniki i kropki, było kłamstwem. Bez wątplenia. Jednak i tak przez większość czasu wychodziłem z tego założenia: Waszyngton i kłamstwa to jak Hershey w Pensylwanii i czekolada.

Czy Paladin Worldwide rzeczywiście było własnością Gifford Industries?

Dlaczego nie? Nie było to takie niewiarygodne. Mamy czasy konsolidacji korporacji. Duże firmy wciąż kupują mniejsze. To prawo natury, korporacyjny łańcuch pokarmowy. W taki sam sposób fitoplankton jest zjadany przez zooplankton, a ten z kolei jest zjadany przez małe rybki, pożerane przez większe ryby i tak dalej, aż do drapieżnej orki.

Słyszałem plotki, że Allen Granger chciał sprzedać Paladin. Może zrozumiał, że sytuacja w Waszyngtonie się zmieniła i nowa administracja nie chce robić z nim tyłu interesów.

Na przykład, jedną z filii Paladin było przedsiębiorstwo lotnicze, które wykonywało tajne nadzwyczajne loty dla CIA. Co zasadniczo

oznaczało, że kiedy gdzieś w Europie zamaskowani mężczyźni porywali z ulicy podejrzanych o terroryzm, zawiązywali im oczy, podawali środki uspokajające i wywozili za granicę, to należący do Paladin gulfstream lub boeing 737 przewoził tych facetów na tortury w tajnym więzieniu CIA w Egipcie, Macedonii, Maroku, Libii lub jakimś innym państwie, które miało nieco odmienne zapatrywania na kwestię praw człowieka niż Stany Zjednoczone.

Po objęciu urzędu przez nowego prezydenta i wstrzymaniu tajnych działań antyterrorystycznych może nie był to już taki wspólny interes.

Allen Granger był znany jako zręczny biznesmen. Może zamierzał sprzedać firmę w chwili, kiedy dostałby za nią najwięcej? To miałyby sens.

A jeśli Gifford Industries przejęło Paladin Worldwide, to by wyjaśniało, dlaczego Roger miał dostęp do zagranicznych finansowych środków Paladin.

To również miało sens.

Z pewnością tłumaczyłoby jego spotkania i rozmowy telefoniczne z naszym ojcem, mistrzem defraudacji. Victor dawał Rogerowi lekcje.

„Powiedziałem mu, że gra w bardzo niebezpieczną grę”, przypominałem sobie słowa Victora.

„Ostrzegałem go, że to lekkomyślny pomysł”.

Zatem Roger w końcu wykombinował sposób na zdobycie majątku, którego posiadanie zawsze uważał za swoje prawo. Nawet jeśli oznaczało to porzucenie żony i syna. Żony, którą zdradzał, i jej syna. Nie jego.

Jednak nie ukradł pieniędzy z Paladin. Próbował ich szantażować, a to coś zupełnie innego. Dowiedział się o łapówkach, pieniądzach za milczenie, czymkolwiek, co Paladin dawało Pentagonowi, żeby dostać swoje bezprzetargowe kontrakty – a przynajmniej tak przypuszczałem – i zagroził ujawnieniem tego. Być może groził, że zawiadomi jakiegoś organa ścigania. Chyba że mu zapłacą.

„Roger miał dość życia w biedzie”.

Nie był złodziejem, ale szantażystą. Chciał wymusić pieniądze.

Nie żeby wymuszenie było lepsze od kradzieży. Nie podobało mi się jedno i drugie. Jednak nie miałem wątpliwości, że Carl Koblenz pokazał mi fałszykat, bo nie chciał, abym ja, lub ktokolwiek inny, wiedział, że Roger próbował ich szantażować.

Ponieważ przyznając, że Roger starał się ich szantażować, zdradziliby korupcyjny i nielegalny charakter tego, czego ujawnieniem im groził. A do tego Koblenz nie zamierzał dopuścić.

Znalazłem defendera tam, gdzie go zaparkowałem, w rzędzie samochodów trzy piętra pod ziemią. Włożyłem kluczyk do zamka i się zawahałem.

Nazwijcie to paranoją. Nazwijcie to instynktem.

Albo świadomością faktu, że ktoś bezwiednie zniszczył wzór ze zwiru, który zostawiłem z trzech stron samochodu – piramidki kamyków. Nie byłem głupcem. Zaparkowałem swój samochód na parkingu pod budynkiem, w którym Paladin miało swoje biuro. Naiwnością byłoby zakładać, że niczego nie spróbują zrobić.

Kłęknąwszy, przesunąłem ręką po podwoziu, szukając czegoś, co mogło zostać dodane, kiedy byłem na górze na spotkaniu z Koblenzem. Na przykład bomby. Spojrzałem pod samochód, skanując wszystko dokładnie, i niczego nie zauważyłem.

Paranoja, pomyślałem.

To, że jesteś paranoikiem, nie oznacza, że naprawdę nie próbują cię dopaść.

Otworzyłem drzwi samochodu, a potem, tylko żeby być skrupulatnym, wysiadłem i kłęknałem przy przednim zderzaku.

I znalazłem przyczipione magnesem do tablicy rejestracyjnej miniaturowe urządzenie GPS. Mniej więcej dziesięciocentymetrowe pudełko zawierające odbiornik GPS i komórkowy modem. Ta zabaweczka transmitowała położenie pojazdu przez sieć telefonii komórkowej.

To oznaczało, że przyjaciele z Paladin mogli śledzić każdy ruch

mojego samochodu na swoich komputerach w biurze, a nawet na swoich PDA i iPhone'ach. Technologię tych urządzeń dzieliły całe lata świetlne od czasów „piszczących nadajników”, kiedy przyczepiało się nadajnik radiowy do samochodu wiarołomnej żony, aby pojechać za nią na schadzkę z listonoszem w Motelu 6.

Usłyszałem odgłos kroków i się obejrzałem.

Przy wyjeździe z parkingu postawiono trzy pachołki uliczne.

A do mnie powoli i miarowo zbliżali się trzej moi kumple z góry.

65.

Trzech na jednego, pomyślałem. Niezbyt uczciwa walka. Chociaż nie spodziewali się oporu. Widziałem to po ich minach.

– Co jest, chłopcy?

– Masz chwilkę, żeby pogadać? – wychrypiał ten z długimi siwymi włosami i obwisłymi wąsami, chyba Taylor.

Jako jedyny z tej trójki nadal miał na sobie garnitur, chociaż ściągnął krawat. Pozostali przebrali się w dzinsy. Taylor wyglądał jak były gwiazdor country and western, robiący nocny talk-show.

Gdyby nie broń, którą trzymał w ręku. Poznałem aluminiową czterdziestkępiątkę rugera z czarnym poliwęglanowym uchwytem. Prawdopodobnie P90. Po kilku latach pracy w terenie całkiem nieźle potrafiłem rozpoznawać rodzaje broni, gdyż ta umiejętność mogła ocalić życie.

Jednak ci faceci nie przyszli tu, żeby mnie zabić. Wierzyłem Taylorowi: chcieli ze mną pogadać. Zadać mi pytania.

Wykarmiony sterydami odrzut WrestleManii z fryzurą na rekruta – Bondarchuk – trzymał w ręku kilka par żółtych, nylonowych, elastycznych kajdanek. Nie wiedziałem, co robi tu Burris, chyba że przyszedł tutaj dla osobistej satysfakcji, chcąc zobaczyć mnie skrępowanego i może trochę poturbowanego w trakcie. Ponieważ ze swoim złamanym nadgarstkiem tylko tu zawadzał.

Zbliżali się do mnie powoli, zajmując pozycje. Burns kroczył dumnie, kołysząc swoimi szerokimi ramionami, chociaż zauważyłem,

że zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Rozstawienie ulicznych pachołków było niegłupim posunięciem. Chcieli mieć pewność, że żaden samochód nie wjedzie tu i im nie przeszkodzi.

– To nie wygląda na spotkanie grupy badaczy Pisma Świętego – zauważyłem.

Stałem obok swojego land rovera, z tyłu, i nie ruszałem się.

– Zrobmy to szybko i bez zamieszania – rzekł Taylor.

– Zawsze się cieszę, kiedy mogę pogadać – odparłem, rozkładając ręce. – Chociaż myślałem, że Carl i ja powiedzieliśmy już sobie wszystko, co było do powiedzenia.

Taylor zatrzymał się jakieś trzy metry przede mną i powoli podniósł broń, mocno ściskając rękojeść i kciukiem przesuwając bezpiecznik. Bondarchuk podszedł do mnie z drugiej strony, trzymając elastyczne kajdanki. W jego wielkiej dłoni żółte nylonowe paski wyglądały jak luźne nitki.

Jakaś para minęła pachołki, przyjrzała się nam uważnie, a potem pospieszyła do swojego samochodu.

Neil Burris miał szyderczy uśmiech na swej szerokiej twarzy, częściowo zakrytej szczeciniastą kozią bródką. Teraz zobaczyłem, co trzyma w lewej dłoni, tej, którą jeszcze miał sprawną. Czarny, podobny do pistoletu przedmiot z żółtymi oznaczeniami i zbyt szeroką lufą. Paralizator elektryczny, model policyjny. Stał około sześciu metrów ode mnie.

Podręcznik użytkownika dostarczany z profesjonalnym paralizatorem mówi, że sześć metrów to maksymalna efektywna odległość. Teoretycznie nabój ze sprężonym azotem w paralizatorze może wystrzelić na taką odległość swoje dwie aluminiowe kolczaste sondy, połączone cienkimi drucikami z jednostką główną. Te miniaturowe harpuny przebiją ubranie, a potem wyzwolą paralizujący ładunek pięćdziesięciu tysięcy woltów i osiemnastu watów. Teoretycznie.

Jednak Burris powinien był spędzić więcej czasu na czytaniu podręcznika użytkownika.

Wystrzel z tego na odległość sześciu metrów, a sondy za bardzo oddalą się od siebie. A jeśli obie sondy nie trafią w cel, nie zamkniesz obwodu. Taser nie zadziała. Trzy i pół do czterech metrów to prawdopodobnie największy jego zasięg.

Jednak Burris bał się podejść do mnie tak blisko.

– Ręce do góry i odwróć się – powiedział Taylor.

Nie musiałem się długo namyślać, aby dojść do wniosku, że nie mam innego wyjścia. Ruger i paralizator. Trzech na jednego.

Chcieli tylko porozmawiać.

Jednak niektórych najbardziej bezwzględnych strażników, przesłuchujących więźniów Abu Ghraib i Guantánamo, dostarczyło Paladín. Może więc tak należało zdefiniować słowo „porozmawiać”.

Wzruszyłem ramionami, podniosłem ręce i obróciłem się plecami do Taylora. Bondarchuk, powłócząc nogami, zajął pozycję u mego lewego boku, na tyle daleko, żebym nie mógł do niego doskoczyć.

– Ręce za plecy, proszę – rzekł Taylor.

Burris zmienił pozycję, stając naprzeciwko mnie, nadal w odległości dobrych sześciu metrów. Trzymał paralizator w lewej ręce, mierząc nim we mnie, i mrużąc oko, jakby celował. Teatralne zagranie. Nie trzeba tak dokładnie wycelować paralizatora, zresztą gdyby go użył, nie zamknąłby obwodu, a ponadto byłem całkiem pewny, że i tak nie zamierzał się nim posłużyć.

Opuściłem dłonie wzdłuż ciała. Bondarchuk podszedł bliżej, aby założyć mi elastyczne kajdanki na nadgarstki.

Byli zawodowcami, a ja nie mogłem pozwolić, aby zdobyli taktyczną przewagę, inaczej byłoby po mnie.

Poczułem dłoń Taylora na moim lewym ramieniu.

– Ręce za plecy! – zawołał, przystawiając mi rugera do kręgosłupa. – Ale już!

W tym momencie zatoczyłem się, ale nie do przodu.

Poleciałem do tyłu, wprost na niego, czym go zaskoczyłem. Impet zderzenia sprawił, że jego dłoń, w której trzymał broń, przesunęła się do przodu, przez lukę między moim tułowiem a prawą ręką.

Działiałem bez namysłu. Błyskawicznie złapałem oburącz jego nadgarstek, obracając się w prawo i mocno przyciskając jego łokieć do mojego boku, po czym silnie i gwałtownie nacisnąłem na jego wyprostowaną rękę, przeciążając staw.

Łokieć ma skomplikowaną budowę. To zawias zbudowany z trzech kości, połączonych z sobą mnóstwem więzadeł i ścięgien. Większość ludzi potrafi wyprostować rękę w łokciu pod kątem prawie stu osiemdziesięciu stopni. Zmusz łokieć do większego wygięcia, a wcisniesz czubek kości łokciowej pod zakończenie kości ramiennej i mogą się zdarzyć paskudne rzeczy. Kości mogą się rozdzielić, pęknąć albo po prostu złamać.

Usłyszałem trzask.

Zawtórował mu niemal nieludzki krzyk. Odbił się echem o betonowe ściany, kiedy Taylor zgiął się z bólu i osunął na podłogę.

Jego ruger z trzaskiem upadł na ziemię.

Nie mogłem ryzykować i pochylić się, żeby go podnieść. Zamiast tego kopnąłem broń, tak że prześlizgnęła się po posadzce i wpadła pod mój samochód.

A potem dwie rzeczy nastąpiły niemal równocześnie.

Bondarchuk rzucił się na mnie i wymierzył morderczy prawy prosty w moją głowę. Jego olbrzymia pięść zmierzała ku mnie, poparta całym ciężarem ogromnego ciała. Uniosłem moją lewą rękę i zablokowałem cios, pozbawiając go równowagi. Pochylił się do przodu i mój łokieć zderzył się z jego podbródkiem. Jęknął, zachwiał się, wyprostował i zdołał jeszcze uderzyć mnie pięścią w ramię.

Co było bolesne, ale nie mogło się równać z bólem, jakiego doświadczał Taylor. Leżał, wijąc się i rycząc jak zdychające zwierzę, ściskając swój groteskowo zdeformowany staw.

Wtedy podchodzący do mnie Neil Burris uniósł swój paralizator i strzelił.

66.

Jedno, co można powiedzieć o prawdziwej walce wręcz, to że niemal zawsze kończy się po kilku sekundach. Nie tak jak w filmach, gdzie bohater ma luksus obmyślania strategii, manewrowania i zmagania się przez długie minuty.

Na szczęście, gdy twoje życie jest zagrożone, mózg zaczyna działać. Gdzieś w jego głębi niewielki gruczoł w kształcie migdała nazywany migdałkiem mózdzkowym wysyła sygnał, każąc ciału pompować dopaminę, adrenalinę i kortyzol. Czas jakby zwalnia, wzrok się wyostrza i nagle zaczynasz odbierać więcej bodźców niż normalnie. Neurolodzy nazywają to *tachypsychią*. Wszyscy pozostali zważ to reakcją walki lub ucieczki. Jaskiniowcy, którzy jej nie mieli, zostali zjedzeni przez tygrysy szablastozębne.

Tak więc podjąłem szybką decyzję. Mogłem zostać obezwładniony przez paralizator albo znaleźć się w zasięgu pięści Bondarchuka.

Nie miałem wyboru.

Skoczyłem na olbrzyma i kopnąłem go kolanem w brzuch. Padł na posadzkę, a ja wylądowałem na nim.

Rozległ się głośny huk, a potem dwa metaliczne brzęknięcia, gdy paralizator Burrisa wystrzelił swoje dwie haczykowate sondy w stalowe tylne drzwi defendera. Spóźnił się o ułamek sekundy. Potem rozległ się przeciągły syk, przypominający odgłos smażonych przez przeciwwkomarowe urządzenie owadów, gdy z tasera popłynął ładunek elektryczny.

Burriss zaklął. Nie mógł ponownie użyć paralizatora, dopóki nie zmieni zużytego naboju, co nie było łatwe z jedną sprawną ręką.

Tymczasem Bondarchuk zdołał wstać, podnosząc mnie z sobą, jak podnośnik widłowy. Jednak naprawdę nie zamierzałem dać mu szansy zadania mi następnego ciosu. Kopnąłem go kolanem w podbródek, podrywając jego głowę. Upadł na podłogę, w końcu straciwszy przytomność.

– Poraż go! – usłyszałem. – Poraż go, natychmiast!

Taylor klęczał, usiłując wstać. Za nim Burriss gmerał w kaburze przyczepionej do paska, używając palców zranionej dłoni. Nie sięgał po broń. Szukał nowego naboju do paralizatora. Obaj mężczyźni byli mocno poturbowani, ale żaden nie chciał się poddać.

Motyw zysku zawsze działa.

Przypuszczam, że w tym momencie motywem mojego działania był po prostu gniew. Zdyszany i obolały dźwignąłem się z posadzki, przytrzymując się bocznego lusterka toyoty camry, zaparkowanej koło mojego samochodu.

Jednak to cholerstwo urwało się z metalicznym trzaskiem i o mało nie upadłem na wznak. Wstałem, kopnąłem Taylora w tył głowy i on też stracił przytomność.

Burriss zdołał umieścić nowy nabój w paralizatorze.

Chwyciłem dyndające boczne lusterko camry, oderwałem je, po czym cisnąłem ciężkim chromowanym przedmiotem w Burrisa. Pocisk z głośnym trzaskiem uderzył go w czoło. Burriss zachwiał się, paralizator wyslizgnął się z jego dłoni, a on powoli runął na ziemię jak zwalone drzewo.

Opierając się plecami o drzwi pasażera camry, wziąłem kilka głębokich wdechów. Elastyczne kajdanki leżały porozrzucane na betonie przy stopach Bondarchuka. Podniosłem je. Cztery nylonowe pęta: starczyłyby, żeby spętać mi ręce i nogi, a jeszcze kilka by mu zostało.

Zaledwie minutę później miałem skutą całą trójkę. Domyślałem się, że za kilka minut mogą odzyskać przytomność. Nawet jeśli będą

nieprzytomni dłużej, czemu nie spowolnić ich tak, jak to możliwe?

Jednak kiedy zakładałem kajdanki na nadgarstki Burrisa, odzyskał przytomność. Poruszył głową, jęknął i otworzył oczy. Były szkliste i nabiegłe krwią.

- Duży błąd – powiedział.
- Cześć, Neil. Znowu się spotykamy.
- Myślisz, że to koniec? – wymamrotał.
- Tak – rzekłem. – Tak sądzę.

Nie odpowiedział.

Paralizator leżał na podłodze pomiędzy jego stopami i kusił mnie. Był już naładowany. Zobaczył, na co patrzę.

- Nawet nie... – zaczął.
- Powiedz Koblenzowi, że jeśli chce mnie o coś zapytać, może umówić się ze mną przez moją sekretarkę.
- Masz pojęcie, co ci zrobi Granger? Będziesz błagał o śmierć.
- Nie używałem tego tekstu od lat – rzekłem.

Burris prychnął.

– Jak chcesz. Czy dzieciak powiedział ci, że posikał się w spodnie, kiedy moi kumple odwozili go ze szkoły do domu? Tak, tak słyszałem. Pewnie zbyt się wstydził, aby ci o tym powiedzieć, co?

Nagle paralizator wydał mi się zbyt bezosobowy. Starannie wycelowałem pięścią w niewielkie miejsce za uchem Burrisa, u podstawy czaszki, w skalisty wyrostek nazywany wyrostkiem sutkowym. Wiedziałem, że jeśli nie będę ostrożny, mogę złamać sobie rękę.

Zatem byłem ostrożny. Uderzyłem go mocno i szybko i nie złamałem sobie ręki.

Burris stracił przytomność.

Do jego paska była przypięta karta. Z przodu było na niej wydrukowane zdjęcie Burrisa, razem z nazwiskiem, numerem pracownika i pieczęcią Paladin.

Wiedziałem, że pozostali też mieli przy sobie swoje klucze elektroniczne. Mogli być najemnikami i byłymi komandosami marynarki

wojennej, ale także pracownikami korporacji, i jak wszyscy biurokraci, nigdzie się nie ruszali bez swoich kart kodowych.

Zanotowałem w pamięci ich nazwiska, daty urodzenia i numery pracowników. Sprawdziłem ich portfele i zanotowałem dane z ich praw jazdy. Każdy z nich miał przy sobie niewielki radiotelefon Nextel typu „naciśnij i rozmawiaj”. Nie mieli kluczyków do samochodu. Niczego interesującego.

Wziąłem telefon Taylora, gdyż teoretycznie przywódca powinien mieć najlepszy dostęp do członków zarządu, co by oznaczało, że ma w pamięci swojego aparatu najbardziej użyteczne numery telefonów.

Wyciągnąłem broń spod defendera. Zawsze się przyda.

Jednak najbardziej zainteresowały mnie klucze elektroniczne. Pozwoliłyby mi wejść do budynku. Może nawet do biura Paladin.

Ale zabieranie karty nie wchodziło w grę. Gdyby Koblenz się zorientował, że ją wziąłem, zdezaktywowałiby karty. A ja nie byłem jeszcze gotowy, by ich użyć. Jeszcze nie teraz. Potrzebowałem czasu na przygotowania.

Obejrzałem kartę Taylora, upewniając się, że jest dokładnie taka sama, jakiej używał Stoddard: zbliżeniowa i z polichloru winylu. Wygodne, ale żadna niespodzianka. Ogromna większość firm na świecie posługuje się takimi samymi kartami jak te, których używano w Paladin. Była wielkości karty kredytowej, zadrukowanej jednostronnie. Właściwie przypominała kanapkę: warstwa PCW, potem druga zawierająca zwój anteny i zintegrowany elektroniczny chip, następnie kolejna warstwa polichloru winylu z podklejką zaprojektowaną do zadrukowania na drukarce firmy.

Większość firm utylizuje klucze elektroniczne – po prostu przeprogramuje, zrywa naklejkę i przykleja nową. Nietrudno było zdjąć górną warstwę z karty Taylora, gdy podważyłem ją paznokciem. W kilka minut zamieniłem jego zdjęcie na moje. W ten sposób nie zorientują się, że zabrałem jedną z ich kart wejściowych. Karta Taylora nie będzie działała, ale to ich zbytnio nie zmartwi. Może została zniszczona podczas bójki.

Tak czy inaczej, Taylor i jego koledzy mieli większe zmartwienia niż nie działająca karta.

Wsiadłem do samochodu i wyjechałem z garażu, a jadąc, do kogoś zatelefonowałem.

67.

Leland Gifford, który ledwo potrafił obsługiwać komputer, stał się uzależniony od BlackBerry. Nigdzie się bez niego nie ruszał.

Chociaż to nie całkiem było prawdą. Nigdy nie opuszczał bez niego budynku. Kiedy był w budynku, zazwyczaj zostawiał go w swoim gabinecie.

W tym momencie Leland był na zebraniu w sprawie budżetu z dyrektorem do spraw finansowych i przedstawicielami firmy konsultingowej, w dyrektorskiej sali konferencyjnej w głębi korytarza. Jego BlackBerry pozostał na swoim zwykłym miejscu w gabinecie.

Zazwyczaj Lauren wchodziła do gabinetu Lelanda tylko po to, aby położyć na jego biurku notatki lub akta. Nie lubił, gdy zbyt często zjawiała się w jego gabinecie, co było zrozumiałe. Chciał odrobiny prywatności.

Noreen pisała coś na klawiaturze przy swoim biurku. Lauren zerknęła na nią, po czym wstała i poszła szybko do gabinetu Lelanda.

Serce mocno biło jej w piersi.

Wiedziała, że zaraz zdradzi człowieka, którego bardzo kochała. Jednak wiedziała również, że nie ma innego wyjścia. Jeśli chciała ocalić swoją rodzinę – ocalić życie Rogera, ochronić Gabe'a – musiała to zrobić.

W życiu trzeba czasem dokonać strasznych wyborów, a ona w końcu musiała dokonać swoich. Jej najbliższa rodzina czy przyjaciele z pracy.

Gdyby ktoś ją zobaczył, nie dostrzegłby niczego podejrzanego. Wchodziła do gabinetu szefa. Jednak mimo woli była nieco zdenerwowana.

Jego BlackBerry nie leżał tam gdzie zwykle, po lewej stronie biurka.

– Może przynieść ci kanapkę?

Noreen stała w drzwiach, z rękoma splecionymi na obfitym biuście.

– Byłoby wspaniale.

Idź, pomyślała Lauren. Tylko zostaw mnie samą.

– Taką jak zwykle? Indyk z pieprzem na chlebie pszennym, z musztardą i sałatą, bez sera i majonezu?

– Dokładnie. Dzięki. – Lauren uśmiechnęła się, obejrzała biurko Lelanda, skupiona i bardzo, bardzo zajęta. Poprawiła stos teczek. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Noreen nadal tam stoi.

Noreen uśmiechnęła się w odpowiedzi, wyraźnie mając ochotę coś powiedzieć, a potem odwróciła się i wyszła.

Lauren czekała, aż usłyszy trzask zamykanych szklanych drzwi sekretariatu.

Na podłodze obok biurka, po drugiej stronie, Leland zostawił swoją teczkę. Sfatygowaną starą dyplomatkę z hiszpańskiej skóry, odziedziczoną po ojcu.

Uniosła klapę teczki i znalazła BlackBerry Lelanda w jednej z kieszeni z przodu.

Wyjęła aparat.

Powiedziała sobie, że tylko coś sprawdza.

Zaschło jej w ustach.

Do tego czasu Noreen pewnie już stała w jadalni na dole, czekając w kolejce po kanapki. Leland był na zebraniu w sprawie budżetu. Lauren spojrzała na zegarek. To spotkanie potrwa jeszcze przynajmniej dwadzieścia minut.

Włączyła BlackBerry Lelanda. Pojawił się ekran T-Mobile, a potem informacja KLAWIATURA ZABLOKOWANA.

Od kiedy to Leland zabezpieczał hasłem swojego BlackBerry?

Wybrała ODBLOKIJ.

WPISZ HASŁO.

Zawahała się. Wpisała hasło, którym zabezpieczał swoje służbowe konto pocztowe. Pomogła mu wymyślić coś, co zdołał zapamiętać: Don17. Od jego ulubionego gracza Dallas Cowboys, Dona Mereditha, popularnego w latach sześćdziesiątych zawodnika rozgrywającego, który nosił ten numer na koszulce.

BŁĘDNE HASŁO!

Kliknęła OKAY, a potem pojawiła się informacja: WPISZ HASŁO (2/10).

Oznaczało to drugą próbę z dziesięciu. Co się stanie po dziesiątej próbie?

Spróbowała ponownie, wpisując „DannyDon17”.

BŁĘDNE HASŁO!

Co to było? Spróbowała kilka innych wariacji Dona Mereditha, ale nadal otrzymywała BŁĘDNE HASŁO!

Przy piątej próbie urządzenie kazało jej wpisać słowo „blackberry”, aby próbować dalej. Zrobiła to, a potem wypróbowała inne hasła. Imię córki Lelanda. Imię jego żony. Datę jego urodzin. Rok urodzenia.

Przed dziesiątą próbą pojawiło się ostrzeżenie. Jeszcze jedno niewłaściwie wprowadzone hasło i pamięć urządzenia zostanie wykasowana.

– Dzisiaj nie było kolejki.

Za nią stała Noreen. Wręczyła Lauren kanapkę zapakowaną w brązowe opakowanie na produkty spożywcze, utylizowalne i bezchlorowe.

– To BlackBerry Lelanda, zgadza się?

Lauren poczuła pustkę w brzuchu. Ze znużoną miną spojrzała na Noreen.

– Och, tak – powiedziała ze zniechęconym westchnieniem. – Jeśli jeszcze raz poprosi mnie o zainstalowanie oprogramowania... – Zamilkła. – Tak czy inaczej, dzięki.

– Nie ma za co – rzekła Noreen, z podejrzliwym błyskiem w oczach. – Zawsze do usług.

68.

W moim mieszkaniu zalegała warstwa kurzu i unosił się w nim ten zatęchły zapach zamkniętych pomieszczeń, ponieważ z powodu podróży i pobytu w domu Lauren niemal nie bywałem tam przez kilka tygodni. Jednak było dogodnym centrum dowodzenia. Merlin wziął wolne popołudnie – jego szef nie miał nic przeciwko temu, ponieważ był słaby ruch w interesie – i tym razem nalegałem, żeby przyjął zapłatę. Obmyśliliśmy plan, sporządziliśmy listę zakupów, a potem się rozdzieliliśmy. Trochę przypominało to polowanie na okazje. Kilka telefonów komórkowych na kartę. Laserowy wskaźnik ze sklepu z artykułami biurowymi. Ze sklepu elektrotechnicznego kilka żarówek, parę torebek gipsu modelarskiego, trochę kabla telefonicznego. Ze sklepu z artykułami motoryzacyjnymi aluminium w proszku, które jest wykorzystywane do uszczelniania przeciekających chłodziw. Z supermarketu kilka dwupółkilogramowych torebek z granulowanym cukrem oraz olej roślinny. Trzy kominiarki narciarskie ze sklepu sportowego. Ze sklepu z zabawkami Super Soaker – ciśnieniowy pistolet na wodę.

Resztę ekwipunku stanowiły rzeczy, które Merlin miał w swoim domowym garażu.

Z łatwością był w stanie znaleźć białe świece dymne w sklepie z bronią. Najtrudniejszy do znalezienia okazał się chloran potasu. To jeden z tych chemikaliów, których obrót rząd Stanów Zjednoczonych

stara się kontrolować, szczególnie po jedenastym września, jednak Merlin zdołał znaleźć kilka zakurzonych worków w centrum ogrodniczym, gdzie sprzedawano go jako środek chwastobójczy.

Piętnaście minut po północy stałem znowu przy biurowcu na Leesburg Pike w Falls Church.

Dziesięciopiętrowy budynek był prawie całkiem ciemny, ale niezupełnie. W kilku oknach jeszcze paliły się światła, chociaż nie na szóstym piętrze. Biuro Paladin Worldwide w Wirginii było czynne od dziewiątej do piątej.

Zająłem pozycję na tyłach zachodniego skrzydła budynku – jedną nogą odwróconego V – w miejscu, które wybrałem wcześniej tego dnia. Wiedziałem, że tam za rzędem rozmieszczonych w idealnych odstępach drzew, które posadzono, aby dać lokatorom budynku złudzenie lasu, nie zostaną zauważony, gdyby ktoś przypadkiem spojrzął przez okno. Chociaż o tej porze w nocy niepodobna, aby ktoś tam był.

Zwierciadlana niebieska tafla budynku wydawała się czarna i matowa w blasku księżyca. Tylko odrobinę rozjaśniała ją światło odległych latarni ulicznych. Wiatr wył, niosąc rzadkie krople deszczu. Spojrzałem w górę. Niebo było czarne, mroczne i groźne. Wyglądało na to, że naprawdę w każdej chwili może zacząć padać.

W środku nocy było tu znacznie ciszej niż za dnia, gdy ani na chwilę nie cichł głośny szum ulicznego ruchu na Leesburg Pike. Teraz tylko sporadycznie słychać było warkot motocykla lub głuchy pomruk ciężarówki.

Spojrzałem na zegarek, rozpiąłem nylonowy worek marynarski i wyciągnąłem małą czarną kulę, miękką i elastyczną.

Piłka relaksująca. Wielkości zbliżonej do piłeczki do bejsbolu. Lycra na półstałym żelu. Najwyraźniej ściskanie małej piłki pomagało pracownikom biurowym uśmierzyć napięcie po dniu pracy.

Rzuciłem ją łukiem w okno pierwszego piętra. Była dostatecznie ciężka, aby przy uderzeniu w szybę rozległ się głuchy łoskot, ale nie aż tak ciężka, by ją zbić.

Potem cisnąłem kolejną, trzecią i czwartą. Wszystkie w to samo okno.

Kilka sekund później usłyszałem przerywane wycie syreny, sygnał alarmowy wysyłany przez kilka głośników w środku i na zewnątrz. Okna budynku były podłączone do czujników antywłamaniowych. Te wykrywały specyficzne częstotliwości drgań powstających przy rozbijaniu szkła – albo po prostu przez wstrząsy spowodowane silnym uderzeniem, które jednak nie rozbiło szyby.

Ponownie spojrzałem na zegarek, a potem przeszedłem się do defendera, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, skąd miałem dobry widok na główne wejście do budynku. Wsiadłem do wozu i czekałem.

Strażnik pojawił się dziewięć minut później.

Wysiadł z firmowego pojazdu, którym był hyundai sonata z emblematem firmy na boku. Gość w średnim wieku, z włosami zaczesanymi w górę, aby ukryć łysinę, o czerwonej od ginu twarzy. Nosił niebieski mundur. Był uzbrojony tylko w walkie-talkie. Sądząc po wyglądzie, emerytowany gliniarz, co oznaczało, że robi wszystko według podręcznika.

I tak zrobił.

Włączył latarkę i obszedł wokół budynek, świecąc latarką po jego szklanej powierzchni, szukając wybitego okna lub śladów jakichkolwiek intruzów. Większość biurowców nie ma czujników antywłamaniowych w oknach powyżej pierwszego piętra, zgodnie z teorią, że nikt nie będzie wybijał umieszczonego tak wysoko okna, żeby spróbować przez nie wejść.

Musiał więc tylko sprawdzić okna na parterze i pierwszym piętrze, co nie zajęło mu dużo czasu. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że żadne okno nie zostało wybite, rozluźnił się. Zrozumiał, że nie ma do czynienia z włamaniem ani nawet wypadkiem, ale jakąś techniczną usterką. Doszedł do wniosku, że coś uruchomiło czujnik antywłamaniowy. Zbłąkany podmuch wiatru. Albo wadliwa rama okienna. Może zbadałby sprawę dokładniej, ale nie miał do tego serca.

Zakończył pobieżną kontrolę terenu wokół budynku w sześć minut, czyli później, niż się spodziewałem. Był skrupulatniejszy, niż musiał. Z całą pewnością emerytowany gliniarz. Wielu strażników, którzy nie byli w policji, ograniczyliby wysiłek do minimum. Ten gość robił więcej, niż musiał. Wykonywał swoją pracę. Podobało mi się to.

Ponadto bardzo mi to pomogło. Gdyby ograniczył oględziny tylko do szybkiego spacerku wokół budynku, byłbym ugotowany.

Jednak on tego nie zrobił. Ponownie przeszedł na przód budynku, wodząc przed sobą strumieniem światła. Wziął klucz z dużego kółka przy pasku i otworzył drzwi po lewej stronie drzwi obrotowych.

Patrzyłem, jak znika w holu. Prawdopodobnie zmierzał na drugie piętro, idąc po schodach lub wjeżdżając windą, aby dokładniej zbadać sprawę. Jednak mowa jego ciała powiedziała mi, że już doszedł do wniosku, iż nie dokonano tu żadnego przestępstwa.

Nie zaniknął za sobą drzwi.

Nie sądziłem, że zamknie – to taki szczegół, o którym większość ludzi, nawet strażników, nie pamięta – ale gdyby je zamknął, wtedy przeszedłbym do planu B. Czyli zacząłbym, aż wyjdzie i wróci na posterunek, po czym rzuciłbym w okno następne piłki relaksujące.

A on wróciłby, zirytowany, że odrywają go od książki, gazety lub telewizyjnego show, i znowu sprawdziliby teren, tym razem bardziej pobieżnie. Nabraliby przekonania, że w systemie jest jakaś mechaniczna usterka. W końcu, po dwóch czy trzech wezwaniach, zostałyby za sobą otwarte drzwi. Zawsze to robią.

Jednak właśnie zaoszczędził mi półgodzinnego lub dłuższego oczekiwania.

Przejechałem defenderem na tył budynku, wysiadłem i przeszedłem przez ten wąski pas trawnika, który moim zdaniem był poza zasięgiem kamer zainstalowanych po tej stronie budynku. Zawsze są ślepe punkty.

Doszedłem do południowo-zachodniego rogu budynku, po czym – nie mając innego wyjścia – zaryzykowałem i na moment wszedłem

w pole widzenia kamer, podchodząc do budynku i wślizgując się do niego przez niezamknięte drzwi.

Oczywiście, gdyby to było za dnia, karta Paladin, którą zabrałem Donowi Taylorowi – a ściśle mówiąc, zamieniłem – zapewniłaby mi dostęp zarówno do budynku, jak i do siedziby Paladin na szóstym piętrze. Jednak wtedy biuro Paladin nie byłoby puste. I mój plan by nie wypalił.

Dlatego obmyśliłem inny plan, który wymagał pomocy moich przyjaciół, długiej listy zakupów oraz ostrożnego, skoordynowanego wykonania.

I jeszcze jednej rzeczy, której nie możesz kupić, zaplanować czy wyłudzić. Tej jednej, na której nigdy nie możesz polegać.

Szczęścia.

69.

Fortuna mi sprzyjała i musiałem ukrywać się w magazynku gospodarczym w holu tylko przez czternaście minut. Pomieszczenie było niskie i ciasne, a zapach stęchłego mokrego mopa i mocnych środków czyszczących obezwładniający. Usłyszałem sygnał drzwi windy, a potem szmer, z jakim się otworzyły. Szum walkie-talkie strażnika. Stukanie jego obcasów o marmurowe kafelki, kiedy szedł do wyjścia.

Odczekałem jeszcze dziesięć minut. Nie mogłem usłyszeć dźwięku uruchamianego silnika, nie z tej odległości. Jednak kiedy wyłoniłem się z ukrycia, samochodu strażnika już nie było.

Niczego nie znalazł. Będzie za to winił usterkę techniczną, zmorę naszej egzystencji. Wykonał swoją pracę, przysłużył mi się i już nie wróci.

Potem wcisnąłem zaprogramowany numer w swojej komórce.

Trzy minuty później otworzyłem boczne drzwi Dorothy i Merlinowi.

- Oto Drużyna A – powiedziałem.
- Domyślałem się, że to czyni ze mnie Mr. T – rzekła Dorothy.
- Czy ten serial nie był wyświetlany trochę przed twoimi czasami, Dorothy? – zapytałem.
- Kochany, daj spokój, oglądałam powtórki.
- Nigdy tego nie widziałem – rzucił Merlin, jak w transie. Taszczył parę zielonych materiałopodobnych ekologicznych toreb na zakupy z

Whole Foods, w których znajdowały się naprędce zmontowane przez nas urządzenia.

Umieściłem jedno z nich w męskiej ubikacji w holu, gdzie nie było widoczne przez szklane drzwi wejściowe budynku. Potem poprowadziłem Dorothy i Merlina przez hol do schodów przeciwpożarowych z tyłu. Drzwi nie były zamknięte.

Każde piętro było oczywiście dostępne z wnętrza klatki schodowej – tak nakazywały przepisy przeciwpożarowe – więc mogłem złożyć krótką wizytę na pierwszym piętrze i podrzucić drugie urządzenie. Kiedy wróciłem na klatkę, zauważyłem, że Merlin ma jeszcze bardziej ponurą minę, i postanowiłem coś powiedzieć.

– Zaczynasz mieć wątpliwości.

Kiwnął głową.

– Za późno. – Posłałem mu stalowe spojrzenie, a on odpowiedział mi takim samym. Potem uśmiechnąłem się półgębkiem i dodałem: – Posłuchaj, Merlin. Tu nie ma żadnych gwarancji. Mamy solidny plan akcji i odwrotu, ale w pewnej chwili musimy liczyć na szczęście.

– Nigdy nie wierzyłem w szczęście – mruknął.

Klatka schodowa była ciemna i pusta, a jego słowa odbiły się głuchym echem.

– Myślę, że szczęście jest niezbędne. Zgadzam się, że nigdy nie możesz na nie liczyć. Jednak nie mamy wielkiego wyboru. Wycofaj się, jeśli chcesz. Zrozumiem to.

Staliśmy w ciszy przez prawie minutę. Dorothy patrzyła to na Merlina, to na mnie i czekała.

– Chcę, żeby jedno było zupełnie jasne – powiedział w końcu. – Nie robię tego dla ciebie ani dla twojego brata, czy dla jakiejś zemsty, jeśli o nią ci chodzi. Robię to dlatego, że nienawidzę wszystkiego, co reprezentuje Paladin.

– W porządku – rzekłem.

– To tak dla jasności – dodał.

Odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach, a Dorothy i ja ruszyliśmy za nim.

Posłała mi ukradkowy uśmiech.

– Ile pięter?

– Idziemy na szóste – rzekłem.

– Czemu, do diabła, nie mogliśmy pojechać windą?

Narzekła dla samego narzekania. Wiedziała, że schody znajdują się na końcu holu najdalej od kamery Paladin, która była wycelowana w windy.

Ani Merlin, ani ja nie mówiliśmy nic, idąc na górę.

– Przez tydzień nie będę chodziła na siłownię – wymamrotała Dorothy, ciężko dysząc.

– Problem w tym, że polegamy na twoich obserwacjach z jednego szybkiego obchodu – zauważył Merlin. – Nie miałeś okazji dostać się tam i dobrze rozejrzeć. Naprawdę nie wiemy, jakie mają tam zabezpieczenia.

Miał rację. Wiedzieliśmy tylko to, co zobaczyłem. Przy drzwiach do biur Paladin nie było klawiatur zamków szyfrowych, dzięki czemu sprzątacze mogli wchodzić tam w nocy. Spodziewałem się, że karta Dona Taylora pozwoli nam dostać się do środka.

Naturalnie zakładając, że Carl Koblenz nie ogłosił najwyższego stopnia alarmu, kiedy odkrył, że trzech z jego zawodowców zostało załatwionych przez faceta, którego umiejętności w zakresie sztuk walki zapewne uważał za cholernie zardzewiałe. Miałem nadzieję i zakładałem, że przemyślał to i zdecydował, iż moja reakcja była zwykłym, zrozumiałym instynktem samozachowawczym. Nie chciałem zostać pojmany i przesłuchany przez trzech złych facetów. Kto mógłby mnie za to winić?

Nie pomyślał, żeby sprawdzić elektroniczne klucze tych facetów, aby zobaczyć, czy ktoś przy nich nie majstrował. Nie zamierzał ich dezaktywować. Tego byłem pewny. Nigdy nie spodziewałby się, że wrócę w środku nocy.

Przynajmniej tak sądziłem. I tak czy owak, niedługo się przekonamy, czy słusznie.

Jedynym urządzeniem alarmowym wydawała się kamera zainstalowana w holu nad głównym wejściem do ich biura, nieruchoma, a nie

obracająca się horyzontalnie. Kolejna taka była w środku, w recepcji. Innych nie zauważyłem. Może monitorowali ich obraz na żywo, ale to mało prawdopodobne. Byłaby to przesadna ostrożność w wypadku biur, które zajmowały się głównie sprawami administracyjnymi. Wykonywałem robótki w siedzibach korporacji, które miały ponad dwieście kamer bezpieczeństwa i najwyżej trzy monitory. Monitorowanie na żywo w nocy, w wypadku takiego małego biura jak to, było prawie niespotykane.

Stanęliśmy przy drzwiach na szóste piętro. Przesunąłem rygiel i uchyliłem je na szerokość dwóch lub trzech centymetrów. Wystarczająco, by się upewnić, że nie są zamknięte od środka.

– Nie będę się z tobą spierał – powiedziałem. – Działamy po omacku. Będziesz po prostu musiał się na mnie zdać.

Merlin westchnął, długo i głośno.

Dorothy wydała z siebie sarkastyczny pomruk.

– W takim razie wszyscy jesteście ugotowani – rzekła.

70.

Merlin pierwszy przeszedł przez drzwi. Miał na głowie czarną kominiarkę, w której wyglądał jak rabuś małomiasteczkowych banków. Szybko znalazł kamerę monitoringu, zainstalowaną na ścianie przed biurem Paladin, a potem starannie wycelował laserowy wskaźnik w jej obiektyw. Cieniutki promień lasera ogłupił czujnik kamery, czasowo ją oślepiając, tak że widziała tylko niewyraźną białą plamę.

Pewnie trzymając wskaźnik wycelowany w obiektyw kamery, szedł powoli w kierunku mahoniowych drzwi wejściowych Paladin. Dorothy i ja szliśmy za nim. Wyciągnąłem z marynarskiego worka pistolet na wodę, około dwudziestu razy poruszyłem pompką, żeby zwiększyć ciśnienie, a potem wycelowałem w obiektyw kamery. Trysnęła cienka strużka płynu: mieszanka oleju roślinnego i wody. Pokryła obiektyw mętną warstewką, która będzie rozmazywała obraz, dopóki ktoś jej nie usunie. Nawet jeśli ktoś na żywo monitorował podgląd, choć było to bardzo mało prawdopodobne, winiłby kamerę. Merlin opuścił wskaźnik laserowy i szedł dalej.

Przesunąłem kartę Paladin przez czytnik i usłyszałem kliknięcie. Drzwi były otwarte. Merlin przygotował laserowy wskaźnik, który trzymał w prawej ręce, a drugą włączył latarkę na diody LED. Potem ja uchyliłem drzwi na centymetr.

- Gdzie, do diabła... – zaczął Merlin.
- Na dziesiątej godzinie – odpowiedziałem.

– Jak wysoko?

Zamknąłem oczy, przywołałem z pamięci hol Paladin.

– Mniej więcej trzy metry.

– Mniej więcej mi nie wystarczy.

– Masz na głowie kominiarkę.

Wzruszył ramionami i wszedł do ciemnego biura. Stał na szeroko rozstawionych nogach i skierował strumień światła w stronę recepcji. Potem uniósł laserowy wskaźnik i odczekał kilka sekund.

– W porządku.

Weszliśmy za nim i tę kamerę też spryskałem olejem. Merlin oświetlał ściany latarką, pospiesznie oglądając pomieszczenie.

– Detektory ruchu?

– Nie – rzekłem.

– Jesteś pewny?

– Nie.

– Wspaniale – powiedziała Dorothy.

– Mało prawdopodobne – rzekłem. – Sprzątający budynek zapewne przychodzi tu w nocy.

– Mało prawdopodobne – powtórzył Merlin. – Zapewne.

Opuścił strumień światła latarki na podłogę.

– Życie to ryzyko – zauważyłem.

– Szczególnie przy tobie – rzekła Dorothy. – Skończyliśmy tu?

Biorę się do roboty.

Przytaknąłem i wręczyłem jej latarkę, a swoją oświetliłem podłogę do następnego pokoju, drogę do okna. Po ciemku biura Paladin wydawały się dużo mniejsze. Opuściłem żaluzje, zaczynając od okna po lewej. Potem zaprowadziłem Dorothy do biurka, gdzie zwykle siedziała sekretarka Koblenza, Eleanor Appleby.

Tymczasem Merlin zajął się swoim sprzętem, szukając błędnych mikrofal, mogących wskazywać na obecność radarowych czujników ruchu, i włączając detektor fal radiowych, aby wykryć ukryte kamery.

– Czysto? – zapytałem.

– Jak do tej pory.

Dorothy cicho syknęła i podszedłem do niej, świecąc latarką. Siedziała przy komputerze Eleanor Appleby i wyglądała na sfrustrowaną.

– Przepięli tu środki ostrożności – powiedziała. – Wylogowani.

– Sprawdziłaś tam, gdzie zawsze? – zapytał Merlin.

– Masz na myśli kartkę przyklejaną w środkowej szufladzie? Tak, sprawdziłam, ale nic tam nie ma. Co jest nie tak z tymi ludźmi?

– Możesz złamać hasło? – zapytałem ją.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebym siedziała tutaj do rana, to może mi się uda. Jednak będę potrzebowała dzbanka kawy.

– Może to niezbyt dobry pomysł – rzekłem.

– To oznacza, że nie mogę zainstalować żadnego oprogramowania szpiegowskiego. Jednak może to i dobrze. W takim miejscu jak to prawdopodobnie mają oprogramowanie antywirusowe, które by je wykryło.

– Co teraz?

– Jestem bezradna.

Co za rozczarowanie. Jeśli chcieliśmy zdobyć któreś z haseł Eleanor Appleby, musieliśmy umieścić jakieś urządzenie podsłuchowe w jej komputerze.

– Co powiesz na kawałek sprzętu? – zapytał Merlin. Przyniósł z sobą kilka różnych rejestratorów haseł: plastikowe urządzenia, podobne do jednego z tych łączników, które możesz, lub nie, zobaczyć w płątaninie kabli za twoim komputerem.

– Nic z tego – powiedziała Dorothy. Wskazała na tył komputera sekretarki. – Utrudniają nam życie. Popatrz na to.

Skierowałem latarkę na tył komputera i zobaczyłem gładkie drewno.

– Co tu widzisz?

– Wszystkie kable komputera są schowane w biurku, aby nikt nie mógł przy nich majstrować.

– To wyklucza również rejestrator haseł – rzekłem.

– Nie – powiedział Merlin. – To po prostu oznacza plan C. Moduł klawiaturowy.

Był to kolejny mały elektroniczny komponent, który Merlin przyniósł z sobą, a który instaluje się wewnątrz klawiatury. Jeszcze trudniejszy do wykrycia niż dodatkowy łącznik, ale wymagający dużo więcej czasu na zainstalowanie. Położył swoją torbę na biurku Eleanor.

– Dorothy, potrafisz to zainstalować? – spytałem.

– Pewnie, jak pokombinuję – odpowiedziała. – Chociaż Walter może zrobić to szybciej.

– Szybciej i lepiej – rzekł Merlin – ale mam co innego do roboty.

– W takim razie musisz się z tym pogodzić – warknęła Dorothy.

Sięgnęła po torbę Merlina i wyjęła z niej karbowane narzędzie, śrubokręt oraz tubkę superglue. Przewróciła klawiaturę i zaczęła wykręcać z niej miniaturowe śrubki.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedział Merlin – że to oznacza, iż za dzień lub dwa będziesz musiał tutaj wrócić i odzyskać ten gadżet, prawda?

– My będziemy musieli – rzekłem.

– Zatem naprawdę powinieneś mieć nadzieję, że nic złego się dzisiaj nie wydarzy – burknął.

Skinąłem głową.

– Obyśmy mieli szczęście.

Dotarłem do biura Koblenza, powoli przekręciłem gałkę i otworzyłem drzwi. Merlin szedł tuż za mną, niosąc drugą torbę pełną sprzętu.

Obejrzałem się na niego.

– Nie wykryłeś tutaj żadnych detektorów ruchu, zgadza się?

– Niczego działającego na mikrofalach – rzekł. – Nie wykryję pasywnej podczerwieni.

– Sądzisz, że może tu mieć coś na podczerwień?

Merlin szybko omiótł gabinet światłem latarki, zobaczył nieskazitelnie czyste biurko i idealnie równe sterty papierów na szafce za nim.

– Nie. Jest zbyt uporządkowany.

Koblencz w swoim gabinecie nie miał żadnego wykrywacza ruchu, chyba że sprzątacze otrzymali polecenie, żeby nie sprzątać jego biura. Zgadzałem się z Merlinem: Koblencz wyglądał na pedantycznego faceta, takiego, który chce, aby jego dywan był co noc odkurzany, a kosz opróżniany. I chociaż to było możliwe, wątpilem, by jego sekretarka sprzątała mu biuro.

Merlin westchnął.

– To TL-trzydzieści X sześć.

– Myślałem, że to Diebold.

– Ta sama klasa. To najbezpieczniejszy sejf, jaki produkują. I z elektronicznym zamkiem. Och, człowieku.

– Przecież ci mówiłem.

– Tak – rzekł.

– Zgadza się?

– Powiedziałeś: elektroniczny zamek. Nie wiedziałem, że to jest TL-trzydzieści X sześć.

– Nie podoba mi się twój ton, Merlin. Brzmi bardzo pesymistycznie. Może nawet defetystycznie.

– Heller, posłuchaj. Przyniosłem z sobą diamentowe wiertła do rozwiercania sejfów. Jednak przewiercenie czegoś takiego to co najmniej pięć godzin roboty. To cacko jest zrobione ze stali o grubości czterech centymetrów i węglowo-kobaltowym składzie, rozumiesz?

– Jeśli tak mówisz.

– A wewnątrz są płytki hartowanego szkła, zainstalowane tak, żeby się rozbiły, kiedy uderzy w nie wiertło. Uruchamiają dodatkowy mechanizm blokujący, którego nie otworzy nawet właściwy szyfr.

– Merlin – powiedziałem – rozumiem cię. Sądzę, że zmienimy twoje imię na Kłapouchy. A teraz może spróbujemy klawiatury? Wolę niedestruktywne podejście.

Posłał mi spojrzenie mówiące, że właśnie taki miał plan.

Sejf miał na przedniej ścianie elektroniczną klawiaturę: dziewięć cyfr na czarnych klawiszach, wstawionych w czarnym okrągłym

pokrętle ze świecą czerwoną diodą na górze. Zamiast kręcić pokrętle, wprowadzasz odpowiednią kombinację.

Merlin ukląkł przed sejfem, wyciągnął mały słoik oraz pędzel i zaczął posypywać klawiaturę białym proszkiem do daktyloskopii. Kiedy oświetlił ją strumieniem światła latarki, zauważyłem wyraźne odciski palców tylko na czterech klawiszach: 3, 5, 9 i ENTER.

– To jakiś początek – powiedziałem. – To ogranicza nas do trzech cyfr.

– To jest sześciocyfrowa kombinacja trójki, piątki i dziewiątki – rzekł Merlin. – Jak wiele permutacji i to daje? Coś koło miliona?

– Mniej, Kłapouniu.

– Niewiele mniej. Tak czy inaczej, mamy cztery próby, zanim włączy się tryb karny.

– A wtedy?

– Pięciominutowa blokada, zanim będziemy mogli znowu spróbować.

– Zatem miejmy nadzieję, że odgadniemy prawidłowo. Co z kombinacją dostarczaną przez producenta?

– To jeden-dwa-trzy-cztery-pięć-sześć.

– W takim razie to nie to. Będziesz musiał po prostu próbować losowo.

Z tego, co wiedziałem, nie było sześciocyfrowych numerów mających oczywisty związek z Koblenzem – numer jego domu składał się z czterech cyfr, numer biurowca z pięciu, a numer apartamentu z trzech.

– Racja. Wspaniale. – Z sykiem wciągnął powietrze. – W porządku, zaczynam.

Wprowadził jedną sekwencję. I nic się nie stało.

– Spróbuj ponownie – powiedziałem.

Wprowadził drugą.

Nic.

I trzeci raz. Nic.

Merlin zacisnął zęby i wpisał kolejną sekwencję.

Wtedy coś się zdarzyło. Jednak nie to, czego chcieliśmy. Zapaliło się czerwone światelko diody LED. Włączyło się, a potem wyłączyło, z dziesięciosekundową przerwą między błyskami.

- Cholera – powiedział. – Teraz musimy czekać pięć minut.
- Nie. Spróbuj zewrzeć obwód.

Wzruszył ramionami, zrobił zgryźliwą minę i wykręcił klawiaturę z drzwi sejfu. Musi być łatwo zdejmowalna, żeby można było wymieniać baterie. Nacisnął kilka zatrzasków, uwalniając plastikową pokrywę, a potem wyciągnął kauczukową membranę. Ukazała się płytką montażowa i rząd ośmiu małych metalowych słupków.

Merlin wyjął z torby dziewięciowoltową baterię i przypiął ją do dwóch przewodów. Koniec jednego przytknął do pierwszego słupka z lewej. Gdy drugim przewodem dotknął prawego słupka, usłyszeliśmy skwierczenie i poczuliśmy zapach palących się elektronicznych komponentów.

I nic poza tym. Zamek się nie otworzył.

- Stało się – powiedział Merlin. – Jesteśmy załatwieni.
- Spróbuj wiertła.
- Sądziłem, że chcesz zrobić to niedestruktywnie.
- Chcę mieć tę kartę – rzekłem. – W tym momencie chcę ją zdobyć, obojętnie w jaki sposób.
- Gdybyś powiedział mi to wcześniej, mógłbym przynieść z sobą termiczną lancę.
- Skąd, z rekwizytorni *Ocean's Eleven!*
- Nie, człowieku, naprawdę istnieje takie urządzenie. Tnie beton, pręty zbrojeniowe i wszystko. Tyle że jest wielkie i potrzebny jest namiot tlenowy.

Już miałem mu powiedzieć, żeby jednak spróbował wiertła mimo niewielkich szans powodzenia, gdy w mrokach gabinetu Koblenza zamrugało do mnie małe czerwone światelko znajdujące się wysoko na ścianie, tuż pod sufitem.

- Widzisz to mrugające światelko? – zapytałem.
- Tak – powiedział niecierpliwie Merlin. – Mówiłem ci, to światelko trybu karnego. Oznacza, że musimy zaczekać pięć minut.

- Nie to. Tam na górze. – Wskazałem na ścianę.
Spojrzał w górę.
Zobaczył mrugające czerwone światełko.
- Niech to szlag, Heller.
- Co?
- PIR. Pasywna podczerwień. Wykrywacz ruchu.
- Musimy się stąd wynosić – rzucił, podnosząc głos.
- Co się dzieje?! – zawołała Dorothy zza biurka na zewnątrz.
- Właśnie uruchomiliśmy alarm – rzekłem.

71.

– Jego ludzie są już pewnie w drodze – powiedział Merlin.
– Och, dobry Boże – jęknęła Dorothy.
– Ruszajcie się – rozkazał Merlin. – Chodźmy. Założę się, że pojawią się tu najdalej za dziesięć minut. Niech to szlag!

– Nie – zaprotestowałem. – Nie odejdziemy stąd z niczym. Dorothy, ile jeszcze czasu potrzebujesz?

– Nie wiem... trzy, cztery minuty. Nie mogę tego przyspieszyć.

– Nie spiesz się – powiedziałem. – Włóż ten gadżet do środka i posprzątaj po sobie, żeby nie zauważyli, że tu byliśmy.

Omiotłem strumieniem światła latarki gabinet Koblenza i zobaczyłem system wentylacyjny wbudowany pod oknami. Podbiegłem do niego i otworzyłem panel sterowania.

– Co ty, do cholery, robisz? – zapytał Merlin. Pot spływał mu z czoła. – Wynośmy się stąd w cholerę.

– Uspokój się – powiedziałem. – Właśnie po to mamy plan awaryjny.

Klimatyzacja wyłączała się na noc w ramach oszczędności, ale włączyłem ją z powrotem i ustawiłem wentylator na pełny podmuch. Potem ustawiłem żaluzje z przodu urządzenia tak, aby powietrze dmuchało pod kątem, rozrzucając papiery znajdujące się na szafkach na akta i na stoliku. Na stoliku stało duże drzewko kauczukowe i mniejsze drzewko szczęścia. Przewróciłem to drugie. Plastikowa

doniczka poleciała w jedną stronę, a roślina wraz z kępką ziemi w drugą. Potem wziąłem stos papierów ze stolika i rozrzuciłem część z nich po podłodze.

– Co, do cholery? – zapytał Merlin.

– Tworzę wiarygodne wyjaśnienie – powiedziałem.

W rzeczywistości podmuch powietrza pewnie nie byłby na tyle silny, aby przewrócić drzewko, ale Koblenz prawdopodobnie zaakceptuje takie wytłumaczenie. Szczególnie że niczego nie ukradziono. Skupi się na prawdziwej anomalii, jaką jest samoistne włączenie się klimatyzacji w środku nocy. Jednak uzna to za awarię wentylacji w budynku. Ludzie zawsze obwiniają technologię.

Wyciągnąłem cztery telefony jednorazowe i odnalazłem ten, który oznaczyłem pisakiem dużym numerem „1”.

– W porządku – powiedziałem. – Zaczynamy. – Wcisnąłem zaprogramowany numer w pierwszym telefonie.

Nie mogłem od razu dostrzec rezultatu. Nie potrzebowałem tego. Urządzenia zapalające, które położyliśmy, były prymitywne, ale efekt miał być dramatyczny. Nie żebyśmy chcieli spalić budynek, wcale nie. Po prostu chcieliśmy, żeby to groźnie wyglądało.

W obu ekologicznych torbach znajdowały się proste urządzenia: telefon komórkowy podłączony do zapalnika – dziewięciowoltowej baterii oraz włókna ze zwykłej żarówki. Telefon dzwonił, włókno żarówki rozgrzewało się i zapalało mieszaninę cukru i chloranu potasu w świecy dymnej. Ta z kolei zapalała mieszaninę gipsu modelarskiego i sproszkowanego aluminium, którą waliśmy do doniczki i pozostawiliśmy, aż stwardniała. Ta mikstura miała palić się niewiarygodnie gorącym płomieniem. Paliłaby się nawet pod wodą.

Najprostsze z materiałów wybuchowych: nic wymyślnego. Jednak w ciągu trzydziestu sekund cały hol wypełni się dymem, buchającym z gorącego ogniska. Gorącego, ale niegroźnego. Niezwykle dramatyczny widok. Dym spowija cały budynek.

Zanim zdążyłem podejść do okna i zobaczyć chmury szarawego

białego dymu w świetle księżyca, już zaczął dzwonić alarm przeciwdymny.

– Wszystko gotowe – zameldowała Dorothy i poprawiła klawiaturę na biurku Eleanor Appleby, odstawiając ją tam, gdzie była, zanim zaczęła przy niej majstrować.

Potem wstała.

– Wozy strażackie powinny tu być w ciągu pięciu minut – rzekłem. – Miejmy po prostu nadzieję, że żaden z naszych przyjaciół z Paladin nie jest bliżej niż one.

– Myślałam, że powiedziałaś, iż to zajmie facetom z Paladin dziesięć minut – odezwała się Dorothy.

– W przybliżeniu.

– Nie wiedziałaś? Zgadywałaś?

– Z dużym prawdopodobieństwem.

– Heller, czemu mi tego nie powiedziałaś?

Nie odpowiedziałem. Odpowiedź była prosta: To była luka w planie, który zamierzałem dopracować. Miałem nadzieję, że dopisze nam szczęście. Jednak gdybym im o tym powiedział, robiłbym to sam.

Po raz pierwszy zacząłem się denerwować.

Nasz plan ucieczki opierał się w całości na przypuszczeniu, że strażacy przybędą tutaj przed ludźmi z Paladin. Kiedy oddział straży przyjedzie, zabezpieczy teren i nie pozwoli nikomu wejść. Jednak jeśli faceci z Paladin przyjadą tutaj pierwsi, mogą zdecydować się popędzić na górę, nie zważając, czy w budynku jest dym, czy nie. Było bardzo możliwe, że skojarzą te dwie rzeczy – włączony czujnik ruchu w gabinecie Koblenza oraz pozornie szalejący ogień w holu – i dojdą do wniosku, że ich biuro stało się celem wandalii. Wtedy będą jeszcze bardziej zmotywowani, żeby tu przybiec.

Usłyszałem syreny, coraz głośniejsze i bliższe, krzyki, pisk hamujących wozów i pobrękiwanie sprzętu wyskakujących z nich strażaków. Odetchnąłem z ulgą.

– Są tutaj – powiedziała Dorothy.

Wcisnąłem drugi zaprogramowany numer, włączając zapalnik drugiego ładunku, który umieściłem w holu na pierwszym piętrze.

– Nie jestem głuchy – rzekłem.

Głośny pisk opon.

– Nie, Heller, mówię o gościach z Paladin. Dwa czarne hummery.

To Paladin.

– Wynoszę się stąd! – krzyknął Merlin.

– Walter – powiedziała Dorothy. – Bądź mężczyzną.



Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, zanim wypadliśmy z biura Paladin i zbiegliśmy po schodach, była kłótnia kilku groźnie wyglądających pracowników Paladin z dwoma policjantami z Falls Church i kilkoma strażakami.

Tego sporu ochroniarze z Paladin nie mogli wygrać. Policjanci i strażacy w żadnym wypadku nie wpuszczą ich do budynku, który wyglądał, jakby płonął.

Wybiegliśmy przez bramę dla samochodów dostawczych na parterze. Nikt tam na nas nie czekał. Obie świece dymne podłożyłem w przedniej części budynku, tak więc tam zgromadzili się strażacy.

– Merlin – powiedziałem, gdy się rozdzielaliśmy. Dorothy biegła przed nami do defendera. – Dziękuję.

Obrócił się do mnie, posłał mi ponure spojrzenie i nie powiedział ani słowa.

72.

Dorothy i ja nie rozmawialiśmy przez długą chwilą. Może spowodował to spadek poziomu adrenaliny – ten lekki niepokój i łagodna depresja, często przychodzące po silnym stresie. Widuje się to po walce.

- I co teraz? – zapytała w końcu.
- Zawsze jest jakiś inny sposób.
- Cóż, ja z pewnością nie widzę żadnego.
- A ja tak – powiedziałem i wytłumaczyłem jej.
- Och, człowieku – rzekła. – To albo niewiarygodnie odważne, albo niewiarygodnie głupie.
- Lubię myśleć pozytywnie.
- Wiesz, jeśli Koblenz rzeczywiście ma jedną z tych kart RaptorCard, to po prostu niewiarygodne.
- Czy tak ją nazywają?
- Słyszałam tylko plotki. Pamiętasz, jak parę lat temu wyszło na jaw, że rząd Stanów Zjednoczonych nagrywa wszystkie operacje bankowe SWIFT? Po to, żeby monitorować podejrzane transfery pieniędzy?
- W celu inwigilacji terrorystów, pewnie.
- Zgadza się. Jednak później okazało się, że rząd może szpiegować każdy przelew, każdą finansową transakcję, wszystko. Koniec z tajemnicą bankową. Wielki Brat patrzy, prawda?

Nie chciałem się z nią spierać, ale zawsze uważałem, że tajemnica bankowa nie jest tak ściśle przestrzegana, jak sądzi większość ludzi. Bogaci zakładają, że jeśli trzymają pieniądze za granicą, ten fakt pozostanie ich mrocznym sekretem. Jednak bankierzy to też ludzie. Nawet zagraniczni bankierzy. Wystarczy opłacić właściwego z nich albo mieć odpowiednie znajomości, aby dowiedzieć się różnych ciekawych rzeczy.

Co oczywiście niekoniecznie jest przykre dla ludzi pracujących w moim zawodzie.

Albo ten raport, który nie tak dawno temu wyciekł do Internetu, o tym że Cisco Systems potajemnie umieściło tylne drzwi we wszystkich swoich routerach, aby umożliwić rządowi kontrolowanie całego ruchu sieciowego, nawet e-maili i rozmów telefonicznych.

– Zatem RaptorCard umożliwia przelewanie pieniędzy bez wiedzy rządu.

– Zgadza się. Przez zastosowanie prywatnego klucza szyfrującego w urządzeniu, które wygląda jak karta kredytowa. Najsilniejsze kodowanie, jakie kiedykolwiek wynaleziono. Najbardziej zbliżone do rzeczywistego generatora liczb losowych. Z wbudowanym uwierzytelnianiem. Można go używać wszędzie.

– Konta numeryczne to po prostu dwudziestowieczny przeżytek, co?

– Właśnie. Zatem mam do ciebie pytanie, Nick: co zamierzasz z tym zrobić?

Zastanawiałem się przez długą chwilę. Odpowiedź była skomplikowana i prawdę mówiąc, jeszcze do końca jej nie przemyślałem. W każdym razie nie całkiem.

Zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, zadzwonił mój telefon komórkowy.

– Mam coś dla ciebie – rzekł Frank Montello. – Coś naprawdę interesującego. Ten numer telefonu, który miałem monitorować.

Zawahałem się, a potem sobie przypomniałem.

- Tak?
- Zadzwoiła pod ten sam numer telefonu komórkowego na kartę, pod który dzwonił twój ojciec.
- Telefon komórkowy Rogera – powiedziałem i poczułem się nieswojo. – Nie mówisz poważnie.
- Cóż – rzekł Frank – jakąś godzinę temu Lauren Heller dzwoniła do swojego męża.

73.

Marjorie Ogonowski rozsunęła zasłony i spojrzała przez okno swojego salonu.

Granatowy sedan buick century zatrzymał się przy krawężniku. Zerknęła na numery na białej tablicy rejestracyjnej z ciemnoniebieskim napisem głoszącym RZĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH. Numer rejestracyjny zaczynał się na J, co oznaczało Departament Sprawiedliwości. Marjorie, której kuzynka była żoną pracownika FBI, miała sporą wiedzę o FBI.

Po tym jak agent FBI zadzwonił do niej, żeby umówić się z nią na rozmowę dotyczącą spraw biurowych, miała ochotę zatelefonować do swojej kuzynki i sprawdzić, czego się zdoła dowiedzieć. Jednak mężczyzna kazał jej z nikim nie rozmawiać. Od kiedy zadzwonił, wciąż się niepokoila. Zastanawiała się, czy to ma coś wspólnego z jej szefem, Rogerem Hellerem. Była prawie pewna, że tak. Szczególnie po tym jak ten cały John Murray z ochrony przyszedł do biura, żeby porozmawiać z nią o Rogerze i powodach jego zaginięcia.

Cóż, przynajmniej ten agent FBI był punktualny. Siódma wieczór, dokładnie tak jak obiecał. Podobało jej się to. Marjorie była zawsze punktualna, zawsze dokładna. Przykładała ogromną wagę do szczegółów. Była przekonana, że to jedna z cech, które czyniły ją tak dobrą prawniczką. Wraz z wiedzą i gotowością do wielogodzinnej pracy bez narzekań. Zaraz po skończeniu prawa na Georgetown znalazła pracę jako asystentka w Gifford Industries, w dziale rozwoju korporacji, gdzie pracowała nad fuzjami oraz przejęciami i była przekonana, że

znajduje się na dobrej drodze, aby szybko zostać głównym radcą.

Zarabiała niewiele, ale to miało się wkrótce zmienić. Tymczasem Marjorie zdołała kupić malutki parterowy dom w Linthicum w Marylandzie. Sprzedawca nieruchomości nazwał go „marzeniem inwestora”, co oznaczało, że wymagał dużo pracy. Większość z niej Marjorie wykonała sama, zdzierając poźółkłą tapetę, malując, a nawet samodzielnie instalując w kuchni nową podłogę z twardego laminowanego drewna podczas długiego weekendu.

To była zaleta braku życia towarzyskiego. Możesz dużo zrobić w domu.

Agent FBI zadzwonił do drzwi, a ona próbowała nie otwierać zbyt szybko. Nie chciała, aby zauważył, jak bardzo jest zdenerwowana. Albo domyślił się, że dla niej jest to najważniejsze wydarzenie tygodnia, choć w istocie tak było.

W innym pokoju jej papuzka nimfa, Cezar, głośno gwizdała.

Marjorie otworzyła aluminiowe drzwi z siatką i potrząsnęła ręką agenta. Coś w jego nieładnej twarzy powodowało, że budził zaufanie.

– Czy moje wskazówki dotyczące dojazdu były dobre? – zapytała.

– Doskonale – odpowiedział. – Autostrada wcale nie była zapechana. Jazda zajęła mi dokładnie trzydzieści siedem minut.

Podobała jej się ta dokładność.

Wpuściła go i zaproponowała herbatę lub napój bezalkoholowy, ale odmówił. Pokazał jej swoją odznakę FBI oraz dokumenty, które dokładnie sprawdziła, chociaż takie rzeczy widziała tylko w telewizji. Złota odznaka z orłem i wytłaczanymi literami, w czarnym skórzanym portfelu. Laminowany identyfikator ze zdjęciem i podpisem był przypięty do kieszeni na piersi jego taniego garnituru. Wręczył jej swoją wizytówkę.

Usiedli twarzami do siebie na dwóch fotelach klubowych, które sama wytapicerowała resztkami materiału ze sklepu w Laurel. Jej laptop Apple MacBook leżał otwarty na wąskim biurku. Spojrzała na komputer. Z miejsca, gdzie siedziała, mogła zobaczyć ekran i zastanawiała się, czy mężczyzna także mógł.

Przedstawił się jako agent specjalny Corelli. Lekko się jąkał, co zapewne było pozostałością z dzieciństwa. Wbrew jej obawom nie był przemądrzały ani arogancki, i to też jej się podobało.

Wyciągnął ze swojej czarnej nylonowej aktówki notatnik.

– Pani Ogonowski, jak dobrze zna pani Rogera Hellera? – zapytał. A jednak chodziło o Rogera.

– Marjorie, proszę.

– Marjorie – powiedział ze speszonym uśmiechem.

– Czy coś mu się stało?

– Obawiam się, że nie mogę rozmawiać o toczącym się śledztwie.

Przykro mi.

Toczące się śledztwo!

– Cóż, pan Heller jest moim szefem... Chcę powiedzieć, że znam go tylko z pracy, oczywiście.

Stwierdziła, że wpatruje się w wizytówkę, i odwróciła ją, unikając jego wzroku.

– Oczywiście.

– Jest moim bezpośrednim przełożonym, a ostatnio byliśmy bardzo zajęci...

– Dużo bywał za miastem, prawda? Poza biurem?

– Podróżuje dużo w interesach, tak.

– I z innych powodów.

Zawahała się. Bębniła palcami o stół obok fotela, a potem odruchowo, nerwowo zaczęła przestawiać przedmioty na stole, układając małego pilota od Apple'a obok pilotów od telewizora, tunera kabłówki i odtwarzacza DVD, tak by leżały ładnie, równo i w jednakowych odstępach od siebie.

– Przepraszam, jak brzmiało pytanie?

– Próbowала się pani z nim ostatnio skontaktować, kiedy był poza miastem. Nie w sprawach firmowych.

Skąd FBI mogło o tym wiedzieć? Obiecała nigdy nikomu nie mówić. Czyżby ten konsultant do spraw bezpieczeństwa, John Murray, dowiedział się i powiedział temu agentowi?

– Nie pamiętam.

– Sądzę, że pani pamięta – rzekł cicho mężczyzna z FBI.

Nagle coś się w nim zmieniło. Nie był już budzącym zaufanie i wyglądającym na solidnego agentem federalnym. Teraz emanował chłodem, który przeraził ją nawet bardziej niż pytanie. Cezar zaczął znowu gwizdać.

– Przepraszam za ptaka – powiedziała. – Muszę zmienić wyściółkę w klatce, więc trochę wariuje.

– Nie ma problemu – rzekł mężczyzna z FBI.

Przesunęła ponownie dłonią po stole, przekładając i znów poprawiając piloty, żeby leżały równiutko.

– Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym zadzwoniła do Biura? – zapytała nagle. – Czy to będzie w porządku? Tylko żeby... nie wiem...

Uniósł brodę, rozłożył ręce i uśmiechnął się.

– Proszę to zrobić. Zawsze do tego zachęcamy. Numer znajduje się na wizytówce.

Wstała, podeszła do telefonu na ścianie w holu przy drzwiach do kuchni, w zasięgu wzroku mężczyzny z FBI.

– Mąż mojej kuzynki tam pracuje – rzekła. – Zadzwonię do niego, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Oczywiście – powiedział. – Nie mam nic przeciwko temu. Jeśli to panią uspokoi.

Do ściany była przyklejona długa lista numerów, w tym numer telefonu jej kuzynki Beverly oraz męża Beverly, Stuarta. Odnalazła numer do biura Stuarta i wybrała go.

Zauważyła, że numer na wizytówce agenta Corellego ma inną centralę, chociaż nie była pewna, czy to coś oznacza. Może główna siedziba FBI miała inny numer kierunkowy niż oddział terenowy w Waszyngtonie. Nagle jej uwagę przykuło jeszcze coś.

– Czy ostatnio wymienialiście wizytówki? – zapytała, przyglądając się bliżej wizytówce Corellego. – Pieczęć na wizytówce mojego kuzyna Stuarta...

Jego ręka błyskawicznie nacisnęła widelki telefonu, przerywając połączenie. Nawet nie słyszała, jak podchodził.

Próbowała krzyczeć, ale zakrył dłonią jej usta.

– Chcę, żebyś powiedziała mi wszystko – rzekł łagodnie mężczyzna, tak cicho, że ledwie usłyszała te słowa przez świdrujące pogwizdywanie Cezara.

74.

Czekałem, aż Lauren wyjdzie ze swojej łazienki.

Tymczasem Gabe i ja pogadaliśmy trochę w jego pokoju. Oddałem mu jego powieść graficzną, a on chciał wiedzieć, co o niej sędzę. Powiedziałem mu, że moim zdaniem jest niesamowita. I że jestem zaszczycony, że zostałem Maską.

- O czym ty mówisz? – zapytał.
- Bohater. Maska. Z twierdzą samotności w Adams Morgan.
- To nie ty – powiedział.
- Wydawało mi się, że wygląda trochę jak ja. Nie?
- Co? Nie ma mowy.

Zerknąłem na jego twarz. Wyglądał na skrępowanego i przestraszonego. Głęboko zawstydzonego. Wyszło na jaw coś, czego nie chciał wyznać.

- Nie – rzekłem. – Oczywiście, że nie. Chociaż chciałbym, wiesz?
- Nie pochlebiaj sobie, facet.
- Gabe, kim jest Candi Dupont?

Był zbyt młody, a może zbyt uczciwy, aby dobrze się maskować. W jego oczach pojawił się błysk przestachu.

- To po prostu nazwisko – powiedział.
- Candi Dupont to dziewczyna Doktora Casha. Doktor Cash to twój tata, Gabe.
- Och, człowieku. To fikcja. Nie rozumiesz słowa „fikcja”, facet?

Bierzesz małe kawałki i fragmenty twojego prawdziwego życia i splatasz z nich...

– Gabe. Czytałeś e-maile taty, prawda?

– Pieprz się! – zawołał ochryple.

Odepchnął mnie jedną ręką i odwrócił się.

– Gabe. – Położyłem dłonie na jego ramionach i obróciłem go twarzą do siebie. – Twój tata używał tego samego hasła do wszystkich swoich kont, prawda? Do Gmail, iTunes i innych. I tak uzyskałeś dostęp do jego poczty.

W tym momencie już płakał. Jego twarz stała się jasnoczerwona, a plamy trądziku jak kropelki krwi skrapiały jego nos i policzki.

– To w ten sposób dowiedziałeś się o Candi Dupont, zgadza się? Stał wiedziałeś, że twój tata ma... kogoś.

– On zdradzał mamę! – wykrztusił.

– Gabe, w porządku. Nie zamierzam na ciebie krzyczyć. Naprawdę mnie to nie obchodzi. Potrzebuję po prostu hasła. Jeśli istnieje szansa, aby uratować twojego ojca.

Spojrzał na mnie.

– Dlaczego?

– Ponieważ masz rację. Candi Dupont to po prostu nazwisko. Zapewne tak twój ojciec nazywał swoją dziewczynę. Albo ona takie podawała. Jako rodzaj pseudonimu. Jednak to nie jest jej prawdziwe nazwisko. Dlatego nie możemy jej znaleźć. Gdybyśmy jednak wiedzieli, jak się naprawdę nazywa, może moglibyśmy odnaleźć twojego tatę. Ponieważ ona może wie, gdzie on jest. Gabe, wiem, jakie to jest dla ciebie okropne...

– Nie znam jej prawdziwego nazwiska! Skąd miałbym znać? Wiem tylko, że wysyłał te odrażające, pornograficzne listy do tej całej Candi Dupont, a ona mu odpisywała, i była jeszcze bardziej otwarta. Okłamywał mamę przez cały czas i na myśl o tym chce mi się rzygać.

– Oczywiście – powiedziałem łagodnie. – Oczywiście. Jeśli jednak dasz mi jego hasło, poznamy jej adres internetowy. I to może wystarczy, żeby ją odnaleźć.

Głowa opadła mu na pierś, zgiętą w łokciu ręką zasłaniał oczy przed moim spojrzeniem, a łzy spływały mu na koszulkę.

– Gabe – powiedziałem. – Daj spokój.



Kiedy Lauren zeszła na dół, poprosiłem ją, żeby poszła ze mną do biblioteki Rogera, abyśmy mogli spokojnie porozmawiać. Usiedliśmy w antycznych francuskich klubowych fotelach, ustawionych tak, że oboje musieliśmy przyjąć niewygodną pozycję, aby patrzeć na siebie.

– Jak ma się Roger? – zapytałem.

Jej natychmiastową reakcją – chyba nazywają to mikroekspresją – był szok. W mgnieniu oka odzyskała panowanie nad sobą.

– Mnie o to pytasz? Skąd miałabym wiedzieć...?

– Lauren – powiedziałem – dzwoniłaś do niego. Kilka godzin temu. Pod ten sam numer telefonu komórkowego na kartę, pod który dzwonił do niego mój ojciec.

Zamrugła.

– Nick...

– Okłamywałaś mnie od początku tej afery. Przez cały czas wiedziałaś, gdzie on jest.

– Nie – wyszeptała. – Nie wiedziałam.

– Cóż. – Odkaslnąłem. – Chciałbym ci wierzyć. Jednak straciłaś u mnie cały kredyt zaufania. Jeśli w ogóle jakiś miałaś. Czy to jakiś przekręt, w którym mu pomagasz?

– Nick, wysłuchasz mnie?

– Tak – rzekłem. – Z przyjemnością usłyszę twoje wyjaśnienie. A kiedy będziesz mi to tłumaczyć, to może mi powiesz, jak usprawiedliwisz wciągnięcie Gabe'a w to piekło, które mu zgotowaliście.

– Nick – zaczęła – do wczorajszego wieczoru nie miałam pojęcia, co się stało z Rogerem. Wiedziałam tyle, co ty. Owszem, przyznaję, ukrywałam kilka spraw przed tobą, ale jeśli mnie po prostu wysłuchasz...

– Wczoraj wieczorem – przerwałem jej. – Dopiero wtedy się z tobą skontaktowałem?

– Sprawdź billingi mojego telefonu.

– Zadzwoił do ciebie? Przysłał ci e-mail?

– Wysłał mi SMS-a. Z numerem telefonu, pod który mam zadzwonić. – Podniosła z podłogi torebkę i zaczęła w niej grzebać. – Masz, możesz sprawdzić moją skrzynkę odbiorczą SMS-ów, jeśli mi nie wierzysz.

– Zatem gdzie on jest?

– Powiedział, że jest przetrzymywany gdzieś w Georgii.

Uświadomiłem sobie, że obiekt szkoleniowy i siedziba główna Paladin są w Georgii.

– Jednak zdołał do ciebie zadzwonić?

– Tak.

– I odebrać telefon od mojego ojca. Co to za więzienie?

– Nie mówił, że jest w jakimś więzieniu. Ani nawet, że jest zakładnikiem.

– Powiedział, że „jest przetrzymywany”, zgadza się?

– Tak, tak powiedział. Powtarzał, że musi się spieszyć, bo ma tylko minutę na tę rozmowę. Odniosłam wrażenie, że gdziekolwiek jest, oni nie wiedzą, że ma telefon. Jednak najważniejsze jest to, co powiedział: że zamierzają go wypuścić.

– „Wypuścić” go.

– Mówił, że w końcu zamierzają go uwolnić. Zawrzeć umowę.

– Kim są „oni”?

Pokręciła głową.

– Nie powiedział, a ja nie pytałam, nie było czasu i nie wiedziałam, jak swobodnie Roger może rozmawiać.

– Jaką umowę?

– Nie wiem, Nick. Powiedział tylko, że powinnam uważać, nic nie robić, nigdzie nie dzwonić i nie spieszyć sprawy w jakikolwiek sposób, wtedy oni go wypuszczą. To znaczy, rozmawialiśmy może przez minutę, zanim się rozłączył.

- Pewnie odetchnęłaś z ulgą, otrzymawszy od niego wiadomość.
- Oczywiście, że odetchnęłam. To był koszmar.
- Odzyskasz swojego męża – rzekłam.

Przez długą chwilę milczała.

– Prawda wygląda tak, że nasze małżeństwo jest już skończone od pewnego czasu.

Poczułam, jak coś zimnego zaczyna skręcać się w moim brzuchu.

– Rozumiem.

Nie zaskoczyło mnie to. Jednak zaskoczyło mnie, że ona to mówi.

– Kiedy dowiedziałam się o jego romansie... Nie potrafiłam mu wybaczyć. Nie łączyło nas romantyczne uczucie. Nadal jednak jest świetnym ojcem dla Gabe'a i...

Wstałam.

– Wiesz co, Lauren? Już mnie to nie obchodzi.

75.

Chirurg rozwinął czarny płócienny futerał z narzędziami chirurgicznymi i wyjął swój ulubiony skalpel, Miltex Meister-Hand numer 3. Ostrożnie umocował ostrze zrobione z najlepszej węglowej stali.

Marjorie Ogonowski płakała, lecz taśma klejąca na jej ustach tłumiła te dźwięki. Jej ręce i nogi też były przymocowane do słupków łóżka – również taśmą klejącą.

Zostawił jej okulary na nosie, żeby dobrze go widziała.

Przestała się szarpać kilka minut temu, ale kiedy zobaczyła, jak wkłada lateksowe rękawiczki, zaczęła się wić jak szalona i jęczeć z udreki. Widok skalpela spotęgował jej strach. Jednak tego należało się spodziewać. Podstawowa reguła tego, co często nazywano eufemistycznie „ulepszonymi technikami przesłuchiwania”, głosiła, że strach przed bólem zawsze jest dużo efektywniejszy niż sam ból.

Oczywiście, wcale nie był chirurgiem – został wyrzucony ze szkoły medycznej w wyniku skandalu, którego nie lubił wspominać – tylko zdobył to przezwisko w Bagramie w Afganistanie. CIA postanowiła zatrudnić podwykonawców do prowadzenia przesłuchań w swoich tajnych więzieniach, żeby chronić swoje tyłki. Tak bardzo zaimponował pracodawcom, że później wysłali go do Abu Ghraib. Jednak kiedy cała ta afera wyszła na jaw, poszedł w odstawkę. W prywatnym sektorze nie było zbyt dużego zapotrzebowania na jego umiejętności. Miał szczęście, że został zatrudniony przez jednego z

niewielu kontrahentów, Paladin Worldwide.

Torturowanie – nazywając rzecz po imieniu – było wielce niezrozumianą sztuką. W ostatnich latach, w wyniku reakcji na wojnę w Iraku, politycznie poprawny stał się pogląd, że tortury nic nie dają. Jeśli tak, to dlaczego ludzkość stosuje je od tysięcy lat? Dlaczego ci torturowani przez nazistów członkowie francuskiego ruchu oporu wyjawiali nazwiska swoich towarzyszy, nawet członków swoich rodzin? Tortury są nieefektywne, tylko jeśli nie są właściwie przeprowadzane. Nie jest to wyłącznie kwestia zastosowania nowych metod. Potrzebna jest znajomość psychologii. Trzeba umieć odczytywać reakcje ludzi i zdobywać nad nimi władzę.

Mówił łagodnie, spokojnie, tak jak zawsze. Podniesiony głos oznacza utratę kontroli.

– Spróbujmy jeszcze raz. Pan Heller był poza miastem, a ty musiałaś pilnie się z nim skontaktować, zgadza się? Sądzę, że pracowa-
liście nad jakimś dużym przejęciem. Elektrownia w São Paulo. Tak?
Skiń głową, jeśli mam rację.

Miała szeroko otwarte oczy i łzy spływały jej po twarzy. Gwałtownie poruszyła głową, w górę i w dół.

– Nagle coś się stało. Musiałaś natychmiast się z nim skontaktować. Jednak on wyjechał na jednodniowy urlop.

Zgadza się?

Potwierdziła.

– Następnego dnia z samego rana odbywało się duże posiedzenie komitetu do spraw połączeń i przejęć. Dokumenty już były przygotowane, ale podczas weryfikacji odkryłaś coś, co twoim zdaniem mogło uniemożliwić przejęcie. Jakiś kruczek prawny, pomyślałaś. Mam rację?

Powoli kiwnęła głową. Widział, że Marjorie nie pojmuje, skąd on o tym wie. Nie mówiąc już o tym, kim właściwie jest.

Niczego nie boimy się bardziej niż niewiadomego, a Chirurg nie zamierzał oświecać Marjorie.

– Jednak nie mogłaś się z nim skontaktować. Musiałaś porozmawiać z nim natychmiast, ale nie miał przy sobie swojego telefonu komórkowego. Nie mogłaś wysłać mu e-maila na jego BlackBerry, bo tego też nie miał z sobą. Mam rację?

Wahała się kilka sekund, zanim przytaknęła.

– Dziwne, prawda? Człowiek pracujący tak ciężko jak pan Heller nie miał przy sobie swojego telefonu komórkowego ani BlackBerry podczas podróży służbowej, kiedy musiał być przez cały czas osiągalny?

Odwróciła wzrok. Próba oszustwa widoczna jak neon.

– Jednak w końcu jakoś się z nim skontaktowałaś. Rozmawiałaś z nim. W jaki sposób?

Patrzyła w dal.

– Zamierzam zdjąć taśmę z twoich ust – powiedział. – Jednak najpierw chcę, żebyś dokładnie przyjrzała się temu skalpelowi. Chcę, żebyś poczuła, jaki jest ostry.

Jeszcze szerzej otworzyła oczy pełne łez. Zaczęła kręcić głową – jakby chciała powiedzieć: „Nie, proszę, nie” – ale zaraz przestała. Nie chciała, by błędnie zinterpretował jej gest jako niechęć do współpracy.

Podszedł bliżej, trzymając w prawej dłoni skalpel, który przysunął do jej prawej gałki ocznej.

Zacisnęła powieki i gwałtownie poruszyła głową.

– Żadnych nagłych ruchów, proszę – rzekł. – Inaczej mocno się zranisz.

Jej oczy pozostały zamknięte.

– Otwórz oczy, proszę, albo będziesz cierpieć jeszcze bardziej.

Począł kilka sekund, aż otworzy oczy. Zmrużyła je i zamrużyła.

– Skóra powieki ma niecały milimetr grubości. Ten skalpel rozetnie ją bez trudu. A potem twardówkę, poniżej. Wodnisty płyn wycieknie od razu. Uszkodzenie twojego oka będzie nieodwracalne.

Zaczęła mrugać jeszcze szybciej. Jęknęła.

– Znasz termin „wyłuszczenie”?

Znów zamknęła oczy i zaczęła jęczeć jeszcze głośniej.

– Wyłuszczenie to chirurgiczne usunięcie gałki ocznej. Zazwyczaj jest wykonywane tylko w dramatycznych okolicznościach, takich jak traumatyczny uraz lub złośliwy nowotwór.

Widział, jak jej szczeka porusza się w górę i w dół, słyszał, jak próbuje wykrzykiwać w kółko słowo „proszę”.

– Oczywiście bez oczu nadal będziesz mogła pracować jako prawnik – wyjaśnił. – Mają teraz oprogramowanie do odczytywania zawartości ekranu i skanery. Sądzę, że w ten sposób będziesz w stanie korzystać z bazy Westlaw. Jednak możesz zapomnieć o ręcznych notatkach i bardzo niewiele stron internetowych jest dostępnych dla niewidomych, niestety. Przystosowanie się będzie uciążliwe.

Położył lewą dłoń na jej czole, tuż powyżej okularów – intymny gest, niemal pieszczota.

– Teraz odkleję taśmę z twoich ust i jeśli zaczniesz hałasować, jeżeli wrzaśniesz, zaczniesz wzywać pomocy, wykonam pewną bardzo szybką operację chirurgiczną. Rozumiemy się?

Skinęła głową, z zamkniętymi oczami.

– Kiedy tylko zdejmę taśmę, masz mi powiedzieć, w jaki sposób skontaktowałeś się z panem Hellerem. Jasne?

Potwierdziła.

Trzymał skalpel jakiś centymetr od jej oka. Lewą ręką zdarł taśmę klejącą.

Dyszała głośno, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Z jej ust popłynął potok słów, wypowiedanych piskliwym i żalonym głosem.

– Zostawił mi wiadomość na poczcie głosowej. Kazał mi podejść do jego biurka, w jednej z szuflad miał komórkę, jeden z tych telefonów komórkowych na kartę, i powiedział, że aparat jest już aktywowany i mam go wziąć, wyjść na ulicę i zadzwonić do niego.

– Zadzwoń gdzie?

– Podał mi numer telefonu.

– Jaki był numer, który ci podał?

– Nie wiem, nie wiem, jak miałabym to pamiętać? Nie uczyłam się tego numeru na pamięć, skąd mam wiedzieć, jaki to numer? Zadzwołam z pracy. Nie zachowałam zapisu. Powiedział, żebym tego nie robiła!

– Oczywiście nie musisz znać tego numeru telefonu na pamięć. Jednak numer, pod który dzwoniłaś, będzie znajdował się na liście wykonanych połączeń w telefonie, którego użyłaś.

Zawahała się, tylko na sekundę, ale wystarczająco długo, aby zrozumiał, że wymyśla odpowiedź.

– Odłożyłam telefon z powrotem do biurka Rogera.

– Nie, nie sądzę, że to zrobiłaś. Uważam, że przyniosłaś go do domu, ponieważ Roger kazał ci to zrobić.

Pokręciła głową. Drżała.

– Jesteś bardzo lojalną koleżanką – rzekł. Przestał używać jej imienia. Nigdy nie używał ich imion. – Chronisz pana Hellera. To godne podziwu. Jednak on zniknął i nie musisz dłużej go chronić. W tym momencie stoisz przed wyborem. Dasz mi ten telefon albo zostaniesz poddana bardzo bolesnej operacji chirurgicznej bez dobrodziejstwa znieczulenia.

– Proszę, nie.

– Gdzie jest ten telefon?

Po tym jak mu powiedziała, podszedł do komody. Tani telefon komórkowy był w górnej szufladzie, tak jak powiedziała. Skinął głową, odwrócił się do niej.

Tylko po to, żeby się upewnić, włączył telefon i sprawdził listę wychodzących połączeń.

Aparat został użyty tylko jeden raz.

– Bardzo dobrze – rzekł.

– Proszę – powiedziała szeptem – czy możesz już teraz wyjść?

Masz to, czego szukałeś, prawda? Nie wiem, dlaczego chciałeś to mieć ani kim jesteś, i nie obchodzi mnie to, ale chcę po prostu, żebyś teraz wyszedł, proszę. Obiecuję ci, dam ci słowo, że nie będę rozmawiała z policją. Nie będę rozmawiała z nikim.

– Wiem, że nie będziesz – rzekł Chirurg, oddzierając świeży kawałek taśmy klejącej ze srebrzystej rolki i szybko zaklejając jej usta. – Wiem, że nie będziesz.

76.

Chociaż minęło tyle czasu, nadal niewiele wiedziałem o tym, co się stało z Rogerem.

Najlepsze, co mogłem zrobić, to rozważyć kilka różnych hipotez. Przemyśleć je, roztrząsając w kółko, i spróbować ocenić, która z nich jest najbardziej prawdopodobna. W końcu wybrałem mniej więcej taką: mój wiecznie coś knujący, wiecznie niezadowolony brat megaloman w końcu odkrył sposób, jak wydostać się z czyścica klasy średniej. Po tym jak jego firma, Gifford Industries, potajemnie przejęła Paladin Worldwide, przeczesał księgi finansowe Paladin i natknął się na dowód jakiegoś gigantycznego łapówkarstwa. Popęłił błąd, próbując bezczelnie wydusić miliony dolarów z Carla Koblenza, prezesa Paladin. Zamiast po prostu kupić milczenie Rogera, Paladin zwróciło się przeciwko niemu. Grożąc mu. Biorąc go na cel. Potem, pewnej nocy, porwali go w Georgetown.

Dalej... no cóż, moja hipoteza stawiała się jeszcze słabsza. Czy zdołał uciec porywaczom? To wydawało się mało prawdopodobne. Roger nie był superbohaterem. Czy przetrzymywano go w ośrodku szkoleniowym Paladin w Georgii w taki niedbały, nieprofesjonalny sposób, że mógł skorzystać z telefonu komórkowego? To wydawało się tylko odrobinę bardziej prawdopodobne.

Zatem może był wykorzystywany przez swoich porywaczy. Może zmusili go, żeby zadzwonił do ojca i Lauren, zachęcając ich do współpracy z Paladin i oddania im tego, czego chcą, aby Roger został uwolniony.

Może.

Jednak zachodziłem w głowę, co miał z tym wspólnego mój ojciec, czego mogło chcieć od niego Paladin.

Tak więc może było zupełnie inne wyjaśnienie, coś, czego jeszcze nawet nie zacząłem zgłębiać.

Nic mnie już nie zaskoczy.



Trochę później zadzwoniłem do Dorothy. Najpierw spróbowałem pod jej numer w pracy, ale był ustawiony na pocztę głosową. Potem zadzwoniłem na komórkę i Dorothy odebrała od razu. W tle grał telewizor, głośno, gdziekolwiek była.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam – powiedziałem.

– Och, nie. Nie robię nic szczególnego – mruknęła z przygnębieniem.

– Dobrze się czujesz?

– Poradzę sobie. Chcesz dziś pojechać sprawdzić?

– Ale musimy zrobić to w dzień i w godzinach pracy, co, jak wiem, jest dla ciebie problemem.

– Nie – rzekła. – To nie problem.

Jej głos miał ponure, choć wciąż śpiewne brzmienie.

– Powiesz mi, co się stało?

– Heller, mam mnóstwo czasu. Jay Stoddard właśnie mnie zwolnił.

– Ciebie? Za co?

– Powiedział, że nadużywałam zasobów firmy.

– Co oznacza, że pomagałaś mi w potrzebie – powiedziałem.

– Nie sądził, że zasługuję na jakieś wyjaśnienie. Zła wiadomość to ta, że nie jestem już w stanie ci pomóc. Ponieważ nie będę miała dostępu do żadnych baz danych Stoddard.

– Nie – powiedziałem. – To nie w porządku.

– Może nie. Jednak tak się stało.

– Nie – powtórzyłem. – To po prostu nie do przyjęcia.

– Ty mi to mówisz. Ponadto powiedział, że zamierza wystawić mi wilczy bilet. Dopilnować, żebym nigdy więcej nie dostała pracy w tym mieście.

– Porozmawiam z nim.

– Nie – rzekła. – Nie kłopotz się. Nie mogę tam wrócić. Nie po tym, jak mnie zwolnił. Nic z tego.

– Porozmawiam z nim – obiecałem. – A teraz wyświadczyć mi przysługę. Chcę, żebyś zalogowała się do laptopa mojego brata i poszukała czegoś.

– Nie ma tam zbyt wiele.

– Ma konto Hotmail. Możesz odnaleźć nazwę jego użytkownika, prawda?

– Jeśli tam jest, pewnie. Ale hasło...

– To łatwa część. Victor jeden zero pięć zero sześć.

– Skąd to wiesz?

– Długa historia – powiedziałem. – Jednak jeden zero pięć zero sześć to kod pocztowy Bedford w Nowym Jorku. Tam mieszkaliśmy, kiedy byliśmy dziećmi.

– Chcesz, żebym otworzyła skrzynkę twojego brata. Nie ma problemu. Tylko czego mam szukać?

– Chcę, żebyś poszukała wszystkich e-maili do i od pewnej osoby.

– Podalem CatLvr74@yahoo.com. – W jednym z nich będzie numer telefonu komórkowego.

– I co mam zrobić, kiedy go odnajdę?

– Cóż – powiedziałem – mam pewien ciekawy pomysł.

77.

Odnalazłem Jaya Stoddarda w senackiej jadalni na śniadaniu z senatorem z Wirginii, który był prezesem Komitetu Sił Zbrojnych i czekała go paskudna walka o reelekcję.

Wpadłem do tej eleganckiej sali, mając na sobie dzinsy, podkoszulek i turystyczne buty. Stoddard był ubrany w jeden ze swoich najlepszych garniturów – gołębioszary, dwurzędowy – oraz nienaganie uprasowaną jasnoniebieską koszulę i czerwony krawat. Przed nim stała filiżanka z kawą i miseczka płatków kukurydzianych. Domyśliłem się, że to jego drugie śniadanie. Zawsze mówił mi, żeby nigdy nie iść na służbowe śniadanie, nie zjadłszy czegoś wcześniej.

Maître d' podązał za mną, protestując.

– Proszę pana! Przepraszam, ale dzinsy są niedozwolone. Proszę pana, obawiam się, że będzie pan musiał włożyć krawat.

To zamieszanie przyciągnęło sporą uwagę. Wiele spojrzeń. Stoddard rozejrzał się z zaciekawieniem, a potem spojrział ponownie.

– Heller? Co ty, do diabła...?

– Mamy mały niedokończony interes – powiedziałem.

Posłał senatorowi spojrzenie mówiące „pan wybaczy na moment”.

– Sądzę, że to może poczekać, aż wrócę do biura – oświadczył.

– Chyba nie myślałeś poważnie, że tak łatwo możesz pozbyć się Dorothy Duval, prawda? – Stałem przed nim z rękami założonymi na piersi.

Stoddard wstał.

– Przepraszam, John – rzekł do senatora. – Sprawa osobista. – Obszedł stół, stanął tuż przy mnie i wycodził przez zaciśnięte zęby: – Heller, zjeżdżaj stąd w cholerę. Robisz przedstawienie. Jeśli chcesz o tym porozmawiać, umów się na cholerne spotkanie.

– Odpowiada mi teraz – powiedziałem.

– Niech cię szlag, Heller – rzekł, przechodząc przez jadalnię. Podążyłem za nim i wyszedłem na korytarz. Stał kilka kroków ode mnie i szturchnął mnie w pierś palcem wskazującym. – Nigdy więcej tego nie rób – warknął cicho i złowrogo.

– Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego przydzieliłeś mnie do tej sprawy ładunku zaginionego w Los Angeles?

– Przydzieliłem cię, ponieważ sądziłem, że wykonasz robotę.

– Tak – rzekłem. – Nikt w firmie nie miał do tego odpowiednich kwalifikacji, co? A więc to dlatego nie chciałeś, abym zbyt energicznie próbował ustalić, kto naprawdę stoi za Traverse Development? Żeby nie odkrył, że Traverse Development jest po prostu spółką holdingową Paladin? Co oznacza, że prawdziwym klientem był Leland Gifford?

– Nie wiem, o czym mówisz, Heller.

– A może Leland Gifford przypuszczał, że ja coś o tym wiem od mojego brata?

– Dlaczego twój brat miałby coś wiedzieć na ten temat? Naprawdę nie ma sensu w tym, co mówisz.

– Albo sądziłeś, że będziesz w stanie mnie kontrolować, jeśli się dowiem, co było w kontenerze?

Przyznaję, że strzelałem na oślep. Wiedziałem tylko, że nieprzypadkowo przydzielono mi to zadanie.

– Kontrolować ciebie? A kiedy ja byłem w stanie cię kontrolować? Widziałem film z monitoringu, na którym ty, Dorothy i jeszcze jakiś facet włamujecie się do biur Paladin.

– I wywaliłeś tylko Dorothy?

– Nie miałem okazji z tobą porozmawiać.

- Zatem mnie również zamierzasz zwolnić, tak?
- Nie mogę pozwolić, żebyś robił takie rzeczy.

Z tylnej kieszeni wyjąłem mały metalowy przedmiot i pokazałem mu go. Pendrive, na którym znajdowały się trzy gigabajty plików i e-maili.

– Tak – przyznałem. – To byłoby niewłaściwe. Tak jak nielegalny podsłuch telefoniczny, który kazalesz nam zainstalować przy sprawie Ogilvie.

– Och, proszę – rzekł. – Nie mów mi, że nagle masz wyrzuty sumienia.

– Twój towarzysz, z którym jesz śniadanie, pewnie z zainteresowaniem posłucha o tym, co zrobiłeś dla jego kolegi, senatora McBride'a.

Doskonale wiedział, o czym mówię: o senatorze, który zatrudnił Stoddarda, aby zatarł ślady oskarżenia o przemoc domową, zanim wyjdzie ono na jaw. A potem kilka lat później przeciwnik senatora zatrudnił Stoddarda, aby przeprowadził śledztwo na temat McBride'a, i jak myślicie, co Jay odkrył? Na szczęście dla Stoddard Associates senator McBride nie zażądał zwrotu swoich pieniędzy.

- Zatem co to ma być, twoje zabezpieczenie?

Powoli pokręciłem głową.

- O mnie nie musisz się martwić.

- Odchodzisz, co?

- Zanim mnie zwolnisz.

- Sądzisz, że ktoś jeszcze cię zatrudni w tym mieście?

- Nie.

– Masz gdzieś skarbonkę z pieniędzmi, Heller? Tymi, które twój tata zakopał dla ciebie pod jakimś głazem w Alpach?

Po prostu na niego patrzyłem. Pozwoliłem mu to przemyśleć.

– Wiesz, co to tak naprawdę jest, Jay? – Obróciłem pendrive w palcach. – To twój pakiet emerytalny. To skutecznie wykopie cię z interesu.

– Czego chcesz?

– Dorothy już nie chce dla ciebie pracować. Jednak zrobisz wszystko, co w twojej mocy, aby zdobyć dla niej jeszcze lepszą pracę, gdzie indziej. Dasz jej nienaganne rekomendacje i usiądziesz przy telefonie, użyjesz słynnego uroku Stoddarda i pociągniesz za wszystkie sznurki. Mówię o naprawdę wspaniałej pracy. A jeśli nie...

Znowu poruszyłem pendrive'em. Jego matowa metalowa osłona zabłyśła w świetle żyrandola nad naszymi głowami. Jay gapił się na mnie z otwartymi ustami. Oniemiały.

– Nie zawieź mnie, Jay – powiedziałem.

Potem odwróciłem się, aby odejść.

– Heller! – zawołał za mną – nie wiem, co masz w rękawie, ale sugeruję, abyś się nie fatygował. Jak powiedział Sun Tzu: „Każda bitwa jest wygrana lub przegrana przed rozpoczęciem walki”.

– On nigdy tego nie powiedział – podkreśliłem. – To z filmu *Wall Street*.

– Co niczego nie zmienia.

– Cóż – odparłem – sądzę, że to się jeszcze zobaczy.

78.

Mój telefon komórkowy wciąż dzwonił, kiedy przyciskałem Jaya Stoddarda w senackiej jadalni i na korytarzu. Gdy w końcu sprawdziłem odebrane wiadomości głosowe, znalazłem ich sześć. Dwie od Dorothy, potwierdzające, że zdołała wypożyczyć cały sprzęt i uniformy, o które prosiłem. Jedna była od Lauren. Jedna od starego znajomego, niejakiego Pata Keegana, który obecnie nauczał o materiałach wybuchowych w Aberdeen Proving Ground w Marylandzie i sprawiał wrażenie uszczęśliwionego tym, że się z nim skontaktowałem. Jedna była od zdenerwowanego klienta Stoddard Associates, któremu nie powiedziano, że jestem na urlopie. Nie będzie szczęśliwy, słysząc, że zapewne tam nie wrócę.

I jedna od porucznika Arthura Garvina. Właśnie otrzymał zawiadomienie z policji Anne Arundel County o zabójstwie – mogło być ono powiązane z jedną ze spraw, nad którymi pracował Garvin. Chciał, żebym spotkał się z nim na miejscu zbrodni w Linthicum w Marylandzie. O tej porze oznaczało to ponad godzinę jazdy. W żadnym razie nie mogłem tam pojechać. Miałem tego dnia zbyt wiele do zrobienia.

Zadzwoiłem do Garvina, aby przeprosić i odmówić.

Jednak kiedy mi powiedział, że ofiara pracowała w Gifford Industries, popędziłem do samochodu.



Teren został odgrodzony. Umundurowany policjant z Anne Arundel County wstrzymywał cały ruch. Jego samochód policyjny stał zaparkowany prostopadłe do ulicy, kogut błyskał czerwonym i niebieskim światłem, a migacz pulsującym białym.

Garvin spotkał się ze mną przy barykadzie, przeprowadził mnie przez nią i razem przeszliśmy trzydzieści metrów. Otoczenie przypominało mi dom mojej babci: skromne domki stojące blisko siebie, duże samochody, wypielęgnowane trawniki. Dom ofiary był malutki, najmniejszy w całym kwartale. Droga po obu stronach była zapchana policyjnymi pojazdami, a na podjeździe roilo się od mundurowych i techników kryminalistyki. Radia trzeszczały. Sąsiedzi skupili się w bezpiecznej odległości, rozmawiając.

– Umowa jest taka – powiedział Garvin. – Nie znam prowadzącego tę sprawę, ale to stary wyga tak jak ja i zgodził się wpuścić pana na miejsce zbrodni, pod warunkiem że nie będzie pan niczego ruszał ani dotykał. Niestety, jest środek dnia, więc są tu wszyscy i jeszcze paru, cały dwunastoosobowy wydział zabójstw, ich dowódca, urzędnik z biura prokuratora, ekspert medycyny sądowej i kogo pan jeszcze chce. Powiedziałem temu detektywowi, że jest pan moim kumplem i że panu ufam.

– Doceniam to – rzekłem.

– I wspomniałem, że znał pan ofiarę.

– Ledwie – zauważyłem.

– Powiedziałem mu, że może pan pomóc w ustaleniu przebiegu wydarzeń. Gość nie jest głupi, wie, że przyda mu się każda pomoc. Proszę tylko nie sprawiać kłopotów i będzie dobrze.

Dano mi plastikowy kombinezon, ochraniacze na buty i polipropylenową siatkę na włosy. Przed wejściem do domu musiałem włożyć lateksowe rękawiczki.

W małym pokoju od ulicy znajdowały się dwa fotele klubowe i biurko z otwartym MacBookiem: mały biały laptop. Ktoś zdejmował odciski palców z okna, ktoś robił zdjęcia, a ktoś inny tworzył wykres.

Detektyw prowadzący sprawę był dużym, obcesowym facetem tuż przed emeryturą. Nazywał się Lenehan i nie przedstawivszy mi się, zarzucił mnie litanią zakazów, wymieniając, czego nie mogę dotknąć ani ruszyć.

– Zatem spotkał się pan z ofiarą kilka dni przed jej śmiercią – powiedział, przeprowadzając Garvina i mnie przez tłum w pokoju od ulicy.

– Trzy dni temu – odparłem.

– Czy okazywała jakiś niepokój, na przykład, że ktoś ją śledził, jacyś wrogowie, coś w tym stylu?

– Nie – odpowiedziałem.

– Jeden z jej sąsiadów twierdzi, że ubiegłej nocy widział samochód rządowy zaparkowany na ulicy naprzeciwko jej domu. Czy mówiła coś o rozmowie z FBI, może związanej z jej pracą?

– Nic o tym nie wspominała.

– Chcę pana ostrzec, że to może być nieprzyjemne.

– Bywałem już na miejscach zbrodni – rzekłem.

– Tak, cóż – powiedział gliniarz i zamilkł.

– Rany obronne na dłoniach – odezwał się Garvin.

Marjorie Ogonowski wyraźnie umarła, walcząc. Obie ręce miała zaciśnięte jak szpony. Usta zaklejone taśmą. Jej okulary leżały rozbite na podłodze, a przy nich stała tabliczka z numerem.

Kiedy zobaczyłem, co zrobiono z oczami tej kobiety, gdy ustąpiła wezbrana fala mdłości, poczułem przypływ wściekłości.

– Taśma na jej ustach – powiedziałem. – Widać ślad, że została ściągnięta i przyklejona ponownie.

Garvin pochylił się, przesunął okulary na czoło i skinął głową.

– Ktokolwiek to zrobił, musiał usunąć taśmę, żeby Marjorie mogła mówić – rzekłem. – A potem przykleił ją z powrotem, kiedy dostał to, czego chciał.

– Albo nie dostał – zauważył Garvin.

– Kto znalazł ciało? – zapytałem.

– Nie pojawiła się w pracy, a najwyraźniej nigdy nie opuściła żadnego dnia bez uprzedzenia. Kiedy jej sekretarka nie mogła się do niej dodzwonić, zadzwoniła do sąsiada i poprosiła, żeby poszedł i sprawdził, czy z Marjorie wszystko w porządku.

– Sekretarka wiedziała, kto mieszka obok?

– Nie. Mówi, że szukała numerów telefonów w sieci.

– Sąsiad miał klucz?

– Nie ten, do którego zadzwoniła sekretarka. To był facet mieszkający po drugiej stronie ulicy, ten, który zauważył samochód. Zadzwonił do sąsiadki, która mieszka obok, i ta kobieta miała klucz. Otworzyła frontowe drzwi, weszła i znalazła ją tutaj.

– Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym jeszcze raz rzucił okiem na ten pokój od ulicy? – zapytałem.

79.

Stałem wśród krzątania, patrząc z otwartych frontowych drzwi na małe biurko z laptopem i dwa klubowe fotele.

– Czy było tu krzesło przy biurku? – zapytałem.

– Niczego nie przesuwano – rzekł Lenehan.

– Nie pracowała przy tym biurku – powiedziałem. – Nie ma tu krzesła. Stawiała laptop na biurku w sypialni.

– Do czego pan zmierza? – zapytał Lenehan.

Podszedłem do foteli i zobaczyłem koniec stołu tuż przy jednym z nich oraz kilka starannie ułożonych pilotów.

– Nie było żadnych śladów wtargnięcia, zgadza się?

– Otworzyła mu drzwi – powiedział Lenehan.

– Spodziewała się go – rzekłem. Wskazałem małego białego pilota, dużo mniejszego niż te od kablówki i telewizora. – Ten jest do jej MacBooka.

– Może oglądała na nim filmy lub programy telewizyjne – zasugerował Garvin.

– Nie – powiedziałem. – Stoi za daleko. Ma dwunastocalowy ekran. Ponadto nie sądzę, aby oglądała telewizję lub filmy. Przez cały czas pracowała. Komputer jest włączony, prawda?

– Wygląda na wyłączony – rzekł Lenehan.

– Nie, przeszedł po prostu w stan uśpienia – powiedziałem. – Czy będzie w porządku, jeśli dotknę touchpada?

– Po co?

– Aby wyprowadzić komputer ze stanu uśpienia. Zobaczyć, co na nim jest.

– Nie sądzę, aby technicy miejsca zbrodni chcieli, żeby pan to zrobił – rzekł Lenehan. – Odciski, DNA, wszystkie te rzeczy. Jednak proszę chwilę poczekać. – Zatrzymał kogoś i pogadał z nim. Po chwili odwrócił się do mnie. – Dobrze, proszę. I tak będą musieli włożyć go do pojemnika z oparami, szukając odcisków palców.

Przesunąłem urękawiczonym palcem po touchpadzie MacBooka i pojawił się wygaszacz ekranu. Nacisnąłem przycisk touchpada i wygaszacz zniknął. Na ekranie pojawiło się duże okno: moje zdjęcie.

Poruszało się, kiedy ja się ruszałem, gdy moja twarz zbliżała się do obiektywu kamery w pokrywie laptopa. Nagrywała mój obraz w czasie rzeczywistym. Naciskasz przycisk i to zamraża twój obraz.

Poniżej dużego okna znajdował się rząd mniejszych zdjęć. Były tam zdjęcia pokoju, w którym się znajdowaliśmy. Wszystkie ukazywały mężczyznę i kobietę siedzących na fotelach.

Marjorie Ogonowski oraz mężczyznę w garniturze i krawacie ze zgarbionymi ramionami i szeroką, dziobatą twarzą.

Lenehan i Garvin przybliżyli się.

– Co to jest? – zapytał Lenehan.

– Photo Booth – odpowiedziałem. – To aplikacja do zdjęć Macintosha.

Nacisnąłem przycisk touchpada, aby jeszcze bardziej powiększyć duże zdjęcie, przybliżając postaci w fotelach.

– Robiła zdjęcia, kiedy tu siedzieli, rozmawiając – rzekłem. „Wszystko dokumentuję”, powiedziała wcześniej.

– Jak? – zapytał Garvin.

– Używając pilota do komputera – wskazałem. – Leżał na stole przy fotelu, na którym siedziała.

– To jest nasz facet – powiedział Lenehan, ale zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie.

– To jest nasz facet – rzekłem.
– Pozwolił, by robiła mu zdjęcia?
– Nie zauważył tego. Dźwięk w komputerze był wyłączony, więc nie słyszał odgłosu imitującego trzask migawki, jaki zazwyczaj temu towarzyszy.

– Robiła mu zdjęcia bez jego wiedzy? – zapytał Lenehan.
– Zgadza się – powiedziałem. – Co wskazuje na to, że mu nie ufała. Nie była pewna, czy jest tym, za kogo się podawał.

– Nie zostawił nigdzie odcisków – rzekł Lenehan. – Prawdopodobnie nosił rękawiczki. Nic dziwnego, że była podejrzliwa.

– Jestem pewien, że nie przyszedł do jej drzwi w rękawiczkach – powiedziałem. – Po prostu uważał, czego dotyka, a później wytarł swoje ślady. Jest profesjonalistą. Teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, zamierzam wysłać do siebie e-mail z jego zdjęciem.

– Po co? – zapytał Lenehan.

– W moim biurze mamy stację roboczą z zainstalowanym FaceExaminerem.

Gliniarz z wydziału zabójstw w Marylandzie nie wiedział, o czym mówię, ale nie było to zaskakujące. Prawdopodobnie nie mieli dostępu do takiej technologii.

– Ten program rozpoznaje osobę, przeglądając bazę danych znanych zdjęć w poszukiwaniu twarzy. Tej samej technologii używają kasyna w Las Vegas do wyłapywania geniuszy, którzy umieją liczyć karty.

– Co to oznacza: „znanych zdjęć”? Skąd pochodzi ta baza danych?

– Będziemy musieli uzyskać zgodę rządu – rzekłem. – Na wejście do wszystkich tajnych baz fotografii twarzy. Stanowej, Departamentu Obrony, Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wywiadu. – Odwróciłem się do Garvina. – Pójdzie o wiele szybciej, jeśli do kogoś zadzwonisz.

– Do kogo?

– Mam pewną teorię – powiedziałem. – Sądzę, że nasz gość był kiedyś pracownikiem rządowym.

80.

Dorothy natychmiast odebrała telefon, gdy zadzwoniłem na jej komórkę.

– Heller, jeśli wciąż będziesz do mnie dzwonił, nie będę gotowa na czas.

– Chcę, żebyś wróciła do biura i coś zrobiła – powiedziałem.

– Chyba nie słyszałeś, kiedy ci mówiłam, że zostałam wylana.

– Musisz tam wrócić i spakować swoje rzeczy, prawda?

– Nie kumasz tego, co? Stoddard kazał mnie wyprowadzić z biura pod eskortą. Musiałam natychmiast spakować swoje rzeczy. Jestem wyrzucona na dobre.

– Skoro o tym mowa, właśnie rozmawiałem ze Stoddardem.

– Ciebie też wyrzucił?

– Odszedłem, zanim mógł to zrobić. Nasza rozmowa dotyczyła ciebie.

– Co chciał wiedzieć?

– Nic. Ta rozmowa to był mój pomysł. Powiedziałem mu, żeby załatwił ci inną pracę.

– A on roześmiał ci się w twarz.

– Próbował, oczywiście. Jednak załatwi to.

– Tak, racja. Pracę wymagającą jeżdżenia z tyłu śmieciarki.

– Sądzę, że stanie na głowie, żeby ci pomóc.

Cisza na linii była tak długa, że pomyślałem, iż połączenie zostało przerwane. W końcu Dorothy się odezwała.

– Co ty, do cholery, zrobiłeś, Nick?

– Nie chcesz wiedzieć.

Znów długa cisza. A potem, bardzo cicho, powiedziała coś, czego niemal nigdy nie mówiła.

– Dzięki.

– Nie ma problemu. No więc co z tym? Zechcesz wrócić do biura? Aby przepuścić zdjęcie przez FaceExaminera?

Pospiesznie wyjaśniłem jej sprawę ze zdjęciem zabójcy Marjorie Ogonowski, które ofiara zrobiła swoim laptopem.

– Nie – powiedziała. – Tylko kto powiedział, że muszę?

– Zechcesz mi to wyjaśnić?

– Mam tylne drzwi do wszystkich baz danych Stoddard. Prawie nigdy ich nie używałam. Nie chciałam tego robić. Jednak z pewnością to zrobię, jeśli tego chcesz.

– Czy możesz zrobić to teraz?

– Nie dzisiaj rano. Teraz muszę pojechać do Ryder i zdobyć ciężarówkę.

– Zmiana planu – odparłem. – Przyślę ci zdjęcie na twój telefon komórkowy, ty przepuścisz je przez FaceExaminera, a ja zdobęde ciężarówkę. Potem podjadę po ciebie i razem ruszymy do Paladin.

– Sądzisz, że zdążymy?

– Musimy – odpowiedziałem.



Trochę ponad dwie godziny później zaparkowałem wypożyczoną ciężarówkę Ryder przy krawężniku na K Street, gdzie czekała na mnie Dorothy.

– Miałaś rację – powiedziała, kiedy wsiadła. – Dopasowałam zdjęcia. Facet pracuje dla Paladin Worldwide.

– Tak jak podejrzewałam.

– To nie wszystko. Wiedziałaś, że był jednym z przesłuchujących w Guantánamo i Abu Ghraib?

– Wygląda na to, że to jednoosobowe przyjęcie – powiedziałem i podałem jej mój telefon komórkowy. – Wyświadcz mi przysługę i naciśnij szybkie wybieranie numeru do Arthura Garvina.

– To ten detektyw z waszyngtońskiej policji?

– Zgadza się. Będzie chciał przesłuchać Carla Koblenza. Tak więc Garvin może pomóc swoim kumplom z wydziału zabójstw Anne Arundel County wyjaśnić sprawę zabójstwa. Jednak powiedz mu, żeby poczekał, aż skończymy.

81.

Leland był na spotkaniu komisji finansowej na piątym piętrze, gdzie miał pozostać jeszcze przynajmniej przez godzinę, a może nawet dwie. Noreen wyszła na całą przerwę obiadową: wizyta u lekarza.

Lauren weszła do gabinetu Lelanda i zamknęła za sobą drzwi.

Wzięła głęboki oddech.

Odnalazła jego sfatygowaną starą teczkę i BlackBerry w jednej z przednich kieszeni. Wyciągnęła go ze skórzanego etui, które sama zamówiła dla Lelanda, i nacisnęła przycisk włączania. Zawsze zastanawiała się, dlaczego przycisk ON jest czerwony, a nie zielony? Czerwony kolor powinien oznaczać „wyłączony”, a nie na odwrót. Kiedy ekran się rozjaśnił, przewijała go, aż podświetliło się prywatne konto pocztowe Lelanda, a potem wcisnęła przycisk potwierdzenia. Znow przewinęła, aż znalazła e-mail z Kajmanów. W polu tematu widniał napis „Prywatne”.

Nacisnęła dwufunkcyjne pokrętło, otwierając wiadomość, po czym kliknęła ponownie, aby odpowiedzieć.

Następnie utworzyła wiadomość.

Kiedy skończyła, wcisnęła WYŚLIJ, a potem stała jeszcze przez chwilę, wciągając i wypuszczając powietrze, próbując sobie przypomnieć, czy Leland zostawił BlackBerry włączony, czy wyłączony. Zorientuje się, jeśli zostawił palmofon włączony, a ona go wyłączy.

Usłyszała kaszlnięcie i obejrzała się.

Noreen stała w progu z rękami splecionymi na biurku.

– Co robisz?

Serce Lauren zaczęło walić jak młot pneumatyczny.

– Wykonuję swoją pracę – powiedziała. – To chyba nie twój interes?

Noreen weszła w głąb gabinetu.

– Używasz jego BlackBerry – rzekła cicho. – Czy on wie, co robisz?

Lauren zdała sobie sprawę z tego, że trzyma BlackBerry Lelanda w uniesionej ręce, jakby był dowodem na sali rozpraw, a ona oskarżycielem. Odłożyła go na biurko.

– Jestem jego sekretarką – powiedziała. – Wiem, że ty chciałabyś nią być, ale nie jesteś. A teraz, nie masz nic lepszego do roboty?

Jednak Noreen nie ustępowała.

– Myślę, że czytałaś jego e-maile – oznajmiła.

Lauren dramatycznie wytrzeszczyła oczy.

– Przyłapałaś mnie – powiedziała. – Przyznaję. Czytałam jego e-maile. – Po czym rzuciła ostro i głośno: – Czytam wszystkie jego e-maile, Noreen. A także na nie odpowiadam. To moja praca. A co z tobą, nie masz nic do roboty?

Noreen z uśmiechem satysfakcji pokręciła głową.

– Mam na myśli jego prywatne e-maile. Nie masz dostępu do jego prywatnego konta pocztowego, chyba że używasz jego palmo fonu.

– Skończyłaś?

– Nie – odpowiedziała Noreen. – Kilka dni temu Leland zapytał mnie, czy ruszałam jego BlackBerry. Powiedział, że pamięta, jak włożył go do lewej przedniej kieszeni aktówki, a potem znalazł go w prawej. Był pewny, że ktoś ruszał jego BlackBerry. Wtedy zasugerowałam mu, że może ty to zrobiłaś. I wiesz, jak na to zareagował?

Noreen zrobiła przerwę, a Lauren milczała. Serce biło jej tak głośno, że zastanawiała się, czy Noreen to słyszy.

– Powiedział: „Lauren nie używa mojego BlackBerry. Jest zabezpieczony hasłem. Nie używa go nikt poza mną”.

– Może po prostu zrobisz w tył zwrot i wrócisz do swojego biurka – rzekła Lauren.

Zaschło jej w ustach.

– Widzisz, on nie wie, co ty robisz. I zastanawiam się, co powie, kiedy go o tym zawiadomię.

Lauren wyszła zza biurka Lelanda i podeszła do Noreen tak blisko, że stanęły twarzą w twarz. Widziała zmarszczki nad jej górną wargą i pęknięcia szminki.

– Czy powiedziałaś, że Szkoła Katharine Gibbs dobrze cię wyszkoliła, Noreen?

Noreen cofnęła się o krok. Lekko rozchyliła usta, a potem ponownie zamknęła.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– Kiedy zostałaś tutaj zatrudniona, przed wieloma laty, nakłamałaś w swoim podaniu o pracę i podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Powiedziałaś im, że ukończyłaś Szkołę Katharine Gibbs. Tymczasem nigdy do niej nie uczęszczałaś, zgadza się? Nawet nie ukończyłaś szkoły średniej.

– Skąd to wzięłaś?

Lauren pomyślała, że perfumy Noreen mają zapach aerozoluowego preparatu przeciw komarom.

– A kiedy twój szef odkrył prawdę i zażądał od ciebie rezygnacji, ty prosiłaś i błagałaś go, żeby cię nie zwalniał, więc zrobiło mu się ciębie żal i postanowił przymknąć oko na twoje kłamstwo, ponieważ byłaś wobec niego taka lojalna, mam rację? I zgodził się siedzieć cicho. Poprzestał na notatce w twoich aktach personalnych potwierdzającej załatwienie tej sprawy. Nikt nigdy by się o tym nie dowiedział.

– Jak... skąd ty...?

Lauren jeszcze nigdy nie widziała Noreen tak pogiębionej i musiała przyznać, że podobało jej się to.

– Ja widzę wszystko, Noreen – powiedziała. – Mam dostęp do różnych akt. Zatem żeby wszystko było jasne między tobą a mną. Kiedy następnym razem będziesz miała ochotę mi grozić, zadaj sobie pytanie, czy to jest warte utraty pracy.

Noreen odwróciła się i wybiegła z biura Lelanda.

82.

Wypolerowane mahoniowe drzwi do biura Paladin otworzyły się i stanęła w nich recepcjonistka, patrząc na nas ze zdziwieniem.

Przez chwilę sądziłem, że może mnie pamięta z poprzedniego dnia. Jednak byłem ledwo widoczny, stojąc za ustawioną na wózku paletą, na której znajdowało się olbrzymie kartonowe pudło.

Dorothy przejęła dowodzenie. Podeszła do recepcjonistki, niosąc notatnik z metalową podkładką. Miała na sobie szare spodnie z diagonalu i jasnoniebieską bluzkę z naszywką nad kieszenią na lewej piersi, informującą: HVAC OF RESTON. Mój strój był identyczny, oprócz granatowej czapki, jaką noszą kierowcy ciężarówek, nad której daszkiem znajdował się ten sam napis. Stroje, wózek i wielki pusty karton pożyczaliśmy od firmy zajmującej się ogrzewaniem, wentylacją i klimatyzacją, która należała do dalekiego kuzyna Dorothy.

– W czym mogę pomóc? – zapytała ładna blond recepcjonistka.

– Macie zepsute urządzenie wentylacyjne w jednym z waszych biur – rzekła Dorothy. – Zarząd budynku chce natychmiast je wymienić.

– Urządzenie wentylacyjne...?

– Czy ma pani coś przeciwko temu, żebyśmy wwieźli tę jednostkę i zabrali się do pracy? Będę potrzebowała podpisu osoby upoważnionej. – Wyciągnęła podkładkę i wskazała puste okienko. Zacząłem pchać wózek przez podwójne drzwi.

– Ale gdzie to ma pójść?

– Do gabinetu pani szefa? Jak on się nazywa, Koblenz czy jakoś tak? Tak czy inaczej, zarząd chce zrobić to teraz, kiedy pana Koblenza nie ma, żebyśmy nie przeszkadzali mu bardziej, niż musimy.

– Nie rozumiem – zdziwiła się recepcjonistka. – Powiedziała pani, że kto to zatwierdził?

– Proszę pani, nie mamy na to czasu – rzekła Dorothy. – Dmuchawa urządzenia wentylacyjnego jest zepsuta i musi zostać natychmiast wymieniona, ponieważ grozi pożarem, rozumie mnie pani? A z tego, co słyszałam, poprzedniej nocy w tym budynku były już jakieś problemy z ogniem, zatem jeśli chce pani być osobą, która nie pozwala nam naprawić tego urządzenia...

– Nie, nie – powiedziała recepcjonistka. – Proszę wejść.

Trzymałem głowę za kartonem Trane i miałem nadzieję, że nikt mnie nie rozpoznał. Wiedziałem, że Koblenza tam nie ma. W tym momencie był w drodze na nagłe spotkanie z Lelandem Giffordem w jego domu w Great Falls w Wirginii.

Chociaż żona Lelanda Gifforda bez wątplenia będzie zaskoczona, kiedy Carl Koblenz zadzwoni do jej drzwi. Leland był w głównej siedzibie swojej firmy na popołudniowym zebraniu z personelem kierowniczym.

Dorothy – posługując się nazwiskiem Noreen Purvis – umówiła pilne spotkanie z sekretarką Koblenza, Eleanor Appleby, która jak zwykle towarzyszyła swojemu szefowi.

Dorothy poprowadziła mnie przez korytarz do biura Koblenza.

Kiedy weszliśmy do środka, zacząłem tłuc młotkiem w układ chłodzenia, robiąc okropny hałas, a Dorothy delikatnie zamknęła drzwi biura. Jestem pewny, że wszyscy obecni pracownicy Paladin byli jej za to wdzięczni. Chętnie będą nas omijać z daleka.

Natychmiast zabrałem się do pracy, zdejmując pusty karton z wózka, opuszczając hydraulicznie jego dno i wsuwając tę stalową płytę pod sejf. Kiedy pompowałem hydrauliczną rączką, podnosząc

plytę i sejf, Dorothy zręcznie otworzyła pusty karton i nasunęła go na sejf. Karton był trochę większy niż sejf, ale nikt by tego nie zauważył.

Potem wyjechaliśmy ręcznym wózkiem z biura Paladin i zjechaliśmy windą towarową do piwnicy, zanim ktokolwiek zauważył, co zginęło z gabinetu Carla Koblenza.

Niecałe dwie godziny później wypożyczona ciężarówka Ryder wjechała do Ordnance Center w Aberdeen Proving Ground w Aberdeen w Marylandzie, najstarszego obiektu armii Stanów Zjednoczonych do testowania i oceny broni oraz materiałów wybuchowych. Kilku gorliwych żołnierzy, studentów Ordnance Center & Schools, wskoczyło na pakę ciężarówki i pomogło nam wyładować sejf.

Wszyscy oni bardzo chcieli się nauczyć, jak za pomocą kontrolowanej eksplozji otworzyć doskonale zabezpieczony sejf, nie niszcząc jego zawartości. Właśnie nadarzała im się rzadka okazja.

Profesjonalny „inżynier od sejfów”, jak go nazywano, z pewnością odmówiłby wykonania tej roboty. Kazałby mi wypełnić najróżniejsze formularze i może nawet poprosiłby lokalną policję, aby była obecna przy otwieraniu sejfu. Taka sytuacja – olbrzymia kasa pancerna przywieziona na wynajętej ciężarówce – uruchomiłaby wszystkie sygnały alarmowe. Jednak mój stary przyjaciel, sierżant sztabowy Patrick Keegan, będący tu jednym z instruktorów, był mi wdzięczny za przekazanie mojego starego sejfu, żeby mogli na nim poćwiczyć.

Staliśmy wszyscy kilkaset metrów z tyłu, kiedy Keegan skończył podłączać zapalnik do małej bryłki materiału wybuchowego C4, którą przyczepił w rogu tylnej ściany sejfu.

Dołączył do nas i nacisnął detonator, wywołując głośną eksplozję, której towarzyszył ostry trzask przypominający wystrzał z karabinu. Tył sejfu przeleciał w powietrzu i wylądował może sześć metrów od nas.

Jednak karta RaptorCard, która była w środku, pozostała nieuszkodzona.



- Chciałam zabrać klawiaturę – powiedziała Dorothy półtorej godziny później, kiedy jechaliśmy z powrotem ciężarówką.
- Z biurka Eleanor Appleby? Tę z rejestratorem haseł?
- Tak. Zatem nadal musimy tam wrócić.
- To prawdopodobnie nie byłby dobry pomysł. Mogliby się zastanawiać, dlaczego para konserwatorów z HVAC ukradła klawiaturę.
- Tak. Zatem pozwól, że cię o coś spytam.
- Tak?
- Jak, do diabła, wpadłeś na pomysł, żeby ukraść cały ten cholerny sejf?
- Sam nie wiem – odpowiedziałem. – Może zainspirowała mnie ta sprawa ładunku, nad którą pracowałem w Los Angeles.

Nagle mój telefon komórkowy wyemitował cztery krótkie dźwięki, powiadamiając mnie o nadejściu SMS-a. Zjechałem na pobocze i otworzyłem telefon.

NOWA WIADOMOŚĆ

Od: Anon@AnonTxt.com

Masz coś naszego. My mamy coś twojego. Wymieńmy się.

83.

Serce zabiło mi mocniej.

Paladin, oczywiście.

Z zablokowanego adresu e-mailowego. Nacisnąłem ODPOWIEDZ. Walczyłem z klawiaturą, wprowadzając kolejne litery. Nastolatki piszą SMS-y na swych różowych komorach z szybkością reporterów sądowych – OMG! BRB! LOL! ROTFLOL!

Zajęło mi to chwilę. W końcu wystukałem: „Co macie?”.

– Co się dzieje, Heller? – zapytała Dorothy.

Trzymałem telefon i czekałem.

Potem, minutę później, cztery piski. Na wyświetlaczu telefonu pojawiło się zdjęcie.

Mojego brata.

Zrobione pod dziwnym kątem, w słabym świetle. Wyglądał na zabiedzonego, starszego o pięć lat. Jednak niewątpliwie był to Roger.

Zdjęcie, które mogło zostać zrobione w każdym momencie. Kiepski dowód życia.

– Mój Boże – powiedziała Dorothy.

Napisałem: „Dowód?”.

Odpowiedź przyszła minutę później:

Nie ma czasu

Niewystarczająco dobry, pomyślałem. Śmierdziało pułapką.

Zastanawiałem się przez kilka chwil, a potem napisałem: „Jak nazywał mnie Roger?”.

Jeśli, jak podejrzewałem, była to pułapka Koblenza, to go załatwi. On – lub ktokolwiek przetrzymywał mojego brata jako zakładnika – będzie musiał zapytać Rogera. A jeśli Roger z nim nie współpracuje, odmówi odpowiedzi lub poda niewłaściwą.

Cztery krótkie dźwięki przyszły niecałą minutę później, a potem słowa:

RED MAN

- Jezu – powiedziałem głośno. – To on.
- Skąd wiesz, Heller? Porozmawiaj ze mną.
- Wyświadcz mi przysługę – rzekłem. – Poprowadź ciężarówkę.

Dorothy zmieniła mnie za kierownicą, a ja myślałem, gapiąc się na telefon. A jeśli Roger użył tego zwrotu w jakimś e-mailu do mnie sprzed lat? Czy to zrobił? Z pewnością tego nie pamiętałem, a on nie pisał do mnie często w ciągu ostatnich kilku lat. Może kilka razy. Jednak jeśli to zrobił, a oni przechwycili jego e-maile do mnie i przeanalizowali je...

Nie można było wykluczyć tego, że odkryli, jak nazywał mnie Roger. Tak więc nie był to prawdziwy dowód. Chociaż może nie istniał żaden ostateczny dowód.

Odpisałem: „Co znajduje się z tyłu prezentu taty dla Rogera?”.

Tego nie mogli wiedzieć, nie zapytawszy Rogera. Nie ma szans. Nigdy nie pisał o tym w żadnym e-mailu do mnie. Nigdy nie rozmawialiśmy o zegarku Patek Philippe, prezencie od mamy dla taty, który przekazał go Rogerowi, kiedy szedł do więzienia.

Tym razem o wiele dłużej czekałem na powiadomienie o SMS-ie. Wyobraziłem sobie Rogera mówiącego swoim porywaczom, kilkakrotnie literującego łacińskie słowa. Jego frustrację wywołaną ignorancją ludzi, którzy wzięli go jako więźnia. Ludzi, którzy nie znali łaciny tak jak Roger.

Jeśli, oczywiście, oni naprawdę mieli Rogera. Jednak wtedy rozległy się cztery krótkie dźwięki.

AUDNTES FORTUNA JUVT

Kilka literówek. Kilka brakujących liter, jak w łacińskiej inskrypcji na frontonie starego budynku. Napisane szybko. Jednak wystarczająco dokładnie. Odważnym szczęście sprzyja.

Napisałem: „Gdzie?”.

Odpowiedź nadeszła szybko.

Kawiarnia na Dworcu Union Station 18.00. Sam

Spojrzałem na swój zegarek. Była szesnasta trzydzieści. Miałem tylko tyle czasu, by wrócić do Waszyngtonu i dokonać niezbędnych przygotowań.

Odpisałem: „Dobrze”.

84.

W normalnych okolicznościach zawsze uważałem Union Station za jedno z najpiękniejszych miejsc w Waszyngtonie, jeden z najbardziej imponujących dworców kolejowych na świecie. Miał przypominać Łuk Konstantyna Wielkiego w Rzymie. Beczkowato sklepiony sufit w głównej poczekalni miał prawie trzydzieści metrów wysokości i był ozdobiony motywem złotego liścia. Nie tak dawno temu – dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu – dworzec został zabity deskami. Na suficie rosła pleśń, w łazienkach były ropuchy. Teraz dworzec lśnił świeżą farbą i nowymi pozłaczanymi liśćmi.

Jednak w tym momencie wydawał się zatłoczonym, ruchliwym miejscem. Niebezpiecznym. Ludzie z Paladin umyślnie wybrali na nasze spotkanie godzinę szczytu, kiedy hordy dojeżdżających przepływały przez główny hol, do i ze sklepów, w górę i w dół ruchomymi schodami, na perony i z peronów oraz stacji metra.

Chcieli mnie obserwować, a sami pozostać niewidoczni. Choć tak prawdopodobnie nie rozpoznałbym żadnego z nich. Ci, którzy próbowali mnie pobić, zapewne pobierali teraz odszkodowanie za wypadek w pracy i spędzali mnóstwo czasu w gabinetach kręgarzy.

Znalazłem miejsce na drugim piętrze parkingu przyległego do terminalu. Pospiesznie sprawdziłem, czy do podwozia mojego samochodu nie przyczepiono lokalizatora GPS, co ostatnio stało się moim zwyczajem. Nie było żadnego.

Zjechałem windą na dół, a potem przeszedłem przez rozsuwane szklane drzwi na antresolę. Tam stanąłem na balkonie i spojrzałem na główny hol. Gdyby obserwował mnie ktoś znajomy, i tak nie mógłbym go zidentyfikować. Było tam zbyt wielu ludzi, poruszających się w chaotyczny sposób albo po prostu stojących i kręcących się tu i tam. Zszedłem krętymi schodami na główny poziom i ruszyłem przez zachodni hol, mijając sklep z pamiątkami sportowymi.

W polu widzenia zauważyłem mężczyznę po sześćdziesiątce, mającego na głowie starą czapkę bejsolową Baltimore Orioles głęboko nasuniętą na czoło oraz parę okularów w czarnych oprawkach. Polecnik Arthur Garvin z wydziału do spraw brutalnych przestępstw Waszyngtońskiej Policji oglądał kubek z emblematem Washington Redskins.

Spojrzał obojętnie w moim kierunku, niczym nie zdradził, że mnie poznał, a ja nadal szedłem.

Kiedy wróciłem do głównego pawilonu i okrążyłem Center Cafe, mój telefon zawibrował. Spojrzałem na numer i odebrałem połączenie.

– Tak?

– Nic? – zapytał Garvin.

– W porządku – powiedziałem. – Dwadzieścia dwie minuty. Jest tu parę sklepów dokładnie naprzeciwko Center Cafe.

Zakładałem, że Koblenz liczy na to, iż chęć zobaczenia brata uczyni mnie niedbałym. Przykro będzie go rozczarować. Jednak to wszystko coraz bardziej wyglądało na pułapkę.

Teraz byłem przekonany, że oni naprawdę mają Rogera. Zdjęcie, które przesłali na mój telefon komórkowy, oraz dwie informacje, z których jedną mógł znać tylko Roger, pozostawiały niewiele wątpliwości.

Jednak to nie oznaczało, że rzeczywiście zamierzali go uwolnić. Chociaż Koblenz bardzo chciał z powrotem swoją RaptorCard, nie zrezygnuje z takiego środka nacisku. Przynajmniej nie tak łatwo.

Tak więc prawdopodobnie zamierzali porwać również i mnie. Przyśle ludzi, których nie rozpoznam. Zabiorą mnie gdzieś, dadzą mi zastrzyk i w końcu wyeliminują ostatnie zagrożenie.

A przynajmniej zakładałem, że taki jest ich plan.

Jednak plany mają to do siebie, że często zawodzą.

Garvin miał przy sobie służbowego glocka. Ja zaś rugera kaliber .45 zabranego Taylorowi, gościowi z Paladin. To doskonały pistolet, a w razie późniejszych komplikacji prawnych lepiej, by ślad broni palnej prowadził do Paladin, a nie do mnie. Ruger tkwił w kaburze przy kostce mojej nogi, zasłonięty nogawką luźnych dżinsów.

Mimo to było nas tylko dwóch, a Garvin, jako urzędnik, nie miał dobrej kondycji. Nie mógł również wezwać swoich przyjaciół z policji, zakładając, że nadal ich miał. Gdyby Koblenzowi istotnie chodziło o wymianę, nie chcieliśmy, aby obecność zbyt wielu funkcjonariuszy w hali Union Station spłoszyła jego ludzi.

Za pięć szóstą stanąłem przed budką informacji obok Center Cafe, udając, że studiuje tablicę przyjazdów i odjazdów. W przepływającym tłumie trudno byłoby rozpoznać podejrzanych typów z Paladin – byłych członków oddziałów SEALS lub sił specjalnych, mających w uszach słuchawki z charakterystycznymi skręconymi kablami opadającymi wzdłuż szyi. Albo przyciskających do uszu telefony komórkowe. Lub słuchawki bezprzewodowe.

W pobliżu było kilku muskularnych facetów rozmawiających przez telefony komórkowe. Każdy z nich mógł być z Paladin albo równie dobrze maklerem giełdowym.

Jednak żaden nie patrzył w moim kierunku. A jeśli patrzył, robił to bardzo dyskretnie.

Garvin stał na końcu baru. Wyglądało na to, że klóci się z innym klientem.

Dokładnie o szóstej mój telefon zapiszczał cztery razy. Przeczytałem wiadomość tekstową.

Sam?

Odpisałem: „Tak”.

Czekałem. Wysoko w górze rząd szarych posągów posepnych rzymskich legionistów spoglądał w dół. Potem kolejna wiadomość:

Wpisz kod ze spodu karty

Natychmiast zrozumiałem. Chcieli się upewnić, że naprawdę mam przy sobie RaptorCard, że nie próbuję ich oszukać. Wyjąłem kartę i zauważyłem na rewersie ośmiocyfrowy numer seryjny, który zapewne był unikalnym kodem. Wystukałem go na klawiaturze telefonu.

I czekałem.

Później nadeszły cztery krótkie dźwięki i wiadomość:

Dobrze. Kup bilet Camden Line do Laurel

Bilety dla dojeżdżających do pracy były sprzedawane tuż przed wejściem do głównego holu. Przeszedłem przez szklane drzwi i stanąłem w długiej kolejce, która wiła się wokół słupków do kasy biletowej. Tutaj nie było żadnych marmurowych wspaniałości; mógł to być dworzec autobusowy w jakiejś pipidowce.

Jakąś minutę później mój telefon ponownie zapiszczał.

Nie ma czasu. Skorzystaj z automatu

Obserwują mnie.

Tylko gdzie są?

Rozejrzałem się dokoła, zobaczyłem dziesiątki ludzi kręcących się wokół, czekających na pociągi, stojących w kolejce. Żaden z nich nie wyglądał znajomo ani na pracownika Paladina. Garvin znajdował się w zasięgu wzroku, rozmawiając z czyścibutem i śmiejąc się. Jakby miał mnóstwo czasu. Jednak obserwował.

Może go nie doceniałem.

Po obu stronach kasy stały rzędy elektronicznych automatów z

biletami. Kolejki do nich były znacznie krótsze. Wybrałem automat z prawej strony. Przede mną była tylko jedna osoba; musiałem czekać zaledwie kilka sekund. Wetknąłem do automatu swoją kartę kredytową i wybrałem Laurel w Marylandzie, przystanek na północnej linii MARC.

Znów się rozejrzałem, próbując dostrzec kogoś, kto nagle odwrócił wzrok, umknął spojrzeniem. Kogoś z telefonem komórkowym, stukającego w klawisze – nie rozmawiającego, lecz piszącego wiadomość tekstową.

Jednak nikogo takiego nie zauważyłem.

Zastanawiałem się, czy zadzwonić do Garvina i zawiadomić go, dokąd jadę, ale doszedłem do wniosku, że to zbyt ryzykowne. Obserwowali mnie. Mogliby usłyszeć, jak odbiera telefon w tej samej chwili, w której ja do kogoś dzwonię. Nie chciałem narażać go na niebezpieczeństwo. Pozwoliłem mu się domyślić, co robię.

Proponowałem Garwinowi, żeby wziął malutką słuchawkę Bluetooth z zapasów Merlina. Była rządowej klasy, używana przez tajne służby, niedostępna na rynku. Wtykasz ją w kanał słuchowy i jest prawie niewidoczna. Jednak Garvin był ze starej szkoły i nie miał ochoty wkładać sobie czegoś tak malutkiego do ucha. Bał się, że tam utknie.

W tym momencie żałowałem, że nie skorzystał z mojej propozycji.

Bilet wyskoczył, chwyciłem go i odnalazłem numer toru na tablicy odjazdów. Przez automatyczne drzwi przy bramie A i na peron. Powietrze było chłodne, rześkie i gryzące od niespalonego oleju silnikowego i dymu. Pociąg do Camden stał z otwartymi drzwiami. W środku już był tłum pasażerów. Niektórzy z nich położyli swoje akówki na pustych miejscach koło siebie. Znalazłem miejsce w rzędzie numer dwa po prawej stronie, obok starszej pani. Przedział był prawie pełny. Pasażerowie musieli zacząć zabierać swoje torby z pustych miejsc, pozwalając ludziom usiąść koło siebie.

Garvin, który śledził mnie w bezpiecznej odległości, przeszedł przez mój przedział i postanowił wsiąść do następnego wagonu.

Sprytne posunięcie: nie chciał zostać rozpoznany.

Z głośników pociągu popłynęło ogłoszenie, że drzwi zostaną zamknięte. Pociąg miał zaraz odjechać.

Mój telefon zapiszczał. Otworzyłem go.

Teraz wysiądź z pociągu. Nie jedź tym pociągiem

Westchnąłem z irytacją: nie lubiłem, jak się ze mną bawiono w ten sposób. Jednak wyskoczyłem z pociągu w chwili, gdy drzwi zaczynały się zamykać z pneumatycznym sykiem. Kilka sekund później siedzący w następnym przedziale Garvin zobaczył, co robię, i szarpnął drzwi, usiłując je otworzyć. Pociąg nabrał prędkości i po kilku sekundach zniknął. Razem z Garvinem.

Mój telefon znowu piszczał. Wiadomość brzmiała:

Pociąg Penn Line. Po drugiej stronie peronu

Napisałem „Dokąd?”.

Pisanie wiadomości szło mi coraz lepiej. Już mógłbym się zmierzyć z jakąś nastolatką.

Odpowiedź przyszła natychmiast:

Po prostu wsiądź

85.

Pociąg Penn Line miał już odjeżdżać, około minuty po tym do Camden. Przebiegłem przez peron i znalazłem wolne miejsce. Mój telefon zawibrował. Rozmowa, nie SMS.

– Cholera – rzekł Garvin. – Co to było?

– Myślę, że w ten sposób chcieli się upewnić, iż jestem sam – powiedziałem najciszej, jak mogłem.

– Dokąd cię teraz posyłają?

– Nie wiem. Pociąg jedzie w kierunku Baltimore. Kończy bieg w Perryville.

– Oddzwon do mnie, kiedy ci powiedzą, na jakiej masz wysiąść stacji – rzekł. – Wezmę taksówkę lub coś takiego.

– Zadzwoń, kiedy wysiądę – powiedziałem. – Mam przeczucie, że zabawa jeszcze się nie skończyła.

Przyszedł konduktor z ręcznym kasownikiem i poprosił o mój bilet. Nie wiedziałem, jak daleko jadę, więc kupiłem bilet do końca linii, do Perryville.

Telefon przez długą chwilę milczał. Nie było żadnych SMS-ów ani telefonów od Garvina.

Pociąg był stary i sfatygowany, siedzenia wytarte i poplamione. Mężczyzna koło mnie wydierał artykuły z „Washington Post”. Zastanawiałem się, czy jest chory umysłowo. Bardzo niewielu pasażerów rozmawiało przez telefony komórkowe. Było cicho – milczenie ludzi zmęczonych po długim dniu. Kilka osób drzemało.

Minęliśmy plac z używanymi samochodami w Seabrook i znaleźliśmy się poza miastem. Po dwudziestu dwóch minutach dojechaliliśmy do Bowie State. Pięć minut później do Odenton.

I nadal nie było żadnego SMS-a z instrukcjami. Zacząłem się zastanawiać, czy nie krążę bez celu, wodzony za nos. Następnym przystankiem było lotnisko BWI Marshall. Większość pasażerów wysiadła tam, zapewne przesiadając się do autobusów na lotnisko.

Pięć minut później pociąg zatrzymał się w Halethorpe. Podmiejskie peryferia Baltimore. Osiedla. Mieszkania. Cmentarz po zachodniej stronie.

Może więc chcieli się spotkać w Baltimore. Za siedemnaście minut pociąg dojedzie do stacji Baltimore's Penn Station. Jednak nadal nie dostałem żadnego SMS-a. Nie zamierzałem dzwonić do Garvina, dopóki nie będę pewny miejsca przeznaczenia.

W moim wagonie pozostało tylko trzech pasażerów. Stary mężczyzna koło mnie obsesyjnie wrywający kawałki papieru gazetowego. Wyglądał na faceta, który siedzi w mieszkaniu otoczony gigantycznymi stosami pożółkłych gazet, dopóki jeden z nich nie przewróci się, miażdżąc go na śmierć. Młody mężczyzna, zbyt mały, chuderlawy i kruchy, żeby być z Paladin. Czarnoskóra kobieta w średnim wieku, prawdopodobnie pracownica administracji państwowej.

Pięć minut później mój telefon ożył, sygnalizując wiadomość tekstową.

Wysiądź tutaj. Zach. Baltimore

Z głośnika popłynął komunikat: „Następny przystanek: Zachodnie Baltimore. Drzwi zostaną otwarte tylko w ostatnim wagonie. Pasażerowie, którzy chcą tutaj wysiąść, powinni przejść do ostatniego wagonu”.

Wstałem i przeszedłem do następnego wagonu, a potem do kolejnego, a kiedy to zrobiłem, wcisnąłem powtórne wybieranie numeru Garvina.

- Stacja Zachodnie Baltimore – rzekłem.
- Jezu Chryste. Jestem w Annapolis Junction. Wezmę taksówkę, jeśli uda mi się jakąś znaleźć.

Pociąg wjechał na stację, drzwi otworzyły się i wysiadłem wraz z czarnoskórą kobietą w średnim wieku z mojego wagonu oraz młodym, ciemnowłosym facetem w bluzie z kapturem noszącym plecak.

Okolica wyglądała ponuro. Po lewej znajdowała się stara, opuszczona fabryka z czerwonej i mocno okopconej cegły, z powybijanymi oknami. Wąski rząd domów wzdłuż stromej stoku, wiele z nich pozabijanych deskami. Peron znajdował się na nasypie, poniżej biegła ulica. Ciemnowłosy facet poczłapał przede mną w dół po schodach.

Pojawiła się wiadomość:

Zach. Mulberry St do Wheeler Ave

Zatem mieli zamiar prowadzić mnie przecznica po przecznicy.

Zaczął zapadać zmierzch. Na ulicach było niewielu ludzi. Czujnie obserwowałem wszystkich przechodzących, wystrzegając się zasadzki.

Piętnaście lub dwadzieścia minut później mój telefon ponownie zapiszczał.

W prawo Płn. Winchester St do Płn. Bentalou St

Przeszedłem już prawie dwa kilometry. Ulice były bardziej wydłużone, bardziej opuszczone. Więcej niezamieszkałych budynków. Okolica przypominała zbombardowane wielkomiejskie pustkowia, jakie można zobaczyć w takich starych filmach science fiction jak *Łowca androidów* i *Ucieczka z Nowego Jorku*.

Kolejne cztery piśnięcia:

Przejdź przez ulicę

Po drugiej stronie ulicy stał stary ceglany budynek, zajmujący cały

kwartał. Jedna z tych rozpadających się pozostałości dawno minionej epoki industrialnej. Wyblakłe ślady liter namalowanych na cegle wskazywały, że kiedyś była to przetwórnia mięsa. Otoczona była zardzewiałym płotem z siatki, tu i ówdzie wygiętym, porwanym i połamanym.

Kolejne powiadomienie o SMS-ie:

Idź na wschodnią stronę najdalej wysuniętego na wschód budynku i czekaj przy strefie załadunkowej

Zauważyłem, że nie był to tylko jeden budynek, ale cały kompleks fabryczny. Trzy identyczne długie budynki stały równolegle do siebie, w odległości około trzydziestu metrów, na zachód od torów kolejowych. Każdy budynek miał wysokość czterech pięter. Wybite okna były zabite deskami. Tu i ówdzie sterczały brudne kominy fabryczne. Rodzaj miejsca, które w przyjemniejszej części miasta już pięć lub dziesięć lat temu zostałyby przekształcone w mieszkania dla yuppie i nazwane Meat Factory albo jakoś tak.

Z łatwością przeszedłem przez zapadniętą część ogrodzenia z siatki.

Ziemia niczyja za nim była zasłana starymi oponami, śmieciami i zbitymi butelkami. Wiatr obracał wędrownie gęstwiny plastikowych torebek. Ściany były pokryte graffiti i oblepione napisami NIE WCHODZIĆ i DO ROZBIÓRKI. Dojście do końca pierwszego budynku zajęło mi dobrych pięć minut. Stamtąd poszedłem do trzeciego budynku, gdzie znalazłem starą strefę załadunku, zabitą deskami podobnie jak wszystkie okna. Każdy budynek miał przynajmniej trzysta metrów długości. O wiele więcej niż przeciętna miejska kamienica. Bardziej jak cały kwartał we wschodnio-zachodnim Nowym Jorku.

Tam zaczekałem.

Rozejrzałem się wokół, patrząc na ciemny teraz, odludny krajobraz. Gwizdał wiatr, a w oddali słychać było klaksony samochodów.

Rozumiałem, dlaczego wybrali to miejsce, a przynajmniej domyślałem się tego. Każdy obserwujący teren przez lornetkę mógł z daleka zobaczyć, że przyszedłem sam i nie miałem wsparcia – upewnili się co do tego – a to odludne miejsce mogli odwiedzać i opuszczać, wiedząc, że nie są śledzeni.

Zdałem sobie też sprawę z tego, jak bardzo jestem odsłonięty, stojąc na widoku. Jeden mężczyzna, sam, z pistoletem w kaburze przy kostce. Nikt mnie nie osłaniał. Faceci z Paladin mogli czekać wewnątrz opuszczonego budynku z wycelowanymi przez szpary w deskach karabinami snajperskimi.

Mogli mnie zdjąć w kilka sekund.

Jednak prawda była taka, że mogli mnie załatwić w każdej chwili. Moja śmierć nie rozwiązywała ich problemów. Mogli to z łatwością zrobić już dawno. Zamiast tego zapewne chcieli wydusić ze mnie informacje, co wymagało pojmania mnie żywcem, jako zakładnika.

W taki sam sposób, w jaki musieli pojmać Rogera. A może planowali coś podobnego do tego, co zrobiono Marjorie Ogonowski.

Tylko czego mogli ode mnie chcieć, jeśli już mieli Rogera?

A może mówili prawdę i po prostu chcieli odzyskać Raptor-Card. W moich rękach ta karta stanowiła realne zagrożenie. Zapewniłaby mi dostęp do ich plików firmowych.

Może więc naprawdę chcieli wymienić Rogera za ten gadżet. Może to rzeczywiście była wymiana. Taka jak wymiana schwytych szpiegów między Wschodem a Zachodem, na moście Glienicke w Berlinie.

Może tak. A może nie.

Jednak w tym momencie nie miałem już na to żadnego wpływu. Przynajmniej jeśli chciałem znów zobaczyć swojego brata.

Zaczekałem jeszcze chwilę. Pochyliłem się i wyjąłem z kabury rugera. Przesunąłem kciukiem bezpiecznik.

Mój telefon zadzwonił: rozmowa, nie SMS. Garvin.

– Gdzie jesteś? – zapytałem.

– Nie ma tu ani jednej cholernej taksówki. Musiałem po nią zadzwonić. Teraz czekam. Gdzie jesteś?

Powiedziałem mu.

- Wynoś się stamtąd – rzekł. – Nic nie rób, dopóki tam nie dojadę.
- Nie – odparłem. – Teraz już nie kontroluję sytuacji.
- Możesz, jeśli zechcesz. Po prostu odejdz.
- Nie. Przyjedź tu jak najszybciej.
- Heller, ty idioto.
- Po prostu przyjedź, kiedy będziesz mógł – rzuciłem i przerwa-

łem połączenie.

Wtedy usłyszałem pisk opon i na obu końcach budynku jednocześnie pojawiły się dwa pojazdy. Dwa czarne hummery zmierzały w moją stronę.

Stałem i nie ruszałem się.

Rozejrzałem się na boki.

Samochody z piskiem hamulców zatrzymały się jakieś dziesięć czy dwanaście metrów przede mną, zderzak w zderzak, o pół metra od siebie. Przyciemniane okna: nie mogłem zajrzeć do środka. Błoto na tablicach rejestracyjnych.

Czekałem. Z rugerem w prawej dłoni, opuszczonej wzdłuż boku. Drzwi od strony kierowcy pojazdu po mojej prawej stronie otworzyły się i wysiadł jakiś facet. Wysoki, z małą okrągłą głową, wygoloną do samej skóry. Jego czaszka miała dziwny kształt. Wyglądał jak penis wielkości człowieka.

W ręku nie trzymał broni, ale coś małego i prostokątnego, co wyglądało trochę znajomo, jednak nie mogłem tego natychmiast rozpoznać.

- Stój spokojnie – powiedział facet.
- Stoję – rzekłem.

Trzymał urządzenie w górze. Uświadomiłem sobie, że to pilot do otwierania bramy garażowej, ale wiedziałem, do czego mu służy.

- Rzuć broń.
- Przekonaj mnie.

– To jest detonator – powiedział mężczyzna podobny do penisa. – Zrobisz jakiś gwałtowny ruch, a twój brat umrze.

- Tak po prostu, co?
- Rzuć broń.
- Mam ją rzucić? Wolę nie, jeszcze się porysuje.
- Rzuć ją natychmiast.
- Bo co?
- Chcesz się dowiedzieć?

Nie chciałem. Opuściłem rugera, nadal odbezpieczonego i gotowego do strzału, po czym ostrożnie położyłem go na twardej ziemi.

Dał znak wolną ręką i prawe tylne drzwi drugiego pojazdu się otworzyły. Usłyszałem, jak się otwierają, ale nie widziałem tego. Usłyszałem głosy. Polecenia wydawane ściszym głosem. Jakaś postać wyszła zza samochodu, przeszła między dwoma pojazdami i zatrzymała się około dwunastu metrów ode mnie. Facet z okrągłą główką stał obok niej.

Postać w workowatych, luźnych ciuchach. W o wiele za dużym, jasnobrazowym kombinezonie pod starym prochowcem.

Roger.

CZEŚĆ TRZECIA

Nigdy nas nie oszukują, sami się oszukujemy.

GOETHE

86.

Wyglądał jak naćpany. Wydawał się jeszcze starszy i mizerniejszy niż na zdjęciu, które mi przesłali. Pocił się obficie.

– Nick – rzekł łamiącym się głosem.

– Zatrzymaj się tam – szczechnął na Rogera facet z okrągłą główką.

– Hej, Red Man – powiedziałem łagodnie.

– Pokaż kartę – rzekł facet. – Wyjmij ją powoli.

Wyciągnąłem ją z kieszeni i podniosłem.

– Rozumiesz umowę – powiedział.

Przytaknąłem. Roger miał na sobie jakiegoś rodzaju kamizelkę, może wędkarza muchowego, do której przymocowano klocki ładunków wybuchowych M1 12 owinięte oliwkową folią. Ładunek C4, wojskowy. Potrafiłem go rozpoznać na kilometr. Z każdego klocka wychodziły przewody. Całość była przymocowana do Rogera taśmą klejącą. Niedbale, ale profesjonalnie.

Był chodzącą bombą.

Z hummera po lewej, tego samego, z którego wcześniej wysiadł Roger, wyszedł drugi gość. On również niósł pilota do bramy garażowej w jednej dłoni, a w drugiej trzymał pistolet. Ten facet był muskularny, miał kozią bródkę. Typ prawdziwego twardziela. Jak Neil Burris i setki facetów, z którymi służyłem.

Silniki obu hummerów pozostawili włączone, a drzwi po stronie

kierowcy otwarte. Wszystko miało się odbyć szybko. Chcieli pośpiesznie stąd odjechać.

– Oto, jak się to odbędzie – powiedział pierwszy gość. – Twój brat zabierze od ciebie kartę i poda mi ją. Sprawdzę ją. Jeśli będzie dobra, ściągnę mu kamizelkę.

– To brzmi tak, jakbyś nie chciał podejść do mnie za blisko – zauważyłem.

– Spróbuj czegokolwiek głupiego, a jeden z nas naciśnie detonator. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– A gdybyś zamierzał chwycić broń i spróbować nas załatwić, powiem ci, że nie chcesz tego zrobić. Detonatory są ustawione na samoczynne odpalenie, tak że jeśli któryś z nas puści przycisk, bomba eksploduje. Oprócz tego na kamizelce znajduje się detonator dotykowy, a ty nie wiesz, gdzie on jest. Spróbujesz ściągnąć kamizelkę, a ona wybuchnie i obaj wyparujecie. Rozumiesz to wszystko?

– Wydaje się dość skomplikowane.

– Nie jest. To naprawdę proste. Niczego nie próbuj, a ty i twój brat wróćcie do domu. To wszystko.

Spojrzałem na Rogera. Miał zamknięte oczy i wydawało się, że drży.

– Nie – powiedziałem.

– Słucham? – zapytał pierwszy facet.

– Nie – powtórzyłem. – Kiedy dam wam RaptorCard, co was powstrzyma przed detonowaniem kamizelki i zabiciem nas obu? Wasz honor?

– Nie potrzebujemy tego – oświadczył drugi facet. – Wyniesiemy się stąd.

– Oto, jak się to odbędzie – powiedziałem. – Dam mojemu bratu kartę. Tylko że ty będziesz stał koło niego. Potem zdejmiesz mu kamizelkę, a on ci odda kartę. I wszyscy pójdziemy do domów.

Zapadła chwila ciszy. Facet z kozią bródką popatrzył na łysego. Naprawdę woleli trzymać się ode mnie z daleka. Chyba powinno mi to pochlebiać.

Łysy skinął głową.

– Idź – rzekł do Rogera.

Roger powoli ruszył w moim kierunku, na uginających się nogach. Oczy miał szeroko otwarte, wytrzeszczone i przerażone. Twarz szarą jak popiół. Gdy podchodził, obaj faceci z Paladin obserwowali go, trzymając swoje detonatory, z kciukami przy włącznikach.

Roger jakby próbował coś mi powiedzieć wzrokiem. Patrzyłem na niego, gdy się zbliżał, krok po kroku.

Nieznacznie pokręcił głową.

Mówiąc mi „nie”.

W zamian posłałem mu pytające spojrzenie: Co masz na myśli?

Bezdźwięcznie powiedział: Nie.

Był już dwa metry ode mnie. Powoli wyciągnął lewą rękę. Na nadgarstku miał zegarek Patek Philippe taty.

Wręczyłem mu RaptorCard.

– Zabiją nas obu – szepnął.

Pokręciłem głową.

– Nie pozwolę im cię zabić, Nick – powiedział nieco głośniej. Jego oczy były szeroko otwarte. – Uciekaj – dodał.

– Nie – odpowiedziałem szeptem.

– Hej, ruszajcie się! – zawołał łysy.

– Uciekaj – ponownie wyszeptał Roger.

– Nie – odparłem.

Nagle odskoczył w prawo. Obrócił się i popędził w stronę humera stojącego po lewej. Wpadł na faceta z kozią bródką. Powalił go na ziemię.

Jednak nic się nie stało. Detonator nie zadziałał samoczynnie. Kłamali. O czym jeszcze skłamali?

Zobaczyłem, jak Roger otwiera z rozmachem drzwi samochodu, uderzając nimi podnoszącego się z ziemi faceta z kozią bródką, powalając go ponownie.

– Nie! – krzyknąłem. – Roger, nie rób tego!

– Hej! – wrzasnął łysy.

Roger wskoczył do hummera, a ja rzuciłem się na łysego, powalając go na ziemię. Jego detonator poszybował w powietrze i przyciskając przeciwnika do ziemi, przygotowałem się na straszną eksplozję.

Jednak i tym razem nic się nie stało.

Hummer ożył z rykiem i pomknął naprzód, wzdłuż budynku. Łysy wyrwał mi się i wskoczył do drugiego pojazdu. Gość z kozią bródką również wskoczył do samochodu i ruszyli w pościg za Rogerem.

Jeden z pilotów do otwierania bramy garażowej nadal leżał na ziemi, porzucony przez łysego faceta.

Podniosłem rugera i pobiegłem za nimi, ale oba hummery już zniknęły mi z oczu. Usłyszałem, jak z piskiem opon biorą zakręt, a potem pisk hamulców.

Krzyki.

Nadal biegłem. Pewnie go dogonili. Złapali.

Biegłem.

Mniej więcej pięć sekund później nastąpił wybuch, ogłuszająco głośny, równie donośny jak te, które słyszałem podczas wojny, odbijający się echem po budynku. Wiedziałem, co się stało. Zdetonowali C4.

Jednak wciąż biegłem.

Dotarłem do końca budynku, minąłem zakręt, ale nic nie zobaczyłem.

Biegłem, aż niemal zatrzymała mnie silna kolka w boku, ale nie zważałem na nią.

Żółtopomarańczowy blask oświetlał niebo na drugim końcu następnego budynku.

Pędząc tam, robiłem coś, czego jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się robić: modliłem się.

Potem dotarłem do drugiego budynku i zobaczyłem pożar. Płomień buchający na sześć metrów w górę. I wrak hummera, jego szkielec ledwie widoczny zza woalu płomieni.

– Nie! – krzyknąłem.

Tylko jeden samochód. Drugi zniknął.

Podszedłem do płonącego wraku na odległość kilku metrów, zanim uderzyła mnie ściana gorąca. Przystanąłem, spróbowałem podejść bliżej. Eksplozja wybiła okna hummera. Rozbite szkło leżało w promieniu kilkunastu metrów od epicentrum wybuchu.

Krzyknąłem, podszedłem bliżej i wewnątrz zobaczyłem zarysy ludzkiej postaci.

Rękę kurczowo ściskającą słupek między oknem kierowcy, a tym z tyłu. Ludzką rękę, tak, ale poczerniałą. Prawie zupełnie spaloną.

Na jednym z palców tkwiła ślubna obrączka Rogera.

A na zwęglonym nadgarstku Patek Philippe mojego ojca.

87.

Później przez długi czas wędrowałem po ulicach Zachodniego Baltimore. Nie wiem jak długo. Straciłem poczucie czasu. Kilkakrotnie czułem, jak mój telefon wibrował, ale zignorowałem to.

W końcu odebrałem telefon i usłyszałem głos Garvina.

Przyjechał taksówką z Marylandu i zabrał mnie na parking Union Station. Długa jazda w milczeniu. I kosztowna. Moje dżinsy i bluza były podarte, brudne i cuchnęły dymem, i bardzo szybko cała taksówka też tak śmierdziała.

Odnalazłem defendera, pojechałem do domu Lauren i otworzyłem sobie drzwi.



W swoim czasie stawiałem czoło wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwom, w Bośni i Iraku. Jednak nie miałem odwagi powiedzieć Lauren o tym, co się stało. Nie potrafiłem powiedzieć jej – i Gabe'owi – że jednak ich zawiodłem.

Złożyłem Gabe'owi obietnicę i złamałem ją.

Chociaż śmierć mojego brata była dla mnie ciężkim ciosem, to konieczność przekazania tej wiadomości Lauren i Gabe'owi była jeszcze gorsza.

Musiałem pozalátwiać pewne sprawy, zanim będę mógł przed nimi stanąć. Tak więc szybko i po cichu zabrałem część swoich rzeczy z pokoju gościnnego, zamierzając wymknąć się z domu, kiedy oboje

śpią, i udać się do własnego mieszkania. Gabe był w holu, kiedy wyszedłem z pokoju.

– Czemu nie śpisz? – szepnąłem.

– Śmierdzisz dymem.

– Taa – mruknąłem z ręką na gałce klamki. – Jest późno. Powinieneś spać.

Musiałem uciec od niego, ponieważ bałem się, że nie zdołam niczego przed nim ukryć. Nie chciałem być tym, który powie mu o śmierci jego ojca. To był obowiązek jego matki.

– Coś się stało? – zapytał.

Przyciągnąłem go do siebie i uściśnąłem, długo i mocno.

– Za co to? – zapytał, kiedy go puściłem.

– Muszę wyjechać – rzekłem. – Chciałem tylko się pożegnać i powiedzieć ci, że cię kocham. I że zawsze możesz na mnie liczyć. Nieważne, co się stanie. Dobrze? Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Moje słowa jeszcze bardziej zbiły go z tropu.

– Czy coś się stało?

Zignorowałem to pytanie.

– Och, a pamiętasz, że zawsze prosiłeś mnie, żebym nauczył cię strzelać?

– Mówisz poważnie? – zapytał podekscytowany.

– Nie, nic podobnego. Jednak coś prawie równie dobrego: zostawiłem ci paralizator. Jest w pokoju telewizyjnym.

– Super – rzekł.

– To nie jest zabawka.

– Facet, przecież wiem.

– Tylko w razie nagłej potrzeby.

– Pewnie. Oczywiście. Fajnie!

– Rozpracujesz go. Nie potrzebujesz do tego mojej pomocy.

– W porządku, wujku Nicku.

– Ale... Gabe? Przeczytaj instrukcję, dobrze?

– Dobrze – zamilkł. – Wujku Nicku, dokąd się wybierasz?

– Po prostu mam jeszcze coś do zrobienia – odparłem.

88.

Kiedy wróciłem na swój strych, natychmiast zasnąłem na kanapie, wciąż mając na sobie podarte i brudne dżinsy, bluzę oraz buty. Około ósmej rano zbudził mnie telefon komórkowy. Łupało mnie w głowie, moje ubranie śmierdziało jak popielniczka i na moment zapomniałem, gdzie jestem i co się stało.

A potem sobie przypominałem.

- Nick. – To dzwoniła Dorothy. – Obudziłam cię?
- W porządku – powiedziałem. – I tak musiałem już wstać.
- Przepraszam za to. Jednak wczoraj w nocy zostawiłeś mi wiadomość na poczcie głosowej.
- Ach tak. Zgadza się.
- Dobrze się czujesz? Masz słaby głos.

Opowiedziałem jej, jak źle poszła wymiana, i rozmawialiśmy przez chwilę. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby mówiła tak łagodnie.

- Wiesz, w końcu dostałam się do skrzynki pocztowej twojego brata. I znalazłam numer telefonu komórkowego tej kobiety.
- Kobiety? – Nie miałem pojęcia, o czym ona mówi.
- Podawała się za Candi Dupont, ale jej prawdziwe nazwisko to Margaret Desmond. Jednak pewnie to już trochę za późno, co? Przykro mi, Nick.



Spędziłem dobrą chwilę, sprawdzając defendera w poszukiwaniu urządzeń śledzących, dopóki nie upewniłem się, że nie ma żadnych. Potem zostawiłem swój telefon komórkowy i BlackBerry w mieszkaniu na poddaszu, żeby mieć pewność, że tkwiące w nich chipy z lokalizatorami GPS nie będą mogły zostać użyte przeciwko mnie. Podałem Garwinowi i Dorothy numer jednego z tych tanich telefonów komórkowych na kartę, które wziąłem z sobą.

Miałem przed sobą długą drogę i nie chciałem, aby goście z Paladin wiedzieli, gdzie jestem lub dokąd zmierzam.

Przynajmniej dopóki tam nie dotrę.



Jazda zajęła mi dwanaście godzin, ale to mi nie przeszkadzało. W końcu spędziłem sporo miłych chwil w defenderze. Sam za kółkiem, pogrążony w rozmyślaniach. Słuchając muzyki. Spalając kolejne zbiorniki paliwa. Głównie myśląc o moim bracie. Nadal nie wiedziałem, w co mam wierzyć, co mu się przydarzyło. Czy został wzięty jako zakładnik, czy może zorganizował swoje skomplikowane zniknięcie, opuszczając żonę i syna. Dlaczego Lauren została zaatakowana. W jakim stopniu знаła plany swojego męża – lub czy może nawet brała udział w ich realizacji.

Tak wiele pytań i tylko jedna osoba, byłem tego pewien, która znała wszystkie odpowiedzi. Przynajmniej jeśli moja analiza ruchu sieciowego była poprawna.

Chociaż wiedziałem, że nie odpowie na nie dobrowolnie.

Większość trasy wiodła prosto drogą 95, przez Wirginię i Karolinę Północną, przez Karolinę Południową i wreszcie do Georgii. Defender to wspaniały pojazd, jednak tak naprawdę przeznaczony do manewrów na pustyni, a nie jazdy międzystanową autostradą. Nie lubił jechać szybciej niż sto dziesięć kilometrów na godzinę.

Jadąc, puszczałem dużo płyt CD Johnny'ego Casha – ostatecznie byłem na Południu. Wiele razy wysłuchałem *All I Do Is Drive*, a kiedy

wpadałem w ponury nastrój, przełączałem na jego aranżację piosenki Nine Inch Nails *Hurt*. Ten kawałek zawsze łamie mi serce. Johnny – czy może Trent Reznor? – śpiewa o tym, że wszyscy, których zna, w końcu odchodzą. O tym, że wszystkich zawodzi i wszystkich rani.

Przed Savannah zatrzymałem się przy sklepie z odzieżą i sprzętem myśliwskim. Kiedy wróciłem na drogę 95, wybrałem zjazd na Waycross. Droga 187 wiała się na południe, a potem trochę na zachód, aż przecięła 129, i od tego momentu jechałem na południe, szosą tak prostą, jak narysowana linijką.

Znajdowałem się w Echols County, w najbardziej wysuniętym na południe miejscu w Georgii, na granicy z Florydą. To najmniej zaludnione hrabstwo w stanie: zaledwie ponad cztery tysiące mieszkańców. Większość ziemi jest w prywatnych rękach. Kilka miasteczek i mnóstwo lasów sosnowych. Siedzibę okręgu, Statenville, kiedyś nazywano Troublesome. Nie żartuję.

Dwanaście lat temu rodzina posiadająca większość hrabstwa sprzedała cztery tysiące hektarów Allenowi Grangerowi. Teren reklamowano jako „doskonały dla klubu myśliwskiego”, ale stał się obiektem szkoleniowym i główną siedzibą Paladin Worldwide.

Nieoznakowana szosa odchodziła od drogi 129, przecinając gęsty sosnowy las: nowo poprowadzona i świeżo utwardzona. Według kieszonkowego odbiornika GPS, który zakupiłem w Savannah, prowadziła bezpośrednio do obiektu Paladin. Kilometr dalej las nagle się skończył i zaczęła się polana, długa jak okiem sięgnąć. Na końcu drogi znajdował się wielki, asfaltowy, okrągły podjazd.

Stała tam budka strażnika oraz szlaban i pachołek z dużą tablicą z napisem OŚRODEK SZKOLENIOWY PALADIN WORLDWIDE i logo Paladin, tym stylizowanym niebieskim globusem.

Z obu stron bramy znajdowało się wysokie ogrodzenie z siatki, zwieńczone zwojami drutu kolczastego i niknące w lesie. Nie miałem pojęcia, jak głęboko sięga. Różne artykuły i internetowe raporty o Paladin wspominały o ogrodzeniu z siatki i drutach kolczastych, ale

nie wiedziałem, jak daleko biegnie ogrodzenie. Płot z siatki otaczający cztery tysiące hektarów? To wydawało się przesadą. W dodatku bardzo kosztowną.

Właściwie to zdumiewające, ile się dowiedziałem o centrum szkoleniowym Paladin z powszechnie dostępnych źródeł, głównie z Internetu. Najbardziej przydatne informacje pochodziły z Google Earth, która miała zdjęcia satelitarne całego terenu, a nawet dokładne współrzędne geograficzne.

Jednak nic nie jest w stanie zastąpić tego, co zobaczy się na własne oczy. „Rozpoznania trasy”, jak nazywano to w siłach specjalnych.

Tak więc zawróciłem i jechałem z powrotem świeżo wybrukowaną drogą, aż znalazłem lukę w drzewach i natychmiast wjechałem do lasu. W końcu jakaś prawdziwa jazda po wertepach i tu defender spisywał się znakomicie. Ukryłem samochód w zaroślach, które były wystarczająco daleko od drogi, żeby przejeżdżający po niej nie mogli go zauważyć, ale na wszelki wypadek przyciągnąłem kilka złamanych konarów i gałęzi, którymi dobrze go zamaskowałem.

Zanim wyruszyłem, włączyłem telefon komórkowy i znalazłem cztery wiadomości w poczcie głosowej, wszystkie od Arthura Garvina.

Odebrał od razu.

– Nick – powiedział. – Skontaktowałem się z facetami z wydziału zabójstw w Baltimore. Aby odebrać zwłoki twojego brata.

– Wiesz co? – powiedziałem łagodnie. – Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. Bez urazy...

– Wysłuchaj mnie. Czy twój brat przeszedł operację wymiany stawu biodrowego?

– Co takiego?

– Biuro koronera w Marylandzie znalazło coś ciekawego we wraku. Kawałek stopu z nierdzewnej stali wysokiej klasy zwany Orthinox. To trzon implantu używanego przy całkowitej wymianie biodra.

– Nie – rzekłem. – Nigdy nie przeszedł operacji biodra.
– Tak też sądziłem. Ponadto szpital w Waszyngtonie zgłosił zaginięcie ciała z ich kostnicy. Biały mężczyzna, lat sześćdziesiąt dziewięć.

Nic nie mówiłem przez długi czas.

– Nick? – zapytał Garvin. – Jesteś tam?

– Taa – mruknąłem w końcu. – Jestem.

– Och, i posłuchaj. Mamy nakaz aresztowania tego gościa, który zamordował Marjorie Ogonowski – rzekł. – Dobra robota. To rozpoznanie zdjęcia.

– Nie moja – powiedziałem. – Mojej przyjaciółki. Jak już mówiłem, mamy kilka fikuśnych baz danych w mojej wysoko opłacanej firmie.

– Mimo wszystko – rzekł. – Dobrze się spisaliście.

– Wyświadcz mi przysługę – poprosiłem. – Proszę, miej oko na Lauren Heller i jej syna, dobrze?

Rozłączyłem się i ruszyłem przez las, przeprowadzić rozpoznanie.

89.

Lauren odebrała telefon w kuchni.

– Czy to pani Heller? – Przyjemny baryton, przerwy między słowami. – Pani mnie nie zna, ale nazywam się Lloyd Kozak i jestem doradcą finansowym Lelanda.

Przypomniała sobie nagle: ten nieładny mężczyzna, który przyszedł pewnego dnia odebrać jakieś płyty CD od Noreen.

– Tak? Co mogę dla pana zrobić?

– Chodzi po prostu o to... cóż, wiem, że jest pani osobistą sekretarką Lelanda i zapewne zna go pani lepiej niż ktokolwiek inny, ale naprawdę mam nadzieję, że nie wtykam nosa w nie swoje sprawy.

– Nie jestem pewna, w czym mogę panu pomóc – rzekła.

– Coś jest nie w porządku z Lelandem – powiedział. – Muszę z panią porozmawiać, jeśli ma pani kilka minut.

– Ale o co chodzi?

– Jestem w Chevy Chase. Mogę szybko przyjechać, jeśli nie jest pani zajęta. Sądzę, że musimy porozmawiać.

– O czym?

– O Lelandzie – rzekł. – Myślę, że coś jest z nim nie tak.



Jakieś pół godziny później zadzwonił dzwonek do drzwi. Lauren podeszła do wejściowych drzwi, spojrzała przez wizjer i zobaczyła dziobatą twarz oraz za duże okulary w rogowych oprawkach. Otworzyła drzwi.

Po drugiej stronie drzwi z siatki stał Lloyd Kozak w smętnie wyglądającym garniturze i krawacie. Na podjeździe stał zaparkowany buick, który miał co najmniej dziesięć lat.

– Bardzo dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać – rzekł, a ona otworzyła drzwi z siatki i wpuściła go do środka.

Przedpokój był ciemny i chłodny. Klimatyzacja była ustawiona na zbyt niską temperaturę. Lauren poprowadziła gościa korytarzem w stronę kuchni, zwyczajowego miejsca spotkań.

– Leland tyle mi o pani opowiadał – zaczął. – Tak bardzo panią podziwia. Ufa pani tak bardzo. Pomyślałem, że jest pani jedyną osobą, z którą mogę o nim porozmawiać.

– Okropnie mnie pan wystraszył – rzekła. – Co to za problem?

– Ty – odpowiedział.

Nagle znalazł się koło niej i zakrył dłonią jej usta.

90.

Moją pierwszą reakcją był oczywiście gniew – wezbrana fala wściekłości na tego najgorszego z ludzi. Jednak idąc przez las, uspokoiłem się na tyle, aby sobie przypomnieć, że mój brat uczył się przecież od mistrza. Żadne jego występki nie powinny mnie zaskoczyć.

Jak wielki iluzjonista, zawsze o jeden krok wyprzedzał swoich widzów. Wiedział, że magia opiera się głównie na odwracaniu uwagi: ten nagły rozbłysk flesza, na moment wypalający się na siatkówce, żebyśmy nie zauważyli, jak chowa w dłoni królową kier.

Pewien zawodowy iluzjonista powiedział mi kiedyś, że największe sztuczki w rzeczywistości nigdy nie są pojedynczymi trikami. Zawsze są sekwencją trików, a prawdziwa magia kryje się w tym, w jaki sposób się je zaprezentuje. Widzowie oglądają pokaz iluzjonisty pełni podejrzeń. Spodziewają się, że zostaną nabrani, i obserwują go czujnie, przekonani, że wiedzą, w jaki sposób magik zamierza tego dokonać. Jednak nie wiedzą, że właśnie ta podejrzliwość pozwala mu ich zaskoczyć. Magik odwraca ich uwagę od tego, co naprawdę robi, i podsuwa błędne wytłumaczenie tego, jak zostało to zrobione. Ludzie sądzą, że wiedzą, jaki to będzie trik, ale widzą coś zupełnie innego. A kiedy są pewni, że go rozgryźli, już jest po wszystkim i zostali nabrani.

Pomyślałem o Victorze i sposobie, w jaki tak sprytnie mnie zwiódł.

Może właśnie dlatego Roger i on rozmawiali tyle razy. Roger chciał mieć pewność, że tata wie, co ma mówić. Jak nakierować mnie na Paladin w taki sposób, żebym uwierzył, że sam na to wpadłem. Roger chciał, żebym poprowadził śledztwo w sprawie Paladin. Chciał, aby poczuli gorący oddech na swoich karkach.

Pytanie brzmiało: dlaczego?

W końcu gniew dodał mi sił.



Jednak nigdy nie należy pozwolić, aby emocje i niecierpliwość przeszkodziły w wykonaniu zadania. Zawsze wtedy, kiedy najbardziej chcesz pognać do mety, musisz zwolnić, rozważyć sytuację, zrobić to, jak należy.

Właśnie dlatego spędziłem noc w lesie.

Obszedłem cały zamknięty teren Paladin – cztery tysiące hektarów, czyli granicę długości około trzydziestu kilometrów. Zbyt duża odległość, aby pokonać ją pieszo. Wyciągnąłem z ukrycia defendera i zdołałem zygzakami przejechać przez las, zatrzymując się czasem, aby podejść do ogrodzenia.

Ciekawe, że naprawdę cała posiadłość była ogrodzona. Ta zdecydowana przesada potwierdzała to, co powiedział mi Neil Burris: że Allen Granger jest człowiekiem, który czegoś się boi. Inaczej po co wydawałby tyle pieniędzy na stawianie ogrodzeń długich na prawie trzydzieści kilometrów? Bywałem już wcześniej w supertajnych rządowych obiektach, zlokalizowanych w miejscach, które nie wydawały się nawet w połowie tak nieprzystępne, ale żaden z nich nie był równie dobrze chroniony.

Allen Granger, który od ponad roku nie pojawiał się publicznie, był znany jako odludek pilnie strzegący swojej samotności. Teraz uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie był również paranoikiem.

O ile dobrze widziałem, nie było tu czujników światłowodowych zakopanych w ziemi wzdłuż ogrodzenia. Byłoby to koszmarnie kosztowne zabezpieczenie. A ponadto zbyteczne. Zamiast tego obiekt

chroniło sześciometrowej wysokości ogrodzenie z siatki zrobionej z galwanizowanej stali – bardzo trudnej do przecięcia – zwieńczone zwojami drutu kolczastego.

Jednak to nie wszystko. Byli także strażnicy. Jeden stacjonował w budce przy głównym wejściu i zmieniano go co sześć godzin. Dwaj pozostali obchodzili teren wewnątrz ogrodzenia. Ich zmiana również trwała sześć godzin, a co pół godziny łączyli się przez radio ze stanowiskiem dowodzenia.

Wiedziałem o tym, ponieważ podsłuchiwałem ich transmisje przy użyciu kieszonkowego skanera. Dzięki temu skanerowi oraz dobrej niemieckiej lornetce dowiedziałem się o tym miejscu wszystkiego, co powinienem wiedzieć. Był tam pas startowy oraz kilka lądowisk dla helikopterów, droga szybkiego ruchu oraz ścieżka do biegania. Ściany do wspinaczki skałkowej oraz strefy zrzutu. Znajdowały się tam pomieszczenia dla wykrywających bomby psów: późną nocą słyszałem ich wycie. Były też koszary dla praktykantów, kantyna, biura administracyjne oraz klub, do którego praktykanci mogli przyjść na drinka. Zamykano go o drugiej nad ranem. Trawniki były bujne, regularnie nawadniane i krótko skoszone, jak na polu golfowym. Mieli tam nawet kilka sztucznych stawów. W istocie to miejsce mogłoby być wiejskim klubem – gdyby nie strzelnice i składy amunicji. Oraz wykorzystywana do ćwiczeń makieta wioski i miasta z tabliczką z napisem MAŁY BAGDAD, chociaż wcale nie przypominała Bagdadu i już tam nie walczyliśmy. Przynajmniej o ile mi wiadomo. Oraz czarne hummery, które przyjeżdżały i odjeżdżały w regularnych odstępach czasu.

Niedaleko bramy wjazdowej był okazały dwukondygnacyjny domek myśliwski, jeden z tych stylizowanych na rustykalne domów, jakie można zobaczyć w Aspen.

Dom Grangera.

Tutaj zwróciłem szczególną uwagę na wzory zachowań. Które światła się zapalają, w których pokojach i kiedy. O której godzinie są gaszone. Ilu jest strażników – było dwóch, jeden na zewnątrz, a drugi

w środku – i kiedy kończą się ich zmiany. Allen Granger był strzeżony dwadzieścia cztery godziny na dobę w swojej dobrze chronionej, ogrodzonej posiadłości. Jak paranoiczny Herod, rządzący z fortecy w twierdzy Jeruzalem, gdzie fosa i zwodzony most chroniły go przed tymi, których obawiał się najbardziej: jego własnymi poddanymi.

Byłem prawie pewny, że Granger mieszka tu sam, chociaż ani razu nie widziałem, żeby wychodził. Wiedziałem ze zdjęć, jak wygląda: sympatyczny, przystojny młody człowiek tuż po czterdziestce. Kruzcoczarne włosy ostrzyżone krótko, ale nie tak jak u rekruta.

Ruch radiowy sugerował, że szef jest w rezydencji. Kucharka – malutka Latynoska – przybyła kilka godzin przed porą obiadu i weszła przez osobne wejście kuchenne. W trakcie dnia w domu odbywały się spotkania. Podjeżdżały tam różne pojazdy: czarne hummery dla urzędników Paladin, a czasem czarne limuzyny lincoln town car przewożące polityków – kilku z nich rozpoznałem – którzy zawsze byli witani przez strażnika w środku.

Przespałem kilka godzin w lesie, w śpiworze w małym namiocie, mając wystarczające zapasy jedzenia i wody. Kiedy już wiedziałem, w którym pokoju śpi Allen Granger i o której godzinie kładzie się spać, odłożyłem lornetkę Leitz, skaner Bearcat i przygotowałem się do następnego posunięcia.

91.

– Musisz mi powiedzieć – rzekł Lloyd Kozak miękko i łagodnie – jak skontaktować się z twoim mężem.

Nie mogłaby odpowiedzieć, nawet gdyby chciała, nie z taśmą klejącą na ustach. Zdołała tylko pokręcić głową oraz przeszyć go swym najbardziej piorunującym spojrzeniem. Nie mogła ruszać rękami ani nogami.

Nie spodziewała się, że jest taki silny i tak łatwo ją obezwładni.

Owinał ją srebrzystą taśmą klejącą, przywiązując do jednego z krzeseł w pokoju stołowym, przyciskając ręce do boków i do tułowia. Nie mogła się ruszyć ani podnieść krzesła, aby się przesunąć. A on wciąż do niej mówił tym swoim miękkim i łagodnym głosem, kiedy rozkładał płócienny futerał z jakimiś narzędziami, pobrzękującymi metalicznie w środku.

Warknęła – wściekle i wyzywająco.

Usłyszała szcęk klucza w zamku wejściowych drzwi i pomyślała: Och proszę, nie Gabe, nie teraz, nie kiedy jest tu ten szaleniec.

Kozak – czy jak naprawdę się nazywał – odwrócił się.

– Może Gabriel będzie wiedział, jak skontaktować się z ojcem – powiedział.

Próbowała krzyknąć, ostrzec Gabe'a, lecz przez knebel nie dostał się żaden dźwięk.

Lloyd trzymał coś w ręce, coś lśniącego, co błyszczało w świetle

padającym z góry. Coś, co wyglądało jak ostrze. Brzytwę? Nie. Skalpel?

Strach wił się w niej jak żywy stwór, zimny, oślizły i gadzi.

Poczuła zimną ostrą krawędź skalpela, kiedy przystawił go do delikatnej skóry tuż pod lewym okiem. Zaciśnęła powieki, znowu próbując krzyknąć.

Nie mogła się poruszyć, nie mogła krzyczeć, nie mogła ostrzec Gabe'a, żeby trzymał się z daleka.

Gdzie on był?

Może poszedł prosto na górę do swojego pokoju.

Jednak musiał zauważyć obcy samochód na podjeździe. A światło w kuchni powiedziało mu, że ktoś jest w domu. Czy nie zastanowił go fakt, że nie włączył się alarm, co świadczyło o tym, że został przez kogoś rozbrojony?

Usłyszała serię wysokich elektronicznych pisków, słabych, ale wyraźnych.

To musiał być Gabe, wystukiwał kod na panelu. Zakręcony jak zawsze. Rozbrajał alarm, mimo że ten był już wyłączony.

Co powiedziało jej, że nie dostrzegł niczego niezwykłego. Nie zauważył obcego samochodu na podjeździe, a nawet jeśli, nie przejął się tym.

Proszę, nie wchodź tu, pomyślała.

Ten szalenięc obezwładniłby go w mgnieniu oka.

Chyba że...

Chyba że wszedłby do kuchni i zobaczywszy swoją matkę przywiązaną do krzesła oraz obcego mężczyznę, odwróciłby się i uciekł z domu, pobiegł sprowadzić pomoc. To mógłby zrobić. Sprowadzić pomoc.

Nie wiedziała, co by wolała.

Jednak to niczego nie zmieniało. Nie kontrolowała swojego syna. Już nie mogła go chronić i owijać w dziecięcy kocyk jak sajonkę. Nie mogła już podnieść go na jednej dłoni.

Słyszała go na górze. W jego sypialni.

Może tak było najlepiej.

– Lauren – mruknął mężczyzna. Poczula uklucie ostrza na swojej powiece, jednocześnie zimne i gorące, potem ciepłe, mokre i okropnie bolesne. – Jeśli będę musiał usunąć ci oczy, zrobię to.

Przez moment myślała, że się przestyszała.

Mocno zacisnęła powieki, ale nie uśmierzyło to bólu, ponieważ mężczyzna tylko mocniej przycisnął ostrze i powoli przesunął je w bok, a ona wrzasnęła, ale z jej gardła wydobył się jedynie cichy skowyt przerażenia.

– Nigdy więcej nie zobaczysz twarzy swojego syna – rzekł.

– Cofnij się – powiedział ktoś, a ona przez moment nie rozpoznała głosu Gabe'a. Był niższy, jakby nagle się zmienił.

Głos mężczyzny.

Jednak należał do Gabe'a. Tego była pewna.

Otworzyła oczy i nie było już przy nich skalpela. Lloyd Kozak odwrócił się, żeby zobaczyć to, co ona teraz też widziała.

Gabe'a stojącego w drzwiach i trzymającego paralizator. Celującego w Kozaka.

Broń trzęsła mu się w ręce.

92.

Teraz musiałem przede wszystkim wybrać odpowiedni moment.

Potrzebowałem przynajmniej piętnastominutowego okienka, aby wejść na teren posiadłości. Kiedy ich aktywność radiowa wskazała, że strażnicy znajdują się na odległym końcu ogrodzenia, a obserwacja przez lornetkę Leitz'a potwierdziła, że nie ma ich w polu widzenia, rozstawiłem lekką, składaną aluminiową drabinę przy ogrodzeniu obok strzelnicy. Płot miał co najmniej sześć metrów wysokości, co zapewniało dobrą osłonę. Umieściłem duży prostokąt dywanu na zwojach drutu kolczastego, po czym wspiałem się na górę, usiadłem okrakiem na płocie i wciągnąłem z sobą drabinę. Potem postawiłem ją na ziemi po drugiej stronie ogrodzenia i zszedłem na dół.

Łatwizna.

Już wybrałem trasę, opierając się na tym, które części tego terenu wyglądały na opuszczone w nocy, a które nie. Oczywiście nie mogłem być pewny, że nie zostanę zauważony przez kogoś przypadkiem kręcącego się tam o drugiej trzydzieści rano lub po prostu stojącego i palącego papierosa, ale to była najlepsza trasa, jaką zdołałem obmyślić, dająca największą możliwą gwarancję pozostania niezauważonym. Oczywiście nie mogłem być tego pewny. Jednak nic w życiu nie jest pewne.

Niosąc składaną drabinę i worek marynarski, okrążyłem podjazd,

na którym nikogo nie było. Potem minąłem pas startowy. Do niego przylegało lądowisko dla śmigłowców, dobrze oznaczone dużym białym H namalowanym na betonie i z najazdowymi światłami lądowania, które jednak tej nocy były wyłączone. Nie spodziewano się żadnego helikoptera.

Zręcznie wytyczona ścieżka prowadziła do ciemnej o tej porze kantyny, a potem do mniejszego budynku, najwyraźniej służącego jako jadalnia dla VIP-ów i kierownictwa Paladin, a teraz też ciemnego. Jeśli zamknięty teren Paladin był bazą wojskową, którą przypominał, to byłby klub oficerski.

Tutaj droga rozwidlała się i jej lewe odgałęzienie prowadziło do baraków, w których spali praktykanci. W kilku oknach nadal paliły się światła. Niektórzy kursanci nie spali do późna, a ja nie mogłem ryzykować, że mnie zauważą. Wybrałem prawe rozwidlenie, które wilo się, mijając sztuczny staw, obrośnięty dokoła ozdobnymi trawami i kwiatami. Zdecydowanie bardziej wiejski klub niż baza wojskowa.

Przedemną mający już domek myśliwski Grangera. Przystanąłem za kępą drzew na zakręcie ścieżki, skąd mogłem go niepostrzeżenie obserwować. Dom był otoczony gęstym, sięgającym do pasa żywopłotem, za niskim, aby zapewnić osłonę. Zapewne miał raczej wytyczać granicę, jako coś w rodzaju fosy. Linia, której nie wolno przekroczyć. Za żywopłotem, a przed domem był parking, wysypany białym żwirem, który z pewnością głośno chrzęścił pod nogami idącego. Jedynym zaparkowanym pojazdem był czarny hummer.

Podszedłem bliżej, a potem kucnąłem za hummerem i przez kilka minut obserwowałem dom. Światło paliło się tylko w jednym frontowym pokoju, i zapewne tam przebywał ochroniarz, kiedy Granger spał. Podłączyłem słuchawkę do skanera i nasłuchiwałem transmisji. Nie było żadnej.

Strażnik wykonywał długi i powolny obchód, okrążając domek myśliwski w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Palił papierosa, trzymał pistolet maszynowy i wyglądał na znużonego.

Nie zazdrościłem strażnikowi jego pracy, nocnego ochraniania niewytykającego nosa z domu paranoika. Nie mógł czytać, nie mógł słuchać muzyki i nie miał nikogo, z kim mógł dzielić tę nudę.

Chociaż niektórzy jego koledzy pracowali w różnych gorących strefach na całym świecie, więc może on złapał lepszą fuchę. Nuda jest bądź co bądź lepsza niż śmierć czy kalectwo.

Jednak nuda pozbawia człowieka czujności. Robi się ospały, roz-targniony, zaczyna błędzić myślami. Zużywa całą umysłową energię, starając się nie zasnąć i dokończyć swoją zmianę.

Miałem nadzieję, że tak jest w tym wypadku.

Musiałem jakoś niepostrzeżenie podejść do tego domu. I potrzebo-wałem również przynajmniej trzech minut. Idealnie, pięciu. Jednak mało prawdopodobne, aby mi się to udało, nie przy strażniku stale okrążającym posiadłość.

Wyciągnąłem z kieszeni telefon komórkowy, włączyłem go i wsunąłem za tylną oponę hummera. Kiedy strażnik zniknął za południowo-wschodnim rogiem domu, wykonałem swój ruch, sadząc cichymi długimi krokami, od czasu do czasu pochylając się, aby żywopłot zasłonił mnie przed wzrokiem strażnika, gdyby ten akurat spojrzął w tym kierunku. Później, gdy zatoczył koło z tyłu domu myśliwskiego i zniknął za północno-zachodnim narożnikiem, przestąpiłem przez żywopłot, dźwignąłem drabinę oraz worek marynarski i podbiegłem do kuchennego wejścia.

Spojrzałem na zegarek.

Miałem około sześćdziesięciu sekund, zanim strażnik wróci i mnie zauważy. Może trochę mniej. Wyjąłem drugi telefon komórkowy i wybrałem numer pierwszego.

Kilka sekund później usłyszałem dzwoniący telefon. Nawet z takiej odległości jego ostry tryl przerwał ciszę.

Zanim rozłożyłem drabinę, ponownie podłączyłem słuchawkę do skanera radia i usłyszałem:

– Alfa Trzy do Alfa Dwa.

- Tu Alfa Dwa.
- Słyszysz to? Brzmi jak... telefon, co?
- Nic nie słyszę.
- To gdzieś tam. Z przodu. Zamierzam to sprawdzić.

Oczywiście ten dźwięk wabił z nieodpartą siłą. A ja właśnie na to liczyłem.

Po pięciu dzwonekach przerwałem połączenie.

W budce z przodu i z tyłu domu znajdowały się ganki z krytymi drewnianym gontem dachami, niższymi od dachu głównego budynku. Dzięki nim łatwo było się wdrapać na pierwsze piętro. Oparłem drabinę o elewację z okorowanych bali i zacząłem się wspinać. Usłyszałem w słuchawce:

- Alfa Dwa do Alfa Trzy.
- Tu Alfa Trzy.
- Co znalazłeś?
- Nic.
- Sądzisz, że może ktoś podrzucił telefon?
- Nie wiem. Wracam do środka.

„Wracam do środka” prawdopodobnie oznaczało wznowienie przerwane obchodu. Co oznaczało, że będzie tutaj za czterdzieści pięć sekund.

Gramoląc się na dach ganku, wcisnąłem ponowne wybieranie i usłyszałem słabe dzwonienie z drugiej strony domu.

- Och, niech to szlag, znowu to samo – usłyszałem w słuchawce.
- Teraz to słyszę. Sprawdziłeś ganek?
- Nie, to gdzieś dalej.

Wybrałem okno na pierwszym piętrze, które w nocy pozostawało ciemne. Wydawało się najbezpieczniejszym miejscem wejścia.

- Alfa Trzy, wciąż to słyszę.
- Ta, ja też. Szukam.

To zapewniło mi co najmniej kolejną minutę.

Wyłączyłem telefon, aby przestał dzwonić. Chciałem, aby strażnik

szukał telefonu, ale go nie znalazł. Z marynarskiej torby wyciągnąłem przecinak do szkła i przyssawkę, po czym umieściłem je na płaskim dachu przed oknem.

Jednak nie zobaczyłem żadnych styków alarmowych, a okno od razu dało się podnieść.

Siatka przeciw owadom też nie była zamknięta, więc zdołałem otworzyć.

Potem podniosłem drabinę, złożyłem ją i umieściłem na podłodze w ciemnym pokoju.

A później wszedłem do domu w poszukiwaniu Allena Grangera.

93.

– Gabrieliu – rzekł Kozak łagodnie, namawiająco – nie chcesz być odpowiedzialny za okaleczenie swojej matki, prawda? Odłóż tę zabawkę.

– Ty przeklęty... – warknął Gabe, a potem nastąpił głośny trzask i Kozak, przewidziawszy to, zrobił unik. Wystrzelone z paralizatora metalowe sondy uderzyły w granitową wyspę kuchenną, ciągnąc za sobą srebrzyste włókna: pstryk-pstryk-pstryk.

Lloyd Kozak skoczył, błyskawicznie jak uderzający grzechotnik, chwycił jej syna, a Lauren znów wydała z siebie przeraźliwy, lecz zduszony krzyk rozpaczy, niczego nie widząc przez łzy. Wiedziała, że to koniec, ten cały przerażający koszmar się kończy, a ten sadysta zaraz...

– Policja! – warknął ktoś.

Inny głos.

Nagle w jej kuchni znalazła się cała grupa policjantów w granatowych mundurach, z bronią w rękach. Ten, który powalił Kozaka na podłogę i przyciskał mu kolaniem gardło, był starszy od pozostałych. W tym mężczyźnie w okularach z grubymi szklami rozpoznała policjanta, który odwiedził ją w szpitalu po tym, jak została napadnięta. Wydawało się, że to było tak dawno temu.



– Kto wprowadził kod alarmowy? – zapytał Arthur Garvin.
– Ja – odpowiedział Gabe.
– Dobrze zrobiłeś, dzieciaku – rzekł Garvin. – Uratowałeś życie swojej mamie.

Gabe kiwnął głową.

– Musimy zabrać mamę na pogotowie. Lekarz musi obejrzeć to skaleczenie. Prawdopodobnie trzeba je będzie zszyć.

Sanitariusze nakleili jej pod okiem plaster, który zatamował upływ krwi. Już nie bolało. Właściwie bardziej bolały ją usta, z których zerwali taśmę klejącą.

– Był w środku, kiedy pani wróciła do domu? – zapytał Garvin, mając na myśli Kozaka.

Pokręciła głową.

– Zadzwoił do mnie z pytaniem, czy może wpaść. Kim on jest?

– Pracuje dla Paladin.

Tak, pomyślała. Paladin. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu.

– Wiedział pan, że on tu przyjedzie?

– Nie. Mam nakaz jego aresztowania i szukaliśmy go wszędzie przez większość dnia.

– I co spowodowało, że pan tu przyjechał?

– Szczerze? – zapytał Garvin. – Nick poprosił mnie, abym sprawdził, co u was. Bym się upewnił, że nic wam nie jest.

94.

Pokój był ciemny, chłodny i miał zapach niedawno sprzątanego, a jednocześnie rzadko używanego pomieszczenia. Podłogę umyto wodą z mydłem, a meble wypolerowano środkiem o cytrusowym zapachu. A mimo to czuło się słaby odór stęchlizny, jak w zazwyczaj zamkniętym pokoju. Z zewnątrz sączyło się wystarczająco dużo światła, żebym mógł stwierdzić, że to pokój gościnny. Podwójne łóżko, dwa nocne stoliki, telewizor i biurko. Osobna łazienka. Niewiele więcej.

Umieściłem złożoną drabinę i worek marynarski na podłodze przy oknie, gdzie były niewidoczne, a jednocześnie łatwo dostępne. Rozpiąłem zamek worka i wyciągnąłem z niego ostatnią część ekwipunku: rugera.

Podłoga skrzypiała, gdy po niej szedłem.

Zwolniłem, usiłując zminimalizować skrzypienie. Nasłuchując jakichkolwiek dźwięków. Mniej więcej wiedziałem, dokąd mam iść. Ponieważ sypialnia Grangera, największe pomieszczenie na pierwszym piętrze, znajduje się od frontu, w południowo-zachodnim rogu domku myśliwskiego.

Zauważyłem również, że tu, na piętrze, nie pałą się żadne inne światła. Nawet na korytarzu. To wskazywało na to, że przed jego sypialnią nie ma żadnych strażników, chyba że siedzieli po ciemku, co byłoby niezwykle.

Aczkołwiek nie niemożliwe. Niczego nie można było wykluczyć.

Drzwi były ciężkie i solidne, dobrze wyważone na zawiasach.

Przekręciłem gałkę i odrobinę uchyliłem drzwi. Nie zaskrzypiały. Otworzyły się niemal bezszelestnie. Zerknąłem i nikogo nie zauważyłem.

Otworzyłem je jeszcze szerzej.

Czekałem.

Na korytarzu było ciemniej niż w sypialni. Okno znajdowało się o wiele dalej. Jednak gdy mój wzrok oswoił się z mrokiem, nie dostrzegłem żadnego strażnika, nikogo siedzącego z bronią na krześle. Tylko pusty korytarz, na którym stał wąski stolik z wazonem pełnym kwiatów na środku.

Nie widziałem niczego z lewej strony, ponieważ drzwi otwierały się na prawo. Dlatego wyszedłem z pokoju powoli i ostrożnie. Trzymając broń.

Na korytarzu nie było nikogo.

W głębi, po mojej prawej, znajdowały się podwójne drzwi.

Drzwi do sypialni Allena Grangera.

Czy on naprawdę tam był? Od kiedy tu przyjechałem, nie widziałem, żeby wchodził do domu lub z niego wychodził. Jednak w rozmowach przez radio wspomniano o nim – jako o „szefie”, „Wielkim Facecie”, a raz nawet „panu Grangerze”. Ponadto środki bezpieczeństwa byłyby znacznie łagodniejsze, gdyby nie przebywał obecnie w rezydencji.

Musiał tu być.

Idąc powoli, stawiając kroki najciszej, jak mogłem, przeszedłem przez korytarz, aż dotarłem do podwójnych drzwi. Potem przystanąłem. Nasłuchiwałem.

Usłyszałem miarowy oddech śpiącego człowieka. Ciche pochrapywanie.

Spał w swojej sypialni.

Z rugerem w prawej dłoni, ścisnąłem lewą gałkę drzwi i obróciłem ją powoli, mając nadzieję, że nie są zamknięte.

Nie były.

Powoli popchnąłem lewą połowę drzwi, żeby się otworzyły. W

ciemności dostrzegłem duże łóżko. Śpiącą postać pod kocami. Usłyszałem ciche chrapanie.

Tutaj było ciemniej niż na korytarzu. Zasłony były zaciągnięte: grube zasłony, które powodowały, że w pokoju zalegał gęsty mrok. Tylko odrobinę rozjaśniało go światło wpadające z korytarza.

Pozostawiłem lewe drzwi uchylone. Wszedłem do środka. Podłogę całkowicie pokrywał gruby dywan, który tłumił odgłos moich kroków. Przeszedłem przez pokój do prawej strony łóżka, bliżej miejsca, gdzie leżał okryty pościelą Granger.

Jestem pewny, że mój ojciec zacytowałby fragment jednego ze swych ulubionych starożytnych chińskich traktatów wojskowych o zaletach niespodziewanego ataku. Jednak nie potrzebowałem starożytnego chińskiego stratega, żeby powiedział mi to, co już wiedziałem.

Serce zabiło mi mocniej. Nie ze strachu. Z podniecenia. Podniecenia tym, co zrobię temu człowiekowi. Ze złości. Adrenaliny.

Kiedy dotarłem do boku łóżka, rozległ się ten dźwięk.

Głośny.

Jak dzwonek do drzwi.

Za późno uświadomiłem sobie, że włączyłem czujnik naciskowy ukryty pod dywanem.

Zamarłem.

Śpiąca postać nagle się poderwała, odrzucając pościel. Mężczyzna w piżamie usiadł, jednym płynnym ruchem wyjmując broń spod poduszki.

Wycelowwał jakiś metr w lewo od miejsca, gdzie stałem.

Daleko ode mnie.

– Stój – powiedział.

Moje oczy już oswoiły się z mrokiem. Rozpoznałem Allena Grangera: starannie przycięte włosy, przystojna młoda twarz, którą setki razy widziałem na fotografiach.

Jednak nie spodziewałem się zobaczyć okropnych szram szpecących górną połowę jego twarzy. Blizn w tych miejscach, gdzie powinny znajdować się oczy.

Allen Granger był niewidomy.

95.

– Nie ruszaj się – powiedział.

Trzymał glocka, nadal celując metr w lewo ode mnie.

Nie ruszałem się. Nie oddychałem i nic nie mówiłem.

Nie chciałem, aby Granger zlokalizował mnie po jakimś odgłosie.

Powoli przesunął broń w prawo, jeszcze dalej ode mnie. Zgadywał.

Na korytarzu za mną było słycać kroki. Ktoś biegł.

Szybko wyciągnąłem rękę, chwyciłem lufę glocka, skierowałem w górę i wyrwałem pistolet z ręki Grangera. Walczył, warcząc gniewnie, ale wydawało się, że nie ma siły.

Nie miał jej, ponieważ nie używał całego ciała. Granger nie tylko był niewidomy; również częściowo sparaliżowany.

– Nie wyjdiesz stąd żywy – powiedział.

– Nie chcesz wiedzieć, po co tu przyszedłem?

– Wiem, po co tu przyszedłeś, i nie ujdzie ci to na sucho.

Drzwi sypialni Grangera otworzyły się gwałtownie, zapaliło się światło i wbiegł strażnik z wyciągniętą bronią. Pistolet maszynowy. Heckler & Koch MP5.

– Zastrzel go – powiedział Granger.

Obróciłem się, wycelowałem rugera w strażnika. Wyglądał znajomo. Wysoki, w dobrej formie, mniej więcej w moim wieku.

Pistolet przeciw pistoletowi maszynowemu. To tak jakby używać pistoletu na wodę przeciw sikawce strażackiej.

Jednak osiemset naboí na minutę nic nie znaczy, jeśli gość trzymający pistolet maszynowy jest martwy. Kula to kula.

Zauważyłem tatuaż na jego prawym bicepsie: skrzyżowane strzały nad sztyletem i słowa DE OPPRESSO LIBRE. Motto sił specjalnych. Napisane z błędem, ale przecież mistrzowie tatuażu nie zawsze słyną ze znajomości ortografii.

– Rzuć broń – rozkazał.

Przez kilka długich sekund patrzyliśmy na siebie. Opuściłem ruzera.

– Powiedziałem, rzuć go.

Rzuciłem. Pistolet upadł bezgłośnie na dywan. Potem opuściłem wzrok na jego pistolet maszynowy i uśmiechnąłem się. Spojrzałem mu ponownie w oczy.

– Nie wiem, ile naboí zamierzasz wystrzelić – odezwałem się – z nieprzestawionym bezpiecznikiem.

Mimo woli zerknął na swoją broń.

A ja skoczyłem.

Złapałem za lufę, wykręciłem ją w górę i kopnąłem go kolaniem w brzuch, powalając na podłogę. Wypuścił z siebie sporo powietrza, z donośnym „uff”.

– Wiesz – powiedziałem – twój spec od tatuażu błędnie to napisał.

Motto sił specjalnych brzmiało „De Oppresso Liber”, a nie „Libre”. Co oznaczało „Wyzwolić gnębionych”.

– Kim, do diabła, jesteś? – zapytał.

– Heller – przedstawiłem się. – Przyszedłem tu po mojego brata. I nie zamierzam wyjść bez niego.

– Czy on powiedział: Heller? – usłyszałem Allena Grangera mówiącego za moimi plecami. – To jest Roger Heller?

– Nie – rzekłem. – Nick Heller. Brat Rogera.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Granger. – Musimy porozmawiać.

96.

- Czy mogę zaproponować ci drinka?
- Myślałem, że nie pijesz.

Przenieśliśmy się do przestronnego pokoju na dole. Ogień ryczał w dużym kamiennym kominku. Ręcznie ciosane belki krzyżowały się na suficie.

Granger siedział na wózku inwalidzkim, ubrany w biały kardiganowy sweter, niebieską koszulę zapinaną na guziki i szare wełniane spodnie. Włosy miał starannie uczesane.

Jego niegdyś przystojna twarz była oszpecona.

Unikający dziennikarzy odludek, oczywiście. To musiało się stać nie dalej niż w ubiegłym roku.

– Och, nie alkohol – powiedział i zachichotał. – Wielkie nieba, nie. Mówię o prawdziwym doktorze pepperze z Dublina.

– Słucham?

– Najstarsza na świecie rozlewnia doktora peppera, w Dublinie w stanie Teksas. Robią go z prawdziwej trzciny cukrowej, a nie tego paskudnego zbożowego syropu z dużą zawartością fruktozy. A ponadto w dwustumililitrowych szklanych butelkach. Mało gdzie można teraz to znaleźć. A jeśli nigdy nie próbowałeś doktora peppera z Dublina, on zmieni twoje życie. To moja słabość. Teraz już wiesz.

– Nie, dzięki.

– Proszę, przyjmij moje przeprosiny – rzekł Granger. – Miałem niedawno problemy z niektórymi pracownikami.

– To właśnie ci się przydarzyło? Zostałeś zaatakowany przez jednego ze swoich pracowników?

Skinął głową.

– Można powiedzieć, że poległem.

– Cywile nie mogą polec.

– Teoretycznie chyba masz rację. Tylko że cywile zazwyczaj nie używają granatów.

Wepchnąłem rugera z powrotem do kabury przy kostce. Oddałem Grangerowi jego glocka. Nie było już żadnego sensu wymachiwać bronią.

– Odnalazłeś Go? – spytał łagodnie Granger.

– Nie – odpowiedziałem. – Jeszcze kilka godzin temu sądziłem, że nie żyje.

– Nie mam na myśli twojego brata. Chodzi mi o Niego. Pana. Odnalazłeś Go?

Zamrugąłem.

– Byłem trochę zajęty.

– Jezus nigdy nie jest zbyt zajęty dla nas – powiedział. – My nie możemy być nigdy zbyt zajęci dla Niego.

– Będę o tym pamiętał.

Granger wskazał na swoją twarz, a potem na kolana.

– Pomógł mi się z tym uporać.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Dlaczego zostałem zaatakowany? – odezwał się po chwili.

– Właśnie.

– Wiesz, był kiedyś czas, nie tak dawno temu, kiedy kontraktorzy prywatnego wojska byli poza prawem.

– Ponad prawem.

– Nie. Poza prawem. Nie podlegaliśmy wojsku i nie podlegaliśmy prawom cywilnym.

– Wygodna mała luka. Zatem wasi chłopcy byli kowbojami. Najpierw strzelali, a potem zadawali pytania. Zabijali, kogo chcieli.

– Niektórzy to robili, to prawda. Nie wszyscy. Tylko kilku.

– Jednak zdałeś sobie sprawę, że jeśli nadal chcesz robić interesy z rządem, musisz wydać kilku swoich gości.

– To bardzo przykre, Nick.

– Koszt robienia interesów.

– Nie będę się spierał. I ci ludzie winią mnie za to, że ich sprzedałem.

– A kogo innego powinni winić?

– Ja już nie rządę. Jestem zaledwie figurantem. Słupem.

– Ponieważ jesteś filią większej korporacji? Jesteś częścią Gifford Industries?

Nie odpowiedział.

– Zatem kto teraz rządzi? Leland Gifford?

Zwrócił ku mnie swe niewidzące spojrzenie.

– Naprawdę nie wiesz, co?

– Nie wiem o czym?

– Co zrobił twój brat?

– Tak – odparłem niecierpliwie. – Wiem. Roger próbował wymusić od ciebie mnóstwo pieniędzy. Groził, że ujawni informacje o łapówkach, które dawałeś Pentagonowi.

– To tylko bajeczka.

– A jaka jest twoja bajeczka? Że mój brat okradał firmę?

– Nie – odpowiedział Granger. – Twój brat nie ukradł nic z mojej firmy. To w ogóle nie tak. On ukradł całą firmę.

97.

Allen Granger zaproponował mi swojego gulfstreama 100 i jednego z najlepszych pilotów.

Poleciałem do Nowego Jorku.

Nie miałem pojęcia, czego oczekiwać, kiedy przeszedłem przez Lexington Avenue na Manhattanie.

Ozdobna fasada Graystone Building wcale się nie zmieniła, od kiedy byłem dzieckiem. Wieżowiec nadal wyglądał jak babilońska świątynia. Jednak wewnątrz można było zobaczyć, jak podupadł niegdyś wspaniały hol. Fresk przedstawiający Prometeusza kradnącego ogień był dziobaty i wyblakły, ale dwaj malarze siedzieli na drabinach i starannie go odnawiali. Inni kolesie restaurowali secesyjne panele sufitowe. Naprawiano jedną z wind.

Jednak mosiężne drzwi windy błyszcząły, a kabina nadal pachniała mosiężną maszynierią i starą skórą. Winda wciąż jeździła powoli, lecz pewnie, a pomruki i szcęk przekładni były dziwnie krzepiące.

Wydawało się to niemożliwe, jednak apartament na ostatnim piętrze nadal pachniał dymem cygar mojego ojca.

Na górze było dużo więcej robotników, polerujących granitową podłogę, wymieniających popękane kafelki i odmalowujących ściany. Kiedyś czytałem w „New York Timesie”, że dla Graystone Building przyszły ciężkie czasy, zajmowana powierzchnia spadła do czterdziestu procent, a właściciele od lat próbowali go sprzedać.

Wyglądało na to, że budynek ma nowego właściciela.

Dwaj stolarze, którzy odnawiali mahoniowe listwy przypodłogowe przed windą, zerknęli na mnie bez zainteresowania. Przeszedłem powoli korytarzem do dużego narożnego gabinetu.

Wychodziła z niego kobieta: wysoka, piersiasta blondynka. Bardzo atrakcyjna. Znacznie piękniejsza niż na zdjęciu, które Dorothy przesłała mi na mój telefon komórkowy. Skinąłem jej głową, ale nie odpowiedziała tym samym.

Bez mebli i dywanów, z dębowym parkietem zakrytym białą folią malarską, gabinet wydawał się jeszcze większy, niż go pamiętałem.

Światło słoneczne wpadało przez okna sięgające od podłogi do sufitu, a on stał, plecami do mnie, patrząc na Manhattan. Miał rozłożone ręce, a dłonie przyciśnięte do szyby.

Zastanawiałem się, czy pamiętał, że tata też czasami stał w taki sam sposób.

Musiał usłyszeć, jak wchodzę, ponieważ powoli się odwrócił. Drgnął, ale prawie niezauważalnie. Tylko brat mógł to zauważyć.

– Cześć, Red Man – powiedział Roger.

98.

Nic nie odpowiedziałem.

Podszedłem z rozpostartymi ramionami, a kiedy on otworzył swoje do uścisku, wałnąłem go w brzuch. Mocno.

Zgiął się wpół i okulary spadły mu z nosa. Przez prawie minutę spazmatycznie łapał powietrze, przyciskając dłonie do brzucha, wciąż pochylony, potem zdołał stanąć prosto, aczkolwiek niepewnie, czerwony jak burak.

– To nie było zbyt braterskie, Nick.

– Nie? – zapytałem.

Przeszedł chwiejnie kilka kroków, podniósł okulary i założył je z powrotem.

– Wspaniały widok – powiedziałem. – Zapomniałem jak wspaniały.

– Zawsze sądziłem, że najlepszy w mieście.

– Wynająłeś całe piętro? Jak tata?

– Właściwie, Nick, jestem właścicielem całego budynku – rzekł spokojnie. Dumnie. – I to za dobrą cenę. Sprzedający był zdesperowany.

– To miło.

– Lauren powiedziała ci, gdzie mnie znaleźć?

– Nie martw się – odparłem. – Lauren wykonała dużo lepszą robotę, ochraniając cię, niż miałeś prawo oczekiwać. Nie, dostałem

twój adres od Candi. A może powinienem powiedzieć: Margaret.

Przez kilka sekund wyglądał na zaskoczonego. Przechylił głowę na bok: jego sceptyczna mina. Dobrze ją znałem.

– Och, nie od niej osobiście. Z jej telefonu komórkowego. Na twoim tajnym koncie pocztowym.

– Tajnym koncie pocztowym?

– Tym, przez które ty i Candi umawialiście się na schadzki.

– Sądziłem, że skasowałem wszystkie te rzeczy.

– Czasem miło jest być niedocenionym – rzekłem.

– Dobry jesteś – powiedział z uśmiechem. – I co? Kiedy już miałaś numer jej telefonu komórkowego, zrobiłeś jakieś detektywistyczne hokus-pokus, aby się dowiedzieć, skąd wykonywała rozmowy? I tak trafiłeś tutaj?

– Hokus-pokus – odpowiedziałem, kiwając głową. – Tak. Czary.

Chip z lokalizatorem GPS w telefonie komórkowym używanym przez „Candi Dupont” – Margaret Desmond – wskazał miejsce jej rozmów telefonicznych z dokładnością do pięćdziesięciu metrów. Co pozwoliło mi szybko ustalić adres tego budynku.

– Chociaż nie mogłem zdecydować, gdzie najpierw zajrzeć, do starego domu w Bedford czy tutaj. Dzwoniła z obydwu miejsc. To mnie zaskoczyło, dom w Bedford. Myślałem, że kupił go kilka lat temu jakiś bogaty menadżer funduszu hedgingowego. Nie sądziłem, że będzie chciał go sprzedać tak szybko.

– Fundusze hedgingowe mają teraz poważne problemy. Poza tym każdy ma swoją cenę.

Przytaknąłem. Uśmiechnąłem się. Mnie to mówisz, braciszku.

– I czasem rodzina musi za to płacić.

– Wierz mi. Lauren i Gabe nie ucierpią na tym. Nie będą nędzarzami.

– Jej zapłata, tak? Odszkodowanie rozwodowe? Za wszystko, co zrobiła, żeby ci pomóc?

– Nie, braciszku. Dlatego że nadal ją Kocham.

– To mnie cieszy – rzekłem. – Nikt nie okazuje tego w taki sposób, jak ty. Tata przynajmniej nie zorganizował napadu na mamę, zanim zniknął.

– Och, daj spokój, Nick. Naprawdę myślisz, że wynająłem kogoś, żeby walnął Lauren w głowę? Za jakiego faceta mnie uważasz?

– Chyba nie chcesz, żebym na to odpowiedział?

– Mój człowiek miał ją tylko ogłuszyć. Nic poza tym.

– Ona omal nie umarła, wiesz? A potem, dzięki tobie, Koblenz wysłał jednego ze swoich ludzi, żeby ją zabił. Co prawie się udało.

Roger nagle wyglądał na zawstydzonego. Zwiesił głowę.

– Teraz ma się dobrze. Dzięki Bogu.

– Może. Jednak nie Gabe. Po tym, co przez ciebie przeszedł w ciągu ostatnich kilku tygodni. To pozostawia blizny. Nie żeby cię to obchodziło.

– Oczywiście, że mnie to obchodzi. Nadal kocham tego dzieciaka. Lauren również.

– Co za facet.

– Zrobiłem, co musiałem. Żeby ich ochronić.

– Nie – rzekłem. – Zrobiłeś to wszystko, żeby dokonać największego skoku w historii. Nawet gdyby pociągało to za sobą pewne ofiary. Jak Marjorie Ogonowski, która wydawała się twoją jedyną przyjaciółką w Gifford. Wiesz już o niej, prawda?

Po jego minie odgadłem, że wie o jej zamordowaniu. I ja, pomyślałem. Ja również o mało nie stałem się ofiarą. Jednak nie zamierzałem dać mu tej satysfakcji i powiedzieć tego głośno.

– No cóż, chyba nie można zrobić omleta, nie rozbijając kilku jajek, co?

– Nie miałem wyboru.

– A więc zaplanowałeś najlepsze zniknięcie w historii – rzekłem. – Z pomocą kilku ludzi, których ściągnąłeś z Paladin. Kiedy przejmowałeś ich firmę. Dobrze rozegrane.

– Właściwie, Nick, muszę powiedzieć, że mnie rozczarowałeś.

Byłem pewny, że zidentyfikujesz mojego „porywacza” – wykonał w powietrzu dwoma palcami znak cudzysłowu – jako pracownika Paladin.

– Gdybyśmy mieli więcej czasu, zidentyfikowalibyśmy go. Tablica rejestracyjna wystarczyła, żeby wskazać na Paladin. Ponieważ miała to zrobić, prawda? – Najwyraźniej wzięli tablice rejestracyjne z pojazdu należącego do Paladin. A ja, lub ktoś inny, miałem odnaleźć kamerę monitoringu na stacji benzynowej i połączyć te fakty. – Jednak jestem zaskoczony, że zaufałeś komukolwiek z Paladin.

– Oni wszyscy są na sprzedaż. Spójrz, dla kogo pracują. Ten, kto podpisuje ich czeki, kupuje ich lojalność.

– Zatem kazałeś komuś ukraść z kostnicy szpitalnej ciało, aby pokazać swój finałowy trik – rzekłem. – Nieważne, jaki uraz mógł on wywołać u twojego syna.

Zrobił zbolaną minę.

– To było przykre, ale konieczne.

– Wszystko po to, aby przekonać Gifford i Paladin, że nie żyjesz? Zyskać trochę czasu, kiedy aranżowałeś kradzież firmy?

– Nie tylko po to. Także po to, aby ochronić Lauren i Gabe'a.

– Których życie naraziłeś – przypomniałem.

Jednak zignorował to.

– Kiedy Paladin zaczęło naciskać na Lauren, nie miałem wyboru. Spanikowała. Prawie ją straciłem. Musiałem powstrzymać ją przed wyjawieniem wszystkiego. Chodzi mi o to, że, no wiesz, kiedy przychodzi co do czego, ona przede wszystkim jest matką.

– Ta – rzekłem. – Co z nią jest nie tak?

– Nick – powiedział. – Jestem pewny, że znasz tę historię o rodzinie, która ukrywała się przed nazistami, prawda? Siedzieli w piwnicy albo ukrywali się pod deskami podłogowymi, zapomniałem, matka i ojciec oraz dwójka dzieci i niemowlę. A naziści przeszukiwali dom...

– Tak – przerwałem niecierpliwie. – A dziecko zaczęło płakać,

więc matka zakryła mu usta dłonią, aby je uciszyć. Udusiła swoje własne dziecko. Czują, jak staje się bezwładne.

Przytaknął.

– Zabiła swoje dziecko, aby uratować resztę rodziny. Trudna sprawa. Okropna historia. Jednak jakie miała wyjście? Życie maleńkiego dziecka przeciwko życiu całej rodziny?

– Chcesz przez to coś powiedzieć?

– Cokolwiek musieli znieść Gabe i Lauren, było to dla ich własnej ochrony.

– Ochrony? Nie. Chodziło o okruszki.

– Okruszki?

– Albo niteczki. Pozostawianie fałszywego śladu dla mnie.

– No, nie dla ciebie. Dla glin i FBI. Z pewnością nie chciałem, aby Lauren po ciebie zadzwoniła. Zrobił to Gabe.

– Przykro mi, że spieprzyłem twoje plany.

Wzruszył ramionami.

– Nie zrobiłeś tego. Wcale. Gdybyś to nie był ty, byłby to ktoś inny. Widzisz, odwracanie uwagi to główna część sztuczki magicznej. Nie nauczyłeś się tego jeszcze?

Pomyślałem o bajeczce, którą opowiedzieli mi Victor i Lauren: o próbie wymuszenia przez Rogera pieniędzy od Paladin. Wątpiłem, by była prawdą. On chciał dużo więcej niż te dziesięć milionów dolarów. I wszystko to było zakopane tak płytko, że musiałem to wykopać. Co sprawiało, że wydawało się prawdopodobne. Potem pomyślałem o tej historii z „zaginionym” miliardem dolarów, w którą wciągnął mnie Stoddard i która doprowadziła mnie do Koblenza. Zrozumiałem, że Roger w jakiś sposób to również ustawił. Wszystko po to, aby stworzyć fałszywy trop, wiodący do Paladin. Tylko po co? Aby ich zneutralizować? Przycisnąć? Tego jeszcze nie rozgryzłem.

– Tak więc sam zatrudniłeś faceta od cargo – powiedziałem. – Aby ukraść kontener. Wiedziałaś, że Paladin przewozi te pieniądze.

Skromnie skinął głową.

– I dałem mu numer telefonu komórkowego Koblenza, aby użył

go w razie nagłego wypadku. – Zachichotał. – Mogę sobie tylko wyobrazić, co powiedziałyby Koblenz, gdyby odebrał telefon od tego gościa.

– A gdyby Stoddard nie wyznaczył mnie do tej roboty? – zapytałem.

– Dlaczego miałyby wyznaczyć kogoś innego? Leland Gifford specjalnie o ciebie prosił. – Mrugnął do mnie i natychmiast zrozumiałem, że w rzeczywistości to Lauren złożyła prośbę, w imieniu swojego szefa. – Wiedziałem, że mogę liczyć na mojego młodszego braciszka, że będzie mnie chronił tak jak zawsze. Tak to już jest w rodzinie. Nawet jako dorośli nadal gramy te same role.

– A twoją była miniaturowa wersja taty. Przez cały czas pociągał za sznurki ze swojej więziennej celi? Największy szwindel w jego karierze? Chciał odzyskać swoje imperium, prawda? To prawdopodobnie również jego pomysł, cały ten przekręt.

– Miej trochę więcej wiary we mnie, Nick.

– Mam. Zawsze widziałeś tatę takim, jaki był.

– Nie możesz stracić złudzeń, jeśli od początku żadnych nie miałeś.

– I nie mógłbyś zrobić tego bez niego.

– Zapewne nie – przyznał Roger. – Wiem dużo o zagranicznych operacjach finansowych. Jednak on naprawdę zna wszystkie ich tajniki. Wiesz, jego firma miała taką samą strukturę jak Gifford Industries. Obie były firmami rodzinnymi, obie w rękach prywatnych osób i zarejestrowane za granicą. Ze względu na podatki. I odpowiedzialność karną.

– Rozumiem – rzekłem. – Zatem przekonałeś Lelanda Gifforda, aby zrekonstruował swoją firmę po tym, jak przejął Paladin, zgadza się?

– Chodziłeś do szkoły wieczorowej, Nick? Trafiłeś w sedno. Powiedziałem Giffordowi, że musi stworzyć kolejny poziom zabezpieczenia, aby ochronić się przed odpowiedzialnością karną. Wiedział o wszystkich łapówkach, jakie Paladin dawało Pentagonowi. Był na

tyle bystry, aby zrozumieć, że z nowym prezydentem w Białym Domu wszystko inaczej się kręci. Wiedział, że może upaść. Mógł stanąć przed komisją senacką, może nawet pójść do więzienia, jeśli się nie zabezpieczy. Tak więc zrobił to, do czego go namawiałem. Tymczasowo przekazał fizyczną własność.

– Fizyczną własność – powiedziałem. – Innymi słowy, prawo do firmy. Do całego Gifford Industries, które obejmowało nową filię, Paladin. Mam rację? Ponieważ Gifford jest prywatną firmą?

– A ja zawsze sądziłem, że w ogóle nie interesujesz się finansami.

– Tylko minimalnie – rzekłem. – Na tyle, aby łapać dupków.

– Wystarczająco, żeby być niebezpieczny, co?

– Przypuszczam, że to czyni mnie niebezpiecznym, Roger. A zatem... cóż, musiałeś zniknąć, dopóki transfer nie nabierze mocy prawnej? Dopóki nie minie obowiązkowy okres oczekiwania?

– A wszyscy zawsze mówili, że to ja jestem bystry.

Uśmiechnął się w sposób graniczący z podziwem.

– Jednak nie mógłbyś wykręcić tego numeru bez karty Raptor-Card – powiedziałem. – Dokument z twoim nazwiskiem na papierku to tylko część całej sprawy. Musiałeś również przelać aktywa firmy na swoje osobiste konto, zgadza się? Dlatego potrzebowałeś mnie, żeby się tam włamał i ją ukradł.

– Niezupełnie – rzekł. – Prawie spieprzyłeś całą sprawę.

– Przykro mi to słyszeć. Jak to?

– Dałem sekretarce Koblenza kupę pieniędzy, aby poszła do jego sejfu i dostarczyła mi RaptorCard. Poszłoby dużo spokojniej, gdybyś nie włamał się tam i nie ukradł tego cholerstwa. Zatem musiałem improwizować.

– Dobra robota – powiedziałem i naprawdę tak myślałem. Wy-
pytywałem go dalej. – Jednak wciąż czegoś do końca nie rozumiem. Ta sfigowana zamiana, wymiana ciebie na RaptorCard, skąd wiedziałeś, że na pewno ją mam?

Roger zawahał się, ale tylko przez chwilę.

– Od Koblenza.

– Rozumiem. – Natychmiast przejrzałem kłamstwo, ale nie naciskałem go. Znałem prawdę. – Cóż, w końcu masz swoją zapłatę, prawda?

– Zapłatę?

– Leland Gifford tak naprawdę nigdy cię nie szanował. Nigdy cię nie awansował. Domyślałem się, że masz teraz pracę, na jaką przez cały czas zasługiwałeś. Co teraz będzie z Lelandem Giffordem? Umieścisz go gdzieś w domu opieki? Przyznasz mu comiesięczny zasiłek?

– Nie martw się o Lelanda Gifforda. Dobrze mu zapłaciłem. Przejdzie na emeryturę jako nadzwyczaj bogaty człowiek. Jednak pozostawiam go na stanowisku. Nie jestem prawdziwym finansistą.

– A on i tak nic nikomu nie powie, prawda? To nie leży w jego interesie.

– Bardzo dobrze. Załapałeś. Gdyby szczegóły dotyczące łapówek dawanych Pentagonowi przez Paladin doszły do publicznej wiadomości, pękłaby tama. Departament Obrony byłby zmuszony unieważnić wszystkie swoje kontrakty. Paladin stałoby się bezwartościowe. Gifford straciłby swoją wielomiliardową inwestycję we własnej firmie. Zatem lepiej, jeśli wycofa się z jakimiś pieniędzmi niż z niczym. To sytuacja, w której obie strony coś zyskują.

– Wydajesz się zrelaksowany i spokojny – powiedziałem. – Nawet bezpieczny. Naprawdę sądzisz, że jesteś bezpieczny?

– Kto mógłby próbować mnie dopaść? Gifford? Granger? Kolblenz? Oni wszyscy pracują teraz dla mnie.

– Powiedz to Allenowi Grangerowi. Żyje w strachu przed swoimi własnymi pracownikami.

– To dlatego go zatrzymuję. Pozwalam im wszystkim sądzić, że on nadal jest szefem. Niektórzy z tych byłych żołnierzy to szaleńcy.

– Ja jestem byłym żołnierzem. Nie zapominaj o tym.

– Ty nie jesteś szalony.

– Nie wszyscy zgodziliby się z tobą. Tak czy inaczej, miej w pamięci, że ludzie nie zawsze postępują racjonalnie, kiedy się rozłoszczą. A ty masz wielu wrogów.

– Czemu odnoszę wrażenie, że mówisz o sobie?

Wzruszyłem ramionami.

– Co zamierzasz zrobić, zabić własnego brata?

– Nie – powiedziałem, odczekawszy chwilę, aby go zdenerwować. – Nigdy bym tego nie zrobił. Jednak niektóre sądy mogą uważać to, co zrobiłeś, za kradzież. A nawet zbrodnię. Jakkolwiek dziwnie to brzmi.

– Kto oskarży mnie o kradzież? Leland Gifford? On nie chce iść do więzienia. Odpowiedziałby za wszystkie łapówki, jakie płaciło Paladin, gdyż o nich wiedział. Ponieważ wykazałem należyłą staranność. Postarałem się, żeby o tym wiedział.

Powoli pokiwałem głową, wymacałem telefon komórkowy w kieszeni i spojrzałem na Rogera.

– Przy tej całej należytej staranności, jaką wykazałeś, powierzasz swoje finansowe imperium jakiemuś nędznemu zagranicznemu bankowi? Doprawdy, Roger. Tutaj naprawdę spieprzyłeś sprawę. Nie wiesz, jak szybko takie raje podatkowe zwijają manatki, kiedy przyćśnię je rząd Stanów Zjednoczonych? Popatrz, co stało się z Nauru.

Roger zawsze się irtował, gdy wiedziałem o czymś więcej niż on.

– Tak? – zapytał. – Uważasz Barclays, B.W.D, za nędzny bank? Daj spokój, braciszku. Nic, tylko najlepsze.

– Barclays na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych? – zapytałem. – To jest gdzie... w Tortoli? W porządku. Nie doceniałem cię.

Uśmiechnął się.

– Wiesz, Nick, był taki starożytny chiński filozof, który kiedyś powiedział, że bitwy są zawsze wygrane lub przegrane, zanim jeszcze zostaną stoczone.

– Ktoś mi to mówił – rzekłem. – Dużo wiesz o wojnie, Roger?

– Tylko teoretycznie. I wystarczająco, żeby być niebezpieczny. No cóż, skończyliśmy już, braciszku? Ponieważ mam mnóstwo pracy. Mam zaplanowaną konferencję telefoniczną, a jeszcze nawet nie podłączono nam telefonów.

– Prawie – powiedziałem. – Poczekaj sekundę. Wyciągnąłem BlackBerry.

– Możesz to powtórzyć? – zapytałem.

Roger spojrział na mnie zdeorientowany.

– Powtórzyć co?

– Przepraszam – rzekłem. – Mówiłem do telefonu.

Telefon komórkowy w mojej kieszeni był włączony i przez cały czas przesyłał naszą rozmowę do Dorothy. Zajęło jej tylko kilka sekund, aby znaleźć kod SWIFT dla oddziału Barclays na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Kiedy przeczytała mi go ponownie, powoli, wpisałem numery do pola wiadomości w BlackBerry.

Zawsze nienawidziłem zestawów słuchawkowych Bluetooth – nie lubię chodzić z czymś przypiętym do ucha jak statysta w filmie *Star Trek* – jednak ten, który miałem na sobie, był niestandardowy. Była to jedna z miniaturowych słuchawek rządowej jakości, którą dostałem od Merlina. Roger nie mógł jej zauważyć.

– Mamy to – powiedziałem, tym razem do Rogera. Uśmiechnąłem się, podniosłem BlackBerry. – Fajną rzeczą w RaptorCard – zauważyłem – jest to, że łatwo jest stworzyć tylne wejście, jeśli się na tym znasz. Przysyła mi kopię każdej transakcji, którą wykonałeś. Właśnie tutaj.

Roger nie wiedział, jak zareagować. Widziałem, jak jego sceptycyzm miesza się z niepokojem.

– Tak – rzekł. – Gdybyś się na tym znał.

– Och, nie ja – przyznałem. – Moi koledzy. Czasem warto mieć przyjaciół. Teraz popatrz uważnie. Nie chowam niczego w rękawie.

– Co ty wyprawiasz? – W jego głosie pojawiła się nuta paniki. Powoli podszedł do mojej strony biurka. – Dlaczego? Bo zrobiłem coś, na co ciebie nie było stać?

– Ciii – rzekłem. – Nigdy nie przeszkadzaj magikowi w czasie numeru. A teraz...

– Rozumiesz, że zamierzam się tym wszystkim z tobą podzielić, prawda?

– Spójrz, jak naciskam ten zwyczajnie wyglądający przycisk zupełnie zwyczajnego BlackBerry i twój cały cyfrowy ślad jest wysłany, dzięki magii Internetu, do Komisji Nadzoru Finansowego. Urzędnicy Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych z pewnością...

Roger rzucił się na mnie.

– Jesteś Hellerem! – zagrział. – To jest życie, jakie było nam przeznaczone!

Uchyliłem się przed jego atakiem.

– I... abrakadabra!

I teatralnym ruchem przycisnąłem klawisz WYŚLIJ. Potem, nawet nie spojrzawszy na Rogera, pomaszerowałem przez bezmiar jego gabinetu.

– Jeśli dadzą ci możliwość wyboru, mam nadzieję, że wybierzesz Zakład Karny Altamont – rzekłem. – Tacie byłoby miło mieć towarzystwo. Może moglibyście razem pracować w pralni.

A potem otworzyłem drzwi dla FBI.

99.

Kilka dni później próbowałem wślizgnąć się do domu Lauren, aby odzyskać resztę swoich rzeczy w czasie, kiedy nie powinno tam być jej ani Gabe'a. Pomyślałem, że dla wszystkich będzie łatwiej, jeśli pewnego dnia wrócą do domu i odkryją, że moje rzeczy zniknęły. Bez scen. Co z oczu, to z serca.

Jednak zapomniałem o fundamentalnej zasadzie prywatnej szkoły: im większe płacisz chesne, tym krótszy jest rok szkolny. Rok szkolny w St Gregory's już się zakończył i Gabe był na górze, słuchając muzyki. Lauren robiła coś na swoim domowym komputerze. Kolejna rzecz, której się nie spodziewałem: że Lauren będzie w domu, a nie w pracy.

Jednak właściwie dobrze się składało. Mieliśmy dużo do omówienia. Powiedziała mi, że zdecydowała się wziąć urlop. Długi. Urlop, który powinna była wziąć już na początku, po napadzie.

– Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna muszę rzeczywiście pracować, aby zarobić na utrzymanie – rzekła w zadumie.

Przypuszczam, że mogłem pozwolić, aby mojemu bratu uszło to na sucho, co oznaczałoby, że Lauren i Gabe mieliby udział w jego łupach, a przynajmniej tak mówił Roger. Jednak wtedy nigdy nie byłiby bezpieczni – takie rzeczy nie uchodzą bezkarnie.

Ponadto to by mi nie pasowało. Może z powodu złej karmy. Coś tam wiedziałem o życiu z brudnych pieniędzy.

I – nazwijcie mnie naiwnym idealistą – trochę podobała mi się koncepcja uczciwego postępowania.

– Zaczęłaś już szukać pracy? – zapytałem.

Popatrzyła na mnie z zaskoczeniem.

– Nie odchodzę od Lelanda – rzekła. – Dlaczego miałabym to zrobić?

– Przyjmie cię z powrotem?

– Czy przyjmie mnie z powrotem? Co to miało znaczyć?

Poczułem ukłucie smutku. Nie przestała ukrywać prawdy.

– Lauren – powiedziałem.

– Lee nie wini mnie za to, co zrobił Roger. To nie byłoby w porządku.

– Zatem Leland nadal nie wie – powiedziałem. – Cóż, muszę przyznać to mojemu bratu. Być może cię wykorzystał, ale też cię ochronił.

– Ochronił mnie? W jaki sposób?

– Mógł cię wydać, kiedy został aresztowany, ale tego nie zrobił. I wątpię, czy zrobi.

– Co?

– Wyjawi, co zrobiłaś. Twoją rolę w tym wszystkim.

– Moją rolę?

– Lauren, daj spokój.

– Co?

Naprawdę byłem rozczarowany swoją słabą umiejętnością odczytywania ludzi. Przejrzenie Lauren zajęło mi o wiele za dużo czasu. Może miłość do Lauren i jej syna osłabiła moją zwykłą spostrzegawczość.

– No cóż, po pierwsze, Roger nie mógł ukraść wszystkich aktywów Gifford Industries bez karty RaptorCard. I tylko w jeden sposób mógł się dowiedzieć, że ja ją mam. Od ciebie.

Jej oczy były nieprzeniknione, trudne do odczytania.

– Mówiłam ci, że skontaktował się ze mną. Zostawił mi wiadomość głosową. Podał mi jakiś... jakiś numer telefonu komórkowego,

który był nie do wyśledzenia, żeby do niego zadzwoniła. Ponieważ chciał mieć pewność, że wymiana przebiegnie bez komplikacji. Tak więc owszem, tak. Powiedziałam mu.

– Właśnie – rzekłem. – Jednak to nie wszystko.

Wyglądała na urażoną.

– O co mnie oskarżasz?

– Nie zamierzam cię wydać – powiedziałem. – To nie ma sensu. Winię swojego brata za to, że cię w to wciągnął.

– Nie zostałam wciągnięta... – zaczęła.

– Lauren – rzekłem. – Nie trudź się. Leland nie ufał Rogerowi. Nie lubił go. Nigdy nie zgodziłby się na pomysł stworzenia spółki holdingowej i nie wyznaczyłby Rogera na pełnoprawnego, tymczasowego właściciela, gdybyś go do tego nie namówiła.

Skrzywiła się i pokręciła głową. Ja jednak mówiłem dalej.

– Dorothy powiedziała mi, że pytałaś ją, w jaki sposób dobrać się do BlackBerry zabezpieczonego hasłem. Powiedziałaś jej, że chcesz mi pomóc. Dostać się do poczty elektronicznej Lelanda. Oczywiście, nie pofatygowałaś się, żeby mnie o tym powiedzieć.

Spróbowała zaprzeczyć, ale bez przekonania.

– Nie powiedziałam ci?

– Oczywiście, że nie. Ponieważ to nie była prawda. Nie próbowałaś pomóc znaleźć Rogera. Wysyłałaś e-maile z konta Lelanda Gifforda. Do banku na Kajmanach. Autoryzując transfer. Odpowiadając na zapytania banku. A potem, zapewne, usuwając wszystkie dowody korespondencji tak, aby Gifford się o tym nie dowiedział.

– Nick – zaczęła.

– Roger potrzebował współnika w biurze dyrektora naczelnego, inaczej nic by z tego nie wyszło.

Odwróciła wzrok.

– I... och, tak... postarałaś się, żeby Stoddard wyznaczył mnie do odnalezienia zaginionego ładunku. Tego miliarda dolarów w gotówce. Kradzież, którą zaaranżował Roger. Więcej okruszków, mających doprowadzić mnie do Paladin.

Wyraz jej twarzy potwierdził moją teorię. Podszywając się pod Lelanda Gifforda, wysłała e-mail do Jaya Stoddarda, żeby mieć pewność, że ten przydzieli mi tę sprawę.

– Nie podoba mi się to, co sugerujesz. Chyba nie myślisz poważnie, że ryzykowałabym życie Gabe'a dla pieniędzy, prawda?

– Nie, nie myślę tak. Jestem pewien, że to nie był twój pomysł.

– Oczywiście, że nie! Najgorsze, co możesz mi zarzucić, to że byłam naiwna. Ufałam mu. Kiedy powiedział, że musi zniknąć, ponieważ to jedyny sposób, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo, uwierzyłam mu. A potem sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli, ci z Paladin zaczęli nam grozić...

– Wiem. Wtedy Roger zaryzykował i zadzwonił do ciebie. Chciał się upewnić, że trzymasz się planu.

Samotna łza spłynęła po jej lewym policzku w idealnie prostej linii.

– Powiedział mi, że jeśli tego nie zrobię, oni go zabiją. Mówił, że to jedyny sposób, aby uratować jego i ochronić Gabe'a. Wykorzystał mnie. Manipulował mną.

– Jest w tym dobry. Rozumiem to.

– Jego relacje z Gabe'em się skończyły. Zniszczył je.

– On nie zasługuje na Gabe'a.

– Nie – rzekła. – Nie zasługuje.

– Nie sądzę, aby Gabe zamierzał odwiedzać go w więzieniu.

Sama widzisz, jak często ja odwiedzam mojego tatę.

Ze smutkiem skinęła głową.

– A... a co z tobą?

– Coś wymyślę.

– Sądzisz, że możesz się przeprowadzić?

– Być może, zobaczę. Wiesz, że nigdy nie lubiłem Waszyngtonu.

– Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. To nie byłoby łatwe dla Gabe'a.

– Ani dla mnie.

– Zatem nie przeprowadzaj się. Zostań w mieście.

- Coś wymyślę – powtórzyłem. – Nie martwię się tym.
- Nigdy się nie martwisz, prawda?
- Pewnie, że martwię. Cały czas – powiedziałem. – Po prostu nie lubię tego okazywać.



Zanim wyszedłem, zabrałem Gabe'a na spacer po okolicy. Stare dęby ocieniały ścieżkę, ich liście delikatnie drżały na wietrze, rozpraszając słoneczny blask. Gabe miał na sobie czarne szorty, swoje czarne buty Chuck Taylor i czerwoną koszulkę Full Bleed z wielkim białym odciskiem palca.

– Czy możesz w to uwierzyć, jak rany? – odezwał się. – Tata zapytał mamę, czy mogę odwiedzić go w więzieniu.

– Zamierzasz to zrobić?

– Żartujesz sobie ze mnie? Powiedziałem mu, że nigdy więcej nie chcę go widzieć.

– On cię kocha. Powinieneś to wiedzieć. Może mieć swoje wady, ale cię kocha.

– Co z tego? Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. Zdradza mamę, okłamuje nas i przez niego o mało nas nie zabili. – Pokręcił głową. – A teraz mamy chyba już nie stać na wysyłanie mnie do St Gregory's.

– Myślałem, że nienawidzisz tej szkoły.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem się spierać.

– I nie mamy nawet małej części tych pieniędzy, które ukradł. Gdybyś nie wsadził go do więzienia, bylibyśmy bogaci.

– Ta – rzekłem. – Sprawiedliwość jest czasem do bani. Rozumiem to.

Popatrzył na mnie gniewnie.

– To tak jak Batman – powiedziałem.

– Co?

– Cóż, pomyśl o tym. Dzisiejszy Batman jest przepojonym poczcuciem wina, samozwańczym mścicielem, prawda? Mrocznym, groźnym i udęczonym. Targanym przez wewnętrzne demony.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Czytałeś *Powrót Mrocznego Rycerza*?

– Nie. Widziałem film. Kiedy byłem dzieckiem, Batman był tym prawdziwym fajnym superbohaterem. Zamaskowanym krzyżowcem. Był miliarderem Bruce'em Wayne'em, miał batmobil oraz swoją jaskinię i zawsze ratował Gotham City przed Jokerem lub Człowiekiem Zagadką. Źli faceci zawsze kończyli za kratkami.

– Mówisz o serialu telewizyjnym.

– Sęk w tym, że w prawdziwym życiu sprawiedliwość jest trochę bardziej skomplikowana. Można powiedzieć, że jest mroczna i groźna jak Batman.

– Taak, cóż, całkowicie się mylisz. Batman od początku był tragiczną postacią. Rodzice Bruce'a Wayne'a zostali zabici podczas napadu, a on złożył uroczystą obietnicę na ich grobie, że uwolni miasto od przestępczości.

– Dobrze, dobrze – rzekłem. Powinienem wiedzieć, że nie należy rozmawiać z Gabe'em o komiksach. – Próbuję ci powiedzieć, że właściwe postępowanie nie zawsze jest łatwe.

– Czy dostanę ciasteczko z tą sentencją?

– Chyba powinieneś uważać, jak rozmawiasz ze starszymi – powiedziałem surowo.

– Ta, racja – rzekł, uśmiechnął się i ja też się uśmiechnąłem.

Ta rozmowa stawała się dla mnie zbyt trudna, więc zmieniłem temat i zapytałem go o plany wakacyjne, ale tak naprawdę nie miał żadnych, oprócz zakończenia powieści graficznej. Zatoczyliśmy koło i wróciliśmy na ich podjazd, gdzie stanęliśmy przed moim defende-rem.

Zapłaciłem jednemu z ludzi Grangera, aby zabrał defendera z lasu w Georgii i przyprowadził z powrotem do Waszyngtonu. Facet dał auto do mycia i wypolerowania, więc teraz lśniło jak nowe. Oczywiście, to niedawno zrobione długie białe zadrapanie po stronie kierowcy wyróżniało się jeszcze bardziej na tle jasnozielonego lakieru.

– Co tu się stało? – zapytał Gabe, przejeżdżając palcem wzdłuż zadrapania.

– Jakiś palant porysował go kluczem.

– A to pech.

Wzruszyłem ramionami.

– To nie jest teraz moje największe zmartwienie.

Od kilku sekund był wyraźnie nieswój, jakby chciał coś powiedzieć.

– Co? – zapytałem.

– Dlaczego się wyprowadzasz?

– Mam swoje mieszkanie.

– Mam na myśli: z Waszyngtonu. Słyszałem, jak mówiłeś to mamie.

– Jeszcze nie zdecydowałem, co zrobię. Może przeprowadzę się z powrotem do Bostonu.

– A więc co, to koniec? Tak po prostu chcesz się przeprowadzić i już nigdy więcej cię nie zobaczę?

– Będiesz mnie często widywał, mój biedny chłopcze. Zapewne częściej niż przedtem.

Znów się uśmiechnął. Miał wspaniały, ujmujący uśmiech, kiedy rzeczywiście z niego korzystał. Uśmiech swojej mamy.

– Możesz uciec, ale nie zdołasz się schować, Nick.

– Nie martw się o mnie – rzekłem. – Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Podziękowania

Jestem niezmiernie wdzięczny kilku osobom, które hojnie oddały mi swój czas, abym wyglądał na znacznie mądrzejszego, niż naprawdę jestem. Przede wszystkim: porucznikowi Robertowi „Buzzowi” Gloverowi z Waszyngtonu DC z Wydziału Operacji Specjalnych, którego znajomość specyfiki przestępstw i pracy organów ścigania była wprost nieoceniona; oraz dwóm nadzwyczajnie profesjonalnym międzynarodowym prywatnym śledczym, dzięki którym Nick Heller wydaje się taki rzeczywisty; mojemu staremu przyjacielowi Harry'emu „Skipowi” Brandonowi ze Smith Brandon oraz Terry'emu Lenznerowi z Investigative Group.

Ponownie Dickowi Rogersowi – legendzie FBI, który kieruje Hostage Rescue Team i ogromnie mi pomógł w układaniu choreografii niektórych najbardziej zawiłych scen akcji, i wraz z trenerem sztuk walki Nicka, Jackiem Hobanem, nadał im prawdopodobieństwo.

Kevin Murray, specjalista od wykrywania urządzeń podsłuchowych i konsultant do spraw operacji kontrwywiadowczych, udzielił mi szczegółowych informacji na temat obecnych możliwości w sferze technologii monitoringu, które okazały się znacznie większe, niż się spodziewałem. Bill Spellings poinstruował mnie na temat TSCM (technicznych środków przeciwdziałających inwigilacji) oraz ich stosowania w prawdziwym życiu. Mark Spencer z First Advantage Litigation Consulting sprawił, że skomplikowane metody wykorzystywania komputerów w kryminalistyce i odzyskiwania danych stały

się dla mnie nie tylko zrozumiałe, ale także przyjemne, podobnie jak Simson Garfinkel (który pomógł mi wymyślić kartę Raptor-Card).

Dziękuję moim ekspertom do spraw ochrony, włączając w to Jeffa Dingle'a i Rolanda Cloutiera, dyrektora Global Security dla EMC Corporation, którzy podsunęli mi kilka sprytnych sposobów wykorzystania telefonów komórkowych. Dave Wade doradzał mi w kwestii śledzenia telefonów komórkowych, a Jerry Richards pomógł mi zrozumieć zawiłości stosowania kamer w monitoringu i możliwości manipulacji nimi. Moje stałe źródło informacji o materiałach wybuchowych, niezrównany Jack McGeorge, znowu był przy mnie. Doradzali mi również Christopher Morgan-Jones, uprzednio z Kroll, i Gene Smith ze Smith Brandon.

Jestem szczególnie wdzięczny moim przyjaciółom z ASTAR Air Cargo, którzy pomogli mi, kiedy potrzebowałem dostępu do lotu cargo (i kilku trudnych do znalezienia szczegółów) do śledztwa prowadzonego przez Nicka. Dziękuję Travisowi Hallowi, Martinowi Godleyowi, Robowi Millerowi, Ronowi Longowi, Tomowi Halpinowi, Dominickowi Deleto, Jasonowi Stuppowi oraz dyrektorowi do spraw finansowych Stevenowi Rossumowi.

Pam Boute – sekretarka dyrektora naczelnego EMC Corporation, Joego Tucci – opowiedziała mi o życiu sekretarki dyrektora naczelnego (i zrozumiała, że potrzebuję pewnej twórczej swobody dla dobra fabuły). Mój dobry przyjaciel Bill Teuber, wiceprezes EMC, znowu pomógł mi na wiele sposobów. Paul Dacier, główny radca prawny EMC, przeprowadził mnie przez prawne złożoności, podobnie jak Jay Shapiro z Karten Muchin Rosenman i Eric Klein z Sheppard Mullin Richter & Hampton. Podziękowania za kasiarskie porady składam Kenowi Doyle'owi z Advanced Safe and Vault Engineering w Novato w Kalifornii.

Kwestie bankowości i rajów podatkowych objaśniali mi Dennis Lormel z Corporate Risk International, Philip R. West ze Steptoe & Johnson, Don Meiers z Miles & Stockbridge oraz posiadający encyklopedyczną wiedzę Jack Blum z Baker Hostetier. Steve Aftergood z

Federation of American Scientists oraz Steve Kosiak z Center of Strategie and Budgetary Assessments pomogli mi zrozumieć „czarny budżet” Pentagonu, Michael Wilson z Integrity Partners wprowadził mnie w arkana podwójnej księgowości, a Edward Hasbrouck podsunął pewne użyteczne sugestie dotyczące paszportów i fałszerstw (oczywiście tylko teoretycznie).

W skład zespołu moich konsultantów medycznych weszli David Adelson, lekarz medycyny, oraz mój brat, doktor Jonathan Finder. Pewnego dnia podczas lotu z LA, zdarzyło mi się siedzieć obok pilota prywatnych linii, pana Ody'ego Ponda, który podsunął mi kilka wspaniałych pomysłów do fabuły.

Jestem facetem z Bostonu, jednak ta książka była o Waszyngtonie, więc spędziłem dużo czasu, spacerując po ulicach i robiąc notatki. Kiedy potrzebowałem bliższych szczegółów, miałem szczęście znaleźć wspaniałych asystentów badawczych – Amy Petersen i Willa Dickinsona – którzy skrupulatnie odtworzyli kroki Nicka, zrobili mnóstwo zdjęć i wygrzebali dla mnie wiele smakowitych informacji. Tiffany Kim pomogła przy dodatkowych badaniach.

Do moich konsultantów w sprawie postaci Gabe'a zaliczali się John Thomsen, Austin Lang, Ben Moss i Emma Finder, którzy w rzeczywistości wcale, o ile wiem, nie są wyalienowanymi dziwakami i nie mają emocjonalnych problemów.

Za porady dotyczące komiksów i powieści graficznych dziękuję Willowi Dennisowi z DC Comics i Brianowi Azzarello.

Jak zawsze, Giles McNamee z McNamee Lawrence był moim współpiskowcem, z wrażliwością pisarza obmyślającym przekręty korporacyjne. Co ważniejsze, pożyczył mi zielonego land rovera defendera na wystarczająco długi czas, abym doszedł do wniosku, że Nick również powinien takim jeździć.

Moje najszczerze podziękowania dla osób z St Martin's Press, mojego amerykańskiego wydawcy: Johna Sargenta, Sally Richardson, Matthew Sheara, George'a Witte'a, Matthew Baldacciego, Lisy Senz, Nancy Trypuc, Johna Murphy'ego (konesera oliwnego bochenka),

Ann Day, Ami Greko, Jeffa Capshew, Briana Hellera, Toma Siino, Martina Quinna, Kena Hollanda, Jerry'ego Todda oraz Kathleen Conn. Dla Mary Beth Roche, Laury Wilson, Jeanne-Marie Hudson oraz Kristin Lang z Audio Renaissance.

Dziękuję osobom z Headline, mojego angielskiego wydawcy: mojej wspaniałej redaktorce (i mistrzyni) Vicki Mellor; Alice Shepherd, Siobhan Hooper oraz wszystkim z działu sprzedaży i marketingu. Dziękuję również mojej groźnej angielskiej agentce, Clare Alexander z Aitken Alexander, i mojemu agentowi do spraw praw wydawniczych za granicą, Danny'emu Barorowi.

Jestem szczęściarzem, bo mam najlepszego literackiego agenta w Stanach Zjednoczonych, Molly Friedrich, która jest nie tylko zaufaną doradczynią, ale również cenną czytelniczką. Lucy Carson i Paul Cirone z Friedrich Agency byli ważnymi wczesnymi czytelnikami. Clair Lamb była zaufanym redaktorem i researcherem, a razem z Karen Louie-Joyce także cennym członkiem zespołu, dzięki któremu moja strona internetowa jest tak dobra. Moja asystentka, Claire Baldwin, jest zaś uosobieniem nieocenionej pomocy. Dziękuję Ci bardzo.

Jestem wdzięczny mojemu bratu Henry'emu Finderowi za wszystkie burze mózgów oraz redagowanie, a także mojemu niesamowitemu redaktorowi z St Martin, Keithowi Kahli, który nie pozwolił mi skończyć poprawiać książki, dopóki nie czuł, że jest już dobrze.

Na koniec chciałbym wyrazić miłość i wdzięczność mojej żonie, Michele Souda, oraz mojej córce, Emmie, za ich stałą miłość i poparcie – a może najbardziej za ich wspaniałe poczucie humoru, które trzymało mnie przy ziemi i zdrowych zmysłach. W każdym razie przez większość czasu.

JOSEPH FINDER
Boston, Massachusetts

